

Agnieszka Rybak, Anna Smółka
WIEŻA EIFFLA NAD PINĄ
Kresowe marzenia II RP



W serii ukazały się ostatnio:

Paweł Smoleński *Pochówek dla rezuna* (wyd. 3)

Cezary Łazarewicz *Tu mówi Polska. Reportaże z Pomorza*

Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen* (wyd. 2)

Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania* (wyd. 4)

William Dalrymple *Dziewięć żywotów. Na tropie świętości we współczesnych Indiach* (wyd. 2)

Barbara Demick *Światu nie mamy czego zazdrościć. Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej* (wyd. 2)

Jacek Hugo-Bader *Dzienniki kołymskie* (wyd. 2)

Ben Rawlence *Miasto cierni. Największy obóz dla uchodźców*

Dariusz Rosiak *Biało-czerwony. Tajemnica Sat-Okha*

Jean Hatzfeld *Więzy krwi*

Aleksandra Boćkowska *Księżyc z peweksu. O luksusie w PRL*

Barbara Seidler *Pamiętajcie, że byłem przeciw. Reportaże sądowe*

Ewa Winnicka *Był sobie chłopczyk*

Cezary Łazarewicz *Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyska* (wyd. 3)

Paweł Smoleński *Syrop z piołunu. Wygnani w akcji „Wisła”*

Marcin Kącki *Poznań. Miasto grzechu*

Piotr Lipiński *Bierut. Kiedy partia była bogiem*

Tomasz Grzywaczewski *Granice marzeń. O państwach nieuznawanych*

Cezary Łazarewicz *Koronkowa robota. Sprawa Gorgonowej*

Zbigniew Rokita *Królowie strzelców. Piłka w cieniu imperium*

Swietłana Aleksijewicz *Czarnobylska modlitwa. Kronika przyszłości* (wyd. 4)

David I. Kertzer *Porwanie Edgarda Mortary. Skandal, który pogrążył Państwo Kościelne*

Rana Dasgupta *Delhi. Stolica ze złota i snu* (wyd. 2)

Karolina Bednarz *Kwiaty w pudełku. Japonia oczami kobiet*

Paweł Smoleński *Królowe Mogadiszu*

Rob Schmitz *Ulica Wiecznej Szczęśliwości. O czym marzy Szanghaj*

Marek Szymaniak *Urobieni. Reportaże o pracy*

Ola Synowiec *Dzieci Szóstego Słońca. W co wierzy Meksyk*

Jacek Hołub *Żeby umarło przede mną. Opowieści matek niepełnosprawnych dzieci*

Marcin Michalski, Maciej Wasielewski *81 : 1. Opowieści z Wysp Owczych* (wyd. 2)

Marta Madejska *Aleja Włókniarek*

Ilona Wiśniewska *Lud. Z grenlandzkiej wyspy*

Remigiusz Rzyński *Dziwniejsza historia*

Maria Hawranek, Szymon Opryszek *Wyhoduj sobie wolność. Reportaże z Urugwaju*

Marcelina Szumer-Brysz *Wróżąc z fusów. Reportaże z Turcji*

Mariusz Surosz *Pepiki. Dramatyczne stulecie Czechów* (wyd. 2 zmienione)

Swietłana Aleksijewicz *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka* (wyd. 3)

Wojciech Górecki *Buran. Kirgiz wraca na koń*

W serii ukażą się m.in.:

Piotr Lipiński, Michał Matys *Niepowtarzalny urok likwidacji. Reportaże z Polski lat 90.*

Grzegorz Szymanik, Julia Wizowska *Długi taniec za kurtyną. Pół wieku Armii Radzieckiej w Polsce*

Agnieszka Rybak, Anna Smółka

Wieża Eiffla nad Piną

Kresowe marzenia II RP



Wołowiec 2018

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce: *Państwowe Kamieniołomy Janowa Dolina. Słupy bazaltowe*, pocztówka, lata 30.,

Biblioteka Narodowa w Warszawie

Wybór zdjęć Karolina Andrzejewska-Batko

Copyright © by Agnieszka Rybak i Anna Smółka-Gnauck, 2018

Opieka redakcyjna Łukasz Najder

Redakcja Anastazja Oleśkiewicz

Korekta d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-795-5

Spis treści

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Flota niedorzeczna

Twierdza

Kukułka

Raj na Wołyniu

Pięćdziesiąt stopni Celsjusza

Świat ze sklejki

Podziękowania

Bibliografia

Przypisy końcowe

Przypisy

Kolofon

Jedna z nas opowieści o Kresach słuchała w domu, choć ta nazwa rzadko padała. Mówiło się po prostu Szczara. Niewielki folwark Szczara nad rzeką o tej samej nazwie oddany prababce – nieposłusznej córce ziemiańskiej, która bez pozwolenia rodziców wyszła za zaściankowego, przystojnego inteligenta – był jak kalejdoskop. Raz widać spalony dom i ruiny budynków gospodarczych, bo tamtędy przechodził front I wojny, a potem hulali bolszewicy. Innym razem łódkę na wodzie w letni, słoneczny dzień i niosący się z niej po rzece słynny wówczas sopran spinto zaprzyjaźnionej z pradziadkami Matyldy Polińskiej-Lewickiej. Ulubiony koń wsadzający łeb przez okno, żeby podkraść cukier z nieopatrznie postawionej na parapecie cukiernicy. Święto Kuczek u żydowskiej koleżanki babki z gimnazjum w Słonimie.

Druga z nas co rusz spotykała Kresowiaków podczas pracy. Słuchała opowieści o kolejarzu z Tarnopola, który podczas wojennej zawieruchy zbierał rozrzucone tomy Kraszewskiego, o poziomkach z majątku Marsów w Sądowej Wiszni transportowanych samolotem do Harrodsa. No i miała to szczęście, że Antoni Rosen, osiadły pod Warszawą ziemianin z kowieńskich Gaczan, obdarzył ją swoją przyjaźnią. A o Kresach, ich niezwykłości i obyczajach mógł rozmawiać „do rannego udoju”. To właśnie jego dwór opisał Józef Weyssenhoff w *Sobolu i pannie*.

W szarym PRL-u te opowieści – bez cenzury w wersji domowej i starannie wyselekcjonowane przez cenzurę w wersji książkowej – brzmiały niczym baśń z *Księgi tysiąca i jednej nocy*. Po upadku komunizmu pojawiło się wiele publikacji, w większości z dworkiem, koniem i sopranem w tle. Zaczęłyśmy szukać innej twarzy Kresów, tej najbardziej zapomnianej. Bo kto dziś pamięta o bitwie polskich marynarzy pod Czarnobyłem lub o odbudowie Brześcia – najbardziej zniszczonego w czasie I wojny światowej miasta II Rzeczypospolitej? Po odzyskaniu niepodległości Polska mierzyła się z wyzwaniem cywilizacyjnym, jakim była odbudowa materialna Kresów i zespolenie ich z resztą kraju. Odrodzona Polska jest obolała. Prawie pięćdziesiąt procent terenów, które przed rozbiorami należały do I Rzeczypospolitej, po I wojnie przypadło Rosji i Litwie. Okrojone Kresy stanowią najbardziej zniszczoną i najtrudniejszą do rządzenia część kraju. Nowoczesność nie przyjmuje się łatwo w tym starym, feudalnym świecie. Postanowiłyśmy przyjrzeć

się kilku projektom rozwojowym w województwach wschodnich II RP. Przeglądałyśmy archiwa, gazety, wspomnienia i docierałyśmy do ostatnich świadków. Odbyłyśmy wiele podróży, również po to, żeby zobaczyć, co z tych inwestycji zostało do dziś.

Praca zaczęła się od szperania w przedwojennych gazetach. „W Pińsku musi być lotnisko!” – krzyczy „Echo Pińskie” w 1934 roku. „Zasięg musi być o wiele większy niż stacji krakowskiej” – pisze wileńskie „Słowo” o swojej nowej stacji radiowej. „Zawrzała w tempie iście amerykańskim ciężka walka człowieka z naturą, który postanowił tej puszczy wyrwać skrętnie skryte bogactwa” – pisze dziennikarz o kopalni bazaltu w Janowej Dolinie na Wołyniu.

Tak odnajdywałyśmy przedwojenne marzenia i plany II RP związane z województwami wschodnimi. Chwilami jest egzotycznie – Polska Marynarka Wojenna toczy swoje pierwsze boje na Polesiu, na Wołyniu wojewoda Józewski zмага się z niechętnymi Polsce Ukraińcami. A chwilami znajomo – ambicja, żeby dogonić Zachód w nowoczesności, codzienne potyczki rodzimych firm z działającymi na naszym rynku zagranicznymi potentatami, polskie kompleksy i traumy.

Ignacy Konopacki ma dwanaście lat i trzyma w dłoni różowo-niebieskiego spranego rubla. Zaraz kupi swojego pierwszego królika. Królik zamieni się w wielką fabrykę w Mostach na Grodzieńszczyźnie. Komandor Zajączkowski kreśli na piasku w pińskim porcie model nowego kutra uzbrojonego. Witold Hulewicz ustawia z ekipą dźwiękowców mikrofony nad Wilią i martwi się o pogodę w dniu pierwszego polskiego słuchowiska radiowego. Jakże są nam bliscy w swojej krzątaninie.

Flota niedorzeczna

Jesień 1926 roku. Łąka nad Wisłą w rejonie Warszawy. Coś w kształcie ogromnego żelazka połyskuje metalicznie wśród traw. Obok pasą się krowy. Nowiutki, błyszczący stalą monitor rzeczny flotylli pińskiej wykonany w Polskich Fabrykach Maszyn i Wagonów L. Zieleniewski S. A. w Krakowie utknął na mieliźnie w drodze do swojego portu w Pińsku na Polesiu. Ktoś złośliwy zrobił zdjęcie.

Baron w pałacu Mostowskich

Grudzień 1918 roku. Trzydziestoletni baron Karol Taube siedział w pałacu Mostowskich w Warszawie i czekał na rozmowę o swojej przyszłości. Opuścił bolszewicką Rosję i przyjechał do Warszawy, żeby się zaciągnąć do polskiej marynarki wojennej. Przypatrywał się z ciekawością innym ochotnikom – marynarzom ze wszystkich trzech zaborów, nieprawdopodobnej mieszanie strojów, mowy i akcentów. Siedzieli w mundurach hallerowskich, legionowych, pruskich i austriackich. Każdy zabór wytwarzał nie tylko odmienny typ Polaka, ale i odmienny typ oficera.

Baron był wesołym gadułą z dalekiego Podola. W dzieciństwie broił razem z braćmi. Kiedyś z Józiem, w przyszłości jednym z dowódców garnizonu w Brześciu^[1], wrzucili do stawu zawsze zbyt starannie ubranego ich zdaniem młodszego kuzyna Jarka Iwaszkiewicza. Nie odważyliby się na to wobec innego krewnego – utykającego lekko i starszego od nich o parę lat Karola Szymanowskiego.

Polska nie miała jeszcze morza, jej flota składała się z paru jednostek rzecznych zabranych Niemcom, a dowództwo stanowiła niewielka Sekcja Marynarki w Ministerstwie Spraw Wojskowych, gnieźdząca się w paru pokojach pałacu Mostowskich. Baron mógł spotkać tu wielu znajomych – w polskiej marynarce osiemdziesiąt procent marynarzy pochodziło z floty rosyjskiej, piętnaście z pruskiej, a zaledwie pięć z austriackiej. Wśród oficerów także dominowali Rosjanie: „Byli to przeważnie Polacy kresowi, synowie tamtejszych ziemian, a więc o tradycji ziemiańskiej i charakterystycznym

kresowym temperamentie”¹ – pisał jeden z oficerów pół wieku później w wydawanych w Londynie „Naszycy Sygnałach”.

Taube w maju 1919 roku został oddelegowany z grupą kilkunastu marynarzy do obsadzenia motorówek szykowanych do walki z bolszewikami. Pierwsze boje Polska Marynarka Wojenna toczyła nie na Bałtyku, ale na Polesiu. Baron był nie tylko ich uczestnikiem, ale i najlepszym kronikarzem; w *Figlach diablika błot pińskich* pełno anegdot, a w *Zarysie historii wojennej flotylli rzecznych* napisanym z kolegą – plastycznymi opisów.

Cztery motorówki na pińskim morzu

„W czasie roztopów wiosennych 1919 roku błota pińskie wyglądały jak morze. Gdzie niegdzie tylko wyłaniały się jak wyspy, nieznaczące piaszczyste wzgórza, a na nich wsie. Oddziały polskie grupy generała Listowskiego, porzucane po wsiach, znalazły się w bardzo ciężkim położeniu”² – pisał baron.

W Brześciu na Muchawcu kiwały się smętnie cztery drewniane poniemieckie łodzie motorowe. Silniki rozkradła miejscowa ludność. Porucznik, książę Jan Giedroyć, zaproponował generałowi Antoniemu Listowskiemu wyremontowanie ich i utworzenie małej flotylli. Kiedy w maju Giedroyć dostał do pomocy Taubego z nowymi ludźmi, zaczęli od rozwożenia meldunków, żywności i amunicji. Palili się do walki, ale Listowski odpowiadał niezmiennie: „Podziurawią wam te duszegubki. Nic nie zrobicie i potopicie się – to nie ma żadnego sensu”³.



1. Jedna z motorówek flotyli pińskiej podczas wojny polsko-bolszewickiej, Pińsk, 1919

Źródło: Gotlieb-Pińsk / Ośrodek KARTA

Bolszewicy mieli swoją flotę rzeczną i próbowali atakować polskie posterunki nad Prypecią z wody. Polskie motorówki, uzbrojone głównie w karabiny maszynowe, czasem w jakieś działko, ruszyły na zwiady i któregoś dnia po raz pierwszy zaliczyły strzelaninę z bolszewikami. „W ciągu całej tej drogi widok Horodyszczyna nie schodził nam z oczu” – pisał baron. „Hen w dali, po lewej burcie, ponad szumiące morze oczeretów i tataraków, wśród których lyskały srebrzyste tafle małych jeziorok i sieć strumieni – wznosiło się odrzewione gęsto wzgórze z górującym ponad wszystko złocistym krzyżem na kościelnej wieży”⁴. Był to kościół Świętej Anny, chroniący wyjątkowe freski, na których tematy biblijne przeplatały się z historią Rzeczypospolitej. Lwowiak mat Netreba mówił głośno to, co myśleli wszyscy: „Ot, zrobiłby, panie poruczniku, wypad na Horodyszczę”⁵. W końcu generał pozwolił.

Pełne bolszewików Horodyszczyna stało na drodze do ważnego węzła kolejowego w Łunińcu – głównego celu ataku polskich wojsk. Wieczorem 2 lipca na jedną z motorówek Giedroycia załadowali się żołnierze 34 Pułku Piechoty. Było trochę śmiechu, bo niejednen piechur pierwszy raz wsiadł do łodzi, więc sprawdzał przede wszystkim, gdzie leżą koła ratunkowe. Na dwie pozostałe

wsiadli marynarze. O świcie, niewidoczni w tumanie mgły, popłynęli Jasiołdą w kierunku Horodyszcz. Kiedy zbliżali się do wsi, promienie wschodzącego słońca rozproszyły opary. Stanowili teraz znakomity cel dla wroga. „Sam czułem, jakbym miał w piersiach sopel lodu”⁶ – wspominał baron. Przywitał ich silny ogień karabinów maszynowych. Odpowiedzieli strzałami, klucząc zręcznie. Bolszewickie kule trafiały w wodę. Desant udało się wysadzić od strony Jeziora Horodyskiego. Kiedy słońce już porządnie grzało, w Horodyszczu nie było ani jednego bolszewika. Był 3 lipca 1919 roku – dzień narodzin flotyli pińskiej. Przez kolejne dwadzieścia lat będą co roku obchodzić tutaj uroczyste swoje święto.

Potem znów wpadli w szarżę służby transportowej. Stare wilki morskie z obrażonymi minami tachały po rzece grubaśne berlinki napakowane wszelkim dobrem szczurów lądowych. Rosło napięcie, a któregoś dnia omal nie doszło do buntu. Giedroyć i Taube po cichu dzielili frustrację załogi. „Ogarnęła nas mania szukania miejsc na zasadzki”⁷ – pisał baron. Marzyli o zdobyciu okrętów.

Któregoś dnia zaczęli się na sowieckie kanonierki na Prypeci. Siedzieli tak, siedzieli, a bolszewików ani widu, ani słyhu. Za to pojawili się wracający z połowów Poleszucy. Jedna łódka, druga, trzecia... Nie sposób puścić ich dalej, bo a nuż spotkają wroga i wydadzą kryjówkę. Giedroyć kazał ich zatrzymać. Poleszucy zaczęli jęczeć, że głodni.

– Rybkę suszoną pewnie macie – a soli i chleba wam damy.

– Panoczku, soli! – wykrzyknął z zachwytem Poleszuc. – To my soli ne baczyły chyba z hod!

– A i chliba dawno ne jily – dodał drugi.

Cztery łódki w zgodnym ordynku stanęły przy motorówkach. [...]

– Ładna historia! To cały obóz koncentracyjny tu założymy – mruknął⁸

– wspominał baron. Słońce już zachodziło i czerwieniło pnie drzew. Bolszewików jak nie było, tak nie ma. Marynarska krew płynęła do żołądków komarów, a prowiant – do poleszuckich brzuchów. Giedroyć i Taube siedzieli wściekli. Wrócili z niczym.

Jednak nie zawsze zasadzki kończyły się niepowodzeniem. Flotylla coraz częściej staczała zwycięskie potyczki z wrogiem i pływała na zwiady. Dostała nowe działa artyleryjskie. Zatopiła bolszewicki okręt Wołga. Sypały się kolejne

pochwały od dowodzącego tym odcinkiem pułkownika Władysława Sikorskiego. Aż nadszedł listopad 1919 roku i motorówki wróciły do Pińska. Łód w każdej chwili mógł uniemożliwić im poruszanie się po rzekach.

Narodziny portu

Port w Pińsku zbudowano dla stateczków pasażerskich i towarowych, które na bagnistym Polesiu, pozbawionym dróg, odgrywały kluczową rolę w komunikacji między miasteczkami. Większość poleskich wieśniaków poruszała się na lekkich i wywrotnych drewnianych łódkach zwanych duszegubkami. W listopadzie 1919 roku utworzono w pośpiechu port wojenny z pierwszym komendantem Witoldem Szulcem. Czterdzieści lat później kolega pisał o nim w relacji dla Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni: „wychowanek Kronsztadu. Był to człowiek energiczny, ale przy tym apodyktyczny, często uparty. Trzymał żelazną ręką swoich podwładnych, którzy też przed nim drżeli”⁹. Szulc postawił na brzegu drewniane szopy – pierwsze warsztaty naprawcze flotylli. Zatrudniał w nich głównie pracowników dawnych carskich zakładów naprawczych kolei.

W marcu 1920 roku w polskie ręce wpadły miasteczka na Polesiu, a wraz z nimi część sowieckich jednostek rzecznych. W tym miodzie była i łyżka dziegciu – wymarzone okręty zdobyli dla marynarzy żołnierze lądowi. Flotylla dostała od kierownictwa w Warszawie dodatkowe łodzie i trzystu ludzi, żeby je obsadzić. Stała się poważną jednostką.

Jeden ze zdobytych statków przeszedł do legendy. Ochrzczono go Pancerny-1.

Nasz towarzysz pancerny morza jednak nigdy nie widział. Mało tego, nawet nie był „od urodzenia” okrętem wojennym, lecz zwyczajnym silnym holownikiem. W czasie pokoju holował po Dnieprze pękate berliny pełne pszenicy, żyta lub pociągi tratow po Prypeci. Aż przyszła wojna i spokojny holownik musiał iść walczyć¹⁰

– wspominał z czułością baron. Żeby holownik stał się wojownikiem, musiał dostać gruby pancerz z żelaznej blachy, przez co „nie posiadał rasowej sylwetki bojowego okrętu. Miał swoistą grozę, lecz ta groza nie była piękna tym pięknem, jakie ma prawdziwy wojenny okręt morski czy nawet monitor rzeczny”¹¹. Po jednej z bitew lody zostały przełamane. Pancerny-1 walił ogniem w nieprzyjaciół jak w bęben i szybko manewrował po trudnych wodach Prypeci.

Czarnobyl. Największa bitwa polskiej marynarki w dwudziestoleciu

Kwiecień 1920 roku. Czarnobyl jeszcze bez elektrowni atomowej, za to z resztkami świetności dawnej Rzeczypospolitej: ruinami zamku, zniszczonym klasztorom Dominikanów, błyszczącymi kopułami cerkwi Świętego Eliasza. Tutaj, gdzie Usza wpada do Prypeci i gdzie za kilkadziesiąt lat dojdzie do największej na świecie katastrofy elektrowni jądrowej, rozegrała się największa w dwudziestoleciu bitwa polskiej marynarki wojennej. Starcie z bolszewicką flotyllą dniprzezańską trwało dwanaście godzin. „Walka staje się coraz bardziej ząarta. 6 kanonierek nieprzyjacielskich z kilkunastu swych dział zasypuje silnym ogniem zbliżającą się flotyllę. Fontanny wody i mułu co chwila podnoszą się w pobliżu burt statku oraz motorówki, manewrujących na szerokiej, blisko kilometrowej przestrzeni rzecznej”¹² – relacjonował Taube. Pancernym dowodził Giedroyć, obok szalał Taube na motorówce. Zwycięstwo należało do Polaków, udało się zdobyć banderę wroga. Po wojnie trafiła razem z pięćdziesięcioma bolszewickimi sztandarami do muzeów. Największa kolekcja znalazła się w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, gdzie w nowym gmachu przy Alejach Jerozolimskich wystawiono ją w Sali Honorowej 1920 roku. Ówczesny dyrektor zlecił zrobienie starannej dokumentacji zarówno fotograficznej, jak i rysunkowej, co było znakomitą decyzją, bo w latach 1950–1951 na żądanie ZSRR wszystkie sztandary oprócz dwóch zostały zwrócone. Jedną z ocalałych w zbiorach muzeum jest bandera flotylli dniprzeńskiej, zdjęta pod Czarnobyłem.

W kwietniu 1920 roku na lądzie trwała polska ofensywa. Po bitwie pod Czarnobyłem droga rzeczna na Kijów stanęła otworem. „Wypłynąwszy z borych wód Prypeci, motorówki zda się skurczyły, stały się całkiem maleńkie na wielkiej, ciemnosiwiej roztoczy wód dniprowych. [...] Już słońce skłaniało się ku zachodowi, gdy ujrzano w dali wyłaniające się z mgły złote kopuły cerkiewne”¹³. To był Kijów. Wśród maszerujących 9 maja po Chreszczatiku w paradzie zwycięstwa wojsk polskich szli marynarze. Polacy razem z miastem zagarnęli port ze statkami i warsztatami. Flotylla pińska potężniała – przez cały miesiąc była dumną posiadaczką flotylli kijowskiej.

Sowieckie statki krążyły na południe od Kijowa i po dopływach Dniepru. Polacy próbowali je wytropić. Część motorówek miała zabezpieczać transport drzewa opałowego zgromadzonego na brzegach Prypeci dla oddziałów Edwarda Rydza-Śmigłego. Polska flotylla rozciągnięta w różnych miejscach wielkiego

Dniepru cierpiała z powodu braku remontów. Cały ten naprędce sklecony sprzęt coraz wyraźniej domagał się naprawy. Nie było na to czasu. Ruszyła bolszewicka kontrofensywa.

Pancerny poszedł na Dniepr, a z nim Karol Taube. Kręcili się po wodach bez wytchnienia – patrole, potyczki, bitwy – aż okręt zaczął niedomagać. Stary wysłużony kocioł miał dość. Pancerny po całonocnej bitwie pod Witaczowem dobił do portu w Kijowie. Mechanik doczekał się upragnionego pozwolenia na wyczyszczenie kotła i zajął się radośnie spuszczeniem pary. Dowództwo też odpoczywało. „Siedzieliśmy wszyscy w mesie Pancernego, gwarząc wesoło przy butelczynie, rojąc o różnych lądowych przyjemnościach, gdy naraz w szum pary bijącej głośnym echem w ciszę nocy, wdarł się ostry dźwięk samochodowej trąbki”¹⁴ – wspominał baron. Przyszedł rozkaz – ruszać i zablokować bolszewikom przeprawę! „A tu tymczasem w naszym okręcie zaczyna się objawiać stary gruchot, pełen zachcianek pokojowych, zupełnie nieliczących z chwilą tak groźną”¹⁵. Mechanik desperował. Dowódca sucho powtórzył rozkaz. Taube rozumiał mechanika.

Był to tylko wynik ostrego zetknięcia sumiennego fachowca, wychowanego w terrorze porządku niemieckiej marynarki, z polską wojenną rzeczywistością, w której panowała improwizacja. Nie ma koni do armat, niech woły je ciągną. Nie ma dobrych samolotów, lata się na gratach. Nie ma dobrych armat, idą w bój stare francuskie czy zdobyczne rosyjskie działa, itd.¹⁶.

Manewrowanie na pełnym letnich mielizn Dnieprze było grą *va banque*. Pancerny próbował stawić czoła bolszewikom sam jeden, bo towarzyszące mu motorówki były za słabe na starcie z ich okrętami. Rażony ogniem wroga, musiał uciekać. Przegrał, „cichutko odchodził na południe, potykając się o mielizny, jak zdrożona szkapa”¹⁷. Wrócił do Kijowa z rozgoryczonymi z jego powodu marynarzami. Zawiódł.

Rozkaz opuszczenia Kijowa padł 8 czerwca. Flotylla została przydzielona do osłony wycofujących się oddziałów pułkownika Józefa Rybaka. Uszkodzone jednostki były niszczone i zatapiane. Taki los spotkał też Pancernego. Załoga patrzyła ponuro z wysokiego brzegu Dniepru, jak granaty rozrywają pierwszy polski okręt od czasów Władysława IV. Resztki flotylli, już tylko pińskiej,

wpłynęły na Prypeć. Czerwcowe słońce wysuszyło rzeki i wody gwałtownie opadły. Flotylla w czasie odwrotu ofiarnie przewoziła wojsko i ratowała tabory.

W lipcu 1920 roku nowym dowódcą flotylli został pułkownik Jerzy Wołkowicki, słynny na całą Rosję z tego, że pod Cuszimą protestował przeciwko poddaniu się Japończykom. Scenę opisaną w najlepiej znanej książce najpopularniejszego rosyjskiego marynisty znały kolejne pokolenia Rosjan:

admirał oznajmił:

– Panowie oficerowie, chcę poddać pancernik. Widzę w tym jedyny sposób uratowania was i załogi. Co o tym myślicie? [...]

– Wysadzić pancernik i ratować się – skromnie odezwał się miczman Wołkowicki¹⁸.

Młody miczman został odznaczony najwyższym wojskowym medalem Rosji – Orderem Świętego Jerzego. W 1939 roku w stopniu generała trafił do Kozielska, gdzie oficer NKWD zapytał go, czy jest krewnym sławnego miczmana. Odpowiedź brzmiała: „To ja”. Był jednym z dwóch generałów, którzy przeżyli Katyń.

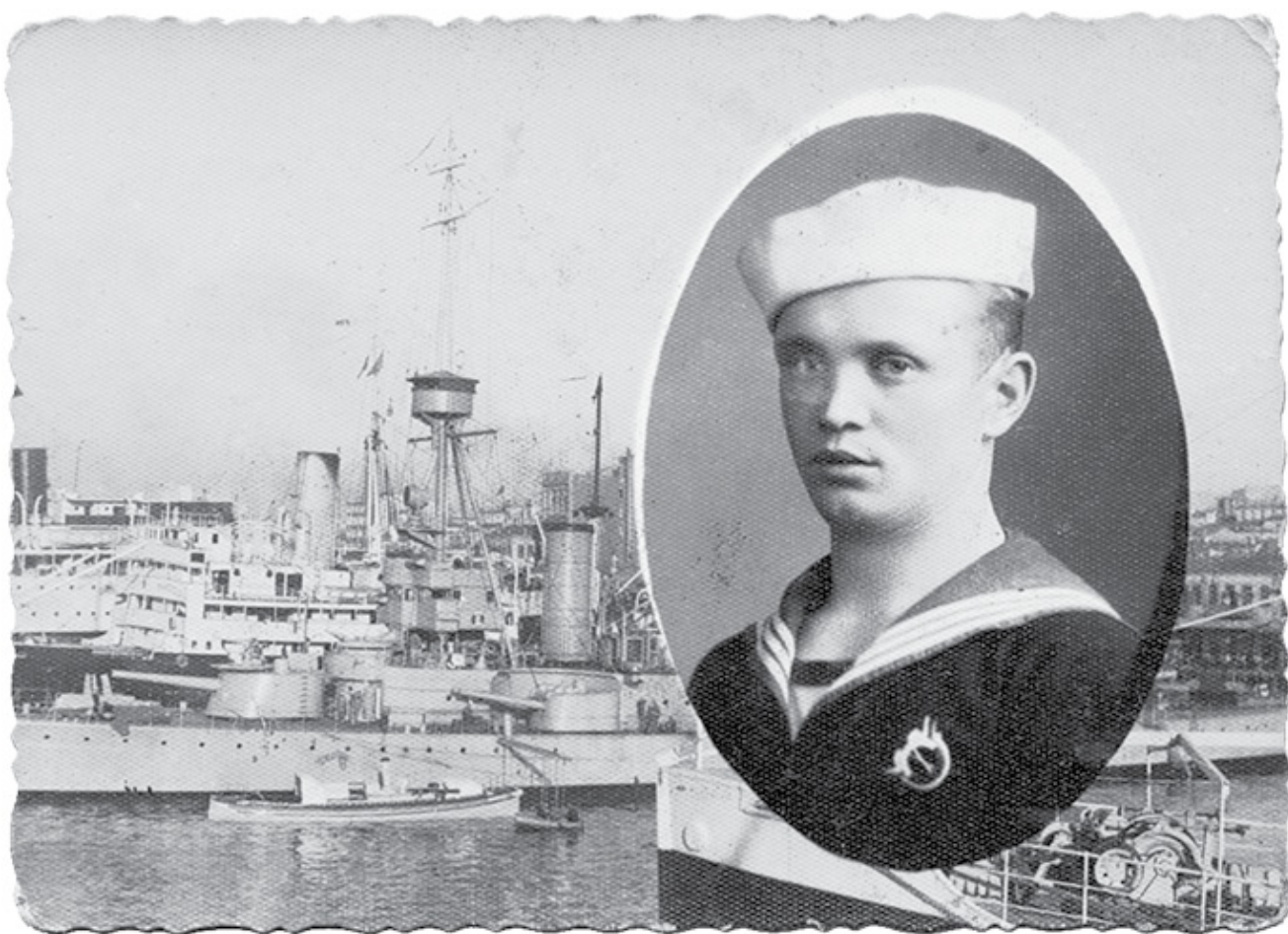
Wołkowicki swoją pierwszą walkę jako dowódca flotylli stoczył nie z bolszewikami, ale z mieliznami. Statki szorowały brzuchami po piachu. Wysłał pogłębiarki, które od rana do nocy i od nocy do rana ryły dno Prypeci. Przegrał. Jedyne, co mu pozostało, to zatopić flotyllę i uchodzić z wojskami na zachód.

Grudki zaschniętej gliny Somosierry

Od 1919 roku u steru polskiej marynarki wojennej stanął inny kawaler Orderu Świętego Jerzego – wilnianin Kazimierz Porębski. Dowództwo powierzono mu mimo braku legionowych koneksji, ze względu na jego doświadczenie i najwyższy stopień wojskowy. Nie oznaczało to jednak, że ktokolwiek będzie go słuchał. Piłsudski przyjął Porębskiego, ale na morskich sprawach się nie znał. W listopadzie 1918 roku Komendant podpisał dekret o utworzeniu marynarki wojennej i przestał się nią interesować. W jego otoczeniu mawiano, że nie ma sensu łożyć na jej rozwój dla obrony raptem stu czterdziestu sześciu kilometrów wybrzeża, którego można bronić z lądu. Proponowane przez Porębskiego koncepcje rozwoju floty morskiej przegrały ze wzorami „nieboszczki mamy Austrii”, jak mawiali złośliwie byli carscy oficerowie. Porębski uważał flotyllę

rzeczne za przeżytek i chciał rozwiązać flotyllę pińską. Ale okazało się, że ma ona możnych protektorów. Wizje nowoczesnych torpedowców morskich nie rozgrzewały umysłów pod zielonymi rogatywkami, ale zapamiętano małym, dzielnym motorówkom i pracowitym berlinkom pomoc w gonieniu bolszewika. Na dodatek znalazła się usprawiedliwiająca takie podejście podstawa teoretyczna. „Wizje flotylli Dunaju tkwiły wciąż w wyobraźni ex-austriackich i legionowych wodzów”¹⁹ – zanotował w relacji ironicznie jeden z oficerów. Porębski zmienił taktykę. Postanowił wykorzystać pińskie zabawki, żeby dogodzić próżności zwycięskich wodzów i uzyskać zgodę na budowę prawdziwej floty na wybrzeżu. Kolejne jednostki na Pinie dostawały nazwy: Generał Sikorski, Generał Szeptycki, Generał Sosnkowski. Flotylla, zamiast poprzestać na chlubnej karcie z wojny polsko-bolszewickiej i przejść do historii, rozpoczęła nowy okres życia.

Sprawa jej likwidacji wróciła tylko raz, po zamachu majowym w 1926 roku. Marynarze zachowali neutralność i nie stanęli po stronie Piłsudskiego, co fatalnie odbiło się na ich budżecie. Pojawił się wówczas pomysł zredukowania flotylli pińskiej i włączenia jej w struktury Ministerstwa Spraw Wojskowych. Uratował ją generał Józef Rybak, argumentując, że ZSRR ma flotyllę dniesprzańską, więc i Polska do obrony wschodniej granicy potrzebuje floty rzecznej na Polesiu. Zamiast ją rozwiązać, przydzielono jej jako dowódcę Witolda Zajączkowskiego, jednego z najzdolniejszych oficerów. We wrześniu 1930 roku wysłano go na miesięczny staż do Jugosłowiańskiej Rzecznej Flotylli Dunajskiej, żeby zmienić tego wilka morskiego w poleskiego wiuna^[2], drobną rybkę o kształcie małego węgorza, umiejącą sobie radzić w byle kałuży.



2. Portret marynarza flotylli pińskiej na tle portu, lata 30.

Źródło: Ośrodek KARTA

Tymczasem zatopione jednostki flotylli pińskiej nie zdążyły się pokryć rdzą, a już bolszewicy, pręży na Warszawę i Berlin, zawrócili o sto osiemdziesiąt stopni. Na Polesie pojechali fachowcy, żeby wyciągnąć okręty z błota i je wyremontować. Departament Spraw Morskich, przemianowany wkrótce na Kierownictwo Marynarki Wojennej, zamówił nowe monitory, czyli rzeczne okręty wojenne i motorówki. Rzeczpospolita zapełniała swój port wojenny stalowymi kadłubami, połyskującymi dumnie na tle drewnianego, glinianego i łapciowatego Polesia.

Polesie

Województwo poleskie, największe z szesnastu województw II RP, miało najgorsze wskaźniki we wszystkim, czym zatroskani specjaliści mierzyli nowoczesność. Najgorzej rozwiniętą sieć komunikacji, najwyższy wskaźnik

analfabetyzmu, najmniejszą liczbę zakładów przemysłowych i tak dalej. Na jego terenie występowały za to jedyny w Polsce orzech wodny *Trapa natans L.*, wciąż niezbadane gatunki fauny i flory, chmary łośi i komarów oraz legendarne zakątki, do których dotarło zaledwie paru śmiałków. Rzeki zmieniały tu co jakiś czas swój bieg, a wojewodowie – obyczaj. Panujący w latach trzydziestych wojewoda Wacław Kostek-Biernacki wędrował w łapciach, udając Poleszuka, żeby sprawdzić, czy jego urzędnicy nie krzywdzą miejscowego ludu. W jednym Polesie przodowało – w ilości błota. W urzędzie wojewódzkim w Brześciu nad Bugiem łamano sobie głowę nad wielkim projektem melioracyjnym.

Polesie, zawsze biedne, po dwóch wojnach było jeszcze biedniejsze. Poza wcale licznymi, ukrytymi wśród rozlewisk zakątkami, gdzie nie dotarły żadne armie. Tam nastąpiła „wolność”, chłopcy odzwyczaili się od płacenia podatków, a przyzwyczaili do brania do ręki strzelb myśliwskich lub wnyk i polowania bez oglądania się na zezwolenia i pory w kalendarzu. Poleszucy, w większości analfabeci, sięgali swoim życiem duchowym epoki pogańskiej i nawet chrześcijaństwo stanowiło zaledwie wierzchnią, nie za dobrze utrwaloną warstwę poleszuckiej duszy. Tej nie znał nikt, choć pracowali nad jej rozszyfrowaniem różnej maści uczeni. W miasteczkach dominowali Żydzi, często słabo znający polski, bo dotychczas językiem państwowym był rosyjski.

Poleszuk jak świat światem był Poleszukiem. I zawsze ktoś przychodził i tłumaczył mu, że Poleszuk sam nie wie, że jest Rosjaninem, Polakiem, Białorusinem albo Ukraińcem. Poleszuk, odwieczny i osobny, wyrobił w sobie chytrą, żeby przetrwać wszystkie zmiany. Tymczasem II RP chciała jak najszybciej dogonić Zachód. Jej zafrasowani przedstawiciele biegali po ziemiach wschodnich w roli kulturträgerów, co drażniło wielu tutejszych ziemian i publicystów. Z jednej strony nakładali podatki i kazali służyć w wojsku, od czego Poleszuk przez ostatnie lata już odetchnął z ulgą, z drugiej chcieli zbudować tu nowoczesną krainę, nauczyć Poleszuka, jak żyć, jak uprawiać ziemię, jak tkać i jak wyrabiać ludowe garnki, żeby się dobrze sprzedawały u warszawskich pań. Sanacyjna „Gazeta Poleska” w drugiej połowie lat trzydziestych zachwalała zakładanie spółdzielni rolniczych i zapełniała swoje łamy poradami dla rolników: „Jak uchronić cielęta od biegunki”, „Jak przechowywać ziarno zbożowe”. Rozpisywała się o narybku węgorzy, o owcach, koniach, pszczołach i martwiła się o „wczesne kurczęta”. „Wieś chce oświaty” –

krzyczała. Ale wieś nie chciała. Powiększała się przepaść między Poleszukiem a coraz szybciej pędzącym XX wiekiem.

Pomiędzy te dwa światy wciskali się komuniści i rozmaite sekty religijne, mnożące się na Polesiu niczym grzyby po deszczu. Każdy próbował nawracać Poleszuków na swoją religię.

Prawdziwą stolicą Polesia – krainy wody, błota i dziwów – od zawsze był Pińsk. Został nią na krótko także urzędowo, dopóki sierpniowy pożar w 1921 roku nie zamienił miasta w las osmalonych kominów wyrastających z popiołów, które były kiedyś drewnianymi domami. Stolicę województwa przeniesiono wówczas do odległego i obcego Brześcia, na otarcie łez wystawiając w powiatowym teraz Pińsku okazały, nowoczesny, murowany, stojący do dziś budynek sądu. Tak jak na całym Polesiu, także i tutaj większość mieszkańców miasta, według spisu ludności z 1921 roku, stanowili Żydzi – blisko siedemdziesiąt pięć procent.

Pińsk był bardzo stary i w swoim życiu widział już wszystko. Notowany w kronikach pierwszy raz w 1097 roku, ale zbudowany wcześniej, parę razy rozkwitał i parę razy upadał. Przewinęli się przez jego historię słynni święci, jak na przykład Andrzej Bobola, i poeci – jak Adam Naruszewicz. Ostatnie wielkie chwile przeżywał podczas wizyty króla Stanisława Augusta w 1784 roku. Miasto rozświetlała wtedy łuna bijąca od rzeki, na której tłoczyły się łódki ze szlachtą z lampionami w rękach, a monarcha łaskawie spoglądał na stolicę „Holandji Polskiej”. Wkrótce potem, po II rozbiórce Polski, stał się na sto dwadzieścia sześć lat częścią Rosji.



TYPY POLESKIE

3. Poleszuczka przy warsztacie tkackim, okolice Kosowa Poleskiego, lata 30., fot. Józef Szymańczyk

Źródło: ze zbiorów Tomasza Kuby Kozłowskiego

Granatowi

Do Pińska razem z Polską przywędrowało polskie wojsko – granatowa flotylla pińska i zielony 84 Pułk Piechoty. Żydowski Pińsk nie miał dobrych wspomnień z pobytu na jego terenie armii polskiej. W kwietniu 1919 roku major Aleksander Łuczyński, dowódca 34 Pułku Piechoty, kazał – po zaledwie godzinnym rozpatrywaniu sprawy – rozstrzelać na rynku pod ścianą kolegium jezuickiego trzydziestu pięciu żydowskich młodych mężczyzn wyprowadzonych z zebrania w Domu Ludowym pod pretekstem braku zezwolenia na to zgromadzenie. Żydzi padali ofiarą wszystkich przechodzących armii. Według wyliczeń Jerzego Borzęckiego Armia Czerwona w czasie wojny polsko-bolszewickiej brała udział w 106 pogromach i zamordowała 725 Żydów. Wojsko Polskie dokonało 32 pogromów, zabijając 134 Żydów²⁰.

Spalony Pińsk nie miał gdzie ulokować nowych przybyszów. Piechota umościła się w barakach i budynkach klasztoru Jezuitów. Marynarze zamieszkali ponad dwa i pół kilometra od portu w lichych, drewnianych budynkach, a oficerowie i podoficerowie w domach prywatnych. Komenda Portu Wojennego zasiedliła drewniany domek, warsztaty portowe zajęły zrujnowaną fabrykę gwoździ, a magazyn techniczny – wielką drewnianą szopę.

Marynarze byli kłopotliwym prezentem. Szczególnie przez pierwsze lata wspólnego życia miasta i flotylli ci bywalcy różnych portów i uczestnicy bójek na kilku kontynentach dawali się we znaki mieszkańcom. Pińsk szybko nauczył się rozpoznawać ich granatowe mundury. Nie da się tego powiedzieć o kolegach z innych formacji. Odczuł to nawet szef marynarki.

Pewnego razu w 1921 roku admirał Kazimierz Porębski wracał z inspekcji w Pińsku. Siedział wygodnie w wagonie pierwszej klasy i czytał „Tygodnik Ilustrowany”, kiedy do przedziału wpadł major żandarmerii z pytaniem, o której odjazd pociągu. Porębski, uprzejmie odkładając na bok gazetę, odpowiedział, że nie wie. Na co żandarm odparł: „Jak to, pan, urzędnik dyrekcji kolei i nie wie tych rzeczy?”²¹. Porębski wyjaśnił grzecznie, kim jest. Major zmył się jak niepyszny.

W latach dwudziestych w letnie wieczory Pińsk zamieniał się w Wenecję. Znudzeni brakiem zajęcia oficerowie w lśniących białych letnich mundurach zabierali damy do motorówek i łodzi na przejażdżki po Pinie. „Do późnych godzin nocnych słyszało się dźwięki gitar, śpiewy, itp.”²² – pisał Mieczysław Filipowicz, inżynier budownictwa okrętowego i autor wspomnień *Ludzie, stocznie i okręty*. Odnotował też słynną na cały Pińsk historię miłości maty Michalskiego. Miasto pełne było ładnych żydowskich dziewcząt. Żydowski mężczyźni trzymali je z daleka od Polaków, a w szczególności od marynarzy. Dochodziło do bójek. Któregoś dnia miasto zelektryzowała wiadomość o zaginięciu pięknej córki żydowskiego sklepikarza Grabowieckiego. „Żydzi podnieśli larum. W całym mieście wrzało” – pisał Filipowicz. Piękna Sonia przepadła jak kamień w wodę. Wzburzona delegacja Żydów zjawiała się u dowódcy flotylli, oskarżając marynarzy o porwanie. Dowódca kazał to sprawdzić, ale Soni nie odnaleziono, Żydzi wynajęli więc detektywa. Okazało się, że dziewczyna przygotowuje się do przejścia na katolicyzm w klasztorze Jezuitów, gdzie umieścił ją w porozumieniu z przeorem zakochany po uszy maty Michalski. Kolejna żydowska delegacja pojechała tym razem do Warszawy, do Kierownictwa Marynarki Wojennej. Wróciła z niczym. Piękna Sonia została panią Michalską²³.

Flotylla miała wspomagać siły policyjno-wojskowe w walce z wysyłanymi przez ZSRR grupami dywersyjnymi. Na początku lat dwudziestych grasowały bezkarnie po wschodnich województwach, dokonując mordów i próbując wywołać antypolskie powstanie. Flotylla miała też pilnować granicy, przez którą wędrowały tłumy – polscy repatrianci z Rosji, przemytnicy, szpiedzy. Nie zaliczyła wielkich sukcesów. Nic dziwnego, jeśli wyglądało to tak, jak w relacji Hieronima Kwietniaka, Haśka flotylli.

Kwietniak, chłopak z mandoliną z warszawskiej Woli, trafił do Pińska w 1922 roku. Latem ruszył na ćwiczenia w kierunku granicy sowieckiej. Został dowódcą statku bazy, który z powodu wysokich kominów nie zmieścił się pod zniszczonym mostem w Mostach Wolańskich. Miał czekać i rozglądać się za bolszewickimi bandami. Kiedy tylko szefostwo, połyskując dumnie stalą monitorów, zniknęło z horyzontu, marynarze zajęli się łowieniem ryb za pomocą granatów, a potem poszli spać – na nagusa, bo doskwierał im upał. Kwietniak z kolegą, zaciekawieni dymem z chłopskiego komina, zostawili śpiącą załogę i grając ukraińskie dumki, podpłynęli do gospodarstwa. Gospodynię posłali po

mleko, a sami zajęli się flirtem z jej córkami. Czas mijał przyjemnie, zrobiło się ciemno: „w pewnym momencie »moja« córeczka, czymś zaniepokojona, wyrwała się z moich uścisków i stanęła w oknie, mówiąc: »widzicie, tam przy mostach coś się pali«”²⁴.

Płonęła baza podpalona niechcący przez jednego z podoficerów podczas zapalania naftą świateł. Kwietniak zastał na miejscu sprawcę nieszczęścia ciężko poparzonego i obłożonego zsiadłym mlekiem przez robotników odbudowujących most. Goła załoga schowała się w krzakach. Wartownik uciekł. Spłonęło wszystko – jedzenie, mundury, dokumenty. Rano podkomendni Kwietniaka wyglądali egzotycznie. „Chłopcy nagusy na sposób Tahitańczyków pozasłaniaли swoje grzeszne miejsca fartuszkami z trawy i przychodzili pomału po upiornej nocy do siebie”. Usłyszeli szum motorów. Pierwszy wyłonił się dowódca flotyli kapitan Marian Wolbeck na motorówce. Kwietniak trzasnął obcasami, a za nim rzędem ustawili się „Tahitańczycy”. Wolbeck patrzył zdumiony. W raporcie Kwietniaka wieczór w objęciach ładnych bliźniaczek zamienił się w bohaterskie poszukiwanie ukrytych bolszewików.



4. Kładki służące do przeprawy przez bagna na Polesiu, 1936, fot. Saul Hochman

Źródło: ze zbiorów Tomasza Kuby Kozłowskiego

Nowe mundury dopłynęły z Pińska w czasie obiadu, wszystkie miały ogromne rozmiary: „ujrzeliśmy chłopców w maskaradowych, zwisających po bokach kurtkach szytych dla wielkoludów i w takichże spodniach, w których chłopcy, przydeptując ogromnie długie nogawki, przewracali się jak wańki-wstańki”. Nawet oficerowie uśmiechali się pod nosem²⁵.

Pewnego deszczowego październikowego dnia w 1924 roku do Pińska zajechał w roli zastępcy kierownika warsztatów młodzieńki absolwent Politechniki Lwowskiej Roman Somnicki. Za jego naukę zapłaciło wojsko, w zamian miał odpracować trzy lata za każdy rok studiów. Miasto ze śladami niedawnego pożaru prezentowało się przygnębiająco. Przechadzka po rozłożonych zamiast chodników długich deskach, uginających się pod stopami niczym klawisze pod palcami pianisty, groziła w każdej chwili katapultowaniem na siebie błota. Przejście na drugą stronę ulicy wymagało długiej wędrówki w poszukiwaniu skleconego z desek „mostu” nad błotem. Kto się bardzo śpieszył, mógł poprosić o przeniesienie na drugą stronę trudniących się tym za opłatą chłopów.

Somnicki trafił na moment zmiany dowódcy flotylli, dlatego rytuał powitania rozpoczął następnego dnia. Każdy nowo przybyły oficer składał swoim przełożonym piętnastominutowe wizyty. Październikowe błoto skłaniało do brania dorożki, żeby ocalić nieskazitelność galowego munduru.

Przy wysiadaniu z dorożki zwykle zbierało się masę nieletnich żydziaków, którzy głośno podziwiali wspinały mundur oficera marynarki wojennej, jego kapelusz, złote epolety, etc. Czekali, aż delikwent za kwadrans będzie wracał, i urządzali mu owację. [...] nie zawsze dryndziarz mógł podjechać pod sam dom z powodu błota. W takich przypadkach Żyd proponował – uj, panie oficer, wyleś pan z te moje faeton i pójć pan te troszkę piezskom, a ja tu pociekam²⁶.

Po trzech miesiącach Somnicki został kierownikiem warsztatów. Flotylla dostawała dużo pieniędzy na remonty i mało na nowe inwestycje. Młody szef szybko nauczył się, że nie należy być oszczędnym, bo za zwracanie pieniędzy do Skarbu Państwa dostaje się reprimendę. Trzeba kombinować. Założył własne biuro konstrukcyjne i zbudował dla niego nowy budynek, a koszty budowy, wydatki na cegły, wapno i tym podobne, zapisał w rubryce „remont okrętu Admirał Dickman”. Zapewne był to jeden z najdziwniej odnowionych okrętów

marynarki wojennej. Kontrolerzy finansowi niczego nie wykryli. Jednak wpadki się zdarzały. Warsztaty okazjnie reperowały statki cywilne. Któregoś dnia zjawił się żydowski właściciel i poprosił o przedłużenie swojego stateczku o kilka metrów. Somnicki przyjął zamówienie – zawsze to jakaś odmiana. Przy odbiorze statku klient wpadł w rozpacz, bo okazało się, że musi zapłacić dwa razy więcej, niż ustalono. Somnickiemu było głupio, ale nie miał zamiaru dopłacać z własnej kieszeni.

W biurze konstrukcyjnym Somnicki zatrudnił Rosjanina – inżyniera Iliuszyna, białego emigranta, i młodziutkiego Mieczysława Filipowicza. Obaj szybko się zaprzyjaźnili. Na początku Filipowicz sypiał w biurze na stole kreślarskim, a rano chował pościel do szafy z rysunkami. Szybko wystarał się o pozwolenie na zamieszkanie w mieście i noszenie cywilnego ubrania. „Na ubraniu cywilnym zależało mi dlatego, że żadna panienka »z dobrego domu« nie mogła się pokazać na mieście z marynarzem, zejmani mieli bowiem fatalną opinię”²⁷.

W 1925 roku Somnicki został przeniesiony do Pucka. Wrócił do Pińska w 1927 roku i zastał na miejscu już inne porządki, wprowadzone przez nowego dowódcę Witolda Zajączkowskiego.

Litwin na Krymie

Witold Zajączkowski urodził się na Krymie w 1892 roku. Jego ojciec nie mógł znaleźć pracy na rodzinnej Wileńszczyźnie „na skutek prześladowań inteligencji polskiej przez rząd rosyjski”²⁸ – jak napisał syn we wspomnieniach. Ojciec został miejskim architektem w Symferopolu. Zbudował duży dom-dwór, gdzie przyszły na świat jego dzieci. Na terenie posiadłości znajdowały się stajnia, wozownia i lodownia, rozciągał się sad pełen jabłoni, grusz i pnącej się długim korytarzem winnej latorośli rodzącej pod słońcem południa słodkie owoce, jakich Witold nigdy potem nie jadł. W gabinecie ojciec umieścił wszystko, czego litewski szlachcic potrzebował do pełni szczęścia. „Patrontasze, trąbki, gwizdki na psy, rogi, torby myśliwskie, obroże – czego tam nie było!”²⁹. Boczne wyjście prowadziło do otoczonej różami fontanny z ławeczkami, gdzie przesiadywały bony: francuska i niemiecka. Oprócz służby po tym królestwie kręciły się myśliwskie wyżyły i oswojone dzikie zwierzęta: lisy, zające oraz zaprzyjaźniona czule para – żuraw i kawka.

Wilno i rodzinne Wiłuniszki widział Witold w dzieciństwie dwa razy. Niewiele z tego zapamiętał poza śniegiem. W gabinecie ojca stała szafka ze skrzętnie gromadzonymi dodatkami literackimi do „Tygodnika Ilustrowanego”, w tym skompletowana ukochana *Trylogia*. Czytał na ojcowskiej kanapie.

Miał trzynaście lat, kiedy na wzgórzach Mandżurii Japończycy rozgramiali Rosjan, a zrozpaczony rosyjski kapelmistrz zabierał się do skomponowania jednego z najśłynniejszych rosyjskich walców. W basenie fontanny u Zajączkowskich pływały modele okrętów. „Naturalnie cała Kolonia Polska była po stronie Japonii”³⁰ – przyznawał. Wojnie towarzyszyła pierwsza rewolucja. Nasłuchawszy się o niej od dorosłych, nastraszył dla żartu wracającego późno sąsiada. Ojcowska nahajka poszła w ruch na literackiej kanapie. Rewolucyjne żarty nikogo u Zajączkowskich nie bawiły, a dekalog i zasady honoru wbijano paniczom na gołą pupę. Na Krym dotarły też szalejące w Rosji pogromy. Witold do końca życia zapamiętał ciało młodego, przystojnego Żyda z dziurą po kuli w środku czoła.

Nastoletni Witold przestał się uczyć i dołączył w szkole do największych zabijaków. Razem upozorowali zamach na gubernatora, „całe miasto śmiało się z tego kawału z wyjątkiem policji”³¹. Wtedy pojawił się kuzyn – opromieniony sławą odważnych czynów w czasie wojny rosyjsko-japońskiej oficer marynarki. Imponował Witoldowi. „Decyzja co do mojej kariery zawodowej jakoś zapadła spontanicznie. Miałem wstąpić do Marynarki Wojennej”³². Nic nie pomogły lamenty ukochanego wuja z Petersburga, że idzie służyć Moskalom.

Już po pół roku w kosmopolitycznej carskiej marynarce, gdzie mieszały się błaganadiożni Rosjanie z niebłaganadiożnymi Polakami, a niemieccy baronowie z mrukliwymi po chłopsku Finami, dorobił się pochwały za skok do lodowatej wody i uwolnienie okrętu z płataniny lin. A potem przyszedł wydawany przez jego szkołę w stolicy coroczny zimowy bal, na którym tłoczyła się wśród tajemniczych grot i zaczarowanych latarń cała petersburska śmietanka obsługiwana przez służbę przebraną za dobre wróżki i złe czarownice. Marynarka to było coś dla niego! Po skończonej nauce wybrał służbę na Bałtyku, aby broń Boże nie przegapić wojny z Niemcami. Został oficerem dywizjonu kontrtorpedowców w Libawie. W czasie zagranicznych rejsów odurzeni widokami zachodnich portów matrosi szli pić na umór, a on widział ich „bluzy poszarpane, zarzygane, mordy we krwi”³³. Sam nie pił mniej. Skakał wtedy do fontanny w Kopenhadze i do morza dla ślicznej Francuzki w Tulonie. W czerwcu

1914 roku został przydzielony do okrętu, na którym płynął car. Był bal z angielskimi gośćmi i obiad z Mikołajem II.

Poranek, kiedy ogłoszono mobilizację, zaskoczył go na okropnym kacu w Petersburgu. Witold trafił do dywizji minowej pod dowództwem Aleksandra Kołczaka w Helsinkach. W listopadzie po raz pierwszy widział, jak ludzie umierają w lodowatej wodzie. Okrętem miotał sztorm, wichura łamała maszty, a młodzi, niedoświadczeni marynarze siedzieli w kajutach i wymiotowali. Dwie jednostki zatoneły. Witold wywijał się śmierci. Kajuta, którą oddał koledze w kilka dni później, została razem z częścią okrętu zniszczona przez minę – czterdziestu ludzi straciło życie. Kiedy tylko opuścił okręt, jego młodziutki następca zginął od niemieckiego pocisku.

Rok 1917 witał hucznie w mesie okrętu w porcie w Rewlu, późniejszym Tallinnie. Nazajutrz wędrował od kawiarni do kawiarni, gdzie zapijał kaca wodą sodową. W najelegantszej z nich jego uwagę przyciągnęła dziewczyna z futrzanym kołnierzykiem przyczepionym szpileczkami do płaszcza. Pomyślał, że pewnie nie lubi szyć. Na imię miała Joanna, co on zmieni na Anna. Zajęty nią, ledwie zauważył abdykację cara i rewolucję. Ocknął się, dopiero kiedy tłum z czerwonymi flagami usiłował wdrzeć się na jego okręt. Dowódca zablokował mostek własnym ciałem i nakazał marynarzom zachować po jednym naboju dla siebie. Obyło się bez ofiar.

Zajączkowski awansował. Objął dowództwo na okręcie, ale od kiedy pojawiła się na nim rada żołnierska, szukał okazji, by odejść. Oświadczył się Joannie – telegraficznie. Ślub wzięli w kościele protestanckim. Rodzina narzeczonej była zachwycona, jemu było wszystko jedno. Decyzja o ożenku oznaczała jednak pożegnanie z flotą. Zajączkowski uważał, że marynarz nie powinien się żenić. Jesienią 1917 roku pojechał do Helsinek, gdzie czerwoni komisarze urzędowali na ekskluzywnym jachcie carskim. Wydawali oficerom zwolnienia ze służby. Dowiedział się, że musi wyświadczyć flocie bolszewickiej ostatnią przysługę: odbić z rąk białych Finów ważną stację kolejową Tojała. I zrobić to siłami... Klubu Anarchistów. Zdezերterował. Ekspedycja przy dźwiękach *Międzynarodówki* i łopotu czerwonych flag ruszyła, nie zauważając braku dowódcy. Zanim wrócił do Rewla do żony, ukrywał się przez kilka miesięcy.

W mieście wpadł w towarzystwo byłych oficerów. Przesiadali nad kartami, grali o grube pieniądze. Pewnego poranka Zajączkowski nie wystarczyło na mleko. Odłożył karty i został współwłaścicielem małego szkunera do

przewożenia towarów do Finlandii. Przemyczał alkohol, ryzykował więzienie. „No ale kto może się oprzeć osiemnastokrotnemu zarobkowi, połączonemu z pięknym sportem. Nie ja, w każdym razie”³⁴ – przyznawał. W drodze powrotnej brał towary potrzebne w Rewlu i zarobek robił się sześćdziesięciokrotny. Urodziła mu się pierwsza córka. W grudniu 1918 roku poszedł na swoją drugą wojnę – estońsko-bolszewicką. Wkrótce Estonia była wolna, a on zdecydował się zabrać rodzinę i wyruszyć do nieznanej Polski. Był rok 1920.

Trafił w sam raz na swoją trzecią wojnę – znów z bolszewikami. Tym razem nie prowadził kampanii morskiej, ale użerał się ze zdemoralizowanymi marynarzami. Ich dotychczasowy szef został wyrzucony z flotyli polskiej, bo okradał Żydów. Zanim Zajączkowski sobie z nimi poradził, wojna się skończyła. Przywiezione oszczędności – za radą żydowskiego przyjaciela z Tallinna w postaci złota i waluty zachodniej – na prośbę starej Niemki, od której chciał kupić mały majątek na Pomorzu, zamienił na marki polskie. Jednak galopująca inflacja – Niemcy dotknęła wcześniej, dlatego stara kobieta wolała marki polskie od niemieckich – dotarła wkrótce do Polski i przerodziła się w 1923 roku w hiperinflację. Zajączkowski stracił wszystko. „Byłem w rozpacz”³⁵ – wspominał. Dlatego nie zdjął munduru.

Na mocy traktatu wersalskiego Polska miała przejąć sześć kontrtorpedowców ponemieckich stacjonujących w Anglii. Zajączkowski został wyznaczony na dowódcę jednego z nich. Na miejscu razem z kolegami zobaczył „cementarzystwo okrętów”. Zanurzyli się w ich brzuchach i wybrali te z silnikami i jako tako działającą maszynę. Żyli za grosze, bo tak wyglądała ich gaża w przeliczeniu na funty. Pierwszą butelkę whisky kupili tuż przed odjazdem. Podczas trudnej podróży „my – oficerowie, wszyscy z marynarki rosyjskiej, rozmawialiśmy ze sobą bezpośrednio z jednego skrzydła mostku, podczas gdy bosmani, wszyscy z niemieckiej marynarki, prowadzili ze sobą rozmowy z drugiego skrzydła mostku – po niemiecku!”³⁶. W końcu przybili do mola w malutkiej wiosce Gdyni.

Po powrocie Zajączkowski został dowódcą okrętu szkolnego Mazur i wykładowcą w nowo powstałej szkole oficerskiej dla marynarzy w Toruniu. Pierwszy kurs zaczynał się wiosną 1921 roku w ogołoconych z mebli ponemieckich koszarach. Zajączkowski miał kształtować program i dobrać nauczycieli. „Nie było ani podręczników, ani skryptów z jakichkolwiek

przedmiotów kursu, ani modeli sprzętu okrętowego”³⁷ – pisał jeden z pierwszych studentów. Jednak największym problemem był brak polskiej terminologii. Zajączkowski wykładał wiedzę okrętową i dostał od szefa marynarki polecenie napisania pierwszego polskiego podręcznika. Prosił studentów o opinie, „czasami czytał nam małe rozdziały rękopisu i pytał się, czy jest to jasne i wyrażone prawidłowo po polsku”³⁸. Jego *Wiedza okrętowa* ukazała się w 1926 roku. Rok później został dowódcą flotyli pińskiej.

Dom

Wiedział, że ta formacja nie ma sensu. Przyznał się do tego po latach we wspomnieniach:

Generał Rybak, były oficer artylerii z armii austriackiej, powziął myśl przystosowania flotyli do bezpośredniego wspierania piechoty. Myśl całkiem błaha. Bo ani piechota nie mogła działać na rozlewiskach rzek poleskich, ani 75 mm działa monitorów nie mogły sięgać głównych kierunków przyszłych działań wojennych wzdłuż najbliższych dróg. Ale przekonywać o tym oficerów lądowych było po prostu stratą czasu. Przyjąłem tę doktrynę, aby mieć poparcie Inspektoratu Armii³⁹.

W roku 1926 spieranie się z legionistami takimi jak Rybak nie wróżyło sukcesów. Na dodatek nowym szefem Kierownictwa Marynarki został Jerzy Świrski, w oczach Zajączkowskiego „kompletny teoretyk, który żadnym okrętem nie dowodził”⁴⁰, a dowódcą floty – pedantyczny i kostyczny był pruski dowódca kontrtorpedowca Józef Unrug. Zajączkowski nie dogadywał się z żadnym z nich.

Wypracował sobie niezależność na styku dwóch formacji – flotyli, choć była częścią marynarki, podlegała dowództwu lądowemu. Polubili się z inspektorem armii generałem Kazimierzem Sosnkowskim. Połączyła ich pasja myśliwska. Obaj bywali na polowaniach u Radziwiłłów w ordynacji dawidgródzkiej. W przypływie szczerości Sosnkowski powiedział kiedyś Zajączkowskiemu, że flotyli jest bronią tak specjalną, iż „stanowisko dowódcy nie może być przejściowe”⁴¹, i że sprzeciwiałby się ewentualnemu przeniesieniu go gdzieś indziej. Zajączkowski uzyskał pewność, że nikt go z Pińska nie odwoła. Kiedy zaproponowano mu wyjazd do Wyższej Szkoły Wojennej we Francji, odmówił. Kupił majątek Planta Zdrój o powierzchni pięciuset czterdziestu hektarów

w powiecie prużańskim. „Budynki były w bardzo złym stanie, domu w ogóle nie było, o ile nie liczyć zapadłej ruiny, w której mieszkał pachciarz. Z biegiem czasu wybudowałem domek, budynki gospodarcze, rozwinęliśmy piękne gospodarstwo”⁴². Tylko na Polesiu obie natury Zajączkowskiego mogły znaleźć dla siebie miejsce. Pan na flotylli i hreczkosiej. Mówiono o nim „książę Polesia”.

Marynarze nazywali go „Zającem”. Z kilkunastu relacji zgromadzonych przez Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni jeszcze po latach można odczytać dumę, z jaką piszą: „przyszedł się ze mną przywitać”, „długo ze mną rozmawiał”, „zaprosił do swojej kabiny”. Wielu zapisuje słowo „dowódca” dużą literą. Taką jedynomyślność spotyka się rzadko.

Marynarze byli rozpuszczeni przez poprzedników. Zajączkowski znów widział mordy we krwi i zarzygane bluzy. Zaczął więc przykręcać śrubę. Przede wszystkim wygnał ich z miasta na okręty. Somnicki wspominał: „z wiosną każdego roku wyprowadzał on całą Flotyllę z początkiem każdego miesiąca na około 4 tygodnie daleko pod granicę ZSRR i tam na Prypeci lub dopływach przeprowadzał ćwiczenia. Przed 1 każdego miesiąca Flotylla wracała do Pińska na 4–5 dni”⁴³. Kto żyw biegł zobaczyć, jak wypływają i wracają. „Całe bulwary nad Piną i most były kompletnie oblepione ludźmi, szczególnie płcią piękną”⁴⁴ – pisał inny inżynier. Warsztaty pracowały dzień i noc, z przerwą na ćwiczenia. Naprawiano sprzęt, uzupełniano zapasy paliwa, żywności i amunicji, po czym znów wypływano na wschód. Oprócz jednostek bojowych płynął statek szpitalny Generał Sosnkowski i warsztaty pływające.

Podczas ćwiczeń kluczową rolę odgrywały mapy, zwłaszcza że poleskie rzeki często zmieniały bieg. W roku 1927 sporządzenie aktualizacji map zlecono ponownie przybyłemu do Pińska Romanowi Somnickiemu.

W Dawidgródku został niedawno zbudowany most drogowy, bez uzgodnienia z dowództwem Flotylli, chodziło zatem o sprawdzenie, czy szerokość i wysokość prześleń pozwoli monitorom na przejście. [...] W Dawidgródku wyległy tłumy na most i brzeg [...]. Ks. Radziwiłł oczom swym nie chciał wierzyć, gdy przed swym pałacem zobaczył okręty Flotylli. Skończyło się to naturalnie wielkim przyjęciem *ad hoc* dla nas zorganizowanym⁴⁵.

Zajączkowski nie folgował załodze także zimą, kiedy wszystko, co pływa, wyciągano na brzeg i stawiano w hangarach do przeglądu technicznego. Dużą

część prac wykonywała załoga, tylko najtrudniejsze naprawy robiły warsztaty. Zajązkowski zaglądał w każdy kąt i pilnował terminów. Poza tym w specjalnie przygotowanych gabinetach organizował gry wojenne i zimowe ćwiczenia, które kończyły się w maju egzaminami. Latem w czasie ćwiczeń codziennie rano stawał na rufie swojego okrętu sztabowego Admirał Sierpinek i odbierał raport od oficerów sztabowych. Najmniejsze uchybienie nie uchodziło płazem. Zajązkowski nie bał się ani szefów z Warszawy, ani ciotek. Pewien oficer został za jakieś przewinienie odesłany na tydzień do twierdzy brzeskiej.

Ciotka porucznika, mająca koligacje w Ministerstwie Spraw Wojskowych, przybyła z Warszawy do Pińska w celu interweniowania u dowódcy flotylli, by zwolnił jej pupilka. Kmdr Zajązkowski przyjął ją po wersalsku, obiecując rozpatrzyć sprawę ponownie. Ciocia uspokojona wróciła do Warszawy, a jej kuzynowi po rozpatrzeniu podwojono karę⁴⁶.

Krótki oficer

Flotylla pińska była jak grecka tragedia – każda pogoda prowadziła do jej zguby. Niski stan wód groził utknięciem na mieliźnie, wysoki zmuszał do kładzenia masztów i kominów, żeby przepłynąć pod mostami. „Z położonego komina sadze były wydmuchiwane na pokład, a żar kotła buchał na ludzi, którzy musieli po przejściu okrętu pod mostem komin z powrotem ustawić i zamocować. [...] Żałośnie wyglądał taki okręt – bez nadbudówki, z położonym kominem i masztami”⁴⁷. Zajązkowski szukał okrętu zdolnego pływać prawie bez wody, za to wyposażonego w urządzenia artyleryjskie dużego kalibru. Pokładał spore nadzieje w młodym zapaleńcu Filipowiczu. „Spotykając mnie na terenie portu wojennego, witał się kordialnie i najczęściej po ogólnym wstępie na temat jakiegoś pomysłu po wyczerpaniu wszelkich gestów itd. chwycił za jakiś patyk i kreślił na piasku. Rozmowę taką (on mówił, ja słuchałem) zazwyczaj kończył słowami: »niech pan pomyśli, jak to technicznie rozwiązać«”⁴⁸. Zimą, gdy flotylla stała w Pińsku, przesiadywał chętnie w biurze konstrukcyjnym. Jego niecierpliwość była kosztowna. „Żądał niezwłocznego przystąpienia do realizacji, a więc wystarczał jakiś szkic, model pewnej części okrętu i po wtajemniczeniu kierowników działów PMW zamawiało się mechanizmy i budowaliśmy kadłub. Powodowało to wiele późniejszych przeróbek, co podnosiło z kolei koszt budowy”⁴⁹ – przyznawał Filipowicz. Zajązkowski był uparty. Kiedyś

konstruktor biedził się nad zaprojektowaniem pomieszczeń dla załogi na sztabowym Admirale Sierpinku. Nijak nie mógł upchnąć zbyt dużej liczby oficerów na tak małej powierzchni. Zwłaszcza że Zajączkowski żądał dla każdego oddzielnej kabiny. „Gdy w jednej z kabin koja mogła mieć tylko 1,65 m długości i nie zgodziłem się na umieszczenie tam oficera, Zajac uciął dyskusję, mówiąc: »to ja dam panu krótkiego oficera«”⁵⁰. Zajączkowski próbował dostosować naturę do potrzeb flotylli – zaangażował się w pogłębianie i oczyszczanie nurtu rzek. Najwięcej korzyści wyniosła z tego żegluga cywilna.

Flotylla wykorzystywała ulepszone przez siebie łódki Poleszuków – duszegubki – by przyspieszyć łączność. Zwykła duszegubka kosztowała od ośmiu do dziesięciu złotych, duszegubka motorowa – sto pięćdziesiąt. Poleszucy pomagali w ich produkcji. Inżynier Kuczkowski pisał:

W czasie tego pobytu w Dawidgródku przypadkowo dowiedziałem się, że mieszka tam Poleszuk, bardzo uzdolniony szkutnik, specjalista w budowie kadłubów tych łodzi na pych i nawet większych obiektów. [...] Na zlecenie moje wykonał kilka łodzi, do których później zostały zastosowane silniki przyczepne⁵¹.

W roku 1937, kiedy zbliżały się wielkie manewry z udziałem generała Sosnkowskiego, Zajączkowski zażądał od Kuczkowskiego zbudowania ni mniej, ni więcej, tylko dwóch bezzałogowców. Miały być ruchomym celem w czasie ćwiczeń. Spisały się doskonale i nie zostały trafione, ich twórca przeżył tylko jedną chwilę grozy, kiedy rażno mknęły ku granicy z ZSRR. Na szczęście zatrzymały się w porę – z powodu braku napędu.

Strzały artyleryjskie w czasie manewrów powodowały szkody na chłopskich polach, więc marynarka płaciła po złotówce za każdy lej. Chytrzy Poleszucy szybko zwietrzyli szansę na dobry interes i ruszyli z łopatami na pola. Ktoś we flotylli w końcu się zorientował, że zgłaszanych dziur jest zbyt wiele. Wkrótce kontrola wykazała, że ich liczba znacznie przewyższa liczbę wystrzelonych pocisków.

W latach dwudziestych nad Piną i w Modlinie rodził się polski przemysł stoczniowy dla marynarki wojennej. Gdyni nie było jeszcze na świecie, a warsztaty w Pucku były w powijakach, kiedy tutaj prace szły pełną parą. I warsztaty portowe, i biuro konstrukcyjne w Pińsku stały na wysokim poziomie. Warsztaty w ciągu kilku lat zbudowały według projektu swoich inżynierów kilka

kanonierek i kutrów. Żaden z modeli nie był doskonały. Może przez niecierpliwość Zajączkowskiego i szybkie szkice na papierze śniadaniowym? W 1932 roku w biurze konstrukcyjnym nastąpiły zwolnienia i aresztowania z powodu oskarżeń o szpiegostwo na rzecz ZSRR. Zajączkowski właśnie planował prace nad nowym typem kutra rzeczno-jezernego. Zlecił to zadanie siostrzanym warsztatom portowym w Modlinie, które zasilili zatrudnieni za jego poręką konstruktorzy z Pińska. Tak narodził się Nieuchwytny, który był już bliski doskonałości. Inżynier Potyrała odnotował w relacji skrupulatnie i z emocjami sprzed trzydziestu paru lat cały proces budowy, wszystkie parametry techniczne kutra i jego późniejsze losy⁵². Na wiosnę 1939 roku w obliczu zbliżającej się wojny część flotylli pińskiej razem z Nieuchwytnym przerzucono na Wisłę. W czasie wrześniowych walk Nieuchwytny razem z innymi jednostkami zestrzelił niemiecki samolot. Wobec niskiego stanu wody na Wiśle polska załoga dokonała samozatopienia. Niemcy wydobyli kuter z rzeki jesienią 1940 roku i odremontowali w stoczni na warszawskim Czerniakowie. Według Potyrały po wybuchu wojny Niemiec z ZSRR niemieccy marynarze przeciągali naprawę, żeby nie trafić na front wschodni. Nieuchwytny jako *Wachtkutter* Pionier ostrzeliwał podczas powstania walczącą Warszawę. Po wojnie piński kuter niczym kresowy wysiedleńca znalazł się na Odrze, gdzie jako Okoń pływał pod banderą Wojsk Ochrony Pogranicza.

Ostatni kuter zbudowany w Pińsku, ulepszony w stosunku do Nieuchwytnego, nie miał już tak romantycznej nazwy. Ochrzczono go KU-30, jakby był jakąś rybacką łajbą. Długo trwały negocjacje z hutą Dziedzice, która miała dostarczyć ulepszony stop aluminium, eksperymenty się przedłużały i kuter był gotów dopiero w 1939 roku. Ostatnie stalowe dziecko Zajączkowskiego osiągnęło doskonałość. KU-30 prześlizgiwał się nad mieliznami, przepływał pod mostami, osiągał dużą prędkość przy małych drganiach kadłuba, co zwiększało celność jego strzałów. Nie napływał się na macierzystym Polesiu, bo razem z Nieuchwytnym poszedł na Wisłę. Walczył w kampanii wrześniowej i stracił aż trzy niemieckie samoloty. Został samozatopiony na Narwi w nocy z 28 na 29 września – pierwszej nocy po kapitulacji Warszawy. Doskonałość przyszła za późno.

Nie docenialiśmy lotnictwa

„Dziś jest dla mnie zupełnie jasne, że cała flotylla w przypadku działań wojennych na Polesiu byłaby zatopiona, a port zniszczony, najdalej w ciągu tygodnia”⁵³ – pisał Zajączkowski w 1970 roku. I dodawał, wyjaśniając, dlaczego nie doceniał znaczenia lotnictwa: „Byliśmy też pewnie zasugerowani słabością własnego lotnictwa, jak na przykład kilkoma starymi wodnopłatowcami przydzielonymi do flotylli”⁵⁴.

Wodnopłatowce pojawiły się w Pińsku nie jako maszyny bojowe, ale jako oczy monitorów. Monitory były ślepe i sunąc po zarośniętych, pełnych zakoli wodach Polesia, nie widziały, co na nie czyha. Zajączkowski utworzył Rzeczny Pluton Lotniczy. „Lotów w okresie letnim było bardzo dużo, piloci dochodzili do takiej wprawy, że mogli startować i wodować prawie na każdym zakręcie rzeki”⁵⁵ – wspominał jeden z lotników. Pluton początkowo nie miał szczęścia do dowódców. Pierwszy został przeniesiony na własną prośbę po tym, gdy jego podkomendny zastrzelił się po otrzymaniu surowej kary. Nikt nie wiedział, że prawdziwą przyczyną samobójstwa była choroba weneryczna. Kolejny musiał odejść z wojska. „Od dłuższego czasu związał się on niepotrzebnie z panną dość »lekkiego prowadzenia«, a gdy na interwencję Dowódcy usiłował ją porzucić, ta robiła mu skandaliczne awantury w miejscach publicznych”⁵⁶. Następnym został warszawiak, porucznik Kryński, „miły i inteligentny oficer i dobry dowódca”⁵⁷. Kryński w 1936 roku prosto z pińskich błot trafił na Zamek Królewski i został adiutantem prezydenta Mościckiego. Po nim dowództwo objął Eustachy Szczepaniuk.

Nowy dowódca pochodził ze Lwowa i od dziecka entuzjasmował się lotnictwem. W końcu 1929 roku zjawił się w Pińsku. „W pierwszym rządzie miałem się zajmować fotografią lotniczą, która była pewnego rodzaju »konikiem« Dowódcy Flotylli”⁵⁸ – pisał w relacji.

Tymczasem zrobiło się krucho z samolotami. Ministerstwo Spraw Wojskowych nie dokonywało zakupów, bo kryzys gospodarczy spowodował cięcia w budżecie. Trzeba było podjąć decyzję – kupno nowych maszyn lub produkcja krajowa. Zdecydowano się na drugie rozwiązanie, a do celów morskich przeznaczono stare samoloty łączności, choć były na to za ciężkie. Nieudany sprzęt trafił też do Pińska. Szczepaniuk, próbując lądować na rzece, zaliczył poważny wypadek. Dalszy brak pieniędzy i coraz gorszy stan samolotów spowodowały tymczasową likwidację plutonu i współpracę w czasie letnich ćwiczeń z lotnictwem lądowym. Następne wodnosamoloty dla flotylli pińskiej,

zamówione we Włoszech w czasach budżetowej prosperity, miały dotrzeć w marcu 1939 roku. Transport się opóźnił. Latali na nich podczas II wojny światowej Włosi.

„Gdynia Poleska”

Tak nazwał Pińsk – chyba dla taniego efektu – Karol Wolf, który w latach trzydziestych próbował tutaj wydawać lokalną gazetę. W 1921 roku Gdynia była małą osadą rybacką zamieszkałą przez 1268 obywateli, a Pińsk – miastem wojewódzkim, gdzie żyło 21,5 tysiąca osób. W 1939 roku Gdynia miała już 127 tysięcy mieszkańców, a Pińsk ledwie 36 tysięcy. Gdynia była cudownym dzieckiem, które rosło jak na drożdżach i zamieniało się w duży, międzynarodowy port otoczony modernistycznym miastem. Pińsk uchodził za symbol zacofania. Gdynia była polska – w 1939 roku Żydzi stanowili pięć procent obywateli miasta, a Pińsk żydowski – w 1939 roku miał około sześćdziesięciu trzech procent Żydów. Jedynym, co pozwalało Wolfowi budować gdyńską legendę Pińska, były dwa porty i flotylla. Ale marynarze i tutaj by się z Wolfem nie zgodzili. Bo dla nich służba nad Piną była karnym zesłaniem. Jeden z nich pisał: „pomiędzy marynarzami odbywającymi służbę na okrętach odwiedzających cały świat a marynarzami pływającymi po rzekach jest taka sama różnica jak między generałem a szeregowym”⁵⁹.

Londyńskie „Nasze Sygnały” przytoczyły anegdotę, jak to się trafiało do Pińska. Pewien młody oficer, zwany przez przyjaciół Tauszkiem, oprowadzał po Gdyni wycieczkę sztabowców, „gdy mu zadano pytanie, co będzie, jak Deutschland wejdzie do Zatoki Gdańskiej. Tauszku jak Zagłoba odpalił bez namysłu: »Postawimy na molo dużą tablicę z napisem: ‘Boże miej w opiece naszą Flotę’«. Za swój cierpki humor Tadzio w 3 dni potem był już na karnym przydziale na Flotylli Pińskiej”⁶⁰.

Za zasługi można było stamtąd wcześniej wrócić. Podporucznik rezerwy Edward Gubała mieszkał w Gdyni z rodziną i pracował na prywatnym statku transportowym. W roku 1937 ledwo zszedł na ląd, a już odebrał wezwanie na ćwiczenia wojskowe do Pińska. Zaklął w duchu, ale karnie stawił się, gdzie trzeba. Został dowódcą motorówek holujących tabor pływający. Któregoś popołudnia wrócił do pustego portu, który robił „wrażenie wymarłej stacji kresowej z czasów Skrzetuskiego”. Został na barce, żeby odpisać na listy

i poczytać. Tuż przed północą zobaczył wielką plamę ognia. Paliła się sąsiadująca z flotyllą fabryka zapalek Halperna. Pojawili się gapie, zaczęli wykradać maszyny i narzędzia. Na placu Gubała zastał grupkę niezdecydowanych marynarzy. Szybko podjął decyzję: „Chłopcy – tu zwróciłem się do tłumu marynarzy – wywalać drzwi na moją odpowiedzialność, jeżeli chcemy uratować bazę od zagłady!”. Fabryka spłonęła, port uratował Gubała, dzieło zwieńczyła straż pożarna. Dwa dni później podczas ćwiczeń został zaproszony do dowódcy. Zajączkowski po długiej rozmowie zapytał, niczym złota rybka, czy mógłby spełnić jakieś życzenie Gubały. Ten poprosił o zwolnienie o trzy dni wcześniej, ponieważ chciał pobyć z rodziną, zanim ruszy w kolejny rejs. Został zwolniony miesiąc przed końcem ćwiczeń. „Książę Polesia miał gest naprawdę książęcy”⁶¹ – zapisał po latach z wdzięcznością.



5. Targ w Pińsku, widok od strony placu 3 Maja, w tle widoczny kościół Jezuitów, fot. Zofia Chomętowska

Źródło: © Chomętowscy / Fundacja Archeologia Fotografii

Polesie dostało w 1937 roku dwa miliony trzysta tysięcy złotych na inwestycje, z czego pół miliona przeznaczono na Pińsk. Pieniądze poszły na kanalizację, brukowanie ulic, szkołę powszechną i porządną rzeźnię (wygrała z wodociągami). W latach trzydziestych z centrum miasta zniknęło błoto, ulice obsadzono drzewami. Na odnowionym kościele Jezuitów zabłysł przywrócony łaciński krzyż. Zniszczony w czasie wojny dworzec odbudowano w stylu polskiego renesansu. Z Warszawy można było złapać pociąg o dwudziestej drugiej dziesiąt i osiem godzin później, o szóstej trzydziści pięć, być już w Pińsku. Inwestycje z puli marynarki wojennej na początku lat trzydziestych objęły port wojenny. W 1932 roku powstały koszary dla kadry dowódczej razem z ogromną, nowoczesną kuchnią dla wszystkich marynarzy. Rok potem postawiono obszerny budynek koszar dla marynarzy. W suterenach najnowsze typy filtrów pracowały nad odżelazianiem wody. W 1934 roku pojawiły się łaźnie i pralnia mechaniczna. Teren portu znacznie się powiększył. Za zajęte uliczki marynarka wypłaciła zarządowi miasta odszkodowanie. Kierownictwo oszczędziło za to na strzelnicy i marynarze chodzili ćwiczyć do kolegów z piechoty.

Flotylla i 84 Pułk Piechoty to wystarczająca klientela, nie licząc mieszkańców, żeby dać utrzymanie wielu kawiarniom, eleganckim restauracjom, gospodyniom oferującym obiady domowe i ciemnym, śmierzącym piwem mordowniom. „Mawiało się wówczas, że trzeba zarabiać w Gdyni, a wydawać w Pińsku”⁶². Życie w Pińsku było tanie. Najdrożej i najbardziej ekskluzywnie było przy ulicy Kościuszki. Pod numerem 2 mieścił się najlepszy w mieście Hotel Angielski (miał nawet telefony w pokojach), a w nim restauracja Paradies (*sic!*). Jej otwarcie zapowiadało 8 września 1934 roku „Echo Pińskie” jako „największą rewelację sezonu”: „Na sali kryte łoże. Codziennie koncert słynnej orkiestry Bieleckiego. Napoje słynnych marek krajowych i zagranicznych. Pierwszorzędna kuchnia. CENY b. NISKIE”⁶³. Równie chętnie „szarża piła w gabinetach”⁶⁴ w pobliskiej restauracji Gregorowicza. Z rodziną można się było wybrać na lody do wyśmienitej cukierni Holcmana na Kościuszki 14, w której w lecie wydawano dania wegetariańskie, co z naciskiem podkreślała reklama zamieszczana

w każdym z piętnastu numerów gazety „Dzień Dobry Pińsk” – więcej się nie ukazało. Na końcu ulicy, w dawnym pałacu Skirmunttów, mieściła się siedziba biskupa pińskiego.

Kto się nie wybierał 8 września na otwarcie restauracji Paradies, mógł tego wieczoru iść do pobliskiego kina Casino na *Kariere kelnerki* lub do Kina K.P. W. na *Żonę na jedną noc*. Albo do Teatru Holcmana, opisywanego jako „wielka buda drewniana”, na jedną ze sztuk Rittnera. Teatr Holcmana w czasie publicznych uroczystości gościł wojewodów poleskich i wierchuszkę urzędniczo-wojskową, a w zwyczajne dni Osterwę z Redutą, Teatr Ateneum z Warszawy z Jaraczem lub operetkę ze stolicy. Bywał Aleksander Weretyński, tutaj też śpiewał swoim szalapinowskim głosem „ukochany syn Polesia” Paweł Prokopieni. Albo filia Rodziny Wojskowej przy flotylli wystawiała jakąś budującą sztukę z patriotycznego repertuaru. Kto wolał potańczyć, szedł do Café Oaza na dancing. O debiutantów na parkiecie walczone. „B. Szrajbman nauczyciel gimnazjum państwowego w Wilnie daje kursy tańców nowoczesnych”, „Dyplomowana nauczycielka Maria Andrzejewska udziela lekcji najnowszych tańców salonowych zatwierdzonych na kongresach w Wiedniu i Paryżu” – głosiły reklamy.



6. Jarmark na rzece Pinie w Pińsku, ok. 1935, fot. E. Katz

Źródło: ze zbiorów Tomasza Kuby Kozłowskiego

„Słodki domek” dla panów stał przy ulicy Kijowskiej 8. Jak donosiło „Echo Pińskie”:

Kryje w sobie rozkosz, za którą trzeba płacić. Trudno – jest takich więcej. Tylko z tem płaceniem – to czasami bywa gorzej. [...] Bo proszę sobie wyobrazić taką sytuację: Mroźna noc, że aż duchy trzeszczą, a tu biegnie sobie ulicą dama – prawie zupełnie obnażona, czyli tak – jak ją zaskoczył niemiły fakt ucieczki przygodnego amanta. [...] chwytą pierwszego lepszego – przechodzącego przez „niebezpieczny teren” przechodnia – nota bene Bogu ducha winnego i dopiero przyglądnowszy się bliżej jego zdziwionej, a nawet przerażonej twarzy – umyka coprędzej spowrotem do słodkiego domku⁶⁵.

Co słyhać w Pińsku? – pyta „Echo Pińskie”. I odpowiada: ryki. „Herb miasta aż się prosi o obrazek syreny – takiej ryczącej wściekle syreny, gdyż ona to właśnie, a nie złota strzała ze stalowym ostrzem, jest charakterystyczną i kłującą uszy cechą naszego miasta”⁶⁶. Syreni koncert zaczynały porty o piątej rano.

W Pińsku działają wtedy cztery gimnazja i pięć szkół powszechnych, seminarium duchowne, dwa szpitale, stacja leczenia raka promieniami radu – nowoczesna rzecz na tamte czasy, ale Pińsk chce jeszcze więcej – lotniska, radiostacji i wieży Eiffla. „W Pińsku projektowana jest budowa 25-metrowej wieży o kształtach podobnych do znanej wieży Eiffla w Paryżu. Wieża ta będzie przeznaczona dla propagandy Ligii Morskiej i Kolonialnej. [...] Cała budowla wykonana będzie z drewna”⁶⁷.

Ale i tak najważniejsza jest rzeka. Chłopi przyplływają do miasta swoimi chwiejnymi duszegubkami załadowanymi towarem i ustawiają je na brzegu Piny, gdzie w środy i piątki odbywa się targ z łódek. Nad nim góruje masyw kościoła Jezuitów. Kto chce dotrzeć do dalszych zakątków Polesia, ten idzie na przystań parostatków. Prywatnymi liniami, w większości w rękach żydowskich właścicieli, można popłynąć dokąd dusza zapragnie. I tak do Dawidgródka i Lemieszowa statek odpływa codziennie o czwartej po południu, a znów do Lubieszowa czy Telechan o szóstej rano. Taka podróż mogła dostarczyć wielu wrażeń, sądząc z alarmujących doniesień prasowych o kolejnych kontrolach stanu technicznego stateczków.

Latem Piną płyną wycieczki kajakowe z całej Polski. Pensjonarki w sportowych spódniczkach nocują w schronisku w jednym z pińskich gimnazjów. Powstają też kluby: wioślarski i pływacki, każdy z własnym budynkiem. Polesie zabiega o turystów, wydaje przewodniki i przez parę lat walczy o swoje Muzeum Polesia, otwarte wreszcie przy ulicy Kościuszki. Na łamach gazet toczy się niekończąca się dyskusja o rozwoju gospodarczym regionu. Turystyka ma być jednym z jego filarów. Tylko gdzie można spać i jeść w czasie wędrówek? Poleszuk wcale nie chciał nocować w swojej chacie turystów. Na dodatek z poleskiej dżungli, niczym z Afryki, nie każdy wracał zdrowy.

W powietrzu niepodzielnie panowały bąki bydlęce (*Tabanus bovinus L.*) i komary. Bąki cięły boleśnie w dzień, kiedy załogi wychodziły na pokład z nagrzanego maszynowia. W nocy do ataku ruszały komary: „żądliły przez ubrania, koce itp., a były ich miejscami takie masy, że włożyły w uszy, nos i oczy”⁶⁸. Jedni uciekali na pokład i nasmarowani maściami, zawinięci w grube koce próbowali spać. Drudzy dusili się w upale w środku. Wszyscy budzili się niemiłosiernie pokąsani. Nawet wydawane codziennie każdemu dwie tabletki chininy nie zawsze ratowały przed malarią. Dopiero po kilku latach rozpylania

z wodnosamolotów drogich specyfików udało się nieco zmniejszyć liczbę zachorowań.

Malaria nie ominęła zdolnego konstruktora monitorów bezzałogowych Igora Kuczkowskiego. Młody inżynier pojechał na leczenie do Druskienik. Natknął się tam na sympatycznego adwokata z Warszawy Teodora Duracza, z którym „zaprzyjaźnił się bardzo” i który przekonywał go, że jedynym sojusznikiem Polski może być ZSRR. Kuczkowski był potem przesłuchiwany przez kontrwywiad. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że poznał prawdziwą gwiazdę. Teodor Duracz był jednym z ważniejszych ludzi Moskwy w Polsce.

Mata Hari czy poleska madame Bovary?

Rosja sowiecka intensywnie rozbudowywała siatkę szpiegowską w Polsce, posługując się przy tym polskimi komunistami. Polski kontrwywiad przechwytywał niektóre instrukcje, takie jak ta z 1925 roku, zalecająca tworzenie komórek komunistycznych w Wojsku Polskim w celu prowadzenia działań wywiadowczych i destrukcyjnych. Prace te koordynował Centralny Wydział Wojskowy Komunistycznej Partii Polski, zwany popularnie „wojskówką”. Komunista Ernest Grinberg-Górski wydawał nawet w Warszawie nielegalną gazetę „Wojskówka”. Niemcy także prowadziły działalność szpiegowską, z tym że Berlin zintensyfikował ją później, w latach trzydziestych. Flotylla pińska interesowała zarówno ZSRR, jak i Niemcy – nad Piną toczyła się intensywna gra wywiadów. Niewiele o niej wiemy poza nielicznymi faktami udokumentowanymi przez historyków tudzież plotkami znalezionymi w relacjach marynarzy.

Sprawę podporucznika marynarki Wacława Śniechowskiego opisał w książce *Kontrwywiad II Rzeczypospolitej* Andrzej Pepłoński. W lipcu 1932 roku, kiedy Śniechowski służył na Bałtyku, zgłosił się do kontrwywiadu w Gdyni z informacją, że zaczepił go kilkakrotnie przedstawiciel wywiadu niemieckiego i wypytywał o tajne informacje. We wrześniu 1934 roku Śniechowski został przeniesiony do flotyli pińskiej, a wkrótce potem aresztowany. Okazało się, że na rozmowy z polską „Dwójką” chodził dla niepoznaki, a naprawdę współpracował z Niemcami. Przekazał im informacje o liczbie, tonażu, uzbrojeniu i wyposażeniu jednostek flotyli pińskiej oraz o liczbie oficerów i marynarzy. Został rozstrzelany 20 marca 1935 roku o szóstej rano. Przed

śmiercią apelował do plutonu egzekucyjnego, „aby traktowali jak świętość czerwone napisy ostrzegawcze w koszarach »Strzeż się szpiegów«”⁶⁹.

Więcej opowieści o szpiegach w Pińsku można znaleźć w relacjach marynarzy w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni i w książce Mieczysława Filipowicza *Ludzie, stocznie, okręty*. Trudno jednak oddzielić plotki od faktycznych zdarzeń, na dodatek czasem opisanych enigmatycznie ze względu na cenzurę w PRL. Inżynier Aleksander Potyrała, współtwórca Nieuchwytnego, zanotował swoje wspomnienia w 1960 roku. Zaledwie cztery lata wcześniej z komunistycznego więzienia wyszli Witold Szulc, twórca portu i warsztatów w Pińsku, oraz Eustachy Szczepaniuk, dowódca plutonu lotniczego. Potyrała pisze: „w owym czasie [1931/1932 – dop. autorki] wyszła rzekomo na jaw w Pińsku dość szeroko zakrojona akcja szpiegowska, podobno na rzecz Związku Radzieckiego, w którą zamieszani byli rzekomo również niektórzy pracownicy wspomnianego biura konstrukcyjnego”⁷⁰. Czy rysujący patykami na piasku Zajączkowski był dostatecznie ostrożny w porcie i w puszczy, kiedy w pogoni za łosiem poznał śliczną żonę Poleszuka Iwańca? „W następnych latach najczęściej odwiedzał ten dom sam i przebywał tam dłużej. Przy okazji pewnej uroczystości Iwaniec z żoną złożyli wizytę na okręcie sztabowym”⁷¹ – pisał Filipowicz, dodając, że byli to sowieccy szpiedzy. Dalej plotkował o niemieckim osadniku Ottonie i o ubogim staruszku karmionym przez rozbawionych jego opowieściami marynarzy, a także o członku załogi sztabowego Admirala Sierpinka nazwiskiem Zagiełło, rozstrzelanym za szpiegostwo w twierdzy brzeskiej w 1929 roku. I o pożarze warsztatów, który sam oglądał w 1926 roku.

Po drugiej wojnie światowej stało się wiadome, że sprawcą pożaru był jeden z pracowników warsztatów – niejaki Żabiński, który sam chwalił się swoim postępkiem w dniu wkroczenia do Pińska nowych władz, we wrześniu 1939 roku. Wielu stoczniovców potwierdzało ten fakt, kiedy to w okresie lat 1959–1970 widziano Żabińskiego na terenie Polski⁷².

Wojna wybuchnie 1 sierpnia

Na początku 1939 roku w obliczu wzrastającego zagrożenia wojną z Niemcami Zajączkowski zgłosił się do szefa Sztabu Głównego w Warszawie z propozycją utworzenia pododdziału flotylli na Wiśle. Dostał zgodę i wysłał tam część jednostek z Pińska, w tym kutry Nieuchwytny i KU-30. Ryzyko wojny

zmobilizowało także Kierownictwo Marynarki Wojennej. Kiedy zachorował dowódca floty Józef Unrug, wybitny oficer znad Piny został wyciągnięty z lamusa i poproszony o przygotowanie morskiej obrony wybrzeża. Zajązkowski stawiał się w Gdyni w ostatnim dniu kwietnia. W maju, kiedy minister spraw zagranicznych Józef Beck tak pięknie mówił w Sejmie o honorze – „Jest tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor” – Zajązkowski z rosnącą irytacją zaglądał w każdy kąt na wybrzeżu. W czerwcu zebrał dowódców i zaprezentował plan obrony. Przyjął za datę wybuchu wojny dzień 1 sierpnia i nakazał wszystkie prace zakończyć do tego czasu. Major Jan Wiśniewski był pod wielkim wrażeniem Zajązkowskiego i zapisał w relacji: „Przytaczam tę odprawę kmdr. Zajązkowskiego dlatego, że odprawa ta dawała zasadnicze (i jedyne) rozkazy do przygotowania obrony i wytyczne jej przeprowadzenia”⁷³. Zajązkowski nie zgodził się objąć dowództwa, wrócił do Pińska i powiedział Kuczkowskiemu z gniewem: „chcieli mnie mianować dowódcą obrony Wybrzeża i żądali ode mnie stworzenia umocnień gwarantujących zabezpieczenie na wypadek wojny natychmiast, kiedy przez 10 lat tam kompletnie nic nie zrobiono”⁷⁴.

Czas zatoczył koło. Gorący wrzesień 1939 roku przerażająco szybko osuszała poleskie rzeki i utrudniał poruszanie się jednostkom flotylli. Po wybuchu wojny z Niemcami Pińsk stał się na chwilę stolicą polskiej marynarki. Tutaj ewakuowano kierownictwo z Warszawy i Szkołę Podchorążych Marynarki Wojennej z Bydgoszczy z jej komendantem Tadeuszem Morgensternem. Morgenstern poprosił dowództwo o zwolnienie go z ewakuacji do Rumunii. Został dowódcą garnizonu pińskiego.

Miasto puchło od uchodźców napływających z centralnej Polski. Po 17 września dołączyli do nich ziemianie, uciekający przed mordami ze strony NKWD i Armii Czerwonej oraz chłopskimi pogromami. Na dwory i dworki ruszyli ukraińscy nacjonałiści, miejscowi komuniści wyszkoleni przez Czeka w latach dwudziestych lub zwykli rabusie. Krążące opowieści o zakopanych żywcem sąsiadach i ich zgwałconych żonach wrzucanych do chlewa skłaniały do ucieczki do miasta. Zjawiało się też wojsko: szefowie Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP) i generał Franciszek Kleeberg, odpowiedzialny za obronę Polesia. Zajązkowski natychmiast mu się podporządkował zgodnie z zasadą, że flotylla – czterdzieści jednostek bojowych, około pięćdziesięciu pomocniczych oraz dwa tysiące ludzi – ma być wsparciem dla wojsk lądowych. Rozesłał okręty

do ochrony granicy wschodniej, najważniejszych mostów oraz brodów. Kluczowe mosty były na Jasiołdzie, w Pińsku i w Mostach Wolańskich na Prypeci, gdzie marynarze w trakcie walki zestrzelili kilka niemieckich samolotów. Do pińskiego portu waliły w wyniku mobilizacji tłumy marynarzy rezerwistów, zupełnie niepotrzebnych i stanowiących dodatkowe obciążenie.

Armia Czerwona przekroczyła granicę Polski 17 września o piątej czterdzieści rano. Zajązkowski zjawił się u Kleeberga. Zdecydowali się włączyć marynarzy do oddziałów lądowych generała i wyruszyć z Pińska, żeby dalej bić się z Niemcami. Zajązkowski wydał rozkaz wysadzenia mostów i samozatopienia jednostek flotylli. Tego samego dnia o godzinie trzynastej sowieckie lotnictwo zbombardowało miasto. Port nie ucierpiał, spaliło się trochę domów i Teatr Holcmana. Prawie o tej samej godzinie został zniszczony, jako jeden z pierwszych, sztabowy okręt Admirał Sierpinek. Marynarze stali na baczność i śpiewali hymn, niektórzy płakali. „Rozgrzane powietrze nad płonącym stosem uniosło w górę czarną perzynę, niczym roje jaskółek latających nad drzewami”⁷⁵.

Następnego dnia na polskie wody wpłynęła sowiecka flotylla dniesprzańska. Zajązkowski nakazał wymarsz. Rano pierwsze dwa bataliony marynarzy i rezerwistów opuściły Pińsk. „Prezentowali się świetnie: nowe mundury, białe getry, podoficerowie w białych rękawiczkach. Szli w szyku wzorowym”⁷⁶ – zapamiętał świadek. Dostali nowe buty – twarde i ciężkie, które na wielu żołnierzy sprowadziły śmierć. Niektórzy zatrzymywali się na chwilę z tyłu kolumny, żeby dać wytchnienie obtartym do krwi stopom, i ginęli z rąk czerwonoarmistów lub chłopów.

W Pińsku został Tadeusz Morgenstern z saperami flotylli i oddziałem piechoty z Wielkopolski, żeby chronić mieszkańców przed rozbojami i zbierać zabłąkanych żołnierzy. Na koniec mieli przejść przez most i go wysadzić. Zbliżanie się Sowietów do Pińska rytmicznie odmierzały telefony ze stacji kolejowych. Sowieccy oficerowie kazali oszczędzić most i opuścić miasto. Polacy źle ocenili czas i zaczęli uciekać dopiero wtedy, kiedy na bruku koło kościoła Jezuitów zazgrzytały przeraźliwie gąsienice. „Przed naszymi oczami pojawił się czołg sowiecki, idący wprost na nas”⁷⁷ – wspominał Morgenstern. Zbiegł z mostu jako ostatni. „Zobaczyłem wysoki słup czarnego dymu, w którym wirowały wolno palące się kawałki drewna. Marynarze sekcji minerskiej flotylli wykonali swoje zadanie w sposób wzorowy”⁷⁸.

Flotylla pińska została rozwiązana przez Zajązkowskiego 28 września 1939 roku we Włodawie, a marynarze wcieleni do Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” generała Kleeberga. Wzięli udział w ostatniej bitwie kampanii wrześniowej pod Kockiem. Ci, którzy przeżyli, dostali się do niemieckich stalagów i oflagów. Nie wszyscy rozproszeni po całym Polesiu marynarze dotarli pod Kock. Część zginęła po drodze w walkach z Armią Czerwoną, część została zamordowana przez chłopów, a grupę wziętych do niewoli oficerów rozstrzelał sowiecki oddział we wsi Mokransy. Oficerowie flotylli figurują też na liście ofiar zbrodni katyńskiej. Pierwszy kronikarz flotylli, wesoły gaduła z dalekiego Podola baron Taube, został rozstrzelany w Kijowie w 1940 roku. Witold Zajązkowski po bitwie pod Kockiem dostał zezwolenie Kleeberga na ucieczkę. Przedostał się przez Estonię do Francji i w grudniu 1939 roku zameldował się w Kierownictwie Marynarki Wojennej w Paryżu. Służył w marynarce do końca wojny, potem zamieszkał w Kanadzie, gdzie prowadził fermę. Jego żona została w Polsce, udało mu się ją ściągnąć po kilkunastu latach rozłąki. Zmarł na serce w Toronto w 1977 roku.

*

Do białoruskiego Pińska przyjeżdżamy w lipcowy, słoneczny dzień. Pierwszą zmianę odczuwamy od razu – komarów ani śladu. Można je jeszcze spotkać w chronionych rezerwatach z resztkami bagien, które zostały się po niszczycielskiej melioracji w czasach ZSRR. W Pińsku porośnięta drzewami ulica Lenina, przed wojną Kościuszki, nic się nie zmieniła. Masywny budynek dawnego gimnazjum, pełne prowincjonalnego uroku, ładnie odnowione kamieniczki, kościół Franciszkanów, przywrócony po upadku ZSRR do funkcji katedry, skromnie wtłoczony w ulicę nie od frontu, ale bokiem, jakby był jeszcze jednym domem, tyle że ciut większym, bo Bożym. Na wysokości połyskującego świeżą bielą modernistycznego budynku dawnej restauracji Gregorowicza, gdzie „szarża piła w gabinetach”, zaczyna się deptak. U jego wylotu dawny Hotel Angielski. Dziś na dole zamiast restauracji Paradies mieści się bank, nad nim mieszkania i biura. Wychodzimy na dawny plac 3 Maja, dziś Lenina, którego pomnik stoi w miejscu wysadzonego w 1954 roku kościoła Jezuitów. Lenin gdzieś się śpieszy, wiatr rozwiewa mu marynarkę, a w tle za nim krząta się zafrasowany bocian w gnieździe na wysokim kominie. Plac był do wojny

miejskim targowiskiem, stopniowo dorabiającym się coraz elegantszych kramów aż po ładne, murowane sukienice. Zawsze kłębił się tu tłum. Teraz jest ogromny, pusty i nieprzytulny. Dopiero na dalekim krańcu przed mało urodziwym domem kultury gra orkiestra, a wokół gromadzą się roześmiani przechodnie. Nad wszystkim góruje dawne kolegium jezuickie, gdzie obecnie mieści się Muzeum Polesia.

Idziemy w kierunku przedwojennego portu flotyli pińskiej. Kończy się asfalt i chodniki, coraz więcej tu podniszczonych domków otoczonych ogródkami. Dość niespodziewanie w tym otoczeniu pojawiają się szczelnie ogrodzone wysokie budynki. Wstęp surowo wzbroniony. Jesteśmy na miejscu. Dziś to nadal teren wojskowy. Wracamy dawną Nadbrzeżną, a współcześnie Flotyli Dnieprzańskiej, ciągnącą się wzdłuż Piny. Kawalek dalej w parku na postumencie stoi starannie odmalowany, należący do wojska monitor rzeczny BK-92. Przeszedł do historii razem z całą swoją formacją, flotyllę rzeczne, już przed II wojną przestarzałe, dziś nie istnieją.

Zaglądamy na przystań stateczków wycieczkowych po Prypeci. Kapitan kiwa głową i tłumaczy, że popłynie, jeśli zbierze się osiem osób. Czekamy. Ledwie siadamy, zaczepia nas stary Amerykanin, potomek pińskich Żydów, który trafił tu po raz pierwszy. Też chciałby popłynąć. Patrzy z niedowierzaniem, kiedy pytamy, czy już był w synagodze. Upewniamy go, że w Pińsku działa gmina żydowska, jest też żydowska szkoła. Pińsk przypomina zapomnianego przez wszystkich dziadka z prowincji, który z utęsknieniem czeka na jakiegokolwiek odwiedziny. Dziś nie popłyniemy Prypecią, bo kapitan nie uzbierał ośmiu pasażerów. Rozwój turystyki wciąż jest przed Polesiem.

Twierdza

Na początku był chaos. Zadaniem ludzi było stworzyć z niego ziemię. A może nawet niebo? Miejsce nie kusilo obietnicą sukcesu. Polesie, krainę ciemnych borów, piasków, jezior, rzek, kanałów, bagien, zamieszkiwali ludzie, którzy zgodnie z powszechnym przekonaniem pielęgowali zabobon i kołtun na głowie. Na pytanie o narodowość kręcili przecząco głowami i oznajmiali: „tutejszy”. Polskie rezydencje wychylały się z tego krajobrazu jak samotne wyspy.

Liczące się miasta są dwa: Pińsk i Brześć. Obydwa stare, z tradycjami. Burzone i palone, nieszanowane, jak to zwykle na Wschodzie. W licytacji nieszczęść wygrywa jednak Brześć. Po 1831 roku w odwecie za powstanie listopadowe car zabiera miastu przeszłość sięgającą czasów Chrobrego. Burzy wszystko, co tylko się da, i buduje twierdzę. Kościoły przerabia na cerkwie. Mieszkańców przenosi kilka kilometrów dalej. To oni dają początek nowemu Brześciowi. Słownik geograficzny z 1880 roku opisuje to miejsce tak: „Miasto drewniane przeważnie. Proste, szerokie jego ulice dotąd wcale nie brukowane, z wyjątkiem jednej, szosową zwanej, która rynek przerzyna. [...] Ruchu umysłowego tu nie ma żadnego. Ani jednej księgarni, wśród ludności zakonnej panuje wielowładnie chasydyzm”⁷⁹. W czasie I wojny, w 1915 roku, Rosjanie na odchodne podpalają miasto, które płonie w osiemdziesięciu procentach. Brześć pojawia się na chwilę na arenie politycznej w marcu 1918 roku, gdy Niemcy i Rosjanie spotykają się w Białym Pałacu w Twierdzy, by negocjować traktat pokojowy. Lew Trocki pisze wtedy na ścianie słynne: „Ni wojny, ni mira”.

Ale po I wojnie szczęście do Brześcia powraca. W lutym 1919 roku ewakuują się żołnierze niemieccy. Podrotmistrz Jerzy Dąbrowski tworzy Samoobronę, przejmuje władzę nad miastem, jego gruzami i siedmioma tysiącami ludzi, którzy nie zdążyli lub nie mieli dokąd uciec. Chociaż wokoło panuje chaos, to jednak jest też i Polska, która się z niego wyłania. Pierwszy raz od stu dwudziestu trzech lat.

Bolszewicy zawitają tu w sierpniu 1920 roku, jednak tylko na szesnaście dni. Nie zdążą już zepsuć tego, co udało się uporządkować. Mieszkańcy przeniosą żołnierskie mogiły spod położonego w centrum Brześcia kościoła Podwyższenia

Krzyża na nowy cmentarz wojskowy. Oddziela żywych od zmarłych, by wrócić do życia.

„Odbudowa” to najmodniejsze słowo dwieście kilometrów dalej, w kręgach rządowych Warszawy. Z danych powołanego przez Piłsudskiego w 1919 roku Ministerstwa Robót Publicznych (MRP) wynika, że podczas wojny, jak się wtedy wydawało najstraszniejszej w dziejach, na terenie przynależnym do II RP zostało zniszczonych od miliona sześciuset tysięcy do miliona ośmiuset tysięcy zabudowań. W całym kraju, ale szczególnie na Kresach, nie ma gdzie mieszkać. Władza zajęta tworzeniem państwa i walką o jego granice najpierw w tej sprawie liczy na zaradność obywateli. „Odbudowę zniszczonych budynków przeprowadzają w zasadzie poszkodowani sami przy pomocy i kontroli ze strony państwa”⁸⁰ – brzmi pierwsze zdanie rozporządzenia wydanego przez MRP w marcu 1920 roku.

Teoretycznie państwo powinno udzielać wsparcia tym, których budynki zostały zniszczone przez bezpośrednie działania wojenne, powołanym do wojska i ewakuowanym, których domy spaliły się pod ich nieobecność. Każdy włościanin zrujnowany przez wojnę ma otrzymać dwadzieścia tysięcy marek i przydział drzewa. Rząd przyznaje zapomogi. „Interwencja państwa podtrzymała inicjatywę prywatną i przy pomocy skromnych środków uzyskano świetne rezultaty”⁸¹ – oceniał po latach inżynier Henryk Dudek, prezes Okręgowej Dyrekcji Robót Publicznych. Pracują tartaki, cegielnie, wytwórnie wapna. Powstają firmy budowlane. Władza swoją rolę upatruje w dostarczaniu planów. W miejscowościach, przez które przechodzi kolej – tak jak w Brześciu – ma być estetycznie i pachnąco. Stąd pouczenie, że nie należy od strony torów umieszczać wychodków i gnojowni.

„Inżynier doznaje tej przyjemności, jaką ma Bóg”⁸² – lubi powtarzać nowy, bo powołany w czerwcu 1920 roku, szef resortu robót publicznych Gabriel Narutowicz. Żywiołem profesora ze Szwajcarii jest projektowanie elektrowni wodnych, których budowa w Polsce jest równie realna jak szklanych domów. Nowy minister ma jednak ambicję ruszyć także z odbudową. Zaczyna od reorganizacji pracy ministerstwa – zwalnia jedną trzecią urzędników i tworzy Generalną Dyrekcję Odbudowy, która w każdym z jedenastu najbardziej zrujnowanych województw wyznacza dyrekcje okręgowe. W stu czterech powiatach powstają biura odbudowy. Narutowicz wyznaje zasadę, że Polacy nie

Prusacy i zarządzanie w stylu niemieckim im nie służy. Zamiast krępować urzędników przepisami, oczekuje samodzielności.

Tego samego chcą architekci. Czekają na możliwość ujęcia chaosu w ryzyko. W gruzach widzą materiał budowlany i szansę na wyzwolenie się od zaśmiecania przez Rosjan Kongresówki cerkwiami oraz obcą i nieznośną „sztuką pstrą i tandetną”⁸³. Do tego momentu przygotowywali się, odkąd na początku XX wieku w Europie ruszyły poszukiwania stylu narodowego – innego dla każdej nacji. „Architekt i społeczeństwo muszą zrozumieć wielką misję tej sztuki w kształceniu ducha narodu. Muszą oni zrozumieć, że wszelki objaw architektury przeprowadzony w życiu staje się wyrazem ducha narodu na zewnątrz, staje się dokumentem, na który pokolenia całe z uwielbieniem albo przekleństwem spoglądać będą”⁸⁴ – pisze w 1915 roku Tadeusz Zieliński. Są Polakami bez państwa, studiują w Rosji, Niemczech, Austrii, Szwajcarii, a kiedy wracają pod zabory, próbują architektury „na gruncie narodowym polskim”, powiązanej ze sztuką ludową. „Polski” oznacza tu szlachecki, dworski, jak z *Pana Tadeusza*.

Gdy powstaje Ministerstwo Robót Publicznych, architektów z trzech zaborów łączy Departament Inżynierjno-Budowlany. Szefem inspektoratu w sekcji odbudowy jest dobiegający czterdziestki Julian Lisiecki, absolwent Politechniki w Karlsruhe, członek Koła Architektów. Aleksander Próchnicki zleca prace architektoniczne kolegom od stylu narodowego.

Władza wie, że w pierwszej kolejności musi zadbać o administrację. Państwo chce pokazać, że troszczy się o swoich reprezentantów. A ci nie mają gdzie mieszkać. Ministerstwa upychają więc najlepszych pracowników gdzie się da. Resort rolnictwa w Warszawie przy ulicy Rybaki przebudowuje w tym celu dawne więzienie. Konserwator zabytków postanawia zdjąć tynki. Jakież jest zaskoczenie wracających po całym dniu pracy urzędników, gdy na ich własnym domu wita ich historyczny napis: „Ludziom złym od sądu miejsca przeznaczone”. Nie spoczną, póki nie zmuszą konserwatora do ponownego położenia gładzi.

Upychanie urzędników w mysie dziury to rozwiązanie tymczasowe. Dopóki nie wypali plan budowy domów. Perspektywa ta ma przyciągać „lepsy element urzędniczy” do zajmowania stanowisk w administracji. Rząd oddaje państwową ziemię pod zabudowę. Pierwsza kolonia przeznaczona dla urzędników – dziesięć drewnianych budynków zaprojektowanych przez Wacława Krzyżanowskiego – powstaje w Krakowie między 1920 a 1921 rokiem. Potem wyrastają domy

w Lublinie, Lubartowie, Kielcach, Toruniu, Tarnopolu, Poznaniu, Stanisławowie. W stolicy, na Żoliborzu, widać rzędy kameralnych kamieniczek krytych ceglana dachówką i wielorodzinne domy jednopiętrowe. Szeregowe parterowe budynki z mansardowymi, ceramicznymi dachami na Ochocie, czyli w kolonii Staszica.

Na Polesiu program rusza po marcu 1921 roku, kiedy stolicą województwa zostaje Brześć. Sytuacja mieszkaniowa też jest tu nie do pozazdroszczenia. Wystarczy powiedzieć, że z trzech tysięcy sześciuset domów aż dwa i pół tysiąca jest w rozsypce. Miasto ma jednak pewien atut – stację kolejową z węzłem łączącym cztery linie: smoleńską, kijowską, grajewską i warszawską. Niemcy podczas okupacji zmienili rozstaw torów do Warszawy na obowiązującą w Europie szerokość. Dlatego jeśli teraz w Warszawie wsiądzie się o pierwszej dwadzieścia po północy, to już o siódmej rano zobaczy się dworzec w Brześciu. Jeszcze jest w ruinie.



7. Dworzec kolejowy, Brześć, ok. 1929, fot. Jan Wołyński

Źródło: Biblioteka Narodowa

Na przedwojennych mapach Brześć przypomina rozłożoną na poleskim błocie żabę. Jej głowa i lewa łapa – na mapie nazywana Grajewką – oddzielona jest od tułowia szarym poziomym pasem. To tory kolejowe. Z lewej strony prowadzą do

Warszawy, z prawej do Baranowicz. Szary pas „kręgosłupa” biegnie także przez tułów pionowo. To linia kolejowa Białystok–Kowel. Brzeska „żaba” ma rozbudowane lewe płuco. Układają się na nim w kratkę kwartały ulic. Najważniejsza, reprezentacyjna, nazywa się Unii Lubelskiej. Idąc wzdłuż torów w stronę Kowla, natrafi się na dworzec kolejowy, na którym rzadko zatrzymują się pociągi osobowe. Władze miasta narzekają, że jego teren jest za duży jak na liczbę mieszkańców. Ale zrobiły plan regulacji, czyli zagospodarowania miasta, zatwierdzony przez ministra spraw wewnętrznych.

„Każdy zakątek świata czeka na ludzi dzielnych, którzy zmieniliby go na miłą siedzibę”⁸⁵ – głosi Nixon Waterman, amerykański dziennikarz i poeta, wiernie oddając ducha epoki. Do Brześcia z całego kraju ściągają więc dzielni ludzie i postanawiają zmieniać miasto na miarę własnych oczekiwań. Przyjeżdża Bronisław Nielubowicz, architekt i inżynier budownictwa. Państwowa posada wydaje mu się pewniejsza, dlatego wydzierżawia swoje pobliskie majątki. Antoni Kozłowski przybywa, nie uzyskawszy jeszcze tytułu inżyniera, ale już z uprawnieniami. Studia architektury na Politechnice w Kijowie przerwała mu rewolucja. Znajduje pracę w Poleskim Urzędzie Wojewódzkim. Jego przyszła żona, Stanisława, pochodzi z Warszawy. Zawędrowała na Wschód podczas wojny z bolszewikami jako sanitariuszka. Absolwentkę Platerek i kursów buchalteryjnych sąsiad, pracujący w zarządzie dróg, poznaje z młodym, robiącym wrażenie architektem.

Józefa Żakowskiego przesunięto do Brześcia z Domaczewa, gdzie pracował w składnicy materiałów budowlanych Poleskiego Biura Odbudowy (PBO). Władysław Grzyb z Sosnowca trafia tu z kolegami po powstaniu śląskim. Kiedy już nie trzeba się bić, wojsko nie ma co zrobić z dziewiętnastolatkami bez wykształcenia. Ktoś wpada na pomysł, by na Kresach budowali administrację. Grzyba kierują do Powszechnego Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych. Poznaje tu przyszłą żonę Katarzynę, Rosjankę z kolejarskiej rodziny z Brańska pod Moskwą, która w Brześciu znalazła schronienie przed rewolucją. Po ośmioletnią Nadzieję Gorbacz wychodzi na dworzec rodzina. Jej rodzice zmarli na Syberii, brat trafił do ochronki. Od krewnych wie, że urodziła się jesienią. Za datę urodzin przyjmują więc symbolicznie 30 września.

Spośród trzydziestu tysięcy mieszkańców Brześcia aż dwadzieścia trzy tysiące to ludność napływowa. Wielu to urzędnicy. W pierwszym momencie władze na potrzeby administracji rekwirują lokale, ale gdy robi się nerwowo, poszukują

miejsca na budowę kolonii urzędniczych. 29 sierpnia 1921 roku⁸⁶ minister Gabriel Narutowicz przyjeżdża wmurować kamień węgielny. Przy drodze do Twierdzy i przy torach kolejowych przy ulicy Przemysłowej powstaje osiedle prostych domków drewnianych.

*

Architekci chcą, by planami miast zajmowali się fachowcy, a nie „inżynierowie od dróg”. Skoro mamy do czynienia z tak zniszczonym terenem, odbudowujmy go z pomysłem, rozważając całościową wizję – zachęcają. O pięknie miast na Zachodzie decyduje przecież nie tylko charakter budynków, ale także przemyślane zakomponowanie przestrzeni. Tymczasem w chwili odzyskania niepodległości jedynie miejscowości położone w zaborze pruskim mają plany zagospodarowania. Austriacy dopiero przystępowali do „regulacji”. Rosja takiej potrzeby w ogóle nie widziała. Rząd wspiera ten pomysł, chce, by samorządy tworzyły zabudowę planową. Zniszczone miasta dostaną pożyczki na pomiary i prace.

Na to Brześć musi jeszcze poczekać. Za to zmianie ulega nazwa – w 1923 roku przydomek „Litewski” zastępuje „nad Bugiem”. Tak jest bardziej polsko, zwłaszcza że nasila się konflikt z Litwinami. Nazwa nadal jednak jest myląca – miasto leży bowiem nad Muchawcem, który dopiero wpada do Bugu.

Poleskie Biuro Odbudowy ciśnie się w Brześciu we wspólnej izbie z Okręgowym Biurem Robót Publicznych. Ktoś na kartce rysuje prostokąt, zamalowuje kwadrat, przy drugim mocniejszą kreską podkreśla jedną linię. Wyglądałoby to na grę w okręty, gdyby nie podpis: „gabinet Dyrektora w Poleskiej Okręgowej Dyrekcji Biura Odbudowy Polesia ma mieć 33,57 metrów i sąsiadować z pokojem sypialnym – metrów 19,44”⁸⁷.

Kierownik Poleskiego Biura Odbudowy, inżynier Nowosielski, pochodzi ze Stanisławowa. Ma do dyspozycji kilku pracowników: Antoninę Koleśnikową, samotną kancelistkę, Józefa Żukowskiego, jeszcze bez etatu, Mieczysława Szafranowicza, pomocnika magazyniera, oraz Stefana Suchaczewskiego, stróża.

Nowosielski do tej pory gonił bolszewika, ale w lipcu 1922 roku zostaje „na własną prośbę” urlopowany z wojska. Ministerstwo Spraw Wojskowych dochodzi do porozumienia z Ministerstwem Robót Publicznych i zwalnia tych, którzy mogą się przydać do odbudowy. Praca jest, ale brakuje pieniędzy.

Nowosielskiemu nie wypłacają żołdu za sierpień. W Okręgowej Dyrekcji uprasza więc o wypłatę. Sprawia wrażenie kogoś, kto ledwo wiąże koniec z końcem, prosi – zawsze uprzejmie – o wydanie zapomogi. Dwie miesięczne pensje, wyliczył, powinny starczyć na poczynienie zimowych zakupów i wypoczynek połączony z kuracją. Tymczasem już w sierpniu nagle zawiadamia przełożonych, „iż z tytułu włożonej pracy i organizacji” został właścicielem ośmiu udziałów „Poleskiej Wytwórni Wyrobów Drzewnych” w Brześciu – a więc wyczuł dobry biznes i inwestuje! Choć nie angażuje się w zarządzanie, zapewnia, że jeśli spółka będzie miała „nawiązać kontakt przemysłowo-handlowy”, a więc wystartować w przetargach organizowanych przez PBO w Brześciu, to związane z tym sprawy będą kierowane do Okręgowej Dyrekcji Odbudowy.

Pojawienie się Aleksego Kowalskiego poprzedza pismo, by wysłać konie w celu pobrania z kolei kilku pakunków z pościelą i garderobą. Jak na człowieka, który ma średniej wielkości rodzinę – żonę i dwoje dzieci – nie dorobił się wiele. W Krakowie jest jednym z wielu, w Brześciu może stać się ważnym urzędnikiem państwowym. Na początku czuje się jednak jak chłopiec na posyłki. „Poleca się Panu w dniu dzisiejszym przyjechać do Dubnicy w sprawie remontu budynków szkoły zawodowej” – czyta w piśmie z 20 września 1922 roku. Kilkudniowe urlopy spędza w Krakowie. Za każdym razem musi zostawić adres, gdyby w sprawie niecierpiącej zwłoki trzeba go było zawezwać.

Ale poświęcenie przynosi efekty. Kowalski awansuje na zastępcę kierownika i zostaje przeniesiony do wyższej grupy urzędniczej – „okazał się zdolnym przy wykonywaniu wszelkich powierzonych mu spraw technicznych, które załatwia akuratnie i solidnie”.

Za to Nowosielski odgania się od kłopotów jak od poleskich komarów. A to wojsko chce, by wrócił w kamasze, to znów ktoś nasyła inspekcję, a ta ocenia go „rażąco niesprawiedliwie, tj. jednostronnie” w sprawie kradzieży cegły.

Czy to on jest także odpowiedzialny za skandal, który opisała gazeta narodowców? Otóż Jerzy Ejsmont, „osobisty przyjaciel i opiekun podżegacza wiecowego” posła Uziębły (PPS) i były „komisarz bolszewicki”, został zatrudniony w Poleskim Biurze Odbudowy. „Nic dziwnego, że posiadając takich pracowników i działaczy, Biuro Odbudowy szwankuje, zaś Polska partia socjalistyczna na kresach niewiele czem różni się od przeciętnej »jaczajki« komunistycznej”⁸⁸.

*

Glinobudownictwo! Jest i tanie, i szybkie. Potrzeba tylko gliny. Państwo obiecuje dwadzieścia milionów złotych pomocy. Do Powiatowego Biura Odbudowy w Brześciu trafia pismo: „Przesyłając w załączeniu projekt chaty z gliny i chrustu z pokryciem słomą z gliną, poleca się bezzwłocznie przystąpić do budowy tychże chat w miejscowościach zniszczonych, w których nie ma blisko lasów, a znajduje się glina”⁸⁹. Urzędnicy mają wyszukać instruktorów wśród miejscowej ludności i przedstawić ich wraz z dokumentami w Dyrekcji.

Znalazł się instruktor glinobudownictwa o nazwisku Kruczoki, firmy rozsyłają po okolicy swoje oferty: domy mają się składać z sieni, izby, kuchni i alkierza. Szczegółowy kosztorys nie pominie nawet dwóch blaszanych wiader potrzebnych do noszenia wody. Wszystko świetnie, pozostaje tylko przekonać do pomysłu Poleszuków. Instruktor Kruczoki objeżdża okoliczne wsie. Miedna gasi jego entuzjazm – nie da ani gruntu, ani robotnika. Buczeml odpowiada: czterdziestu czterech gospodarzy pomaga sobie nawzajem i na nic innego czasu nie mają. W imieniu Murawczyc sołtys pisze: „Otkazujemy się, powodu tego, że u nas nie ma gliny, a powtore, że nie mamy najmniejszych środków do życia w tem podpisujemy się”⁹⁰. Sprawę trzeba więc uznać za zamkniętą.

Ale eksperymenty rząd przeprowadza nawet w stolicy. Przy kolonii Mokotowskiej stawiają na próbę kilka domków dyktowych z wytwórni Wojciechów. Dykta rozmięka. „Nie spełniają wymogów” – orzekają władze i ministerstwo rezygnuje z dalszych zamówień.

W samym Brześciu specjalna komisja decyduje, co ma być odbudowane, a co pójdzie do wyburzenia. I to jej Brześć zawdzięcza, że „ohydne budowle o jaskrawych fasadach, upstrzonych ornamentacją w rosyjskim guście przestały istnieć”⁹¹.

Nowosielski, Kowalski i Żakowski po pracy wracają do mieszkań w kolonii Tartak. To siedem budynków drewnianych, dwa baraki i dziewięć pomieszczeń gospodarczych przy ulicy Przemysłowej. Ustępy znajdują się na zewnątrz, wodę trzeba nosić z podwórka. Jednak luksus w brzeskim wydaniu polega na tym, by znaleźć zadaszony kawałek podłogi i by był on wystarczająco duży na postawienie łóżka. Przy takim kryzysie mieszkaniowym nic dziwnego, że urzędników zalewa fala wniosków o eksmisję. Pan Lencki z osiedla Tartak pozwolił swojemu furmanowi na czternaście dni zamieszkać we własnym małym

domku. Tymczasem furman nie daje się wyrzucić od wielu miesięcy. „Furman zużywa od samego początku tak drogi materiał tartaczny na opał, a oprócz tego innych ludzi nawet przetrzymuje u siebie. A mieszkanie jest potrzebne dla nowego urzędnika”⁹².

Oprócz furmana pakować musi się także Józef Żakowski. W Poleskim Biurze Odbudowy nie przedłużają z nim umowy o pracę. Co z tego, że przez cały czas pracował sumiennie i ze znajomością rzeczy, że do biura przychodził punktualnie i słuchał poleceń. Nie ma dla niego etatu. A skoro nie jest już urzędnikiem, żąda się od niego opróżnienia mieszkania nieprawnie zajmowanego w budynku rządowym. Żakowskiemu świat wali się na głowę. Mężczyzna nie dotrzymuje kolejnych terminów wyprowadzki. Dostaje kategoryczne powiadomienie: musi zwolnić mieszkanie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Jeśli tego nie zrobi, zostanie wyeksmitowany z pomocą powiatowej policji⁹³. Żakowski znika z Brześcia.

Ponad połowa mieszkańców miasta to Żydzi. Felix Warburg, człowiek o wyglądzie rubasznego wujka z ogromnymi wąsami, trafia do Brześcia tuż po I wojnie światowej. Obrazy zrujnowanych domów i ludzi żyjących w nędzy zabiera ze sobą do Stanów Zjednoczonych. Tam oświadcza reporterowi „New York Timesa”, że musi pomóc rodakom we wschodniej Europie. Wkrótce potem na przedmieściu Kijowskim, *vis-à-vis* cmentarza katolickiego, rusza budowa osiedla dla ubogich Żydów, którzy stracili domy podczas wojny^[3]. Na dwunastu działkach szybko powstają drewniane piętrowe budynki z poddaszem. W każdym osiem mieszkań. Na podwórku szopa na drewno, ubikacja, murowany dół na odpady i drewniany śmietnik. Na terenie kolonii są cztery studnie, mykwa, pralnia, sklep, kirkut. To pozwala nie ruszać się na krok poza przestrzeń oddzieloną od reszty miasta drewnianym płotem.

Bogatsi Żydzi mieszkają w centrum i wynajmują domy tym, którzy ciągle napływają do miasta. Przy ulicy Długiej, między Kościuszki a Krzywą, mieszkają państwo Grzybowie. On załatwi białym Rosjanom, czyli rodzinie ukochanej, polskie obywatelstwo i zmianę nazwiska na swojsko brzmiące Kuczera. Przy okazji zmieni też sobie „Grzyba” na nobliwe, bardziej pasujące do urzędnika Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Grzybiński. Narzeczona przejdzie na katolicyzm, ślub wezmą w kościele Podwyższenia Krzyża. „Moja mama z mojej rosyjskiej połówki zrezygnowała” – powie po latach ich córka Halina Grzybińska.

Brześć się odbudowuje, ale czy nie nazbyt spontanicznie? – niepokoją się w Poleskiej Okręgowej Dyrekcji Robót Publicznych. Bolesław Szperling, urzędnik, jeszcze po wielu latach będzie wspominał liczne zatargi z obywatelami: „Niejeden zgarnął sobie na własność nawet ulicę, uprawiając na niej warzywa. Długo przekonywać musieliśmy niektórych obywateli, iż jego ogród to po prostu ulica miejska”⁹⁴. Co najmniej raz na trzy miesiące architekci rejonowy i miejski wspólnie przeprowadzają kontrole „celem zapobieżenia wadliwej zabudowie miasta pod względem zdrowotnym i bezpieczeństwa ogniowego, a także i estetycznym”. Gdy wykryją zmiany w planach, interweniuje policja. Nielubowicz, architekt rejonowy, skarży się, że architekt miejski uchyla się od obowiązku wspólnych kontroli.

W Okręgowej Dyrekcji zmienia się magazynier. Nowy jest czujniejszy. Pewnego poranka podczas rutynowego obchodu w świetle zapalki widzi złodzieja ciągnącego pręt. Strzela, złodziej pada. Kiedy magazynier wraca z asystą, bo boi się trupa, na miejscu znajduje tylko ślady krwi. Po kilku godzinach złodziej – pracownik tartaku – odnajduje się w szpitalu.

W niezaplombowanych wagonach dociera do Brześcia tylko część towaru. Zdarza się, że niektórzy przedsiębiorcy pakują go tak, by w każdym wagonie brakowało od dwóch do czterech metrów sześciennych.

A więc kontrola, kontrola, kontrola. Jest co komu wyjaśniać, przed kim się tłumaczyć i usprawiedliwiać. Po Brześciu chodzą inspekcje, które oprócz dwóch architektów mają w składzie czynnik społeczny – radnego miasta, przedstawiciela Związku Nieruchomości D. Cukermana, przedstawiciela Związku Lokatorów Pisockiego i posterunkowego. Dzięki nim wiemy, że w budynku przy ulicy Unii Lubelskiej 84 „przesklepienie nade drzwiami w przybudówce osunęło się i ściana popękała”⁹⁵. Z kolei u Srula i Bruchi Małkind przy Białostockiej 32 klatka schodowa grozi zawaleniem. Na poprawienie bezpieczeństwa właściciele mają tydzień.

Biuro Okręgowej Dyrekcji zatrudnia już maszynistkę. Nina Tymińska mieszka w przydzielonym pokoiku w baraku administracyjnym, ale bardzo marznie. Uprzejmie prosi o zezwolenie na kupno dwóch metrów drzewa opałowego ze składnicy. Mimo że mieszka tak blisko, ciągle się spóźnia. Pewnego dnia zastaje na biurku pismo „Proszę o przybywanie do biura o godzinie 8½ rano, w przeciwnym bowiem razie poniesie pani konsekwencje opóźniania się bez

poważnej przyczyny”⁹⁶. Czy przełożony nie da jej przydziału na drzewo, czy tylko zmrozi ją spojrzeniem?

*

Rok 1924 to początek prosperity. Rusza naprawa finansów publicznych, Władysław Grabski wyhamowuje inflację, wprowadza polski złoty. „Sprawa mieszkaniowa to sprawa państwowa pierwszorzędnej wagi” – twierdzi Zygmunt Wóycicki, architekt aktywny społecznie⁹⁷. W maju Ministerstwo Skarbu uruchamia kredyty. Rusza jeden z najważniejszych projektów II Rzeczypospolitej: budowa domów dla urzędników państwowych. Programem mają być objęte wszystkie miasta powiatowe.

Największym problemem jest zakup ziemi pod osiedla. Tylko władze Kowla stają na wysokości zadania i oddają plac pod budowę. W innych miejscowościach ziemię trzeba dopiero kupić. „Pertraktacje utrudniały nieobecność właścicieli lub ich niepełnoletność, niechęć do pozbycia się ziemi, żądza niepomiernego zysku, a niejednokrotnie nawet zła wola”⁹⁸ – stwierdza autor prospektu MRP. Celem projektu, poza budową mieszkań, jest rozhuśtanie koniunktury w branży budowlanej. Po mieszkaniach przyjdzie kolej na urzędy – przewiduje MRP.

Jak na administrację przystało, powstaje specjalna struktura, która ma się zająć budową. Wojewódzkie komitety budowy, w których reprezentantów ma każdy resort, z pomocą wojewodów ustalają kolejność objętych programem miejscowości. Starostowie w powiatowych komitetach budowy zajmują się sprawami gospodarczymi.

Czas goni, dlatego strona techniczna akcji ma być prowadzona w sposób uproszczony – liczy się zaufanie. Czternastu wybranych architektów, głównie warszawskich, przystępuje do pracy. Jest wśród nich Julian Lisiecki, inspektor w Departamencie Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych. Młody student architektury Henryk Orłós, ojciec pisarza Kazimierza Orłosia, „murzynuje u niego” w pracowni – jak mówi się w kręgach artystycznych, czyli pomaga robić plany i kosztorysy. Przygotowują się do odnowy zabytkowego ratusza w Opatowie Kieleckim, mierzą Kamienicę pod Murzynkiem na warszawskiej Starówce, która ma zmienić właściciela na Polskie Towarzystwo Historyczne.

Lisiecki dużo czasu spędza w Brześciu na terenie Twierdzy – dostał tam do renowacji kościół i klasztor pojezuicki. Właśnie z kolegą Teodorem Burszem, warszawskim architektem pochodzącym ze znanej protestanckiej rodziny, skończyli projekt koszar. Teraz mają się zabrać do zaplanowania domów dla urzędników państwowych. Ministerstwo oczekuje przygotowania szkiców z kosztorysami. Wiadomo już, że wybierze kilka typów domów, które będą powtarzać się w różnych miejscowościach. Architekci dostają wytyczne, by planować mieszkania jednopokojowe o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych, dwupokojowe sześćdziesięciometrowe, trzypokojowe – dziewięćdziesięcio-, a także czteropokojowe o powierzchni stu dwudziestu metrów kwadratowych. Przydział będzie zależał od kategorii zaszeregowania urzędnika i tego, jak liczną ma rodzinę. Dla starostów przewiduje się cztery pokoje, a oprócz nich dwa pokoje „komisyjne” z dogodnym wejściem od sieni lub przedpokoju. Grubość ścian musi przystawać do warunków klimatycznych – by ją ustalić, projektanci dostają mapki izotermiczne. Mimo pośpiechu ministerstwo zwraca uwagę na walory estetyczne. Zaleca, by kolonie harmonizowały z budownictwem lokalnym i były dostosowane do zasad współczesnej urbanistyki. Przede wszystkim jednak – co jest oczywistością niewartą nawet wzmianki w dokumentach – mają promować architekturę rodzimą. Budynek powinny przypominać o polskim charakterze miasta. Być jak flaga biało-czerwona i pieczęć z orłem przystawiana na dokumentach. Nieść krótki komunikat: „Jesteśmy tu i będziemy”. Jesteśmy zaś coraz silniejsi, na coraz więcej nas stać.

W ministerstwie obowiązują specjalne wynagrodzenia za prace z dziedziny budowy miast. Po latach stanie się to zarzewiem sporu. Premier Kazimierz Bartel będzie wyrzucał, że projektant dwuizbowego domku dla KOP pobrał wynagrodzenie stukrotne, bo jego dom powielono w stu egzemplarzach, a Stowarzyszenie Architektów będzie udowadniało, że dostał za projekt 1250 złotych, a za prawo powielania – 607 złotych, co w sumie stanowiło 1857 złote i nie było bynajmniej sumą horrendalną.

*

Wkrótce ministerstwo dostaje do dyspozycji trzydzieści trzy typy domów: osiem projektów drewnianych oraz dwadzieścia pięć murowanych. Projekty drewniane

to wariacje na temat stylu zakopiańskiego. Murowane utrzymano w stylu dworowym. Trwają zakupy materiałów budowlanych, a potem w czterdziestu czterech miejscowościach rusza budowa. Głównym kierownikiem zostaje inżynier Aleksander Próchnicki.

W pierwszej kolejności do realizacji trafiają domy drewniane z fabryki rządowej w Persenkówce pod Lwowem. Są tańsze, buduje się je szybciej, ale się rozpadają. Od 1925 roku powstawać mają tylko trwalsze domy murowane. Jednak już pierwsze z nich skłaniają środowisko architektów do wysunięcia wniosku, że ładne projekty – tak jak wykonany przez Jerzego Beilla dom dla starosty – zdarzają się rzadko. Częściej tworzy się po to tylko, by wykorzystać pieniądze. Chaotycznie i spontanicznie, bez pomysłu. Krytyce poddaje się także rozrzutność w metrażu. „Z funduszy państwowych budowano dla przeciętnej rodziny składającej się z 5-u osób 750 m, czyli 150 m na osobę”⁹⁹ – pisze Lech Niemojewski, przedstawiciel nowego pokolenia architektów. Ze względu na oszczędności zaniechano budowy domów pojedynczych, poddaszy, uproszczono rzuty, obniżono dachy, ominięto „zbędne” elementy zdobnicze. Ale metraż został. Ministerstwo Robót Publicznych chwali się, że „Skutkiem prostoty organizacji kosztów administracyjnych przeprowadzenia akcji wyniosły tylko 2,57 proc. zamiast preliminowanych 6 proc. kosztów budowy”. Struktura organizacyjna programu rzeczywiście się sprawdza. Dlatego wkrótce zostanie wykorzystana do budowy domów dla KOP.

W Brześciu na dwóch ulicach wytyczonych – oczywiście! – od reprezentacyjnej ulicy Unii Lubelskiej rosną już zarysy kolonii urzędniczej według projektu Juliana Lisieckiego.

Jeszcze szybciej pnie się w górę sterta podań do wojewody o przyznanie mieszkania. W urzędniczym ekosystemie sekretarka dba, by najważniejsze prośby były zawsze na wierzchu. I wtedy, 24 września 1924 roku, dochodzi do katastrofy. Wojewoda Stanisław Downarowicz, niczego jeszcze nie przeczuwając, wsiada rano wraz z biskupem, senatorem i komendantem policji do pociągu relacji Brześć–Łuniniec, a mniej więcej o godzinie czternastej pod Płowną bandyta wybiega zza krzaków i zatrzymuje ich czerwoną chorągiewką. W napadzie ginie jeden z pasażerów, ranny zostaje senator, jego żona i kilku innych podróżnych. Ale najgorsze jest to, że bandyci każą wojewodzie i szefowi policji rozebrać się do naga i położyć twarzą do podłogi. Prasa nie zostawia na ośmieszonych dostojnikach suchej nitki: „nie potrafili obronić ani swojego

honoru, ani państwa”¹⁰⁰. Wojewoda zostaje zdymisjonowany. Co za pech, właśnie wtedy, gdy program mieszkań dla urzędników wchodzi w najważniejszą fazę: ich podziału!



8. Kolonia Urzędnicza im. Narutowicza, Brześć, 1929

Źródło: Biblioteka Narodowa

Nowe osiedle stoi po prawej stronie, idąc od dworca. Planiści wytyczyli dwie ulice: Pułaskiego, przylegającą do parku 3 Maja, i równoległą do niej Narutowicza. Przy Pułaskiego są kasyno oficerskie w stylu monumentalnego klasycyzmu i dwadzieścia oddalonych od siebie na bezpieczną odległość solidnych willi w stylu dworkowym. Pierwszych pięć budynków po lewej stronie ulicy jest drewnianych. Murowane mają podcienie w narożach i czerwone łamane dachy. Każdy budynek odznacza się specjalnie stworzonym przez artystę rodzajem ozdóbki – godłem.

Nieco dalej, przy skrzyżowaniu ulicy Unii Lubelskiej z Nowo-Jagiellońską, powstaje kolonia oficerska, również w stylu dworkowym, również z dużą przestrzenią. Przydział dostaje tu Władysław Sroka, kawaler Orderu Virtuti Militari, komendant Związku Strzeleckiego. Przy mieszkaniach z dużymi tarasami są małe ogródki-działki: „Mój młodszy brat i ja mieliśmy zawsze

grządkę ulubionego zielonego groszku”¹⁰¹ – wspomina Rutka Skarżyńska-Burny. Domy wydają jej się ładne.

Jednak dziennikarz z Pińska krzywi się, że fasady domków urzędniczych są pretensjonalne, wnętrza ciasne, niehigieniczne i budowane tandetnie. „Powszechna fama głosi o bliskim już skandalu i kompromitacji »inżynierów«, którzy prowadzili budowę” – pisze. Fasady domów kolonii oficerskiej przypominają mu arkę Noego, narzeka na niezgrabny front ze zbyt ciężkim balkonem, wsparty na rachitycznych kolumnkach. Przyznaje jednak: „Cała ta »odbudowa« ze swoją nędzą, głupotą, brakiem smaku, a często i zapachem kryminalnej afery jest jednak pomimo wszystko czynnikiem polszczenia Brześcia, bo umożliwiła egzystencję elementowi kulturalniejszemu i przybyszom z innych dzielnic Polski”¹⁰².

„Element kulturalniejszy” zerka więc na domki z nadzieją i zastanawia się, co zrobić, by w nich zamieszkać. Po zsumowaniu okazuje się, że na Kresach wybudowano osiemset siedemdziesiąt sześć mieszkań. W samym Brześciu – dwieście. Ale chętnych i tak jest tysiąc pięciuset urzędników. Jak to dzielić? W marcu 1925 roku kolejny wojewoda, Kazimierz Młodzianowski, zarządza spis najbardziej potrzebujących „celem dokonania ostatecznego podziału”. Podstawą jest etat rządowy. Poleca „funkcjonariuszów niższych wydzielić w osobny wykaz”. Dotyczy to także służby więziennej.

Więzienie „większe” mieści się w Brześciu przy Szpitalnej. W środku kompleksu zakratowany budynek. W gabinecie biurko, za nim Napoleon. W Brześciu nazywa się Adam Obrycki. Naczelnik przyjechał do miasta z rodziną – żoną i dzieckiem. I walczy. O przyszłość państwa i Brześcia, no i o większe więzienie. „Wobec trudności finansowych rozbudowa więzienia w Brześciu w najbliższym czasie nie jest przewidziana”¹⁰³ – rozwiewają jego marzenia. Skoro ten front walki pozostaje zamknięty, żąda mieszkań dla pracowników zakładu na osiedlu dla urzędników państwowych. Uzasadnia: w celach siedzi od pięciu do ośmiu osób. Pojedynczych cel nie ma. Okna są jak w mieszkaniach, więc skazani wyglądają na zewnątrz i piłują kraty. Jak im się to nudzi, rozbierają ceglane piece. „Wobec tych wszystkich braków trzeba nadzwyczajnej czujności, aby każdą chęć ucieczki stłumić w samym zarodku, a dlatego dozór więzienny musi być wypoczęty, żeby gorliwie pełnić służbę, a nie dręczyć się, gdzie on z rodziną będzie mieszkał i ile go mieszkanie kosztować będzie”¹⁰⁴ – argumentuje Obrycki.

Funkcjonariusze ulokowani są po całym mieście, a nawet i w pobliskich wioskach i na służbę przychodzą zmęczeni. Zupełnie inaczej byłoby, gdyby wszyscy mieszkali w pobliżu. Mimo tak przekonującego wyводу wojewoda nie aprobuje pomysłu Obryckiego. Przełożeni proponują poszukanie lokali na wolnym rynku. Naczelnik znajduje dom przy ulicy Białostockiej 76. Murowany, dwupiętrowy. Mieszkania czyste, jasne. Niestety znów czeka go rozczarowanie: „zawiadamiam, iż budżet Ministerstwa nie przewiduje wynajmu lokali dla personelu i nie posiada na cel powyższy kredytu”¹⁰⁵ – pisze prezes sądu. Napoleon natrafia na Waterloo, strażnicy więzienni muszą radzić sobie sami.

Ale są i szczęściarze. Przydział na parterze w domu przy ulicy Narutowicza 4 dostaje rodzina architekta rejonowego Nielubowicza. Mieszkanie jest duże, o powierzchni dziewięćdziesięciu metrów kwadratowych: trzy pokoje, przedpokój, kuchnia, ubikacja i coś jakby łazienka. Kąpiel wymaga ekwilibrystyki. Należy na podwórzu żeliwną, ręczną pompą wydostać wodę, zagrzać ją w kuchni, wlać do wanny lub umywalki, a po myciu wylać do betonowego dołu kloaczego. Pod dół co pewien czas zajeżdża beczkowóz. Ludzie z czerpakami na długich drągach wybierają nieczystości, wlewają je do beczki i wywożą. Tak wygląda kanalizacja po brzesku. Nikt jednak nie narzeka, skoro w Warszawie luksusem bezpośredniego odpływu do studzienek może się cieszyć tylko trzy procent mieszkańców.

Na Puławskiego¹⁰⁶ do Kolonii Urzędniczej przeprowadzają się Kozłowski, rodzina architekta zatrudnionego w urzędzie wojewódzkim. Rozkład domu jest dostosowany przede wszystkim do potrzeb urzędnika. Dwa wejścia – od ulicy główne – sień, dalej spory korytarz, w którym dojrzeła przed Wielkanocą sękacz, i jedenaście par drzwi. Jest i gabinet, w którym Kozłowski pracuje do późnej nocy. „Wygodne mieszkanie, nie objaliśmy się o nic”¹⁰⁷ – wspomina Kozłowska z uznaniem.

Vis-à-vis mieszka samotne małżeństwo, któremu zmarła córka. „Jak tylko wiedzieliśmy, że nikogo nie ma w tym domu, podkradaliśmy się do okna od podwórka. W pokoju wisiał duży portret tej dziewczynki i to nas bardzo fascynowało”¹⁰⁸ – opowiada Kozłowska. Dalej droga prowadzi do domu Hołyńskich. On: adwokat z pasją łowiecką. Poluje z komandorem Zajączkowskim, dowódcą flotylli pińskiej. Ma w domu zwierzyniec – stado przygarniętych psów. Mali Kozłowski chodzą tam, by wybiegane w ogrodzie psy wyprowadzać na ulicę na smyczy. Hołyńscy słyną z dobrego serca i z tego, że

więcej wydają, niż zarabiają. Nikt proszący o pomoc z gołymi rękami od nich nie wyjdzie. W Brześciu zabawiają się opowieścią o spotkaniu adwokata z przedsiębiorcą Pietraszkiem. Hołyński chwali się: „Panie Janie, zarobiłem dzisiaj 20 zł. X chciał ode mnie pożyczyć 40 zł. Przekonałem go, że 20 zł mu wystarczy”.

„Podwórko to było całe nasze życie – opowiada Kozłowska. – Chłopcy jeżdżą tu na rowerach. Dziewczynki bawią się w ogródkach i urządzają uroczyste pogrzeby okolicznym ptaszkom. Cmentarz mieścił się przy studni”. Podwórka i ogrody każdy zagospodarowuje według uznania. Przeważnie rosną tam kwiatki, warzywa. Ale zdarza się, że ktoś trzyma kury, króliki, a nawet wieprze, bo czasy są ciężkie.

Reprezentacyjne budynki powstają – jakżeby inaczej! – przy ulicy Unii Lubelskiej. „Chodziło o stworzenie pejzażu miejskiego oraz wprowadzenie dominant architektonicznych godnych miasta wojewódzkiego”¹⁰⁹ – oceni po latach autor książki o architekturze kresowej Michał Pszczółkowski. Pierwszy z niebytu i desek rusztowań wyłania się Bank Polski. Jakby na potwierdzenie, że stosuje się do wytycznych, by w miejscach eksponowanych budować gmachy, które odcisną piętno na wyglądzie miasta. Budynek jest porównywany z bramą, która prowadzi z centrum miasta do urzędniczego osiedla. Łagodnie obejmuje neoklasycystycznymi skrzydłami róg Puławskiego i – oczywiście – Unii Lubelskiej. Jeszcze większe wrażenie bank robi na klientach: przestronną salę operacyjną podtrzymują kolumny, które oddzielają poczekalnię od kas. Sala łączy się z gabinetem dyrektora i przedskarbcem. W tej strefie zastrzeżonej dla biznesu bywają czasem producent części hydraulicznych Henryk Kierski i właściciel dużej firmy rymarskiej Jan Pietraszek. Wzór dobrego smaku, reprezentacyjności i powagi – specjaliści zachwycają się bankiem. Mieszkańcy patrzą z dumą i podziwem. Brześć pięknieje, co musi przyznać nawet niechętny miastu dziennikarz z Pińska.

To jednak tylko część projektu zrodzonego w głowach architektów. Kolejnym jest zazielenianie. Minęło ponad dwadzieścia lat, odkąd Ebenezer Howard opublikował książkę *Miasta-ogrrody jutra* – odpowiedź na slumsy, odhumanizowanie życia, nadmierne uprzemysłowienie, przeludnienie.

Podwarszawskie Ząbki, Podkowa Leśna, Żoliborz Oficerski, Urzędniczy, Dziennikarski, Miasto Ogród Czerniaków, Komorów, Nadarzyn zostały zaprojektowane właśnie w taki sposób. Brześcia na tej wzorcowej liście nie ma.

A jednak Mickiewicza, Kościuszki czy Jagiellońska z budynkami odsuniętymi od ulic i nasadzeniami zieleni to echa tej koncepcji. Za kilka lat zamienią się w zacienione spacerowe aleje, idąc nimi, będzie można odetchnąć.

Przy Banku Polskim ktoś przycina krótko trawnik, sadi róże pienne. Wszystkie w kolorach pastelowych: róż, krem, morelowy. „Nie było żadnej jaskrawości” – zapamięta Halina Kierska. Róże to także pasja inżyniera Nielubowicza. Sprowadza on kwiaty z wyspecjalizowanych zakładów ogrodniczych i uwielbia zabawiać lub zanudzać towarzystwo opowieściami o przycinaniu, nawożeniu, pielęgnowaniu. Jego synowi szczególnie zapadną w pamięć słowa o pąkach, które usuwa się, by poprawić kwitnienie. Gdy więc nowa odmiana róż ma właśnie zakwitnąć, młody Nielubowicz sprawnie obrywa kwiatkom łebki i przynosi je na dłoni. „Ojciec wręcz zdębiał na widok tej oczywistej katastrofy”¹¹⁰ – wspomina. Od kary odstąpiono ze względu na pobudki, którymi kierował się winny.

Dom Nielubowiczów od reprezentacyjnej ulicy Unii Lubelskiej oddziela łąka, dzierzawiona na pastwisko. „Zabawny to był widok, gdy Unią Lubelską przechodziły parady wojskowe, naturalnie z nieodłącznymi orkiestrami wojskowymi – a nasza Krasula – zszokowana niesłychanym dla niej hałasem, cwałowała po łące z zadartym ogonem”¹¹¹ – wspomina Nielubowicz junior.

W centrum miasta, w wymarzonych przez architektów „ogrodach”, w dni targowe na trawnikach pasą się konie. „W świadomości chłopaka polskiego nie istniała różnica pomiędzy trawą rosnącą na łące a trawą w mieście”¹¹² – pisze Wojciech Śleszyński.

Ale już widać, że Brześć to miejsce z potencjałem. Podczas odbudowy dworzec główny „gubi” rosyjskie ozdobniki.

Okazały, biały budynek stacji kolejowej, przebudowany w 1930, miał obszerną główną salę. U jej wejścia, w donicach, stały dwie duże palmy, a podłogę pokrywała barwnie stonowana mozaikowa posadzka. Wnętrze stacji było przyjemne i eleganckie. W rogu sali dla wygody podróżujących mieścił się bufet zaopatrzone w lokalne przysmaki¹¹³

– pisze mieszkanka Brześcia Danuta Kamieniecka.

Na Grajewce posiadacz ziemski Paskiewicz dzieli majątek na parcele, a pracownicy kolejowi je wykupują i zakładają kolonię Nowy Brześć. Architekci wymyślają wiadukt, który połączy Grajewkę i dworzec z centrum miasta.

Przejście nad torami wychodzi wprost na Steckiewicza – ulicę restauracji, herbaciarni, piwiarni i hoteli. Mieszczą się tu także redakcje gazet, a w drugiej części drewniany domek – pensja pani Gorskiej. Wdowa po rosyjskim generale prowadzi czteroklasową szkołę, najlepszą w mieście. Opłaty są w niej tak wysokie jak poziom nauczania. Uczniów wyróżniają szare mundurki z czerwonymi kokardami przy kołnierzykach i tego samego koloru berety. Nazywają ich krasnoludkami.

Jan Pietraszek, który po wyjściu z wojska wraz z przyjacielem założył firmę i zaczął robić interes na produkcji uprząży, upatruje na Steckiewicza posesję wprost wymarzoną: dużą, porosyjską, z grubymi, niemal fortecznymi murami z czerwonej cegły. Od podwórka ma warsztaty, witrynę sklepu od ulicy. W ciągu dnia ruch tu jak w ulu, firma zatrudnia około stu osób, produkuje na potrzeby wojska. Przez płot graniczy z ogrodami mieszkańców prestiżowej ulicy 3 Maja, gdzie w budynku z charakterystycznym wykuszem mieszka sam wojewoda. Sąsiadem Pietraszków jest też doktor Paweł Korol, Rosjanin, prezes oddziału Rosyjskiego Towarzystwa Dobroczynności, przez dwa lata poseł z Listy Ruskiej. W Brześciu ma własny gabinet lekarski. „Wszystkie nasze choroby były przez niego leczone” – opowiada Danuta Pietraszek, córka przedsiębiorcy Pietraszka. Doktor wielu pacjentów wyciąga grabarzowi spod łopaty.

Korol wraz z innym słynnym brzeskim lekarzem, doktorem Stefanem Łopotem, chirurgiem i ginekologiem, prowadzą na Listowskiego prywatną Poleską Lecznicę Lekarzy Specjalistów. Łopot zainwestował w nią rodzinny spadek. O doktorze plotkuje się często, bo jego sukces zawodowy nie idzie w parze ze szczęściem. Małżeństwo z Marią von Felkersam, z pochodzenia Niemką, okazuje się nieporozumieniem. Trzecia córka Łopotów, Ała, przechodzi zapalenie opon mózgowych, po którym nigdy nie odzyskuje sprawności i umiera. Starszą córkę matka wychowuje w tradycji niemieckiej, młodszą odrzuca, więc ojciec oddaje dziecko na wychowanie do warszawskich nazaretanek. W końcu doktor Łopot sam wybiera się do szpitala miejskiego na rutynową operację, a błąd lekarski kolegów przeniesie go w zaświaty. Śmierć Łopota to wstrząs dla całego Brześcia.

*

Przy kolonii oficerskiej na Kilińskiego przedsiębiorca Henryk Kierski kupuje plac. Specjalizuje się w urządzeniach hydraulicznych. Często startuje w przetargach dla wojska i szkół, czasem wygrywa. Najpierw stawia warsztaty. Potem wybiera projekt domu. Halina Kierska, córka, pamięta porzucane foldery reklamowe domów o czerwonych dachach, drukowane na kredowym papierze. Ale przedsiębiorca wybrał inny, nowoczesny: trzy połączone ze sobą różnej wielkości sześciany. W domu wykonanym z drewnianych bali dopieszczony jest każdy szczegół. „Kanalizacja” ustawiona na strychu i codziennie napełniana przez pomoc domową to zbiornik, z którego woda spływa do kranów. Ale prawdziwym hitem jest centralne ogrzewanie. „Jest rzeczą powszechnie znaną i bezsporną, że wygodnie, tanio i higienicznie ogrzać można mieszkanie wyłącznie za pomocą centralnego ogrzewania”¹¹⁴ – głosi „Architektura i Budownictwo”, a Kierski stara się być na bieżąco z trendami. Instaluje centralne ogrzewanie własnego projektu. O dziwo, działa!

Królestwo Klaudii Kierskiej, żony Henryka – kobiety pięknej, energicznej, eleganckiej – składa się z ogrodu i zamieszkującego w nim drobiu. Kobieta kupuje kurczaki i „boskie” mięsko serwuje dzieciom na drugie śniadania. Kiedyś przynosi z targu perliczki, które bez problemu pokonują ogrodzenie. Policja raz i drugi zgarnia stado z drogi. „Kiedy powtórzyło się to po raz trzeci, zapowiedzieli, że nie będą już powiadamiać, tylko po prostu zjedzą rosół. I towarzystwo zniknęło” – opowiada Halina Kierska.

Pewnego dnia przed posesją pojawia się duży, lśniący, ciężki motocykl. Chłopcy z sąsiedztwa zerkają z zazdrością, jak Henryk Kierski odpala pojazd i mknie z rykiem silnika w kierunku Twierdzy. Część dróg na Polesiu nadal pokryta jest słomą, ale Kierskiego powala na ziemię drut rozwieszony w poprzek drogi. Ktoś truje Azę, wiernego psa Kierskich. Ktoś kręci się koło domu. Henryk występuje do policji o pozwolenie na rewolwer.

*

Napływ ludzi powoduje problem ze szkołami. A na dobrej edukacji dzieci rodzinom urzędników i wojskowych zależy najbardziej. Przy ulicy Wojewódzkiej na potrzeby kolonii urzędniczych powstaje świetnie wyposażona, nowoczesna Szóstka. Mówi się, że to sam Kostek-Biernacki wspierał jej budowę, bo kierownikiem jest pani Osiecka, koleżanka jego żony. Budynek ma nowoczesne

okna, piękne błyszczące parkiety. I „unikatową” ubikację. Bez sedesów, ale ze spuszczaną wodą. W innych szkołach chodzą „za stodołę”.

Jedynkę na Zygmuntońskiej rodzice cenią z powodu świetnych nauczycieli. Przed każdym rokiem szkolnym kierowniczka odwiedza domy z rejonu i zapisuje dzieci. Nauczycielka zastała mamę z piątką maluchów i była dla niej pełna współczucia. Tyle że trójka to były dzieci sąsiadów. Najwyraźniej panie przypadły sobie do gustu, bo przyjęła mnie do Jedynki, choć powinnam chodzić do Szóstki

– opowiada Danuta Kozłowska. Pod kierunkiem pana Wachlowskiego przygotowują przedstawienia baletowe. Uczennice powadzą sklepik, liczą pieniądze pod nadzorem nauczycielek. W piątej klasie po lekturze *Chłopców z Placu Broni* postanawiają zrobić rekonstrukcję. Spotykają się potajemnie na placu u wylotu Pierackiego pod kolonią Tartak. „Składałyśmy przysięgę, że nic nikomu... Ale nauczycielka nas wykryła. Musiałyśmy po lekcjach zostać w klasie. Nie zdradziłyśmy jednak tajemnicy” – opowiada Kozłowska.

Dzieci z rodzin lepiej sytuowanych uczą się na pensji u pani Gorskiej. Tam Danusia Pietraszkówna, córka przedsiębiorcy, zaprzyjaźni się z Talką Traczukówną, córką chirurga, Rosjanina, szukającego w Brześciu schronienia przed sowiecką nawałnicą. Biali Rosjanie, choć prawosławni, szybko się integrują. „Trudno powiedzieć, że się czuła Polką. Ale była harcerką” – mówi Pietraszek.

Brakuje szkół średnich. Z Twierdzy młodzież dojeżdża do nich kolejką wąskotorową. Wysiada *vis-à-vis* kościoła Podwyższenia Krzyża. Miasto powinno przyjmować też młodzież z okolicy, ale nie może, bo jedynym państwowym gimnazjum jest to imienia Romualda Traugutta. Mieści się w budynku po gimnazjum rosyjskim, z białej cegły i ozdobnikami, na rogu ulic Mickiewicza i Dąbrowskiego, naprzeciw cerkwi Brackiej. Po reformie jędrzejewiczowskiej w 1932 roku ze szkoły ośmioklasowej Traugutt staje się czteroklasowym gimnazjum i dwuletnim liceum. Niezamożni mogą się starać o zmniejszenie lub zwolnienie z czesnego, którego nie płacą nauczyciele, funkcjonariusze państwowi i wojskowi.

Gimnazjum przeprowadza eksperyment – powołuje Rzeczpospolitą Gimnazjalną, czyli odtworzenie podziału władz w pigułce. Jest więc prezydent, rząd, parlament, w skład którego wchodzi po dwóch posłów z każdej klasy

wybieranych w tajnym głosowaniu. Sejm zbiera się dwa razy w miesiącu. „Rada Nauczycielska bardzo przychylnie odnosiła się do naszych poczynąń”¹¹⁵ – wspomina Władysław Juchnowicz, później pilot, oficer medyczny. W ten sposób elity przygotowują się do przyszłych ról. Szkoła trzyma poziom, część uczniów nie zdaje do następnej klasy. Zagrożonym dwójką można być nawet z religii.

W Traugutcie pracownie są jak z bajki:

Obok mnóstwa kolorowych plasz, preparatów w formalinie, wypchanych okazów jest w oknie szklany ul i można obserwować z pokoju codzienne życie pszczół. Na każdym z dwunastu dwuosobowych stolików stał mikroskop. Poza programowymi preparatami oglądamy pod nim wszystko, co się da. Króluje tu prof. Borecki, ogromnej wiedzy, wymagający i sprawiedliwy. Brał udział w kilku ekspedycjach do Ameryki Południowej. Gdy jest zadowolony z naszych odpowiedzi, opowiada nam co nieco o swoich spotkaniach z tamtejszą fauną¹¹⁶



9. Prace budowlane w okolicy Szkoły Technicznej. W głębi kadru widoczny zaprojektowany przez Jerzego Beila gmach Średniej Szkoły Technicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego przy ulicy 3 Maja (obecnie Puszczyńskiej). Szkoła powstała w 1923 roku z inicjatywy inżyniera Oktawiusza Nelarda jako Szkoła Średnia Techniczna Kolejowa, Brześć, lata 30.

Źródło: Ośrodek KARTA

– zapisuje w pamiętniku Halinka Kierska. Nieopodal jest ogród botaniczny i pracownie robót ręcznych. Dla dziewczyn szwalnia, dla chłopaków pracownia stolarska. Gdy przyjedzie odwiedzić dawną szkołę, Stefcia Wójtowiczówna, absolwentka, zaśpiewa na uroczystościach. Choć duża część uczniów dojeżdża na zajęcia na rowerach, starsze klasy uczą się jazdy samochodem.

Ci, których dzieci nie dostały się do Traugutta, mają jednak ograniczony wybór. Dla dziewczynek jest gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej. Dla chłopców Szkoła Kolejowa przemianowana w końcu na Gimnazjum Techniczne. Najlepsza po wileńskiej szkoła techniczna na Kresach. Tu orkiestra zagra po raz pierwszy *Polesia czar*, napisany przez nauczyciela Jerzego Artura Kosteckiego. Część urzędników musi posyłać jednak dzieci do rosyjskiego gimnazjum założonego przez Towarzystwo Dobroczyńności. „To zaś było niemile widziane przez władze państwowe. Próbowaly one rozwiązać ten problem, przenosząc rodziny urzędników z dziećmi w wieku szkolnym do innych miast Polski z większym potencjałem szkolnictwa” – pisze badająca brzeskie szkolnictwo Helena Konowaluk¹¹⁷.

Dzieci chodzą z nauczycielami sprzątać groby generała Steckiewicza i jego żołnierzy. Nauczyciel Franciszek Guściora ma stałą rubrykę w „Ogniwie Brzeskim”. Kuratorium pozwala omawiać na zajęciach tematy regionalne.

W niedziele młodzież spotyka się na mszy w kościele Podwyższenia Krzyża przy ulicy Unii Lubelskiej.

O tej wczesnej porze niedzielnego ranka ulice świeciły pustkami; sklepy zamknięte były na cztery spusty, tylko otwarte drzwi kawiarni zachęcały do wejścia. Od czasu do czasu widziało się grupki ludzi powracających z wcześniejszych Mszy Św., a wśród nich uśmiechnięte twarze rodziców: gdzieniegdzie na rogu ulicy stała zastygła w bezruchu wiekowa dorożka czekająca na wczesnego pasażera¹¹⁸

– opisuje drogę do kościoła Czesław Brzozowski, uczeń Szkoły Technicznej. W kościele córka sędziego Lusja Grzybowska pięknie śpiewa *Ave Maria*. Jeszcze piękniej udaje się to czarnookiej i czarnowłosej piękności – córce grabarza. Przed drewnianą plebanią lubi przesiadywać potężny ksiądz dziekan Kazimierz Bukraba, późniejszy biskup piński.

Szkielet miasta gęstnieje już od domów. Wraz z ludźmi wlewa się życie. Jan i Eugenia Jędrzejewscy zakładają kwiaciarnię i sklep nasienny. Ich syn zapisze: „Brześć był miastem wojewódzkim o profilu garnizonowo-urzędniczym”¹¹⁹. A to oznacza, że mieszka w nim wielu potencjalnych klientów, którzy niczego nie wytwarzają, za to mają pieniądze, by korzystać z usług i kupować.

Naprzeciw gmachu Banku Polskiego, wśród drzew, stał stary dworek z ganeczkiem. Mieścił się tu sklepik spożywczy pani Afanasjew. Gdy tylko zdobyłem 5-cio groszówkę, a był to miedziak znacznie większy od dzisiejszego – gnałem do pani Afanasjew. Przy otwieraniu drzwi do sklepu odzywał się przywiązany do futryny dzwonek. Zjawiała się zażywna starsza pani. Ja wręczałem jej mojego miedziaka, a ona – już nie pytając o nic – sięgała do jednego ze szklanych słoików, wyjmowała jedną krówkę, którą ja oczywiście zaraz pałaszowałem na miejscu. Inne smakołyki, a w tym i popularne wówczas landrynki, nie równały się z tymi krówkami od pani Afanasjew. Były tak samo owinięte jak dzisiejsze, a krówka na papierku była koloru bordowo-brunatnego¹²⁰

– wspomina Nielubowicz junior. Józio Sroka nazywa ulicę 3 Maja „krainą czarownych zapachów” – piekarni, cukierni, owocarni, sklepów z wędliną oraz smakowitego owocowego kwasu Haberbuscha. W sklepach mleczarskich ze śmietaną, serem, masłem unosi się zapach twarożku. W sklepie kolonialnym, gdzie przed wejściem stoi atrapa Murzyna, czuć kawę i słodycz chałwy.

Oficerowie nie mogą dźwigać w rękę paczek cięższych niż pół kilograma, bo od tego są ordynansi. Gdy więc robią zakupy – co zdarza się rzadko – paczuszki z szynką obwiązywane sznureczkiem niosą na patyczku, żeby nie trzymać ich w dłoni.

Są miejsca mniej eleganckie, gdzie handluje się mięsem. Sprzedają tu Żydzi. Rzeźnia miejska jest dla nich konkurencją. Nie ma w Brześciu tak zwanego prawa wyłączności, co utrudnia walkę z pokątnym ubojem. Ale rzeźnia jest drugim najbardziej wzbogacającym miasto przedsiębiorstwem po elektrowni przynoszącej pół miliona zysku rocznie. Od 1934 roku budżet Brześcia zamyka się z nadwyżką.



10. Kasyno przy ulicy Pułaskiego, Brześć, 1938

Źródło: Biblioteka Narodowa

Rozkręca się życie miejskie, bo urzędnicy może i prowadzą higieniczny tryb życia, ale oficerowie tego nie potrafią. „Im jaśniej stawało się na dworze, tym różowsze były humory. Zaczęto wreszcie bawić się bronią – tak przytem niefortunnie, że jeden z cywilnych został ciężko ranny szablą w pierś, przyczem została uszkodzona arteria”¹²¹ – donosi prasa. W Klubie Obywatelskim aktor scen warszawskich Janusz Ściwiarski sprowadza rosyjską śpiewaczkę Olgę Argusińską. Dancingi trwają do białego rana. W niedzielę, gdy szeregowi i kaprale mają wolne, przyjeżdżają kolejką na potańcówki, by poznać jakąś pannę – w Brześciu żartują, że każda służąca nosi ze sobą kotlet schabowy na sercu.

Konkurencja w postaci Kaskady, z kabaretem i tancerkami ze szkoły baletowej Tacjanny Wysockiej, wyrasta dopiero w 1937 lub 1938 roku. Wieczorki taneczne odbywają się też u pana Wachlowskiego, w każdą sobotę przez cały karnawał. Ale to Klub Obywatelski oferuje chętnym trochę splendoru. Na karnawałowych balach mieści się i dwieście osób, tańczy osiemdziesiąt par. Wirują wytworne i gustowne toalety pań, którym towarzyszy czerń fraków i oficerskich mundurów. „Reprezentowany był cały nasz świat. Wszystko, co

w Brześciu działa i pracuje”¹²² – pisze o balu w styczniu 1925 roku dziennikarz „Kurier Polesia”. Brześć bawi się także w Białym Pałacu, kasynach, w Polskim Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych i u kolejarzy. Danusia Kozłowska lubi poranki po balu, kiedy rodzice odsypiają. „Myśmy wtedy szperali, co przynieśli – baloniki, kotyliony” – opowiada. Do Białego Pałacu trafia kilka razy Kierska – na czekoladę i ciastka. „Rosłam z dumy, gdy »przyjmowałam« honory wojskowe wchodzących do sali kawiarnianej oficerów, którzy tak witali siedzących”¹²³. W malutkiej kawiarence Kaniowskiego stoliki przy oknach są zawsze zajęte. „Ambicją początkujących amantów było być widzianym z macierzą (uczennicą Polskiej Macierzy Szkolnej) na kawie, ptysiach czy innych ciastkach”¹²⁴ – wspomina Tadeusz Bujanowski. Kawiarnia słynie z jugosłowiańskiej buzy – koziego zsiadłego mleka. Obok mieści się kawiarnia u Segąły, gdzie woda sodowa z sokiem owocowym rozpływa się w ustach.

Gdy ma się pieniądze, można iść do kina. Sfotografować się z Brodziszem, gdy ekipa przyjedzie kręcić plenery do filmu *Na Sybir*. Kino to nieustanny punkt rodzinnych sporów. Dla młodocianych rozrywka prawie zakazana. U Sroków zaczyna się od charakterystycznego matczynego: „Dzieci nie pójdą”, a potem odpowiedzi ojca: „Tak, tylko nas odprowadzą”. Pod kinem ojciec kupuje bilety, matka mówi, że poszły do domu. Spotykają się przy wejściu na salę, ale wtedy już matka nie protestuje. Swarcewicz chodzi w ten sposób, że wślizguje się po zgaszeniu światła, a wychodzi też po ciemku na kolejnym seansie, by nikt nie rozpoznał mundurka i tarczy. Kino Sarwera, bliżej Jagiellońskiej, ma opinię szczególnie nieodpowiedniego dla młodych dziewcząt, „bo tam oficerowie...”. „Więc my w ostatni dzień gimnazjum zdjęliśmy tarcze i poszliśmy właśnie tam” – opowiada Grzybińska.

Ulicą 3 Maja, a więc salonem miasta, przechadza się każdy, kto cokolwiek znaczy lub chce znaczyć. Deptak jest zwany Gazem. Dlaczego tak? Nikt nie wie, ale to na Gazie paraduje młodzież i wojskowi. Stacjonuje tu także Morowy Władzio, żebrak w garniturze, pod krawatem, który chwiejnym krokiem, jak po chorobie Heinego-Medina, ma zwyczaj odprowadzać na cmentarz każdego brześcianina. Na początku miesiąca, uchylając kapelusza, upomina się u przechodniów: „Już po pierwszym, proszę o moją pensję”. Konkuruje z nim „nieszczęśliwa Helenka”, której umysł nie wytrzymał konfrontacji z prawdziwą miłością.

Do parku 3 Maja wejść można dziurą w parkanie. Danuta Kozłowska gubi tu w śniegu zegarek – „starzydło” rodzinne, inkrustowane. W głębi parku na zamarznętej sadzawce uczy ojca jazdy na łyżwach. Wiosną chłopcy zasadzają się tu na ryby. Chłopak Jędrzejewskich wpada do lodowatej wody i choruje na różę. Sprowadzony do domu żydowski znachor okadzi go specjalnymi ziołami, lnianą opaską otoczy chorą głowę, przetoczy po niej jajko i oświadczy, że choroba przejdzie po dwunastu dniach, i tak się dzieje. Latem są kąpiele w stawie i wiosłowanie do wysepki z płaczącymi wierzbami. Kozłowska podgląda całujące się ukradkiem pary. Nie ma w Brześciu miejsca o większym potencjale szczęścia.

Drugi park, Wolności, za cara nazywał się Gorodskim Sadem i miał wejście przyozdobione – jak to we wschodnim zwyczaju – wieżyczkami. Jego ponoć zabytkowy kurhan, pozostałości pogańskiej świątyni, przyjeżdżali badać w połowie XIX wieku rosyjscy naukowcy. Pojedynkowali się tu oficerowie, a żołnierze i rzemieślnicy mieli zakaz wstępu. W 1914 roku koncertował tutaj sam Rachmaninow. Po wojnie w polskim Brześciu władze miasta postawią ławki, wykopią sztuczny staw, wypielegnują klomby. Spacerowicze w upały docenią, że rosną tu drzewa tak stare, dające dużo cienia. Ci, którzy lubią słońce i wodę, będą plażować na rozłożonych kocach nad Muchawcem. Rzeka ożywa każdego 24 czerwca, gdy na Jana wszyscy mieszkańcy wylegają na brzeg, by obejrzeć pokazy wieńców. Wojsko z Twierdzy przygotowuje festyn.

W siatce i koszu przoduje Szkoła Techniczna, z niej wychodzi dwóch reprezentantów Polski w siatkówce: Hebda i Salmonowicz. Na Stadionie imienia Józefa Piłsudskiego „w czasie meczów wszystkie okoliczne drzewa, dachy i dziury po wybitych sękach w otaczającym płocie były oblepione gapiami. Miejsce na wygodnej mocnej gałęzi kosztowało prawie tyle co bilet na trybunie”¹²⁵. Ponieważ dyrekcja szkoły imienia Traugutta zwalcza pozaszkolne występy uczniów, chłopcy grają pod pseudonimami. Zawodnikami są więc Tortower, Ciastkower i każdy w Brześciu wie, o kogo chodzi.

Dla Władysława Sroki, oficera Wojska Polskiego, który ma ambicję wychować syna Jerzego na człowieka twardego, z umeblowaną dobrze głową, przykładnego żołnierza i obywatela, miasto to idealny poligon. Latem raniutko zarządza kąpiel w Muchawcu. „Dzwoniąc z zimna zębami i błagalnie żebrząc litości ojcowskiej, stałem golutki nad płynącym Muchawcem. Ojciec był bezlitosny”¹²⁶. To znów „dowódca wyprawy” wywraca kajak na środku rzeki

i czeka na brzegu, aż syn, opiwszy się wody, do niego dotrze. Raz na dwa dni urzędują „pragułki” – wieczorne spacery po mieście. Podczas marszu rozmawiają o *Trylogii*, o historii Polski, o geografii. Ojciec leczy nieśmiałość syna: „Masz wejść i kupić ciastka”. A przed apteką: „Kupisz boromentol”. Kiedy Jerzy wychodzi, ojca już nie ma. Powrót do domu to bieg na orientację. Pan Władysław zjawia się niespodziewanie, razem kupują w kiosku ulubione gazety.

*

Po pewnym czasie sceneria zaczyna się zmieniać. Budynki w Brześciu wyrastają ze stylu narodowego, tak jak się wyrasta z dziecięcej choroby. Pojawia się neoklasycyzm w odmianie rewolucyjnej, czyli Izba Kontroli Państwa. Urząd przenosi się z Kowla na róg – oczywiście – Unii Lubelskiej i Narutowicza, uznano bowiem, że jego kowelska siedziba nie licuje z powagą instytucji. Surowy fronton, inspiracje kubizmem, filary w okowach. W tylnej części znajdują się mieszkania dla urzędników. „Interesujący i stosunkowo rzadki”¹²⁷ – doceni obiekt po latach Michał Pszczółkowski, historyk sztuki.

Budynki takie jak ten to znak, że do głosu dochodzi już kolejne pokolenie architektów. Inspirują ich Amerykanie. Szczególnie jednak Francuz Le Corbusier, socjalista, który wymyśla „maszyny do mieszkania”, architekturę dla mas.

W kolejnych miastach wielopiętrowce zastępują kolonie jednorodzinnych parterowych domów. Do Brześcia jednak nowe trendy docierają z opóźnieniem. Dla władz sprawą priorytetową jest zaprowadzić na Polesiu cywilizację. Nowy urząd, Biuro Projektu Melioracji Polesia, zostaje wybudowany w starym stylu. Podlega bezpośrednio Ministerstwu Robót Publicznych. Szef, inżynier Józef Pruchnik, ma zadanie porównywalne z Heraklesowym – osuszenie bagien, które stanowią ponad jedną trzecią województwa, choć jeśli się baczniej przyjrzeć, w sumie ponad pięćdziesiąt procent Polesia to „grunty mokre”. Pruchnik, jako były minister robót publicznych (z PSL-Lewica), potrafi zorganizować roboty publiczne, przy których zatrudnia siedemdziesiąt pięć tysięcy bezrobotnych. Teraz też podchodzi do zadania ambitnie. Podróżuje do Estonii, Finlandii, Szwecji, Holandii, Niemiec, Związku Radzieckiego i Palestyny, by przyjrzeć się, jak meliorują inni. Prasa rozpisuje się o stworzeniu z Polesia drugiej Holandii. Nowy urząd staje oczywiście na rogu Unii Lubelskiej, jednak frontem do urzędnika – wejście ma od ulicy Puławskiego, czyli od strony Kolonii. Koniec lat

dwudziestych to czas, kiedy Brześć rozszerza się o przedmieścia. Mieszkańcy Grajewki chcą mieć własny kościół. Pracę zlecają miejscowemu architektowi Józefowi Barańskiemu, wykładowcy w szkole technicznej, który od lat projektuje dla Brześcia – jako jedyny na tym terenie ma własną pieczęć i wszelkie uprawnienia. Hołduje idei funkcjonalizmu Louisa Sullivana: formę musi wyznaczać funkcja. Zaprojektował już nowy gmach Szkoły Technicznej, kościół ewangelicko-augsburski, szpital miejski, budynek Kurateli Brzeskiego Okręgu Szkolnego i kilka willi. Wszystko w geometrycznych kształtach, by sprostać ekonomice budowy.

Kościół ma stanąć między dworcem a porosyjskim szpitalem kolejowym na nietypowym trójkątnym placu, na którym stoi już ceglany parterowy budynek z dużymi oknami. Barański wpada więc na pomysł, by wybudować „świątynię-lokomotywę”. „Możliwe, że architekta natchnęły prawosławne cerkwie-wagony poruszające się po frontach I wojny światowej”¹²⁸ – napisze profesor Mikołaj Własiuk. Barański umieszcza budynki symetrycznie jeden za drugim. „Ciągnie” je kościół – lokomotywa. Plebania przypomina pomieszczenie z węglem. Okna w ołtarzu nawiązują do kabiny maszynisty. Chrystus prowadzi stamtąd ludzi ku niebu.

Jednak największą zagadką jest budynek Kasy Chorych w Brześciu, który również powstaje przy ulicy Unii Lubelskiej. Projektuje go Szymon Syrkus. Dlaczego to on dostał to zlecenie? Młody architekt ma w oczach europejską awangardę z Weimaru, Paryża, Berlina, wyższość wobec kolegów, którzy schlebiają mieszczańskim, przedwojennym gustom.

W Brześciu ustawia asymetrycznie kubistyczne ściany. Na dominantę wybiera półokrągłą przeszkloną klatkę schodową. Wszystko przykrywa płaskim dachem. Mieszkańcy dziwią się, bo budynki Kasy Chorych wszędzie przypominają pałace. A gdzie kolumny? Pylony?

Wkrótce Brześć znajdzie się także w awangardzie politycznej. Jędrzejewscy, ci od kwaciarni i sklepu z nasionami, mieszkają teraz w Twierdzy w Białym Pałacu. On wydzierżawia ogród garnizonowy, ona prowadzi kasyno oficerskie. Pewnego dnia we wrześniu 1930 roku ktoś z Warszawy zamawia posiłek na kilkadziesiąt osób. Mają zjechać politycy, kilkunastu posłów, między innymi Witos.

Po naprawdę dobrym obiedzie, podanym w osobnej sali (poza ogólną salą jadalną), posłowie jechali – jak się później okazało – do Brygidek (budynek po klasztorze ss. Brygidek), gdzie znajdowało się więzienie wojskowe, które na czas uwięzienia posłów otoczono kordonem dodatkowych straży, izolując je całkowicie¹²⁹.

Kostek-Biernacki, komendant Twierdzy, dobiera lokatorów do dwuosobowych cel tak, by pobyt dodatkowo im „uprzyjemnić”. Kohuta z Ukraińskiej Socjalistycznej Partii Radykalnej zestawia więc z Dębskim ze Stronnictwa Narodowego; Kiernika, działacza ruchu ludowego, z Józefem Baćmagą, wykluczonym z BBWR. „Dopiero gdy rozeszły się pogłoski o brutalnym traktowaniu więźniów, biciu ich i złym odżywianiu, rozpoczęły się protesty”¹³⁰ – pisze Kamieniecka. Posłów zwalniają 23 listopada 1930 roku, w Warszawie rozpoczyna się ich proces zwany brzeskim, a Brześć może odetchnąć.

Kostek-Biernacki zostaje wojewodą i wprowadza się na 3 Maja, do pięknego mieszkania z charakterystycznym wykuszem. Wejścia pilnuje strażnik, a przed domem stoi czarna limuzyna. Danusia Pietraszkówna, córka rymarza, widuje sąsiadów w ogródku. Zapamięta postawną blondynkę z przedziałkiem i opaską na czole, która w białym stroju zmierza na korty tenisowe. W mieście krążą opowieści, że wojewoda nienawidzi się z dowódcą okręgu korpusu Mieczysławem Ryś-Trojanowskim do tego stopnia, że nie występują razem na uroczystościach państwowych. Gdy pojawia się Kostek-Biernacki, pewne jest, że nie będzie tam Trojanowskiego. Gdy zaś zapowiada się dowódca okręgu, województwo reprezentuje wicewojewoda.

Szef Biura Melioracji Polesia inżynier Pruchnik mieszka na parterze jednego z domków urzędniczych przy ulicy Puławskiego. Danuta Kozłowska mówi o nim „pan sąsiad”. Dyrektor często jeździ do Związku Sowieckiego. Bierze udział w II Międzynarodowym Zjeździe Gleboznawczym w Moskwie i Leningradzie. Odwiedza kołchozy. Po jednej z podróży wygłasza odczyt dla brzeskiej inteligencji: „Takie pomidory jak w Związku Sowieckim w Polsce są jedynie u pani Kozłowskiej w ogródku” – mówi. Po latach Danuta Kozłowska powie: „Był jedynym komunistą, jakiego znałam przed wojną”. Ktoś w akcie zemsty podpala mu dom.

Inżynier pracuje na pierwszym piętrze w pachnącym nowością Biurze Melioracji Polesia. Łysawy pan w grubych okularach nawet nie podejrzewa, że od pewnego czasu interesuje się nim „sąsiad” – rezydujący kilkadziesiąt metrów

dalej wojewoda. Kostek-Biernacki, choć przyznaje w raportach do stolicy, że Biuro Melioracji „nie podlega mnie pod żadnym względem”, śledzi poczynania brzeskiego komunisty¹³¹. Podejrzewa urząd o marnotrawstwo – jeden z największych grzechów w dekalogu ascety. Ma więc zastrzeżenia do zakupu nieużywanego sprzętu, dostrzega niedbalstwo, fałszowanie wyników prac, malwersacje finansowe, nepotyzm przy zamówieniach zewnętrznych. Jest na tej liście nawet szpiegostwo – udostępnianie zdjęć lotniczych Polesia studentom z Niemiec, kontakt jednego z pracowników z ambasadą sowiecką. Pruchnik zostaje zakwalifikowany jednoznacznie: „Z przekonań politycznych niewątpliwy komunistą”. W marcu 1933 roku inżynier zostaje zawieszony i wraz z gronem współpracowników postawiony przed Sądem Okręgowym w Pińsku. Sprawa ciągnie się dwa lata, sąd skazuje go na areszt „za brak nadzoru”. Pruchnika obejmuje już jednak amnestia.

*

Wojciech Śleszyński, historyk, zauważa: „Do końca istnienia II Rzeczypospolitej nie udało się w pełni rozwiązać kwestii związanych z zakwaterowaniem urzędników. Między innymi z tego powodu propozycja pracy na Polesiu zawsze kojarzona była ze złymi warunkami socjalnymi”¹³².

W Brześciu mieszkańcy kolonii urzędniczych wyprowadzają się rzadko, najczęściej kiedy awansują i przenoszą się do innych miast. Wojewoda Kostek-Biernacki nie może znieść, że Polesie traktuje się jak „polską Syberię, dokąd nikt prawie nie chce przyjść na służbę dobrowolnie, a każdy jak może ucieka w głąb kraju”¹³³. Stanowczo sprzeciwia się zabieraniu stąd dobrych urzędników: delikwent „zyskałby na tym, ale służba ucierpiałaby bardzo”¹³⁴ – argumentuje, starając się cofnąć decyzję. Czasem jednak zdarzają się wypadki losowe. Jak u Wereków, sąsiadów Kozłowskich. On popełnia samobójstwo, ona utrzymuje rodzinę z wydawania obiadów, ale musi opuścić mieszkanie.

Ci, którzy dopiero przyjechali, nie tracą nadziei, że uda im się w końcu wprowadzić do jednego z domków z czerwonym dachem w Kolonii Urzędniczej. Chociaż przeciętny obywatel ma problem, by z zarobku opłacić mieszkanie, urzędnik może liczyć na dopłatę do czynszu. Władysław Kamiński, architekt rejonowy, przyjeżdża z Kobrynia. Wynajmuje dwupokojowy lokal, na pierwszy rzut oka suchy i bez zastrzeżeń, jednak po wprowadzeniu się wyłazą

mankamenty. Mimo palenia w piecu mieszkanie „okazało się wilgotnem i mokrem do tego stopnia, że na ścianach występuje woda w postaci kropel, a na wysokości 1 metr od podłogi pokryte pleśnią, co wpływa ujemnie na zdrowie, niszczy ubrania i meble”. Żonę inżyniera męczą nocne bóle w stawach. Szukają innego lokum, ale albo żądają od nich czynszu za rok z góry, albo chcą kwoty wygórowanej – nawet do sześćdziesięciu złotych! Zostaje więc tylko uprzejmie prosić wojewodę o przydzielenie mieszkania trzypokojowego z kuchnią lub dwupokojowego w budynku państwowym¹³⁵. Wojewoda prośby nie spełnia, więc rok później na jego biurku znów ląduje podanie Kamińskiego. Tym razem ma już mieszkanie upatrzone – chce się wprowadzić do kolonii Tartak przy ulicy Przemysłowej 19, pod numer 2, do lokalu po inżynierze Jaroszewiczu, którego przenoszą do Stanisławowa. Sposób ze wskazaniem mieszkania musi się sprawdzać, skoro korzysta z niego wielu urzędników. Cyryl Ławiński, referent od dziewięciu lat na służbie, prosi o przydział, bo opłata komornego na mieście jest dotkliwa. „Z drugiej strony zmuszony jestem zajmować mieszkanie z tak zwanymi wygodami – ze względu na chorobę żony (przepisane kąpiele) i ze względu na dzieci”¹³⁶ – daje do zrozumienia, że oczekuje pewnego standardu. I wskazuje, że właśnie trzypokojowe mieszkanie opuszcza w najbliższych dniach dyrektor wojewódzkiego biura robót na Pułaskiego.

Jednak życie mieszkańców kolonii urzędniczych także nie jest wolne od trosk. Domy powstawały tam szybko, sarta podań dotyczy usterek i remontów. Komuś przecieka dach – prosi o wymianę papy. Ktoś chce wymienić piec na taki, co grzeje. U radcy budownictwa, inżyniera Wiktora Librowicza na Narutowicza 19, zepsuła się studnia. „Uprasza się” – ta forma grzecznościowa robi w brzeskich urzędach karierę – o poczynienie odpowiednich kroków, by mógł czerpać wodę. Sąsiadów ma nieżyczliwych – jeden „zamyka (zawijazuje drutem) swoją pompę, drugi zamyka podwórko” – skarży się Librowicz.

Na mokrym Polesiu częstym problemem jest grzyb pod podłogami. Nieszczęście dotyka samego wicewojewodę. Inżynier Nielubowicz przeprowadza wizję lokalną. Komisja ogląda wybrzuszone posadzki dębowe i decyduje się na remont. Na naprawy organizuje się przetargi.

Ale przedsiębiorca Kierski nie potrafi skutecznie wkraść się w łaski urzędników. Zlecniodawcy obcinają fundusze, pojawiają się długi. Przedsiębiorca spłaca i zaciąga kolejne pożyczki. Jest jednak na minusie, gdy pojawia się intratny przetarg w Twierdzy. Jeśli go wygra, sytuacja finansowa

będzie opanowana. Kierski wynajmuje kreślarza, jednak gdy odbiera dzieło, siada z przerażenia, bo projekt jest niewymiarowy. Nawet nie składa oferty. Perturbacje z wierzycielami kończą się śmiertelnym atakiem serca. Kondukt pogrzebowy z Morowym Władziem odprowadza go ulicą 3 Maja na cmentarz. Władzio po kilku miesiącach stawia się w drzwiach, by powiedzieć wdowie: „Mąż prosi, żeby pani tak strasznie nie płakała”. I zniknie, nie przyjąwszy datku. Wdowę po przedsiębiorcy przyjaciółka poznaje z porucznikiem w stanie spoczynku Romanem Peszkowskim, wykładowcą w Lidze Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. Wkrótce zostaje on drugim mężem Klaudii Kierskiej.

*

W 1935 roku Michał Marczak, autor *Przewodnika po Polesiu*, pisze o Brześciu:

Z przedwojennej patyny zdołał się już w przeważnej części wyzwolić. Wytyczenie szerokich zadrzewionych ulic w postaci regularnej siatki, oświetlenie elektryczne, częściowe urządzenie wodociągowe, kostki, chodniki, bruki, dwa duże parki i piękny bulwar nad Muchawcem coraz więcej upodabniają miasto do zachodnich¹³⁷.

Nadal najsłabszą stroną Brześcia są bruki. Ale zapada decyzja, by zbudować wreszcie godną siedzibę dla władz regionu. Na placu Unii Lubelskiej – bo gdzieżby indziej? – powstaje budynek urzędu wojewódzkiego. Największy i najbardziej monumentalny ze wszystkich gmachów.

Zgodnie z zasadą funkcjonalizmu jest prosty, ciężki, ale wykonany z dbałością o detale i standard materiałów. Przez wysokie okna sali reprezentacyjnej władza może zerkać na ulicę. W pracy wojskowego architekta Stanisława Papiewskiego widać surowość charakterystyczną dla budownictwa w systemach totalitarnych – III Rzeszy, ZSRR i we Włoszech. Wiatr historii przywiewa już wojnę. Trzy lata później, gdy gmach będzie gotowy, a Polska zajmie Zaolzie, tłum przed urzędem wypełni plac i wylot ulicy 3 Maja. „Z balkonu Izby Skarbowej ktoś mówił o powrocie Zaolzia do Macierzy, wzbudzając głośne i podniecone krzyki dookoła”¹³⁸ – napisze Tadeusz Bujanowski o październiku 1938 roku.

Zazwyczaj jednak w Brześciu plac przed urzędami pełni funkcję reprezentacyjną. Każdego 3 maja i 11 listopada staje na nim trybuna, na której lokalni dygnitarze przyjmują defiladę.

Na widok maszerującej w pełnym rynsztunku piechoty czy jadących z chrzęstem i łoskotem armat, parskających koni przy dźwiękach marsza wojskowego, ściskaliśmy kurczowo ręce, po całym ciele przechodziły mrówki. Westchnienie żalu wydobywało się z piersi, kiedy zamykające defiladę samochody straży ogniowej (z naszym wspaniałym szoferem – ojcem Kazika) znikły w mgiełce sinawego dymku po spalinach, że to już koniec¹³⁹

– wspomina Sroka. Defiladę można oglądać także w drugiej połowie września, gdy wojska wracają z manewrów do Twierdzy.



11. Wiec protestacyjny przed gmachem Banku Polskiego w Brześciu w związku z wypowiedziami niemieckiego ministra Gottfrieda Treviranusa, 12 października 1930, fot. J.

Krusiec

Źródło: NAC

Święta państwowe oraz imieniny marszałka Piłsudskiego i Ignacego Mościckiego poprzedza capstrzyk. Po zmroku głównymi ulicami miasta paradują orkiestry: wojskowa i strażacka, za nimi oddziały paramilitarne z pochodniami, a na końcu dzieci. W tłumie okolicznych chłopców biega także mały

Nielubowicz, na którym szczególne wrażenie robią wielkie trąby sterzące zza pleców muzykantów. Sroka wspomina:

Dźwięki wojskowej orkiestry wprawiały naszą gromadkę w niebywałe podniecenie. Kto żyw porzucał najbardziej interesujące zajęcia. Rezygnował z pajdy chleba szykowanej przez troskliwą matkę. Wiercił się, kręcił przy stole, połykając momentalnie gorącą i niesmaczną zupę. Szybko, prędko, jak najprędzej znaleźć się przy orkiestrze. Biegiem, ile tylko tchu w piersiach. Zdyszani zatrzymaliśmy się na chwilę przy krawężniku jezdni, by potem wyciągnąć nienaturalnie długi krok i maszerować do taktu dźwięków płynących z cudownie błyszczących, mosiężnych trąb dętej orkiestry¹⁴⁰.

*

W 1936 roku Brześć liczy prawie sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Polacy są drugą po Żydach grupą narodowościową. To, co się dzieje 13 maja 1937 roku na Małym Rynku, mogło się zdarzyć wszędzie. Wydarzyło się jednak tu, gdzie w jednym miejscu istnieją dwa światy. Nakładają się one na siebie, czasem zazębiają, ale nie przenikają. Jak na ulicy Zygmuntowskiej, gdzie nad Jedyneką jest szkoła żydowska, naprzeciw żydowskie gimnazjum, a przerwy są tak zorganizowane, żeby dzieci się nie spotykały. Ludzie żyją we własnych kwartałach ulic. Jan Pietraszek nie zatrudnia Żydów nawet na stróżów, choć w zakładzie rymarskim pracuje setka osób. Danka Kozłowska będzie sobie wyrzucać jedynie to, że w piątek, wracając z dziećmi po szkole, stukała w szyby żydowskich domów, gdy wewnątrz się modlili.

Gospodynie wymieniają się jeszcze przepisami na śledzia po żydowsku, ale w Warszawie na uniwersytecie i na politechnice po akcji wyciągania z zajęć i bicia studentów o semickim wyglądzie oraz podłożeniu petardy studenci Żydzi nie czują się już bezpiecznie. Usuwanie Żydów nazywane jest „walką o prawdziwe oblicze architektury polskiej”. To zwycięstwo tych, którzy – jak się wtedy mawia o hajlowaniu – mają „rękę wyciągniętą na »dotąd olejno«”. W lipcu 1939 roku jeden z członków władz Stowarzyszenia Architektów tłumaczy, że eliminacja kulturowych pierwiastków żydowskich jest konieczna dla ochrony pierwiastków polskich i „stwarza podstawę do wytworzenia nowej specyficznej architektury Polski współczesnej, która przez swą twórczą odrębność wzbogaci naszą ekspansję kulturalną”¹⁴¹.

Poranek 13 maja 1937 roku w Brześciu jeszcze jest najzwyczajniejszy na świecie. Posterunkowy służby śledczej Stefan Kędziora udaje się na rynek w poszukiwaniu mięsa z nielegalnego uboju. Kilka tygodni wcześniej jego przełożony dał bowiem do zrozumienia, że z pracy policji jest niezadowolony. Miejska rzeźnia przynosząca miastu dochód boryka się z nielegalną konkurencją. Kędziora zna miejsca, gdzie w chlewach, a czasem nawet w mieszkaniach, jedna grupa zajmuje się uśmiercaniem i rozbieraniem mięsa, druga ochroną bram – by utrudnić policjantom wejście. Żydzi często odgrają się konfiskującym, rzucają w nich kamieniami. Ale tego, co za chwilę nastąpi, policjant z pewnością się nie spodziewa. Rekwiruje mięso żydowskiemu rzeźnikowi, przyzywa dorożkę. Pakuje dowód winy, pochyla się, a wtedy dostaje cios w plecy. Po czterdziestu minutach umiera. Sprawcą okazuje się syn rzeźnika Welwel Szczerbowski. Przed sądem nie jest pewne nawet to, czy ma siedemnaście, czy już osiemnaście lat. Zostaje skazany na powieszenie. Zanim jednak sprawiedliwości stanie się zadość, tuż po zabójstwie w mieście wybuchają zamieszki.

„Niedaleko od nas Żyd, zresztą całkiem sympatyczny, miał sklep spożywczy i sklep z alkoholem. Wyłamali kraty, a butelki tłukli o bruk. Potem zaczęli rabować” – opowiada Swarcewicz. Naprzeciw domu Pietraszków dzieci widzą, jak banda wybija okna w pracowni żydowskiego fotografa. Grzybińscy zamykają się, gdy udeptaną ulicą naciera rozwrzeszczany tłum, który niszczy wszystko. „Sąsiadka – Żydówka – przyszła prosić, by mama dała jej święty obraz, chciała go powiesić na balkonie. Dużo krzywdy wtedy zrobiono” – mówi Grzybińska. Dopiero trzeciego dnia do Brześcia przyjeżdża policja z Golędzinowa i robi porządek.

Po maju 1937 roku dwa światy żyją w jeszcze większym oddaleniu. W Brześciu są dwa kina żydowskie, ale polska młodzież nie może do nich chodzić. Nauczyciele dyżurują, by nikt nie złamał zakazu.

„Od dni tych Polacy, bez względu na stan i pochodzenie, pracują w Brześciu zgodnie nad unarodowieniem miasta, zaczynając od handlu”¹⁴² – pisze z nieukrywaną aprobatą przybyły do Brześcia na rekonesans autor artykułu w „Kurierze Bydgoskim”.

Poza tym wszystko wydaje się takie jak dawniej. Żony urzędników cieszą się z pomysłu Rady Miasta, by wybudować hale targowe. Miasto chce wziąć na to pożyczkę. W Ubezpieczalni Społecznej powstaje zakład naświetlania promieniami radu. Do tej pory z jego „dobroczyńnych skutków” mogli korzystać

tylko najzamożniejsi, których i tak stać było na wyjazd do stolicy. Doktor Władysław Milewicz, ginekolog, dyrektor Szpitala Świętego Józefa, zostaje senatorem z Poleskiego.

A w Warszawie architekt Barbara Brukalska pyta, czy starczyło czasu na „wymiecenie śmieci spod szafy”. Używa hasła angielskiej reformy mieszkaniowej, zachęcającej do likwidowania miejsc zaniedbanych, co prowadzić ma do całkowitego uzdrowienia miasta¹⁴³. W Brześciu szczerą odpowiedź brzmi: nie. „Róg Mickiewicza i Steckiewicza siedliskiem brzeskich szumowin”¹⁴⁴ – alarmuje prasa. Sprawa „zapaskudzenia jednej z najładniejszych ulic Brześcia” jest przedmiotem troski. „Tolerowanie w śródmieściu jakiejś giełdy demoralizacji i przestępstw jest niezrozumiałe”. Władze nie chcą się zgodzić na posterunek policji w tym miejscu. „I dzieją się tam dziwne rzeczy: wiadomej konduity dziewice obrzydliwie wdzięczą się do przechodniów, świat przestępczy urządza tam swoje dintojry – a policja nic, jakby jej w mieście nie było”¹⁴⁵.

Nadchodzi rok 1939. W marcu powołują do służby Romana Peszkowskiego. Przywdziewa mundur z peleryną. Kierscy są zachwyceni. Po mieście snują się powołani rezerwiści. Inżynier Kozłowski chce, by córka studiowała we Lwowie farmację. Skoro nie będzie architektem – nie umie rysować – powinna mieć zawód, który wszędzie się przydaje, bo Syberia jako miejsce zsyłki nadal jest brana pod uwagę. Latem Władysław Sroka wyprowadza się z rodziną z Brześcia do Białej Podlaskiej. Ludzie robią zapasy żywności. Peszkowski przynosi maski przeciwgazowe, a Kierscy niezdarnie uczą się ich używać. „W mieście rozklejone są plakaty z wizerunkiem marszałka Rydza-Śmigłego na tle kolumny czołgów, nad nimi samoloty. Wszędzie napisy: »Silni, zvarci, gotowi«. Wojskowi, jak słyszę w domu, pełni są bojowego ducha, wierzą w naszą kawalerię, w dzielność żołnierzy”¹⁴⁶ – zanotuje w pamiętniku Halinka Kierska. Jej ojczym codziennie jeździ ciuchcią do Twierdzy. Zostaje dowódcą obrony przeciwgazowej.

W sierpniu 1939 roku urządza przyjęcie, zaprasza podkomendnych oficerów. Po kolejnym toaście za zwycięstwo umawiają się 9 września na kolację w Królewcu. Halinka zapamięta jednego z gości, syna właściciela warszawskiego nocnego lokalu Paradis, który zaprasza obecnych z okazji zwycięstwa. Zapisuje w pamiętniku:

Daty wprawdzie nie ustalono, ale lokal ma być na całą noc zamknięty dla obcych, kuchnia i kelnerzy tylko do naszej dyspozycji. W zwycięstwo nasze wcale nie wątpię. Obawiam się tylko, czy mnie na tę uroczystość zabiorą, bo jakby nie było, mam dopiero 14 lat. A chciałabym tam być¹⁴⁷.

*

Na peronie w Brześciu wysiadamy czterdzieści minut później, niż przewiduje rozkład, a cofamy się w czasie o ponad czterdzieści lat. Żadnego chaosu, porządek. Budynek dworca, tak dobrze znany z przedwojennych zdjęć, wygląda jak aktor w scenicznym przebraniu. Wystrojony w ozdobniki klasycyzmu stalinowskiego z wieżą i gwiazdą na czubku, gzymsami, a jakby tego było mało, z tablicą wmurowaną przy peronie na cześć Włodzimierza Iljicza Lenina udekorowaną sztucznym wieńcem. Dworzec „obecny wygląd uzyskał podczas przebudowy w latach 80. XX w. To jeden z ładniejszych dworców na Białorusi”¹⁴⁸ – czytamy w przewodniku. Wychodzimy wiaduktem do miasta, prosto na reprezentacyjną ulicę Lenina (dawna Unii Lubelskiej). Mijamy pięknie zachowany bank, niepolski, dochodzimy do budynku urzędu wojewódzkiego – trzyma się znakomicie, zmienił jedynie flagę. Na placu, gdzie kiedyś przyjmowano defilady, pręży się na postumencie Włodzimierz Iljicz Lenin. Otacza go okolicznościowa wystawa: zdjęcia robotników w kaskach i kłosów zboża, wśród nich portrety przodowników pracy. Lenin oskarżycielskim gestem wskazuje fasadę stojącego naprzeciw kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego, zwanego polskim. Po pewnym czasie odkrywamy, że popiersie wodza rewolucji stoi w wielu miejscach, których byśmy o to nie podejrzewały, nawet w hotelu przy dworcu, bo właściciel uznał, że pomoże mu to ściągnąć rosyjskich klientów. W Kolonii Urzędniczej – najlepiej zachowanej ze wszystkich wybudowanych przed wojną – mieszka dziś brzeska klasa średnia. Mieści się tam też Muzeum Historii Brześcia, przechowujące uratowane kosztowności.

3 lipca to na Białorusi duże święto – Dzień Niepodległości. Przy kwitnących rogatkach stają flagi, grupy rekonstrukcyjne w mundurach KGB zatrzymują przechodniów i pytają: „Czy chcecie, żeby Polska wróciła?”. Nikt nie jest zainteresowany. Związek Polaków na Białorusi oraz redakcja „Ech Polesia” mieszczą się w kilku pokojach przy ulicy Moskiewskiej.

Kukułka

W mrocznej, stylizowanej na średniowieczną Sali Rycerskiej studenckiego konwentu Polonia błysnęły klingi. Ściany obwieszone zbrojami i tarczami. Potężny stół z tronującym u szczytu ciężkim fotelem misternie rzeźbionym w czarnym dębie. Na stole oprawna w czerwoną skórę księga praw konwentu i dwa skrzyżowane rapiery. Boczna ściana jaśniejąca od nowej farby położonej na plamę po krwi, która chlusnęła z szyi porucznika piechoty śmiertelnie ciętego pałaszem przez porucznika ułanów. Ledwie uchwytny męski odór piwa i wina pozostały po ucztach. Ulubione miejsce wileńskich pojedynków.

Walka trwała minutę, może dwie. Obaj mężczyźni krwawili. Prowadzący wydał okrzyk „Stać!”. Witold Hulewicz i Stanisław Cat-Mackiewicz odstąpili od siebie. Do rannych przyskoczyli sekundanci i lekarz. Zakończył się jeden z najsłynniejszych pojedynków II Rzeczypospolitej. Był październik 1934 roku.

Hulewicz przeprowadził się do Wilna w styczniu 1925 roku. Na ołówkowym portrecie naszkicowanym parę miesięcy wcześniej przez Romana Kramsztyka dwudziestodwuletni Witold ma twarz rozczarowanego pięćdziesięciolatka. Przeżył dwie wojny, nieudane małżeństwo i upadek swojej księgarni.

Litewskie miał tylko imię. Urodził się w majątku Kościanki w Wielkopolsce. Dom, przypominający szwajcarską willę, zaprojektował wuj jego matki Zygmunt Gorgolewski, twórca budynku opery lwowskiej. Matka, Helena z Kaczkowskich, patrząc, jak Witold gra na fortepianie, miała nadzieję, że chłopiec wyrośnie na drugiego Paderewskiego. Z trzema synami dużo czytała, szczególnie literaturę polską, zakazaną w Prusach. Chłopców trzeba było przenosić ze szkoły do szkoły, bo ciągle konspirowali. Kiedy w 1908 sejm pruski uchwalił ustawę o wywłaszczeniu Polaków, ojciec, pewien, że Kościanki jako pierwsze padną jej ofiarą, wysłał do synów dramatyczny list: „zamierzam bronić dostępu do mego domu z bronią w ręku”¹⁴⁹. Odpisali, że staną u jego boku. Przepisów nie wprowadzono. Ojciec zmarł, a majątek przejął najstarszy z braci.

W 1914 roku świeżo upieczoną maturzystę złapała Wielka Wojna. Musiał włożyć niemiecki mundur i walczyć we Francji. „Budowaliśmy wciąż telefony, nudna i ciężka praca, a pogoda była fatalna: mrozy, deszcz, wichry, śnieg i plucha. Teraz jestem znów na pozycji, 4 km za frontem i mam więcej czasu, bo

poza służbą przy aparacie i patrolami (które tu nie są tak częste jak nad Sommą) mogę siedzieć przy piecu, z czego korzystam z całą rozkoszą”¹⁵⁰ – pisał do matki. Uważała te listy za piękne, część wysyłała do druku w gazetach.

W okopach Witold nucił *Trubadura*, potem grzejąc się przy piecu, przetwarzał okropności wojny na egzaltowane wiersze zebrane w tomik *Płomień w garści*. Któregoś dnia wyszperał w księgarni polowej książkę Rainera Marii Rilkego o Auguście Rodinie. Wpadł w zachwyt i napisał do poety list z prośbą o zgodę na przetłumaczenie książki na język polski. Tak zaczęła się ich wieloletnia znajomość.

Dla zachodnich Europejczyków wojna skończyła się w listopadzie 1918 roku. Witold ledwie dotarł do domu, a już w grudniu razem z braćmi przystąpił do powstania wielkopolskiego, po czym został zmobilizowany w związku z wojną polsko-bolszewicką i wyznaczony na redaktora „Wiedzy Technicznej”. Mundur zdjął na dobre dopiero w 1921 roku.

W międzyczasie, w 1919 roku, zapisał się na studia – na filozofię i muzykologię. Zamieszkał z matką w Poznaniu i w przerwach między obowiązkami wojskowymi biegał na zajęcia uniwersyteckie. Otoczony służbą panicz z dużego domu w Kościankach, które właśnie bankrutowały z powodu eksperymentów wydawniczych brata, teraz wylądował w trzypokojowym mieszkanku. Skromne potrawy gotowała osobiście matka, obywali się bez służącej. Znosili to pogodnie.

Któregoś dnia 1920 roku Witold wybrał się do Warszawy i odwiedził bankiera Stanisława Karpińskiego, potomka Konstancji Gładkowskiej – pierwszej miłości Chopina. Anna, córka Karpińskich, całkiem straciła głowę dla wysokiego bruneta w mundurze. Ślub odbył się jeszcze tego samego roku w małej kapliczce przy ulicy Wilczej. Potem wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak przewidywali niechętni temu małżeństwu rodzice Anny. On, zaganiany literat bez pieniędzy, był wiecznie nieobecny. Ona, bankierska córka, nie umiała skromnie prowadzić domu i cierpliwie czekać na męża. Witold pisał dla „Wiadomości Literackich” i objeżdżał kraj z Ireną Solską. Solska recytowała wiersze nieznanego nikomu niemieckiego poety Rilkego w przekładach Hulewicza, on dawał odczyty. W marcu 1924 roku przyjechali do Wilna, pełni strachu, że sala będzie pusta. Gospodarzem spotkania był Ferdynand Ruszczyc, wybitny malarz i niekoronowany król „tutejszych” artystów. Zajmował mieszkanie po ojczymie Słowackiego Auguście Bécu (stąd młodziutki Juliusz biegał do gimnazjum i na

uniwersytet). Wieczór Rilkego udał się znakomicie. Gospodarz pisał do żony: „Przyjechał Hulewicz, człowiek bardzo sympatyczny i w dobrym guście”¹⁵¹. Hulewicz wrócił do Warszawy zachwycony wilnianami – „jedynym w Polsce tak cudownym bractwem”¹⁵². Wilno umiało czarować nieznajomych.

Kiedy Hulewiczom urodziła się córka Agnieszka, w domu młodych zjawily się obie babcie, a każda z innymi poglądami na wychowanie dziecka. Przenosiny do Warszawy tylko pogorszyły sprawę. Księgarnia, którą założył w stolicy Witold za pieniądze teścia bankiera – ten właśnie został prezesem Banku Polskiego – nieuchronnie zbliżała się do bankructwa. Przed kłopotami Hulewicz uciekł do Paryża pod pretekstem wywiadu z Paulem Valérym, potem kręcił się w kolonii polskich artystów. Stamtąd, złapany na haczyk wileńskiego czaru, napisał podanie o pracę w Wilnie w Oddziale Sztuki Urzędu Wojewódzkiego. Spędził dwa dni u Rilkego w Szwajcarii.

Opuszczona i rozgoryczona Anna poznała opiekuńczego dżentelmena, pojechała do Wilna, zmieniła wyznanie, po czym wzięła z nim ślub. Dzięki znanemu w całej Polsce zborowi kalwińskiemu przy ulicy Zawalnej ultrakatolickie Wilno masowo produkowało konwertytów i rozwodników. Zamieniali Boga katolickiego na kalwińskiego głównie po to, żeby zmienić żonę lub męża. Hulewicza nie było w domu cztery miesiące. A gdy wrócił, dowiedział się, że jego żona nie jest już jego żoną. „Wpadł w gniew i zapragnął mieć przy sobie chociaż dziecko. Skoro ona wyszła za mąż za kogoś innego, niech sobie rodzi nowe dzieci”¹⁵³ – wspominała Agnieszka. Sąd przyznał opiekę ojcu. Hulewicz spakował manatki i ruszył do Wilna: właśnie przyszła pozytywna odpowiedź na podanie o pracę.

*

Wileński dworzec położony z boku miasta witał przybyszów tłumem zwoszczyków zwabionych przyjazdem porannego pociągu z Warszawy. Droższe dorożki miały balony, czyli opony, tańsze niemiłosiernie trzęsły, sunąc na drewnianych kołach po kocich łbach. Wszystkie były ciągnięte przez konie, których karki otaczała, niczym aureola, drewniana duha. Panował rwetes co niemiara. „Proszę siadać, panoczku, jedzim, panie, jedzim, dokąd jaśnie pan ma życzenie”.

Kto nie miał ni grosza przy duszy, wędrował na piechotę. Najprostsza droga do centrum szła przez Ostrą Bramę, ale kto się pomylił, lądował na pobliskiej ulicy Szopena. Ta dostała nazwę wcale nie na cześć Fryderyka, bo on, choć pisał ładną muzykę, nie był stąd, ale po Szopenach, wielkich wileńskich browarnikach. Wilno najwyżej ceniło swoich.

Krótko przed przyjazdem Hulewicza miasto zelektryzowała nowinka techniczna: pigutek! Ochrzczony od nazwiska swego twórcy tramwaj spalinowy kursował z placu Katedralnego na Antokol zaledwie dwa lata. Nic dziwnego, skoro jak donosiło z uroczystej inauguracji „Wileńskie Jutro”: „W tramwaju, którego kierowcą został sam inżynier Pigutkowski, usiedli wszyscy członkowie magistratu razem z prezydentem Jankowskim. [...] Zatrzymać się przyszło zaledwie dwa razy: pierwszy raz – gdy się zepsuł silnik, zaś po raz drugi – gdy wagon zszedł z szyn”¹⁵⁴. Hulewicz nie jechał jednak na Antokol, tylko do pokoików na poddaszu na Jagiellońskiej, więc pozostawało mu zapakować się do fiakra, mającego tę przewagę, że nie schodził z szyn.

Dla przybysza z poukładanej Wielkopolski historia wileńskich autobusów musiała być nie mniej zdumiewająca niż eksperymenty z tramwajami. Firm autobusowych miało Wilno siedemdziesiąt siedem, prawie tyle, ile autobusów, bo tych było sto dziesięć. Szczytne plany połączenia się w jedną spółkę nie powiodły się, nie udało się zbudować nawet wspólnych warsztatów i każdy reperował swój autobus na własnym podwórku. Nigdy nie było wiadomo, o której taki przyjedzie, o której odjedzie i dokąd zawiezie. Rzec by można po wileńsku: „Siedzimy my, siedzimy – a autobus wszystko świszczy. Musi dziś nie dojedź”. Dopiero w latach trzydziestych pojawiła się regularna komunikacja autobusowa – polsko-szwajcarska firma Arbon wygrała przetarg, a wilnianie natychmiast ochrzcili swoje autobusy „arbonami”.

Niezrażony brakiem tramwajów i autobusów Hulewicz ściągnął do siebie czteroletnią córeczkę i matkę zwaną w rodzinie Babetką. Prosto z pociągu pojechali pomodlić się pod Ostrą Bramę. Byli oczarowani miastem. Witold zapisywał swoje zauroczenie w tomie wierszy *Miasto pod chmurami*. Pisał:

Ty na przybysza z góry spojrzysz
i każesz stać.
Jeśli wytrzymał twój wzrok twardy,
jeżeli nisko schylił kark pod Ostrą Bramą,

wtedy go wiedziesz w środek grodu¹⁵⁵.

Bo Wilno się wiodło z jaśnie oświeconych i herbowych, którzy niegdyś sami wybierali sobie królów. Było kwintesencją sarmackiej Litwy: wsobne, lubujące się w parantelach, hierarchiczne. Każdy wiedział, kto kogo rodzi, znał imiona prababek sąsiadów i chronologię ich kochanków. Świetne nazwiska były częścią historii domowej. Konfiskaty po powstaniach, a potem zniszczenia I wojny i nowe granice, za którymi przepadły majątki, zrujnowały tutejszy *faubourg*. Zniknęły wystawne bale i arystokratyczne Achy – wileński odpowiednik krakowskiego Zielonego Balonika – gdzie na scenie wnuczka Maryli Wereszczakówny płaśała w lansjerze z dwiema Platerównami („cała mniej więcej skoligacona Litwa spotyka się na sali: jedni na estradzie, drudzy na widowni”¹⁵⁶ donosił „Kurjer Litewski” w 1912 roku). Z nastaniem niepodległości zbiedniałe miasto zaroilo się od uciekinierów zza sowieckiej granicy. Wileński oddział Związku Polaków z Kresów Zakordonowych organizował dla nich co roku bal w hotelu George. Wśród wygnańców znalazły się takie znakomite pióra jak Michał Kryspin Pawlikowski z zamożnego dworu w Mińszczyźnie czy pracujący w policji ubogi zaściankowy szlachcic z okolic Bobrujska Florian Czarnyszewicz.

Faubourg okopał się w swoich zwyczajach, które były jak resztówka po wielkim majątku; dawały poczucie ciągłości i pozwalały rozkoszować się minioną świetnością we własnym gronie. Minioną, bo czasy nastały demokratyczne. W Sejmie obok potomków kanclerzy wielkich litewskich zasiadali chłopci, drobni mieszczaństwo, Żydzi i Bóg wie kto jeszcze, a państwo szarpało się z reformą rolną, bardzo kosztowną i dla skarbu, i dla ziemian.

Wilno zbudowali ich sarmaccy przodkowie. Miasto wciąż żyło w pałacach. Szpital na Antokolu w przepysznym niegdyś, barokowym pałacu Sapiehów. Poczta główna w pałacu Radziwiłłów. Więzienie wojskowe w pałacu Słuszków. Biura wojskowe w pałacu Paców. Starostwo Grodzkie w pałacu Oskierków. Część uniwersytetu w pałacu Massalskich. Bank Gospodarstwa Krajowego w rezydencji księżnej Michałowej Ogińskiej, gdzie udzielała w czasie I wojny reprimendy odwiedzającemu ją cesarzowi Wilhelmowi. A wszystkie one, odarte z dawnej świetności przez zawieruchy losu i niszczone architektonicznie przez Rosjan, rusyfikujących nawet mury, wyglądały niczym magnat w cudzej bieliźnie.

Faubourg był katolicki. Fundował kościoły i wystawiał sobie w nich okazałe grobowce lub po chrześcijańsku skromne płyty nagrobne z napisem: „Tu leży grzesznik”, jak to zrobił słynący z pychy Michał Kazimierz Pac w swoim kościele Świętych Piotra i Pawła na Antokolu. W kościele Dominikanów pod wezwaniem Świętego Ducha przekwitające rokoko wnętrza prowadziło do wirydarzy klasztornych, skąd schodziło się do olbrzymiego podziemia, gdzie niczym w krypcie kapucynów w Palermo można było za piętnaście groszy oglądać, jak „cały sejmik wyschłych na kość szlachciców spał snem twardszym niż popici szlachcice z Dobrzynia we dworze sędziego Soplicy”¹⁵⁷. Przetrwiała tu staropolska religijność. Michał Pawlikowski oddał ten klimat w powieści:

Tadeusz aż zaniemówił, gdy go pewna przystojna panienska wileńska spytała zniecka:

– W jakim kościele był pan w niedzielę na mszy świętej?

Trochę później ta sama panienska bardzo się zmartwiła, gdy się dowiedziała, że Tadeusz nie chodzi do spowiedzi i komunii. Tego rodzaju pytania i zmartwienia były w Mińsku nie do pomyślenia¹⁵⁸.

Faubourg szczególnie upodobał sobie kościół Świętego Jerzego, co przyciągało ciekawską młodzież. Czesław Miłosz pisał o nim: „Był to kościół uczęszczany przez tzw. dobre towarzystwo. Po wyjściu z niego odbywała się defilada na deptaku. Oficerowie salutowali, mecenasowie i doktorzy rozdzielali ukłony, kobiety pokazywały swoje uśmiechy, futra i kapelusze”¹⁵⁹.

Od Świętego Jerzego wystarczyło przejść parę kroków na ulicę Mickiewicza, żeby zajrzeć do najwykwintniejszej kawiarni wileńskiej, czyli Czerwonego Sztralla. Dla podkreślenia swej pozycji trzymała ona jako szatniarza jedyne w Wilnie Murzyna. Nazwę wzięła od nazwiska właścicieli i od czerwonego pluszu, którym obito krzesła. Goście wędrowali wzdłuż wielkiej lady, kontemplując ozdobne torty i ciasta. Lody podawano w srebrnych pucharkach. Latem na tyłach wyrastał ogródek, gdzie wśród drzew owocowych wisały kolorowe latarnie, a pomiędzy drewnianymi stolikami płynęły dźwięki muzyki granej na żywo przez orkiestrę. Sztrallowie mieli fabrykę czekolady i prowadzili jeszcze dwie kawiarnie: Zielonego Sztralla i Białego Sztralla.

Miał jednak *fauborg* miejsca tylko dla siebie. Bywał w nich Pawlikowski: „Po staremu latem chodziło się na obiad do lokalu letniego Klubu Szlacheckiego u podnóża Góry Trzykrzyskiej, którą starzy Wilnianie dawnym nawykiem

nazywali Górą Klubową”¹⁶⁰. Klub Szlachecki w Wilnie, do dziś owiany tajemnicą, zamykał się przed obcymi. Ulubionym hotelem wileńskiej socjety był George, czyli po prostu Żorż, zaprojektowany przez swojego pierwszego właściciela hrabiego Tadeusza Marię Rostworowskiego.

Żorż był bowiem restauracją naprawdę familijną i panował w niej duch miłego rodzinnego plotkarstwa. Zjawienie się nieznanego przybysza – najczęściej osoby przyjeżdżającej na rozwód kalwiński przy ulicy Zawalnej – witano ożywionym szmerem zaciekawienia. Gdy nie było pieniędzy na zapłacenie za posiłek, rachunek podpisywano, po czym kelner zawieszał go na haku za kasą. Stąd jadenie u Żorża na kredyt nazywało się jedzeniem „na hak”¹⁶¹.

Faubourg znaczy po wileńsku „żubr”. Bo tu wciąż była Litwa. Nie ta maleńka, ze stolicą w Kownie, gdzie litewskość wyznaczała chłopska mowa. Tutaj trwał sen o Wielkim Księstwie Litewskim złączonym z Koroną w jedno mocarstwo, gdzie można przysięgać na wierność Najjaśniejszej w dowolnym języku, bić Moskala i rozkoszować się republiką. Marzenie piękne, ale nierealne w obliczu rozkwitających nacjonalizmów. Utraconego czasu nie udało się odnaleźć. Tych, co go poszukiwali, nazywano krajowcami.

Wysłannikiem do publiczności zapadłych w pałacach żubrów był redaktor naczelny wileńskiego „Słowa” Stanisław Cat-Mackiewicz. Stanowił on mieszankę błyskotliwego inteligenta z litewskim Sarmatą. Chłubił się: „I tak po mieczu i po kądzieli mam tylko litewską krew w żyłach”¹⁶². Pochodził z drobnej szlachty. Dziadka zesłano na Syberię po powstaniu styczniowym. Ojciec zaczął niczym Wokulski jako subiekt, a po latach prowadził z sukcesem własny skład win w Petersburgu. Tam urodził się w 1896 roku Stanisław. Wychowany w częściowo kupieckim domu, stał się – być może z nostalgii – piewcą odchodzącego szlacheckiego świata. „Dzielę tę psychologię na szlachecko-militarną i mieszczańsko-kupiecką” – pisał w *Myśli w obcęgach*. Nosicielką tradycji „szlachecko-militarnej” i osobą wszechstronnie wykształconą była matka. Nie przepadała za kolegami męża – brodatymi kupcami z różnych stron Rosji, którzy delektując się gorącym czajem, z lubością sapali i wycierali chusteczką zapocone czoła.

Przed I wojną rodzina przeprowadziła się do Wilna i tutaj też zmarł ojciec. Stanisław ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Stefana Batorego

w 1924 roku. Pierwszy raz sięgnął po pióro po śmierci uwielbianego Sienkiewicza i wydał *Studium o Sienkiewiczu*. Na wojnę poszedł dopiero wtedy, kiedy sam miał na to ochotę – w marcu 1919 roku. Wstąpił do samoobrony zorganizowanej przez ziemian po odejściu wojsk niemieckich w celu ochrony ziem wschodnich przed bandytami i bolszewikami. Mówiono, że to ostatnie pospolite ruszenie na Litwie. Mackiewicz zaciągnął się do oddziału słynnych zagończyków braci Dąbrowskich. Jerzy, niski, drobny, na pałkowatych nogach, zwany „Łupaszka” z powodu wyłupiastych wskutek choroby oczu, już za życia przeszedł do legendy.

Grudniowy, brudny śnieg na placu na Łukiszkach w Wilnie. Przed gmachem sądów, na tle dominikańskich murów św. Jakuba kilkuset konnych w podwójnym szeregu. Każdy inaczej ubrany, inaczej uzbrojony, niedobre konie, siodła. Przed nimi osadza na zadzie pięknego kasztana Jerzy Dąmbrowski. I wali przemówienie, w czterech słowach: „Chłopcy! Ojczyzna! Bolszewicy! Takichmać!” – „Od prawego trójkami – stępa – marsz”¹⁶³

– wspominał po latach jeden z uczestników. Ramię w ramię ze Stanisławem walczyli książę Czetywertyński, późniejszy książdz Walerian Meysztowicz, młodszy brat Stanisława Józef, jego przyjaciele: hrabia Jan Tyszkiewicz oraz książę Eustachy Sapieha, młodziutki Witold Pilecki i cała masa drobniejszych ziemian, szlachty zagrodowej i chłopów. Tak jak Kmicic podchodził Chowańskiego, tak kresowi panowie szarpali bolszewickie oddziały od Wilna po Polesie. Wojenne doświadczenia pozostały bez echa w twórczości Mackiewicza. Jakby był głuchy zarówno na grozę, jak i na urok wojny, podobnie jak był głuchy na muzykę.

Wandę Krahelską – kuzynkę Krystyny Krahelskiej, warszawskiej Syrenki – Mackiewicz znał od dziecka. Krahelscy też mieszkali w Petersburgu, choć każde lato spędzali w rodzinnej Ułasowszczyźnie na Grodzieńszczyźnie. Kiedy się zakochał? Czy rzeczywiście w 1914 roku próbował się zastrzelić z jej powodu, jak głosi legenda? Miał wtedy osiemnaście lat, a ona dwanaście... Na początku 1919 roku dowiedział się, że Wandę z sukcesem adoruje Czesław Świrski z książęcego rodu litewskiego, przyjaciel Piłsudskiego opromieniony legendą wieloletniej katorgi po akcji pod Bezdunami. Mackiewicz natychmiast ruszył do ataku. Wanda Krahelska pisała:

Nazajutrz przyszedł, a był to styczeń 1919-tego roku, z ogromnym bukietem najpiękniejszego białego bzu. Jak zadzwonił, ja otworzyłam drzwi, a on mi ten bez rzucił do stóp, to zrobiło na mnie wrażenie, muszę przyznać. Potem ciągle przychodził i czarował, a potrafił to robić, któregoś dnia przyszli razem ze Świrskim. Świrski zrobił mi ordynarną scenę zazdrości, za co tak się oburzyłam, że nie chciałam na niego więcej patrzeć. Nie wiedziałam jeszcze, że scena zazdrości Świrskiego była kaszką z mlekiem w porównaniu ze scenami zazdrości Stasia¹⁶⁴.

Ślub wzięli w lutym 1920 roku w katedrze Świętego Jana w Warszawie. Rok później przysłała na świat Basia, po czterech latach – Oleńka. Zamieszkali w kamienicy nad Wilią przy ulicy Zygmuntowskiej 6, należącej do Jana Tyszkiewicza, przyjaciela Cata i towarzysza z oddziału Dąbrowskich. Tyszkiewicz i paru innych żubrów założyli dziennik „Słowo”, powołując Mackiewicza na wydawcę i redaktora naczelnego.

Mackiewicz, konserwatysta i „ostatni polski monarchista”, uważał, że „Polska potrzebuje monarchii dla przeciwstawienia się psychicznego destrukcyjnej zachłanności psychiki bolszewickiej”¹⁶⁵. „Słowu” udało się uzyskać status gazety czytanej w całym kraju, a jednocześnie czuło się ono reprezentantem wilnian we wszystkich sprawach lokalnych. Mackiewicz, sympatyzujący z krajowcami, ściągnął do redakcji doskonałego dziennikarza, współtwórcę partii krajowców i byłego posła do Dumy Czesława Jankowskiego. Jankowski był tutejszy. Pochodził z Oszmiańszczyzny, której poświęcił książkę. Mackiewicz bardzo szanował starszego o czterdzieści lat kolegę, z opinią Jankowskiego liczyło się też całe Wilno.

Stanisław słynął z zamiłowania do słodczy kobiecego ciała, kuchni litewskiej i pieniactwa. Nieustannie się procesował i pojedynkował. Pewnie niemało przyczynił się do sukcesu Wilna, jeśli chodzi o palmę pierwszeństwa w liczbie pojedynków w II RP. Kiedy udawał się na ubitą ziemię, uwielbiał robić z tego teatr. Mawiał do Wandy: „Przygotuj w pokoju jadalnym stół na kolację dla kilku osób, jeśli wygram. W łazience miednicę z wodą i bandażę, gdybym został ranny. I katafalk w salonie na wypadek mojej śmierci”¹⁶⁶.

Jako prawdziwy Sarmata im bardziej grzeszył, tym bardziej potrzebował Kościoła, konserwatywnego i potężnego. Krótko przed śmiercią w liście do zaprzyjaźnionego Pawlikowskiego napisał o II Soborze Watykańskim: „Zresztą przeżyłem w życiu dwa nieszczęścia ludzkości. Pierwsze to była rewolucja

rosyjska, zamiana liberalnego ustroju Holstein-Gottorpów na ustrój Iwana Groźnego, a drugie nieszczęście to Sobór obecny, czyli koniec, *finis* Kościoła katolickiego”¹⁶⁷.

Swoje teksty podpisywał pseudonimem Cat, ostrzegając w ten sposób świat, że ma do czynienia z Kiplingowym kotem, który chadza własnymi drogami. Codziennie widywano jego tęgą postać, jak z rozwianymi połami płaszcza wędruje na piechotę do redakcji, czasem wstępując na małą kawę do leżącej po drodze kawiarni Rudnickiego, gdzie spotykali się dziennikarze, pisarze i artyści. Wchodziło się w opary dymu papierosowego, gwar dyskusji i szelest gazet. Za kontuarem tuż koło drzwi niezmiennie stał właściciel, gruby i milkliwy pan Sebastian Rudnicki, z nieodłącznymi szczypczykami do ciastek w ręku.

*

Hulewicz od razu po przyjeździe do Wilna pobiegł na kawę do Ruszczyca, żeby konferować o założeniu nowego pisma. Miał już obiecaną rządową dotację i tytuł: „Tygodnik Wileński”, odwołujący się do założonego przez Lelewela słynnego poprzednika, w którym pisywał Mickiewicz. Marzenia były wielkie: „stworzenie poważnego organu dla Kresów i zaznajamianie Polski z Wileńszczyzną”¹⁶⁸. Do „Tygodnika” pisali Stefan Żeromski, Tadeusz Boy-Żeleński, Ferdynand Ruszczyc, Stanisław Przybyszewski. Ale Wilno miało już swoje gazety i nie było zainteresowane nowymi. Zanim „Tygodnik” padł, Hulewicz zaprzyjaźnił się ze swoim jedynym pracownikiem Tadeuszem Łopalewskim, pisarzem z Warszawy, czyli – mówiąc po wileńsku – reprezentantem „nabiegłego narodu”. Łopalewski do Wilna przyjechał tuż po zakończeniu wojny i już tu został. Lubił oprowadzać gości po mieście. Obowiązkowe były zwłaszcza kołduny zakrapiane „maciejówką” w Zaciszu na Mickiewicza 15, czyli u Macieja, bo tak ochrzczono jedną z najlepszych restauracji, serwującą litewską kuchnię. Wśród gości uwijał się Maciej Kiełmuć, właściciel, mężczyzna potężnej postury, z sumiastym wąsem i siwą głową, który zdaniem Łopalewskiego: „mógłby służyć Andriollemu za model do typów z *Pana Tadeusza*”¹⁶⁹.

Hulewiczowi brakowało w Wilnie dobrego teatru. Postanowił jakoś temu zaradzić. Pojechał do Reduty w Warszawie – jednego z najciekawszych polskich teatrów, w którym dyrektorował wielki Juliusz Osterwa – i zachwalał Wilno.

„Nadzwyczaj grzeczny w obejściu, doskonały rozmówca, prędko nawiązywał znajomości, a nawet przyjaźnie”¹⁷⁰ – zapamiętał Hulewicza jeden z aktorów. Miasto zrobiło wielkie wrażenie na Osterwie, a scenograf Iwo Gall „był zupełnie pijany Wilnem po jednej takiej wizycie”¹⁷¹. No i się udało. Osterwa, zwabiony obietnicami pieniędzy i oddania mu teatru miejskiego na Pohulance, zdecydował się na przeprowadzkę nad Wilię. Zatrudnił Hulewicza na stanowisku kierownika literackiego.

W ciągu kilku zaledwie miesięcy Witold zafundował miastu rewolucję: nowe pismo, teatr i założony razem z Czesławem Jankowskim wileński oddział Związku Literatów. Oniryczne miasto zapatrzone w swoją przeszłość spoglądało ze zdumieniem na energicznego przybysza, budującego mu nową przyszłość.

„Słowo” na wieść o przyjeździe Reduty dało entuzjastyczny wstępniak zatytułowany *Habemus papam!*. Artyści nie wiedzieli jednak, że Wilno wymaga od nich poświęceń, że ceni ducha, a gardzi pieniądzem. Jak pisał Ksawery Pruszyński, reportażysta „Słowa”:

Tak: w stosunku do kapłanów sztuki miało swoje wyraźne przykazania i nienaruszalne zakazy. Dwaj poeci z Wilna ustanowili zresztą niebezpieczne przykłady materialnej ascezy: Mickiewicz głodem przymierał, Syrokomla zaś, nieomal dosłownie, z głodu umarł. Jeśli taki był los owych wielkich, to czegoż mieli się domagać mniejsi i daleko mniejsi?¹⁷²

Kierownictwo Reduty nie miało wielkich wymagań, więc kiedy wpakowano aktorów na dłuższy czas do kiepskiego hotelu zamiast do obiecanego pałacu w Werkach, nie zrobiło awantury. Reduta spędziła nad Wilią cztery lata – udane artystycznie, ale trudne materialnie. Remont teatru na Pohulance bardzo się przeciągał, więc zespół ruszył na objazd miast i miasteczek kresowych. Ale kiedy okazało się, że nie ma pieniędzy na kolejne premiery, wrócił do Warszawy. Na następcę Osterwy Rada Miasta wybrała Aleksandra Zelwerowicza. Uciekł rozgoryczony po dwóch latach. Wilnu przydarzyło się to, co wielu kapryśnym pannom: po stracie dwóch wybitnych kandydatów do ręki trzeci już się nie pojawił.

W tym samym 1925 roku, kiedy Hulewicz zaczął sobie i Wilnu organizować nowe życie, nowe życie rozpoczęli też trzej wileńczanie. Bracia Samuel i Hirsz Chwolesowie razem z Nachmanem Lewinem zarejestrowali Towarzystwo Radiotechniczne „Elektrit”. W latach dwudziestych radio było zupełną nowinką techniczną. W 1924 roku po uchwaleniu przez Sejm ustawy zaczęły się zabiegi o koncesję, obfitujące w gwałtowne zwroty akcji. Odpadł zagraniczny faworyt, firma z dużym udziałem słynnej włoskiej firmy Marconi, a „Polskie Radio Spółkę z Ograniczoną Odpowiedzialnością” utworzyło konsorcjum składające się między innymi z państwowych sieci energetycznych. W całym kraju powstawały kluby „radioamatorów”, gazety drukowały ogłoszenia: „Nawet ostatni Mohikanie są już radioamatorami, a ty, niedołęgo?”. Toczyła się dyskusja o finansowaniu radia, założyciel Klubu „Radio-Kresy” w Nieświeżu Antoni Jerzy Bułhak nawoływał na łamach prasy do dobrowolnego opodatkowania się, żeby uniknąć przerw w programach z braku funduszy. Pojawili się piraci, nadający bez licencji. Koło Radioamatorów w wileńskim Gimnazjum imienia Zygmunta Augusta w 1926 roku zorganizowało dwa koncerty nadawane na próbę przez radio. Czy przyszedł na nie piętnastoletni uczeń tegoż gimnazjum Czesław Miłosz? W tym samym roku Polskie Radio rozpoczęło oficjalnie swoją działalność.

Kim byli Samuel, Hirsz i Nachman? Przeglądamy imiona i nazwiska wepchnięte drobniutkim drukiem między dziesiątki innych, zapisanych w księgach adresowych i tabelkach ze spisem urodzin i ślubów otrzymanych z Żydowskiego Instytutu Historycznego. Najbardziej intrygujące są „ogłoszenia wojewody wileńskiego w sprawie listy kolejności osób, obowiązanych do świadczeń na rzecz wojska w czasie pokoju (samochody, motocykle)”. Rozmowy telefoniczne z rozszanymi między Paryżem i Izraelem Chwolesami prowadzą w ślepy zaułek. Pewnej nocy nieoczekiwanie z otchłani sieci wyskakują dwaj wnukowie Samuela, mieszkający w Londynie. Poważni panowie z krainy ubezpieczeń. Powolutku doklejane do siebie strzępki informacji zaczynają się układać w szkic do obrazu z życia Chwolesów. Dla Nachmana Lewina mamy tylko ramę – urodziny i śmierć, portretu brakuje.

Wygląda na to, że wszystko zaczęło się na Śnipiszkach. Wilno jest jak Warszawa – to, co szacowne, leży po lewej stronie rzeki, a to, co mniej ważne, po prawej. Śnipiszki z lewobrzeżnym Wilnem łączy najstarszy wileński most Zielony, który przechodzi w ulicę Pióromont. Otrzymała ona nazwę od krajczego witebskiego Pióra. Kiedy zjechali do niego z wizytą Stanisław August z Adamem

Naruszewiczem, biskup poeta wpadł w zachwyt na widok skromnego, ale pięknie urządzonego drewnianego dworu: „Sam wszystkie kąty piękny gust odziewa / I czyni cuda z papieru i drzewa”. Na końcu ulicy rozciągał się ku Wilii najstarszy w Wilnie cmentarz żydowski zamknięty przez Rosjan w 1831 roku podczas budowy fortecy. W czasie kiedy dorastali Chwolesowie, stare nagrobki wciąż wystawały z trawy. Parowy tartak, młyn i olejarnia przy ulicy Pióromont 6 należały do F. i Ch. Chwolesów. Tak mówi książka telefoniczna z 1939 roku. I dodaje jeszcze skład drewna na innej ulicy. Nie wiemy, kim jest F., ale Ch. to Chaim, mąż Rejzy i ojciec Zachariasza, Samuela, Hirsza, Aleksandra i córek Sofii i Olgi.

Samuel studiował w Belgii na wydziale elektrotechnicznym, jak wspomina jego londyński wnuk. Na początku I wojny światowej zgłosił się na ochotnika do armii belgijskiej i dostał się do niemieckiej niewoli. Najprawdopodobniej otrzymał potem honorowe obywatelstwo belgijskie. Nie był religijny i to ułatwiło mu ożenek z Rosjanką Bertą Angrest. Berta pochodziła z Orła, jej ojciec dzierżawił armii carskiej należące do niego tereny i żył z tego dostatnio. Być może znalazła się w Wilnie, sporym ośrodku białych Rosjan, uciekając przed rewolucją bolszewicką. W domu Samuela mówiło się więc i po polsku, i po rosyjsku. W styczniowy dzień 1923 roku urodził się Borys, jedyny syn Samuela i Berty. Nigdy nie nauczył się mówić w jidysz, języku dziadków.

Hirsz też musiał skończyć studia techniczne, skoro mówi się o nim jako o panu inżynierze. W 1925 roku Samuel miał trzydzieści dwa lata, Hirsz i Nachman byli młodsi. Swoje Towarzystwo Radiotechniczne „Elektrit”, czyli sklep, ulokowali przy ulicy Wileńskiej pod numerem 24. Sprzedawali zagraniczne odbiorniki, warsztat był na zapleczu. Radia psuły się wówczas często albo gubiły fale i ciągle trzeba je było przestrajać, więc interes zapowiadał się obiecująco. Chwolesowie z domu do pracy mieli zaledwie parę kroków. Wystarczyło przejść Zielony Most, przeciąć ulicę Mickiewicza, minąć dużą, dwupiętrową kamienicę z wykuszami, czyli szkołę muzyczną, do której kiedyś uczęszczał Jasza Haifetz, i za chwilę wchodziło się do Elektritu.

*

Nie minęło parę miesięcy od przyjazdu Hulewicza, gdy znowu wsadził nos w wileńskie sprawy, na dodatek nieco dla miasta wstydlive. Chodziło o budowę

pomnika Mickiewicza. Pierwsze próby podjęli wilnianie z Czesławem Jankowskim na czele w 1905 roku. Nie dostali pozwolenia władz rosyjskich, co zabolalo ich tym bardziej, że przed rokiem stanął na placu Katedralnym pomnik Katarzyny II, a wcześniej, przed dawnym pałacem Rzeczypospolitej, pomnik Michaiła Murawjowa zwanego Wieszatkiem. Rosjanie, opuszczając miasto w roku 1915, przezornie zabrali oba monumenty, które wielokrotnie padały ofiarą polskich figłów takich jak wysmarowanie Murawjowa smalcem, w wyniku czego stał się on obiektem adoracji wszystkich psów z okolicy. W 1920 roku uciekający bolszewicy zniszczyli na placu Orzeszkowej, położonym przy ulicy Mickiewicza, kapliczkę postawioną na cześć carskich żołnierzy tłumiących powstanie styczniowe. Pusty plac wydawał się idealnym miejscem na pomnik Mickiewicza.

Po odzyskaniu niepodległości sprawą zajął się garnizon wojskowy i szybko zamówił monument u Zbigniewa Pronaszki. Krakowski artysta przygotował ogromną, kubistyczną makietę rzeźby ustawioną w 1924 roku na prawym brzegu Wilii. Wilno zawrzało. Według Łopalewskiego wieszcz wyglądał, jakby się namyślał, czy przejść przez wodę i wsiąść do czekającego na placu Katedralnym pigutka. Poza tym „Naszego Mickiewicza w naszym Wilnie zmajstrował przybysz, »galileusz«”¹⁷³. Wojsko niewiele sobie z tych narzekań robiło. Rozzłoszczony Czesław Jankowski odegrał się w „Słowie” złośliwym felietonem. Polemizował z nim Hulewicz w swoim „Tygodniku Wileńskim”, broniąc kubistycznej rzeźby.



12. Odślonienie makiety pomnika Adama Mickiewicza według projektu Zbigniewa Pronaszki.
Józef Piłsudski po złożeniu wieńca, Wilno, 1924, fot. Jan Bułhak

Źródło: NAC

Skoro nie udało się skłonić wojska do kapitulacji, wilnianie postanowili zrobić własny pomnik. W 1925 roku jury ku zaskoczeniu wszystkich znów wybrało pracę „nietutejszego” – zafascynowanego sztuką prekolumbijską Stanisława Szukalskiego. Afera wybuchła podczas wystawy projektów, kiedy wilnianie na własne oczy zobaczyli swojego wieszczą w wersji azteckiej. Nie pomogło wielkie spotkanie laureata z inteligencją wileńską. Obie strony nakrzyczały na siebie i poszły do domu, a Wilno znów zostało bez Adama. Hulewicz po raz kolejny stanął w opozycji do „Słowa” i bronił Szukalskiego.

W 1931 roku, kiedy kurz po poprzedniej awanturze nieco opadł, powołano kolejny Komitet Budowy Pomnika Adama Mickiewicza. Tym razem przewodniczącym został „tutejszy” generał Lucjan Żeligowski, który zajmował się propagowaniem produkcji lnu na Wileńszczyźnie. (Melchior Wańkowicz pisał o nim: „A generał w lnieniu; portki i koszula, krawat i kapelusz, sukienka służącej i obrus, portiere i serwetki – wszystko lniane. W ta pora generał o lnieniu, tylko

o Inie mówić”¹⁷⁴). Hulewicz, wówczas już ważna postać wśród wileńskich luminarzy, został członkiem zarządu i przewodniczącym sekcji propagandy Komitetu. Wybrano elegancki i klasyczny projekt Kazimierza Kuny. Obyło się bez protestów. Nawet „Słowo” było za.

*

W roku 1927 Rada Zarządzająca Polskiego Radia podjęła decyzję o budowie w Wilnie piątej regionalnej stacji radiowej. Na sam nadajnik radiowy, i to o stosunkowo niewielkim zasięgu, potrzeba było, bagatela, miliona złotych! Całą inicjatywę prasa wileńska przyjęła z entuzjazmem, od lewa do prawa. „Słowo” z przyjemnością donosiło o ustaleniach komisji: „stacja nadawcza wileńska musi być o wiele silniejsza niż np. stacja Krakowska”¹⁷⁵. Miasto poczuło, że ma do spełnienia misję, tym razem w eterze, i prężyło muskuły.

Polskie Radio zaczęło się rozglądać za kandydatami do zarządu. Dyrektorem technicznym stacji został Roman Pikiel – dotychczasowy dowódca radiostacji wojskowej w Wilnie. To on odpowiadał za całą logistyczną i techniczną stronę przedsięwzięcia. Kilka lat potem wspominał: „Wdrapaliśmy się na dach gmachu Braci Jabłkowskich. Widok cudowny, miejsca na dachu sporo, w sam raz, by postawić jeden maszt antenowy. Drugi umyśliliśmy ulokować w ogródku Sztrala po przeciwnej stronie ulicy”. Jak pisze dalej, wszystko poszło błyskawicznie: „Urlop z wojska, wyjazd do Warszawy na przyjęcie aparatury przyszłej kukułki wileńskiej, próbne montowanie w Warszawie, dobór personelu...”¹⁷⁶. Ostatecznie z Domem Braci Jabłkowskich nic nie wyszło, więc znaleziono ładną willę na Zwierzyńcu, nad samym brzegiem Wilii przy ulicy Witoldowej 21. Mała Agnieszka była rozczarowana, kiedy się dowiedziała od Babetki, że nazwę ulicy nadano na cześć wielkiego księcia Witolda, a nie jej ojca.

Na kierownika programowego szefowie Polskiego Radia wybrali Hulewicza. Oczytany erudyta z notesem pełnym sławnych nazwisk dał dowody, że jest świetnym organizatorem. Okazał się przy tym doskonałym PR-owcem. Stacja wileńska jeszcze nie nadawała, a już informowała publiczność o swoich pracach za pośrednictwem gazet. Radio fascynowało Hulewicza. Nareszcie „stworzenie poważnego organu dla Kresów i zaznajamianie Polski z Wileńszczyzną” stało się możliwe.

Z klepiącego biedę urzędnika literata zamienił się w potentata dysponującego najnowszą techniką i pieniędzmi. Wynajął duże mieszkanie w kamienicy na Antokolu, naprzeciwko kościoła Świętych Piotra i Pawła. Trzeba się było wdrapywać aż na czwarte piętro, żeby się dostać do pięciu pokoi z łazienką i kuchnią. „Wybrali to mieszkanie, gdyż z okien roztacza się wspaniały widok na Wilię, na drugi brzeg, na panoramę miasta”¹⁷⁷ – wspominała Agnieszka. Wyciągnął z magazynów Reduty ukochany fortepian, sekretarzyki, biurka i ogromną, pamiętającą dzieciństwo w Kościankach, kunsztownie intarsjowaną gdańską szafę – dla Agnieszki „szafę zaczarowaną”. Babetka przechowywała w niej wszystkie najważniejsze skarby: albumy ze zdjęciami, wianek ślubny, atlasowy pantofelek, kosmyk włosów nieżyjącego męża, ulubione książki, filizanki i herbatniki... Hulewiczowie zaczęli w Wilnie zapuszczać korzenie.

Jesienią 1927 roku, kiedy nowy szef radia biegał jak w ukropie, żeby zdążyć z przygotowaniem programu, Tadeusz Łopalewski, siedząc za swoim biurkiem w pokoju z jednym oknem wychodzącym na katedrę, a drugim na ulicę Zamkową, napisał widowisko jasełkowe *Betlejem ostrobramskie*. Był przekonany, że oddał prawdziwy hołd królewskiej przeszłości miasta. „Przez scenę, której tło stanowiła architektura ulicy Ostrobramskiej, przesuwały się postaci historyczne, podniesione do rzędu symbolów, oraz typy współczesne”¹⁷⁸ – wspominał. Widowisko spodobało się Reducie i zostało wystawione w teatrze. Jednak składanie hołdu Wilnu to zadanie niebezpieczne, bo jak taki „pan przyjezdny” wlezie pomiędzy domowo-królewskie pamiątki miasta i niezręcznie się obróci, to zawsze jakąś odziedziczoną po przodkach filizankę stłucze. Jasełka Łopalewskiego, zdaniem Czesława Jankowskiego, obrażały „ducha tutejszości”. Hulewicz, niezrażony fumami „Słowa”, postanowił zaprosić Redutę do studia i wykonać *Betlejem ostrobramskie* dla słuchaczy, zanim jeszcze radiostacja wileńska zaczęła oficjalnie działać. Co więcej – namówił szefów, żeby spektakl transmitować na całą Polskę. Hulewicz robi z literatury znak firmowy Wilna w eterze, a z miasta – drugą obok Warszawy kolebkę Teatru Polskiego Radia.



13. Siedziba radia przy ulicy Witoldowej w Wilnie, lata 20.
Źródło: „Światowid” 1928, nr 5 / ze zbiorów Henryka Berezowskiego

Do uruchomienia stacji przygotowywała się także prasa. „Słowo”, zrobiwszy przegląd sygnałów dźwiękowych innych stacji regionalnych, oświadczyło: „Wobec tego i nam przychodzi obmyślić sobie sygnał radjostacji wileńskiej”. I udzieliło wskazówek: „Powinien to być sygnał oryginalny, wyrażający naszą odrębność regionalną”¹⁷⁹. Poproszono czytelników o nadsyłanie pomysłów. A tych było co niemiara. Przeważali zwolennicy tradycji, którzy proponowali róg myśliwski, śpiew wilgi, kuranty ze *Straszego dworu* – w końcu Moniuszko, obywatel z Mińszczyzny, mieszkał wiele lat w Wilnie i był traktowany jak swój. Ktoś wymyślił, by grać wojskową pobudkę Korpusu Ochrony Pogranicza. Znalazł się i zwolennik sztuki nowoczesnej – proponował chrzęst trzęsionej blachy. Ostatecznie wybrano głos kukułki „jako symbol borów i puszczy Wileńszczyzny”¹⁸⁰. „Kurjer Wileński” opisywał czytelnikom pomieszczenia radiowe:

noga tonie w miękkim dywanie koloru „fraise”, którym wysłane jest całe studio; takiegoż koloru są kotary, układające się w gustowne fałdy, przyczem, jak nam wyjaśnił miły towarzysz, kotary zasłaniające poszczególne ściany, są ruchome, tak że w zależności od rodzaju audycji można część ścian odsłonić lub zasłonić, przez co

zmieniać tłumienie i akustykę sali. Na specjalnej podstawie stoi malutki, milczący, ale tak napawający strachem dusze artystów... mikrofon¹⁸¹.

Uroczysta inauguracja odbyła się w niedzielę, 15 stycznia 1928 roku, równo trzy lata po przybyciu Hulewicza do miasta. Zaczęła się od ogólnopolskiej transmisji mszy świętej z bazyliki wileńskiej. Po południu do otoczonej ogrodem miniaturowej willi na Witoldowej zjechały wszystkie znakomitości wileńskie: arcybiskup metropolita Romuald Jałbrzykowski, wojewoda Władysław Raczkiewicz, rektor uniwersytetu Marian Zdziechowski, profesorowie, generałowie. Na miękkich dywanach zrobiło się tłoczno, kiedy eminencje i magnificencje wypełniły malutkie pomieszczenia i zakamarki. Orkiestra odegrała hymn państwowy, zaśpiewał chór męski. Następnie goście przeszli do gabinetów dyrektorskich, gdzie podejmowani byli herbatką przez dyrektorów Pikiela i Hulewicza. „Ogólnie biorąc, uroczystość udała się w zupełności” – podsumowało „Słowo”¹⁸².

*

Wrzawa gazetowa wokół stacji wileńskiej zrodziła taką atmosferę oczekiwania, że jak donosiło „Słowo”, ze sklepów zaczęły znikać odbiorniki radiowe. Nie wszyscy sprzedawcy nadążali za popytem i klientom zdarzało się odejść z kwitkiem¹⁸³. Elektrit zaczął produkować proste i tanie radia własnej konstrukcji, mogące odbierać stacje znajdujące się w niewielkiej odległości. Na biednej Wileńszczyźnie świetnie się sprzedawały – w 1927 roku w regionie było zaledwie tysiąc siedmiuset abonentów radiowych, po trzech latach już siedmiokrotnie więcej. W tych liczbach zaklęty jest pierwszy sukces wileńskiej fabryki.

Przedsiębiorcy postanowili rozpocząć dodatkowo produkcję samych skrzynek do aparatów, które wkrótce stały się ich sztandarowym osiągnięciem. Pod koniec lat trzydziestych modny stawał się bakelit, z którego wykonywane były telefony, cygarniczki, kule bilardowe i obudowy radiodbiorników. Szefowie Elekritu wykazali się tradycyjnym wileńskim konserwatyzmem i uważali, że tylko drewniana skrzynka gwarantuje doskonały dźwięk. Bo czyż można sobie wyobrazić bakelitowe skrzypce Jaschy Heifetza?

Dzięki produkcji tanich aparatów Elektrit przez kilka lat rozwijał się błyskawicznie. Jednak żeby walczyć o pozycję lidera, musiał pomyśleć o zamożnych klientach, a ci są skłonni płacić wyłącznie za wysoką jakość. Młodziutka firma mierzyła się z zagraniczną konkurencją, przede wszystkim z holenderskim Philipsem i z niemieckim Telefunkenem. Oba zagraniczne koncerny miały w Polsce tylko montażownie i składały odbiorniki z gotowych części. Numerem jeden był Philips – najwięcej sprzedawał i najwięcej wydawał na reklamę. Elektrit musiał sięgać po zagraniczne licencje, żeby nie przegrać w tym wyścigu. Po krótkiej współpracy z firmami z Berlina, przerwanej dojściem Hitlera do władzy, podpisana została umowa z wiedeńską Minervą.

W latach 1934 i 1935 wybuchały strajki. Podczas jednego z nich zaczęła się palić stolarnia. Wywoływali je nie związkowcy z fabryki, ale komuniści z zewnątrz. Na plakatach atakowali oni i właścicieli, i związkowców: „Związek, w którym jesteście, nie przedsięwziął nic, aby odeprzeć atak kapitalisty! Towarzysze! Przełamcie swoją hańbiącą bierność!”¹⁸⁴ – apelowali bez większych sukcesów. Elektrit był największym wileńskim pracodawcą, a polski rynek chłonał coraz więcej radioodbiorników. W 1936 roku Polska plasowała się na dwudziestym pierwszym miejscu w Europie pod względem liczby słuchaczy, ale na szóstym, za Niemcami, Anglią, Francją, Włochami i ZSRR, pod względem liczby stacji nadawczych. Trend był jasny – wzrosnie liczba kupowanych aparatów.

Pomieszczenia na Wileńskiej zrobiły się za małe. Latem 1936 roku na obrzeżach Wilna przy ulicy Szeptyckiego pod numerem 6 wyrósł nowy budynek fabryki o trzech kondygnacjach. Na starym zdjęciu wygląda imponująco niczym nowoczesny pałac z ogromnymi skrzydłami. Tego roku Elektrit wypuścił pięćdziesiąt cztery tysiące aparatów, a wartość sprzedaży wyniosła milion dwieście tysięcy dolarów. Wkrótce w sezonie zespół liczył tysiąc dwieście osób, miał własną gazetkę i drużyny sportowe. Zakład pracował pełną parą od września do kwietnia, potem produkcja zamierała. Wiosną i latem dwudziestoosobowe laboratorium pod okiem szefa Pawła Szulkina wykuwało niepodległość Elektritu i tworzyło nowe modele na kolejny sezon. Musiały uwieść klientów świeżym fasonem niczym stroje u wytrawnego projektanta mody. Na początku z taśmy zjeżdżały bezosobowe B, S czy Z z trzycyfrowymi numerami, których nie sposób zapamiętać. Od 1933 roku odbiorniki dostawały już imiona, które miały pomagać klientom w wyborze modelu. Opera z ciemnego drewna o miękko zaokrąglonych

rogach jest „instrumentem muzycznym dla najwybredniejszych miłośników muzyki”, a wysoki Majestic o wyglądzie bramy do egipskiej świątyni ma „zasięg światowy”¹⁸⁵. Ich cena wahała się od dwustu do tysiąca złotych. Radia różniły się technicznie – te na baterie przeznaczone były dla dworków i miejscowości bez prądu.



14. Pracownicy zakładów Elektrit przed budynkiem głównym, Wilno, 19386

Źródło: ze zbiorów Henryka Berezowskiego

Chwolesowie i Lewin nie skąpili pieniędzy i wysyłali swoich inżynierów na wystawy światowe, żeby byli na bieżąco z nowinkami technicznymi i przywozili literaturę. Od godziny trzynastej do piętnastej laboratorium przekształcało się w czytelnę. Elektrit dodał do produkcji aparaturę nagłaśniającą. Zimą nad wieloma polskimi ślizgawkami płynęła muzyka z Elektritowych głośników, na niejednej konferencji dyskusje przelewały się przez Elektritowe mikrofony.

Właścicielom firmy powodziło się dobrze, mieli własne mieszkania przy Kalwaryjskiej (Nachman pod numerem 11, Hirsz pod 29, a Samuel pod 37), samochody i telefony. Inżyniera Hirsza Chwolesa odnajdujemy na liście

pasażerów wycieczkowego statku Polonia w sierpniu 1932 roku. Rozkład kajut, plan obiadów i kolacji przynoszą powiew luksusu i morskiej bryzy. Pływali po Morzu Północnym, a ster trzymał wilnianin Mamert Stankiewicz „Znaczy Kapitan”. Berta, żona Samuela, popłynęła z synem Borysem na długi rejs po Morzu Śródziemnym. Chłopakowi szczególnie utkwił w pamięci Tanger w Maroku. Potem młody Chwoles został wysłany do Anglii, do gimnazjum. Musiał być trudnym chłopcem – może rozpieszczonym? – bo szkoły zmieniał często. Na koniec wylądował w college’u Frensham Heights, w którym panowały liberalne zasady, mocno kontrastujące z surową architekturą budynku w stylu Tudorów. Stąd poszedł na studia do Oksfordu. W 1939 roku poważnie zachorował. Złapał gruźlicę, na dodatek czekała go poważna operacja kręgosłupa. Rodzice kupili wtedy dom pod Oksfordem i spędzali w nim sporo czasu, by móc pielęgnować przebywającego w szpitalu syna.

Do firmy braci dołączył trzeci z Chwolesów, Aleksander. Na jego nazwisko na Wileńskiej 24 zarejestrowane zostało Towarzystwo Radiotechniczne „Eternit”, zajmujące się handlem. W roku 1937 Elektrit rozpoczął międzynarodową ekspansję. Sukces na tym polu zaczął się od Wystawy Przemysłu Metalowego, Elektrotechnicznego i Radiowego w 1936 roku w Warszawie. W alejce prowadzącej do olbrzymiego pawilonu radiowego pod nogami zwiedzających chrzęścił żwir. Elektrit zajmował pierwsze stoisko. Z wielkich okien światło padało na ascetycznie białe ściany i proste stoliki ustawione na ciemnej podłodze. Drewniane obudowy radioodbiorników dyskretnie odbijały słońce. Z powodu zainteresowania publiczności wystawę przedłużono o tydzień. Elektrit dostał złoty medal.

Rok później na międzynarodowej wystawie w Paryżu w polskim pawilonie zaprezentowano tylko jeden odbiornik – Elektritu. We Francji zdobył wyróżnienie, a w greckich Salonikach rok później – Grand Prix. Wszystkie te nagrody torowały drogę eksportowi. Najpierw do krajów europejskich – Bułgarii, Litwy, Estonii, Finlandii, Szwecji, Rumunii, Grecji, Jugosławii, Turcji, Portugalii, Francji, Holandii, Malty. Do Austrii eksportowano z wileńskiej fabryki same skrzynki, dlatego wiedeńskie mieszkania zapewniały eleganckie, drewniane obudowy. Kres temu położył anszlus. Minerva zerwała kontrakt z żydowską firmą, ale Chwolesowie i Lewin mogli się już łatwo obyć bez Austriaków.

Przy tym szalonym tempie zdarzeń nie uniknęli wpadek. W 1938 roku Elektrit przygotował pięćset odbiorników dla Brazylii. Cały zespół włożył mnóstwo energii w to, żeby przygotować radio specjalnie do warunków tropikalnych – niestety po kilku miesiącach przestawały one działać. Inżynierowie nie poddawali się i laboratorium pracowało nad ulepszeniami. W tym samym roku Elektrit pokazywał swoje produkty w Ahmadabadzie w Indiach. „W czasie trwania wystawy w godzinach popołudniowych publiczność zwiedzająca słuchała audycji radiowych indyjskich stacji na odbiornikach »Elektrit«, które ze względu na wysoką sprawność techniczną i piękną formę zewnętrzną wzbudzały powszechny podziw”¹⁸⁶ – pisała z zachwytem „Codzienna Gazeta Handlowa” w styczniu 1938 roku.

Doniesieniom prasowym o sukcesach towarzyszyły reklamy z celebrytami. Na jednej z nich znana śpiewaczka Lucyna Szczepańska w długiej, ciemnej sukni przytulała się figlarnie do wielkiego odbiornika, oznajmiając: „Najlepiej poznaję swój głos przez radioaparat »Elektrit«”. Powstawały broszury, katalogi, kalendarze, ulotki i plakaty, w tym ten z 1938 roku, wykonany przez ojca polskiego plakatu i jednego z najwybitniejszych plakacistów na świecie, Henryka Tomaszewskiego, wówczas początkującego młodzieńca. Właściciele nie pojawili się na żadnym. Nie mieli interesu w tym, by rzucać się publiczności w oczy, szczególnie pod koniec lat trzydziestych, kiedy coraz głośniejszy był hasła w rodzaju: „Nie kupuj u Żyda!”. Takich chwytów próbowała konkurencja, nieradząca sobie z potęgą wileńskiej firmy. Radjofon z Poznania reklamował się w 1939 roku jako: „największa w Polsce chrześcijańska fabryka odbiorników bateryjnych”. Oszukiwał, bo jak twierdzą eksperci, tak naprawdę sprzedawał słabsze radioodbiorniki detektorowe. Ale do klientów przemawiał surowo: „Nasz przemysł radiowy, stanowiący tak ważny czynnik oświaty i kultury, posiadający również ogromne znaczenie dla obronności państwa, znajduje się niestety dotąd jeszcze przeważnie w rękach obcych, zwłaszcza żydowskich”¹⁸⁷. Nic to nie dało. Wileńskie radia sprzedawały się jak świeże bułeczki. Polskie władze również nie przejmowały się nawoływaniem „chrześcijańskich” producentów i w 1939 roku na światową wystawę do Nowego Jorku zabrały tylko jeden radioodbiornik – Elektritu.

ELEKTRIT RADIO



ODBIORNIKI DLA NAJWYBREDNIEJSZYCH!

15. Plakat reklamowy Towarzystwa Radiotechnicznego „Elektrit” autorstwa Henryka Tomaszewskiego, Wilno, 1938

Źródło: ze zbiorów Henryka Berezowskiego

*

Gdy Witold Hulewicz, nieświadomy współtwórca sukcesu Chwolesów, zaczął dyktować na miękkich dywanach willi przy Witoldowej, jego uwagę przyciągnął teatr radiowy. „Na beletrystykę zawsze Ojcu było szkoda czasu, chyba że była to książka nowo wydana przez kogoś z przyjaciół. Wtedy można było, a nawet »trzeba było« przeczytać, bo może się ten pisarz przyda dla radia, może opowieść uda się zradiofonizować”¹⁸⁸ – wspominała Agnieszka. Hulewicz miał pod ręką Redutę, a wokół Wilno, o którym pisał: „O miasto, gdzie się cicho stąpa wśród pamiątek, / O miasto, o którego dziejach słuchy chodzą, / ale kto zna Twój początek?”¹⁸⁹.

Zafascynowany grzebał w tych pamiątkach i początkach, aż stworzył z nich słuchowisko *Pogrzeb Kiejstuta*. Odtworzył ostatnią drogę wielkiego księcia litewskiego z całym jej krajobrazem dźwiękowym: zawodzeniem płaczków, pieśniami wajdelotów, stukotem końskich kopyt pod strojnymi młodzieńcami. „Na uboczu stoją córka i ślepy starzec, których dialog odtwarza dziejące się wypadki i stanowi oś ideową audycji”¹⁹⁰. Wziął się też do reżyserii i podjął ryzykowną decyzję realizowania słuchowiska w plenerze, żeby osiągnąć autentyczność dźwięku. Jeden z mikrofonów umieszczono nad brzegiem Wilii, aby złapać szum rzeki. Na szczęście 17 maja 1928 roku, kiedy spektakl poszedł w eter, pogoda sprzyjała radiowcom. Było to pierwsze polskie słuchowisko radiowe.

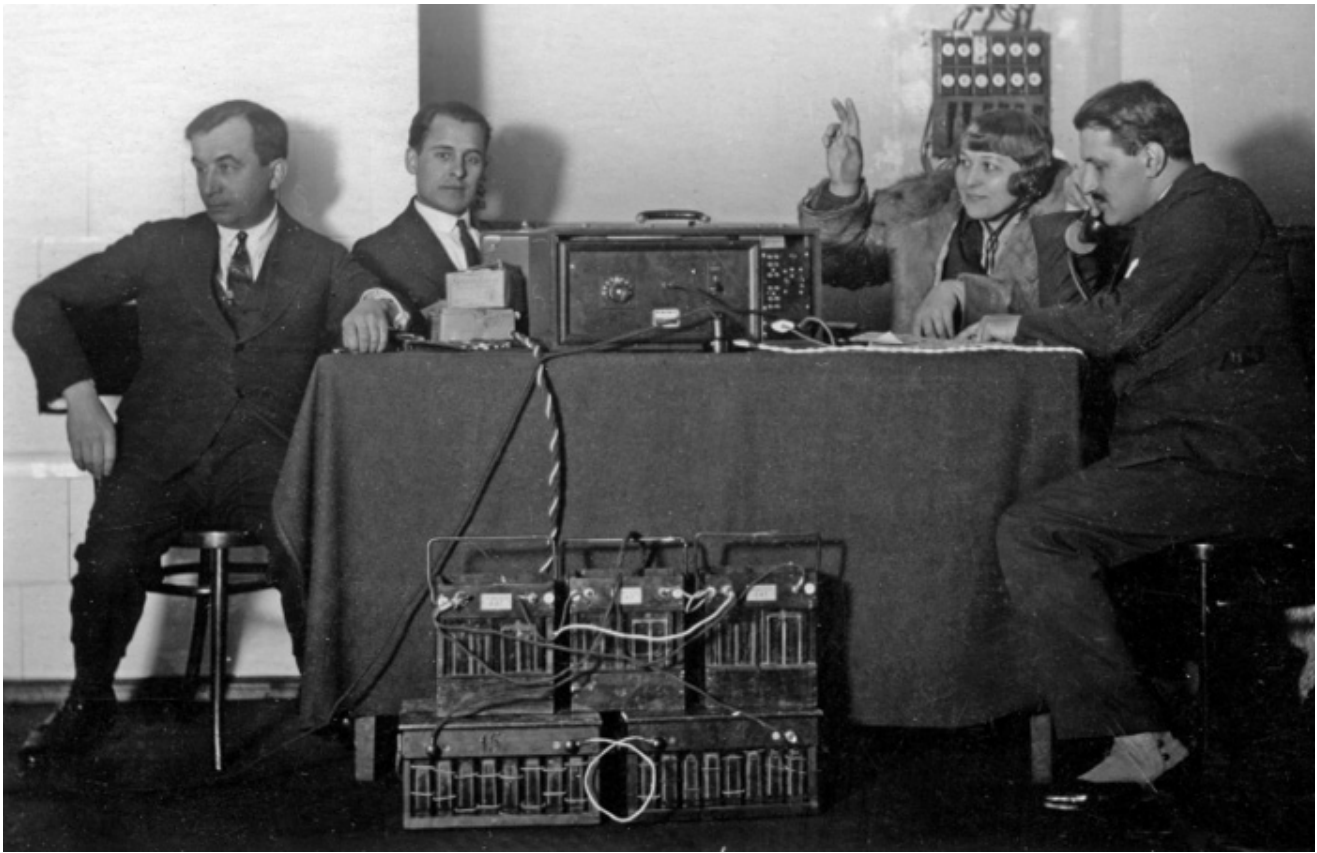
Hulewicz wciąż kompletował zespół. Zaangażował Tadeusza Byrskiego, młodego aktora Reduty. Byrski od razu wpadł w wir przygotowań do następnego przedsięwzięcia – radiowej adaptacji *Obrony Sokratesa* Platona w nowym tłumaczeniu Witwickiego, z Zelwerowiczem w roli głównej. Studia na Witoldowej były maleńkie, więc zdecydowano się wynająć salę Teatru Lutnia, żeby zmieścić czterdziestu studentów grających tłum. *Obrona Sokratesa* wzbudziła zachwyt i zapisała się na kartach historii Teatru Polskiego Radia.

Pracownicy wileńskiej rozgłośni prześcigali się w poszukiwaniach wśród pisarzy radiowej gwiazdy. Byrski, zobaczywszy w teatrze sztukę Janiny Morawskiej, napisał do autorki długi list z wykładem o radiowej dramaturgii

i propozycją współpracy. Morawska skromnie odpisała, że wprawdzie radia w domu nie ma, ale chętnie spróbuje. Zainspirowana prasową relacją o huraganie na Kubie, bohaterką słuchowiska uczyniła telefonistkę z Hawany, korzystającą z centrali telefonicznej, żeby ostrzegać ludzi przed niebezpieczeństwem. Tak powstało *Miasto Santa Cruz*. W czasie jego realizacji budynek na Witoldowej „był zamieniony na jedno radiowe pole bitwy”¹⁹¹. Sukces przeszedł najśmielsze oczekiwania – *Miasto Santa Cruz*, parę razy powtórzone w kraju, zostało kupione przez kilka stacji europejskich.

Hulewicz uważnie śledził nowinki techniczne na świecie. Wypatrzył urządzenia do nagrywania płyt i sprowadził je z Wiednia. Wileńska radiostacja jako pierwsza w Polsce zaczęła ich używać do nagrywania słuchowisk. Na pierwszy ogień poszedł obrazek z życia wileńskiej rodziny pod tytułem *Państwo Tutkowie*, pióra wilnianki Teresy Romer-Ochenkowej. Być może *Państwo Tutkowie* są przodkami *Matysiaków*? Każdy wilnianin mógł skorzystać z nowego nabytku:

Kto więc chce uwiecznić swój głos i sprawdzić, czy jest on radjofoniczny, zaśpiewać czy nagrać piosenkę wykonaną przez siebie, czy wreszcie przesłać życzenia imieninowe utrwalone na płycie nietłukącej się – w cenie 5,60 zł – może porozumieć się w godzinach od dziesiątej do czternastej w naszej rozgłośni przy ulicy Witoldowej 21 lub telefonicznie z wydziałem technicznym rozgłośni, telefon 12–14¹⁹²



16. Zespół rozgłośni radiowej w Wilnie przy pracy – pierwszy z prawej Witold Hulewicz, 1929, fot. Waław Żyliński
Źródło: NAC

– zachęcały ogłoszenia.

Witold czujnie nadzorował wszystko, co wpływało z Witoldowej. „Ojciec słuchał radia służbowo, aby śledzić wykonywany program” – wspominała jego córka.

Kiedyś usłyszał spikerkę radiową zapowiadającą: „Usłyszają państwo słuchowisko pod tytułem *Kółko śmierdzi*” (zamiast „śmierci”). Gdy chwilę później ta sama spikerka zapowiedziała utwór muzyczny, którego kompozytorem jest „San Sains” (zamiast „Saint Saëns”), zatelefonował do studia i oświadczył zapowiadającej: „Pani sama jest »san sains« – złotko”¹⁹³.

Życie spikera i innych członków zespołu nie było usłane różami nie tylko z powodu ciągłej kontroli szefa. Na początku istnienia rozgłośni inżynier Pikiel uruchomił jedno studio, więc kiedy goście wchodzili lub wychodzili, audycje były przerywane (dopiero później urządzono drugie studio). Na stojącego przed

mikrofonem czyhały różne pułapki techniczne albo figle losu. Hulewicz wywalczył duży budżet i kupował za granicą mnóstwo płyt, ale trzeba było nie lada wprawy, żeby bez omyłki postawić igłę we właściwym miejscu czarnego krążka i puścić wybrany utwór o określonej precyzyjnie godzinie.

Rodowity wilnianin Antoni Bohdziewicz – autor słynnych kronik z powstania warszawskiego i reżyser – swoją drogę zawodową zaczynał w wileńskiej rozgłośni jako spiker. „Zjawiam się więc w studio jak w sensacyjnym filmie – w ostatniej chwili” – pisał w „Tygodniu Radjowym” w 1930 roku. „Zaledwie zdążę chrząknąć i poprawić krawat, a oto już zapalają się magiczne światełka, kukulka kończy swe sygnały i jestem już u wszystkich na uszach. Rozpoczynam codzienną piosnkę: »hallo, hallo, Polskie Radio Wilno. Fala 385 m. Dobry wieczór«”. Bo spiker

biega, jest jednocześnie tu i tam, kogoś zaprasza, czeka na kogoś, wypłaca honoraria, zapala i gasi kolorowe światełka, błaga laików o ciszę, co chwilę spogląda na zegarek, co chwila gubi ołówek albo prelegenta, co chwila przyjmuje telefony od znajomych pań, konferuje z dyrektorem i tak do końca. Słuchacz, który przecie nic z tego nie widzi, nie słyszy – wyobraża sobie zwykle speakera jako beztroskie stworzenie, które leży wygodnie na szeszlunku, pali specjalne egipskie i puszcza między jednym dymkiem a drugim zdawkowe anonse, czasem nawet z błędami¹⁹⁴.

Bohdziewicz kończył właśnie studia na Uniwersytecie Stefana Batorego, należał do Klubu Włóczągów i kolegował się z żagarystami. Ściągnął ich do radia. Zespół studentów wileńskich robił wtedy pierwszą w Polsce audycję dla młodzieży przygotowywaną przez młodzież, a Bohdziewicz prowadził kącik filmowy. Okazał się utalentowanym reportażyście. Zaglądał do zakładów fryzjerskich, na wyścigi konne i nadawał stamtąd na żywo, zagadując przypadkowe ofiary, czasem okropnie speszzone podtykanym mikrofonem.

Na reportażyście nie został za to stworzony Konstanty Ildefons Gałczyński. Posłano go na Porubanek, czyli na wileńskie lotnisko, gdzie odbywały się zawody, by „okrasić poetycko” dwugodzinne sprawozdanie sportowe. W tym czasie odezwał się tylko raz. Poważnym tonem wypowiedział trzy słowa: „niebo jest błękitne”¹⁹⁵. Małomówność reportażyisty rekompensował tym, że mnóstwo pisał, prowadził własny program satyryczny – *Kwadrans dla ponurych*, a razem z Teodorem Bujnickim w podobnym duchu *Kukulkę wileńską*. Gałczyński

miewał napady chandry. Zalegał wtedy z tekstami i nie pomagało żadne ponaglanie posłańców z Witoldowej. Pewnego razu wysłano do niego młodego pracownika Czesława Miłosza, żeby przyniósł zamówioną dawno „jakąś konferansjerkę”. Miłosz zastał na łóżku nagiego Gałczyńskiego, który

leżał na wznak, z rękami pod głową i patrzył w sufit, a na podłodze obok Horacy – tomiki w skórze ze złoceniami. Natrętnemu młodzikowi wręczył pismo do przełożonych, w którym stwierdził, że jest obłożnie chory, o czym może zaświadczyć przysłany do niego „urzędnik Miłosz”¹⁹⁶.

Miłosz pracował w radiu od 1931 roku, adres rozgłośni podawał nawet Iwazkiewiczowi do korespondencji. Pracę miał jak na warunki wileńskie dobrze płatną, ale nudną. Bardzo źle ją wspominał; ślęczał nad wykresami czasu trwania audycji, listami do spóźniających się autorów i sprawozdaniami dla centrali w Warszawie.

Jako pierwsza w Polsce stacja wileńska przygotowała wiadomości radiowe zwane „Gazetką Radjową”, nadawane po godzinie dwudziestej drugiej. Hulewicz utworzył własną orkiestrę radiową – myślał o różnych odbiorcach, więc puszczał zarówno muzykę klasyczną, jak i popularną. Wykreował też wileńskiego Szczepcia i Tońcia w postaci Leona Wołłejki.

Mistrzem był pan Wołłejko, farmaceuta z wykształcenia i wielki aktor z Bożej łaski. Wygłaszał przez radio niezrównane „pogaduszki oszmiańskie”, a razu pewnego wprowadził widownię w zachwyt, gdy w jakiejś trzeciorzędnej farsie francuskiej wystąpił w roli Napoleona – a był wzrostu sążnistego – i rolę tę wyrecytował w gwarze wileńskiej¹⁹⁷

– wspominał Pawlikowski.

Na początku zasięg stacji ledwo przekraczał rogatki miasta, co nie przeszkadzało „Słowu” buńczuczyc się: „Dowiadujemy się, że uruchomienie naszej radjostacji do żywego poruszyło i Moskwę, i Mińsk, i Kowno”¹⁹⁸. Dopiero zmiana nadajnika i rozbudowa techniczna w 1931 roku pozwoliły objąć zasięgiem teren stu pięćdziesięciu kilometrów wokół miasta i docierać na Litwę i sowiecką Białoruś. Wtedy rzeczywiście z zagranicy dochodziły głosy zaniepokojenia. „Ostatniemi czasy radjostacja wileńska poczęła na dodatek

szerzyć najohydniejszą agitację w języku litewskim, skierowaną przeciwko naszemu rządowi”¹⁹⁹ – grzmiało Kowno, a polska prasa z lubością to cytowała.

*

Hulewicz żył intensywnie. Zgromadził wokół siebie grono wileńskich i „nabiegłych” inteligentów. Zaprzyjaźnił się ze Stanisławem Lorentzem, który przyjechał do Wilna w styczniu 1929 roku jako nowy konserwator zabytków. Hulewicz został ojcem chrzestnym jego córki. Obaj lubili się bawić w karnawale. Agnieszka wspominała:

Kiedyś wychodziłam właśnie do szkoły, gdy podjechała pod dom dorożka, a z niej wysiadł mój Tata w zawoju Beduina na głowie, z prześcieradłem zarzuconym na ramiona, z pękiem balonów w ręku i twarzą wesoło roześmianą. [...] Wracał z jakiegoś prywatnego balu kostiumowego, na którym prof. Lorentz wystąpił w pomysłowym kostiumie *à la* niemowlę – w śliniaczku, czepeczku, ze smoczkiem na tasie²⁰⁰.

Kiedy Hulewicz zaczął tyć z powodu słabości do litewskiej kuchni, codziennie o siódmej rano chodził grać w tenisa z Lorentzem, ale zaraz potem obaj szli na ciastka do Rudnickiego i cały wysiłek przepadał w smakowitych ptifurach.

Z Antokolu na Witoldową Hulewicz miał kawał drogi, mimo że pędził przez Wilno na ulubionym motocyklu. Zarobki szefa wileńskiej radiostacji pozwoliły mu zrezygnować z wdrapywania się na czwarte piętro i wynająć dużą willę z wielkim tarasem i ogródkiem na Zwierzyńcu, przy ulicy Tomasza Zana – dziś Mickiewicza – blisko radia. Tam rozkwitło życie towarzyskie małej Agnieszki. Na jednym z dziecięcych przyjęć

Tata uzyskał efekt zaskakujący, podłączywszy do aparatu radiowego mikrofon w oddalonym pomieszczeniu za kuchnią: wygłosił przemówienie na moją cześć, jako solenizantki, dodając kilka miłych słów dla każdego gościa. Wiele mieliśmy zabawy, gdy po „audycji” goście tłumnie oblegali telefon, wydzwanając do swych domów: „Mamo, tato! Czy słyszeliście w radio wiadomość o naszym balu? Nie? To wielka szkoda, właśnie nadawali... i o mnie powiedzieli!”²⁰¹.

Był lepszym organizatorem i radiowcem niż pisarzem. Jego pierwsze wiersze i przekłady z niemieckiego, które pisał w okopach we Francji, skażone są

patosem i młodopolską manierą, z których się nigdy do końca nie wyzwolił. Wydał dwa tomy swojej poezji, oprócz Rilkego tłumaczył Manna, Kleista i Maxa Broda. Najgorzej wyszła mu biografia Beethovena. Potem zabrał się do książki o Chopinie (jej maszynopis spłonął w czasie powstania warszawskiego). Intensywnie angażował się w prace wileńskiego Związku Literatów. Dzięki pośrednictwu Lorentza udało się dla stowarzyszenia uzyskać w 1929 roku siedzibę w dawnym klasztorze Bazylianów, znajdującym się wówczas w opłakanym stanie w wyniku wojny i zaborów, kiedy to znajdowało się tu rosyjskie więzienie. Hulewicz i Lorentz zaangażowali się w tropienie celi Mickiewicza – tej, gdzie „*Gustavus obiit, natus est Conradus*”. Odnowiona i ochrzczona „celą Konrada”, przeznaczona została na spotkania literackie. W pokoiku obok niej nocowali przyjezdni artyści, a czasem i miejscowi, jak na przykład początkujący Miłosz, kiedy był zupełnie bez pieniędzy. Hulewicz organizował co miesiąc – już wkrótce słynne na całą Polskę – środy literackie, czyli spotkania publiczności z pisarzami. Do Wilna zjeżdżały największe sławy. Maria Dąbrowska pisała:

Jadąc, byłam bardzo ciekawa go poznać, gdyż pani Zofia Nałkowska opowiadała mi o nim (zwłaszcza o jego urodzie i jego jakimś dramacie rodzinnym) istne cuda, napełniając mnie wręcz tremą przed spotkaniem z tak niepospolitym człowiekiem. Później nauczyłam się cenić Witolda Hulewicza jako wyjątkowo umiejętnego szerzyciela kultury, szczególnie przez radio²⁰².

Po spotkaniu z publicznością Hulewicz zaprowadził pisarkę od razu przed mikrofon.

*

Kwiecień 1931 roku przyniósł zdarzenia, które doprowadziły do chwilowego sojuszu wilnian z „galileuszami z Kongresówki” (najgorszy z epitetów, jakim mogli zostać określani napływowci). Leniwa i spokojna zazwyczaj Wilia wystąpiła z brzegów. Wilno znalazło się pod wodą, „dopływało się łódką do parapetu okna, by tą drogą wejść do mieszkania”²⁰³ – wspominała córka Mackiewicza. Do drzew stojących obok unoszącej się nad wodami katedry przywiązywano łódki niczym konie do płotu. Ściany pełnej zagadek świątyni zaczęły się rysować. Zbudowana przez Jagiełłę na miejscu dawnego gaju

pogańskiego, walczyła o istnienie z wodami płynącej pod ziemią Koczergi i z ogniem pożarów, kryjąc w swych podziemiach trumny królewskie.

Stan bazyliki już przed powodzią budził obawy zaprzyjaźnionych ze sobą Lorentza i historyka architektury Juliusza Kłosa. Kłos, autor najśłynniejszego przewodnika po Wilnie, „był mały, nieładny, krótkowzroczny, interesujący w towarzystwie, czuły dla pięknych kobiet. Z zamiłowaniem fotografował zabytki architektury i nagie kobiety”²⁰⁴. Po powodzi Koczerga zmieniła bieg, umożliwiając dotarcie do podziemi kościoła. Prace konserwatorskie pod kierownictwem Kłosa rozpoczęły się w kaplicy Świętego Kazimierza. Któregoś dnia nieoczekiwanie oczom robotników ukazały się ozdobne puszkę leżące tuż pod ołtarzem. Proboszcz katedry poświęcił łopaty, zebranych ogarnęło wzruszenie. Spod ziemi wyłoniły się urny z wnętrznościami i sercem Władysława IV Wazy. Parę dni później w krypcie pod nawą główną pojawiły się królewska czaszka w koronie, rozrzucone kości, przeżarty rdzą miecz. Migoczące światło latarek oświetliło srebrne tabliczki – królewskie nieśmiertelniki. Należały one do króla Aleksandra Jagiellończyka oraz dwóch żon Zygmunta Augusta: Elżbiety Habsburżanki i Barbary Radziwiłłówny. Wkrótce o odkryciu grobów królewskich wiedziała już cała Polska. Mackiewicz dotarł do katedry, jeszcze zanim kryptę zamknięto przed ciekawskimi. Ostatni monarchista Rzeczypospolitej stał wzruszony nad królewskimi szczątkami. Do katedry pobiegł także Hulewicz: „Nie obyło się oczywiście i bez mojego Ojca. Zaglądał do każdego kąta w starych kryptach, wzruszał się i... pachniał okropnie cmentarzem i starzyzną”²⁰⁵ – wspominała Agnieszka. Hulewicz natychmiast przygotował ogólnopolską audycję radiową z udziałem głównych bohaterów, czyli Lorentza i Kłosa.

Na odbudowę katedry brakowało funduszy, dlatego władze kościelne podjęły decyzję o sprzedaży cennych gobelinów za granicę. Lorentz, dowiedziawszy się o tym, narobił rabanu w Warszawie i pobiegł do Hulewicza, który zmobilizował do protestu wileńską inteligencję. Do frondy przeciw duszpasterzom przyłączyło się „Słowo” i gobeliny udało się uratować. Hulewicz dysponował już wtedy nowym narzędziem – Radą Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych, ochrzczonej wkrótce przez wszystkich „Erwużą”. W duchu wielkopolskiego zamiłowania do porządku zebrał pod tą egidą wszystkie związki twórcze Wilna. „Z braku lokalu Rada mieściła się na razie w naszym mieszkaniu i tu odbywały się zebrania” – wspominała Agnieszka. „Kiedyś zatelefonował ktoś do nas: »Czy to Erwuża?«

»Nie, Jagienka« – odpowiedziałam zdziwiona”²⁰⁶. Wkrótce Hulewicz ulokował Erwuzę w Związku Literatów u bazylianów.

Długo jeszcze ciągnęły się prace badawcze i konserwatorskie w katedrze. Pogrzeb królewski zobaczyło Wilno dopiero w 1936 roku. Pruszyński tak to zapamiętał:

W ciągu tego długiego okresu pamiętam dwa dni, gdy Wilno odziało się w swoją dawną wielkość i przeżyło naprawdę święto. Dzień pierwszy był wtedy, gdy niebaczny rylec mularza natrafił przypadkowo na zamurowaną od stuleci kryptę w katedrze, gdzie leżały obok siebie zwłoki polskiego króla i dwóch królowych, z których jedna była Barbarą Radziwiłłówną. Dniem drugim był ten, gdy na cmentarz na Rossie, najpiękniejszy cmentarz w Europie, poniesiono urnę z sercem Marszałka. Oba wielkie dni Wilna były dniami pogrzebów²⁰⁷.

Hulewicza już wtedy w mieście nie było.

*

W 1934 roku dyrektor radia w Wilnie stał u szczytu swojej potęgi. Wpływowy „napływowy regionalista” coraz bardziej drażnił „tutejszych” w postaci „Słowa”. Obie strony coraz częściej sobie dopiekały. Wojna wybuchła w kwietniu 1934 roku i zaczęła się od pomnika Mickiewicza. Wykonanie monumentu ślimaczyło się, ponieważ artyście nie płacono na czas. „Słowo” ni z tego, ni z owego zamieściło wtedy ankietę z pytaniem, czy projekt Kuny podoba się wilnianom, i wydrukowało odpowiedzi czytelników – wyłącznie negatywne. Oburzony Hulewicz zorganizował w pośpiechu protest Erwuzy, przypominając, że „Słowo” poparło projekt tego artysty. „Obecne więc postępowanie »Słowa«, ośmieszające redakcję, należy zakwalifikować jako wywołane nie troską o sprawy publiczne, lecz uznać za szkodliwą demagogję, godzącą w doniosłą akcję społeczną i kulturalną”²⁰⁸.

„Słowo” wydrukowało protest, ale razem z nim listy dwóch członków Erwuzy, którzy się od niego odcinali. I dołożyło złośliwą karykaturę – przedstawiającą Hulewicza stojącego z protestem w ręku u szczytu stołu, za którym zasiadają kolejni Hulewicze. Podpis pod rysunkiem głosił:

Jest coś radosnego w tem, z jaką łatwością porozumiał się prezes Zw. Zawodowego Literatów w Wilnie p. Hulewicz z wiceprezesem Rady Zrzeszeń Artystycznych, p. Witoldem Hulewiczem, z wiceprezesem Wil. Tow. Filharmonicznego, p. Witoldem Hulewiczem, z dyrektorem programów Polskiego Radja, p. Witoldem Hulewiczem, ze współredaktorem „Zaułka”, p. Witoldem Hulewiczem, z członkiem Komisji Teatralnej, p. Witoldem Hulewiczem, z bibliofilem, p. Witoldem Hulewiczem, z krajoznawcą, p. Witoldem Hulewiczem oraz z kilkoma jeszcze innymi Hulewiczami, którzy razem wzięci są w Wileńskiej Radzie Zrzeszeń Artystycznych w znakomitej większości²⁰⁹.

Od tego momentu Hulewicz stał się głównym bohaterem karykatur rysowanych w „Słowie” przez Feliksa Dangła. Byrski po latach wspominał: „Codziennie, w każdym numerze »Słowa« czytało się o Hulewiczu. Z nazwiskiem czy bez nazwiska, ogień mały lub większy obliczony na znękanie »nieprzyjaciela« podtrzymywany był bez przerwy”²¹⁰. Dangel poświęcił Hulewiczowi cykl rysunków *Arcydziała malarstwa w karykaturze*. Hulewicz jako Erwuza – gruba baba rozwalona na kanapie w celi Konrada, gdzie walają się butelki po nocnych hulankach Smorgonii, założonego przezeń i jego przyjaciół kabaretu: *Artur Grottger, Świętokradztwo*. Z małym Lorentzem na kolanach w ruinach zamku w Trokach: *Burne Jones, Miłość konserwatorów wśród ruin*. Jako wkraczający na Litwę Krzyżak na koniu: *Wojciech Kossak, Kulturträgerzy*, i tak dalej.

Latem „Słowo” przyczepiło się do tytułu Hulewicza „doktor” w spisach oficerów rezerwy i prowadziło wielkie śledztwo w sprawie jego wykształcenia, dla niego kłopotliwe, ponieważ formalnie nie miał ukończonych studiów i chyba się tego trochę wstydził.

Kolejny cios musiał boleć najbardziej – sięgając po cytaty z biografii Beethovena, „Słowo” szydziło, że prezesem wileńskiego Związku Literatów jest grafoman. Na początku września gazeta uderzyła w chlubę Hulewicza – celę Konrada z umieszczoną w niej czytelną czasopism. Zdaniem „Słowa” dzięki „reklamarskim” umiejętnościom Hulewicza przewalają się przez nią tłumy turystów, które wychodzą stamtąd rozczarowane, widząc zamiast celi więziennej przytulne fotele i półki z gazetami. Do tego, zdaniem gazety, występy Smorgonii nie licowały z miejscem kaźni – czy w Cytadeli Warszawskiej ktoś mógłby sobie wyobrazić przedstawienia kabaretu z bufetem pełnym wódek? Jedną z ostatnich karykatur Dangła opatrzoną była informacją, że wnuk Mickiewicza nie

zdecydował się podarować Wilnu pamiątek po dziadku, zgorzony widokiem ulubionego krzesła wieszacza stojącego „w nieposzanowaniu”. „Niezawodnie była to kampania, którą człowiek o mocnych nerwach mógł przetrzymać. Ale Hulewicz, mimo pozoru, mimo swojego prawie atletycznego wyglądu, bardzo to wszystko brał do serca”²¹¹ – pisał Byrski.

Hulewicz najpierw podał „Słowo” do sądu. Potem wyrzucił z pracy w radiu Bogu ducha winnego dziennikarza i dyrektora finansowego „Słowa”. Parę dni później w gazetach ukazał się anons:

Szanowny Panie Redaktorze, za łaskawym pośrednictwem poczytnego pisma Pańskiego mam zaszczyt podać do wiadomości publicznej, że naskutek kampanji prowadzonej od pewnego czasu przeciwko mnie w dzienniku „Słowo” – wymierzyłem sobie satysfakcję zapomocą szpicruty na osobie karykaturzysty nazwiskiem Feliks Dangel w dniu 11 września r.b. o godzinie 13.40 w lokalu cukierni S. Rudnickiego przy ulicy Mickiewicza 1, w obecności licznych świadków. Łączę wyrazy głębokiego szacunku. Witold Hulewicz²¹².

Córka Mackiewicza opowiadała, że Dangel wyzwiał Hulewicza na pojedynek:

Wtedy Hulewicz [...] stwierdził, że on nie będzie się pojedynkował z Danglem, bo pojedynkuje się człowiek według Kodeksu Boziewicza tylko z ludźmi honorowymi. A Dangel nie jest człowiekiem honorowym. Wówczas mój ojciec jako redaktor naczelny „Słowa” poczuł się obowiązany bronić swego pracownika i wyzwiał Hulewicza na pojedynek. Jemu już Hulewicz nie odmówił²¹³.

Pojedynek nie zamknął sprawy. „Słowo” ponawiało zgryźliwości wobec Hulewicza, dołożyło atak na Lorentza. Hulewicz chciał się pojedynkować z kolejnym dziennikarzem gazety. Salomonowe wyroki sądowe nikogo nie zadowolily.

Władze Polskiego Radia postanowiły przerwać to błędne koło i w styczniu 1935 roku oddelegowały Hulewicza do centrali w Warszawie. Lorentz został wicedyrektorem Muzeum Narodowego. Obaj urządzili huczne pożegnanie w listopadzie 1935 roku i zniknęli z Wilna na zawsze.

Po wyjeździe Hulewicza miasto powoli zapadało w swój królewski sen.

Sycylijczycy nigdy nie będą chcieli się zmienić z tej prostej przyczyny, że uważają się za doskonałych; ich próżność silniejsza jest od nędzy; każda interwencja ludzi obcych,

obcych na skutek pochodzenia czy też, w wypadku Sycylijczyków, na skutek odrębności duchowej, budzi ich ze snu o osiągniętej doskonałości, z miłego oczekiwania na nic; podeptani przez dziesiątki innych nacji, uważają, że mają cesarską przeszłość, która daje im prawo do najwspanialszego pogrzebu²¹⁴

– mówił ksiązę Fabrizio Salina o rodakach w *Lamparcie*. To samo mógłby napisać o wilnianach Hulewicz, gdyby umiał pisać tak jak Giuseppe Tomasi di Lampedusa.

W Warszawie od razu zasiadł do pracy nad przewodnikiem po Wilnie. Tęsknił.

*

Stoimy przed willą na Witoldowej. Zniszczony tynk miejscami obłazi z żółtych ścian jak skóra z chłopięcych kolan. Przed wejściem lśni czysta karetką pogotowia. Dziś jest tu przychodnia. W ogrodzie nieforemny, drewniany budynek i trawnik, który ocalał tylko tam, gdzie nie rozjeździły go parkujące auta. Kukułkę, poprzedzającą codziennie przemówienia Starzyńskiego z Warszawy (na placach miejskich pod głośnikami zbierały się wtedy tłumy), wilnianie usłyszeli po raz ostatni przed południem 16 września 1939 roku. W południe trzy niemieckie bomby zniszczyły stację nadawczą. Nie ocalały nagrania archiwalne. Hulewicz w czasie okupacji rzucił się w Warszawie w wir konspiracji z całym swoim talentem organizacyjnym. Zaczął wydawać jedną z pierwszych polskich podziemnych gazet. Współpracował z oficerami KOP przy produkcji niemieckojęzycznych broszur dla Niemców, z Lorentzem – przy raportach o dewastacji polskiej kultury. Gestapo aresztowało go latem 1940 roku. „Biją strasznie. Nie powiedziałem nic”²¹⁵ – napisał na Pawiaku w grypsie do córki. Został rozstrzelany w Palmirach w czerwcu 1941 roku.

Idziemy dawną Mickiewicza, dziś szykownym Prospektem Giedymina, pod pachą dyskretnie chowając małą brązową książkę – reprint przewodnika Kłosa, profesora, który lubił fotografować zabytki i nagie damy. Mijamy budynek dzisiejszego Teatru Małego, przed wojną ostatnią siedzibę wileńskiej kukułki. Przenieśli się tu, gdy na Witoldowej zrobiło się za ciasno. W fasadę budynku dwa lata temu wmurowano nietypową tablicę poświęconą litewskiemu radiu, które działało od 1939 roku. „Przed stu laty radio było wielkim cudem. Odzyskanie

Wilna również było dla Litwy wielkim cudem”²¹⁶ – mówił podczas uroczystości burmistrz Wilna Remigijus Šimašius.

Kościół Świętego Jerzego, gdzie biegały panienki z wileńskiej socjety, Sowietci zamienili w bibliotekę. Dziś stoi zamknięty, jakby na coś czekał w zamyśleniu. W Czerwonym Sztrallu ulokował się bank.

Przy Zamkowej, po litewsku Pilies, stoi dawny urząd wojewódzki, gdzie pracowali Hulewicz i Lorentz, a Łopalewski pisał *Betlejem ostrobramskie*. Próba wejścia do środka kończy się niepowodzeniem, ciężki budynek o facjacie tępego ochroniarza od zawsze stworzony dla władzy dziś mieści w sobie urząd cyfryzacji. Dokładnie po drugiej stronie ulicy jednopiętrowa, rozłożysta kamienica, pusta i oplakatowana ogłoszeniami – szukają nowego najemcy? – mieściła redakcję „Słowa”.

Jeszcze dziesięć minut i zatrzymujemy się na skwerku obok kościoła Świętej Anny, gdzie Litwini w 1984 roku postawili pomnik Mickiewicza. W latach dziewięćdziesiątych obłożyli go płytami przygotowanymi przez Henryka Kunę do jego monumentu. Czyżby mała unia polsko-litewska wokół rzeźby wspólnego wieszczą? – zastanawiamy się.

Tramwajów Wilno nie ma do dziś. Rezygnujemy z autobusów i na ulicę Szeptyckiego, dziś Szewczenki, gdzie wciąż stoi „Elektritowy” pałac, wracamy kilka kilometrów na piechotę. Wygląda, jakby czekał na coś jeszcze w swoim życiu. Na powrót właścicieli? Aresztowany przez NKWD Nachman Lewin zmarł w sowieckim łagrze. Hirsch Chwoles, zmobilizowany we wrześniu 1939 roku, po przegranej wojnie uciekł do Kowna. Zginął w kowieńskim getcie. Londyńscy wnukowie Samuela niewiele wiedzą o milkliwym dziadku. Na wakacje w 1939 roku wyjechał z żoną i chorującym wciąż Borysem na południe Francji. Tam ich troje zastał wybuch wojny. Wrócili razem do Anglii. Chwolesowie zamieszkali w swoim domu pod Oksfordem. Samuel przed wojną oprócz pracy w Elektricie zajmował się dzierżawą państwowych majątków w południowo-wschodniej Polsce, gdzie sadył len, który potem eksportował z zyskiem do Irlandii Północnej. Wnukowie sądzą, że musiał mieć jakieś pieniądze w bankach angielskich, dzięki którym z sukcesem uruchomił produkcję koców elektrycznych i przeniósł się z rodziną do Londynu. Pod koniec życia był cichutkim, głuchawym staruszkiem. Przepadał za kotami – jeździł po mieście i dokarmał bezpańskie dachowce. Jego wnukowie do Wilna się nie wybierają.

Raj na Wołyniu

Zamykasz oczy i widzisz miejsce jak z bajki. Las, wysokie sosny, powietrze czyste i suche, czujesz zapach igieł. Za lasem modra rzeka, nad nią drewniany most. Strażacka wieża. Rzędy domów z drewnianych bali o czerwonych dachach. „Robią wrażenie wyjętych z pudełka ładnych zabaweczek, którymi cieszyliśmy się w naszych najmłodszych latach”²¹⁷ – zanotuje zaskoczony ich znalezieniem przybysz. W tych domkach pstrykasz i zapala się światło. Prąd dociera z elektrowni. Z kranów płynie pitna woda. Są telefony, a jedyne miejsce niepodłączone do centrali to stacja kolejowa. Niskie drewniane płotki, za nimi kwiatki. Kolorowe, jak rysowane przez dzieci kredkami. Alejki – szerokie, przedzielone pasami drzew, pod linijkę. Chodniki brukowane bazaltową kostką. Układ ulic w kratkę. Zamiast nazw – litery: A, B, C, K... Tak wygląda w 1939 roku osiedle robotnicze przy kopalni bazaltu w Janowej Dolinie, powiat kostopolski. Sztandarowy projekt II RP na Wołyniu.

Zanim trafimy do Janowej, obejrzymy setki fotografii i pocztówek, które ją uwieczniają. Dobrze sprzedają się na Allegro. Zwiedzający Kresy kolejarz, który na widokówkach spisywał wrażenia z podróży, zanotował, że miasteczko faktycznie jest jak z żurnala „Arkady” lub „Architektury i Budownictwa”. „Pan u nas chyba pierwszy raz? Proszę poczekać, to chętnie oprowadzę, mam przerwę za kwadrans” – zachęca go absolwent Politechniki Lwowskiej zatrudniony w Janowej. Mówi z dumą: „To nasza wołyńska Gdynia”²¹⁸.

Od 1919 roku władze mają z Wołyniem nie lada kłopot. Bo można utwierdzać się w przekonaniu, że prastara kraina wróciła do Polski po traktacie ryskim. Bo przecież na mocy unii lubelskiej Wołyń został przyłączony do Królestwa Polskiego. Poiła go „krew wielu rycerzy kresowych”. Bo zwycięstwo pod Beresteczkiem, Jan Kazimierz, Jeremi Wiśniowiecki przeciw Bohunowi. Wspaniałe rody Ostrogskich, Zasławskich, Czartoryskich, Czetyrtyńskich. Nawet pod zaborami – do powstania listopadowego – Liceum Krzemienieckie i Juliusz Słowacki. Ale na początku II RP Wołyń, a raczej jego zachodnia część, bo wschodnia dostała się Związkowi Radzieckiemu, to ziemia problematyczna. Nie dość, że po zaborze rosyjskim, to jeszcze wyniszczona wojną. Część polskiej szlachty jest zruszczona i spauperyzowana po powstaniu styczniowym. Są

miasta: Łuck, Równe, Dubno, Kowel, ale jakby nie istniały. Na dworcu w Łucku w kolejce po bilet trzeba stać dwie godziny. W Kownie „Dziennik Wołyński” skarży się: „Mówiąc o życiu kulturalno-artystycznym, z punktu zaznaczyć można, że istnieje ono w naszym mieście w bardzo szczupłym zakresie, a raczej nie istnieje wcale”²¹⁹. Prawie dziewięćdziesiąt procent ludzi żyje na wsi, do tego w ogromnej biedzie. Uprawiają ziemię prymitywnie, z trójpolówką włącznie. Są analfabetami. Brakuje szkół, dróg, szpitali. Rusini stanowią dwie trzecie ludności. W sąsiedniej Galicji pod zaborem austriackim uzyskali znaczne swobody, a w okresie przejściowym udało się im utworzyć Zachodnioukraińską Republikę Ludową. I choć przetrwa zaledwie kilka miesięcy, to sprawi, że Rusini już na zawsze uwierzą, iż możliwe jest posiadanie własnego państwa.

Gdy w sierpniu 1920 roku Polska przygotowuje się do obrony stolicy przed bolszewicką nawałą, w czeskiej Pradze pozostałości strzelców siczowych zakładają Ukraińską Organizację Wojskową. Nazwa nawiązuje do Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). Ma też podobne cele: „Wojna jeszcze się nie skończyła! My, Ukraińska Organizacja Wojskowa, kontynuujemy ją”²²⁰. Odpowiedzią strony polskiej na żywioł ukraiński ma być osadnictwo wojskowe. Zwiększy liczbę Polaków, do tego patriotów, wprowadzi nowoczesne metody upraw, a przy tym ojczyzna zrewanżuje się ziemią najwierniejszym synom. Polacy, stanowiący dwadzieścia procent tutejszej ludności, otrzymują czterdzieści osiem procent tego, co jest dzielone podczas parcelacji. Młodzi ludzie w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat, wielu odznaczonych Krzyżem Walecznych czy Virtuti Militari, legioniści, członkowie Korpusu Polskiego, POW, ochotnicy w wojnie 1920, powstańcy śląscy, wielkopolscy, hallerczycy są wysyłani na Kresy. Zaprawieni w trudach, nie boją się nocowania w ziemiankach ani sąsiadów Rusinów. Ci traktują ich jak intruzów, którzy wdarli się na ich terytorium.

II Rzeczpospolita miota się między chęcią pozyskiwania przychylności Ukraińców a twardym planem endeków narzucenia polskości siłą. Roman Dmowski uważa metody „miękkie” za słabość.

Jeśli Rusini mają zostać Polakami, to trzeba ich polonizować. Jeśli mają zostać samoistnym, zdolnym do życia i walki narodem ruskim, trzeba im kazać zdobywać drogą ciężkich wysiłków to, co chcą mieć, kazać im hartować się w ogniu walki. [...] Zaspokoivszy ich nadmierne dziś apetyty, pozostawimy tę piękną ziemię gnuśnym,

sytym próżniakom, których samoistność dopóty będzie trwała, dopóki ktoś energiczniejszy od nas swej ręki na nich nie położy²²¹

– ostrzega w *Myślach nowoczesnego Polaka*.

W ciągu pierwszych siedmiu lat II RP przez Wołyń przewinie się dziewięciu wojewodów. Dziesiąty, Henryk Józewski, przyjeżdża do Łucka 20 września 1928 roku. To zaufany człowiek Józefa Piłsudskiego, od młodości związany w Kijowie z tajną POW i z Polską Partią Socjalistyczną-Frakcją Rewolucyjną (PPS-Frakcją Rewolucyjną). Jest dobrze rokującym malarzem. Jego wystawa martwych natur i bukietów kwiatów w Salon d'art bardzo się podoba. Dla Teatru Studya przygotowuje dekoracje do *Świerszcza za kominem* i *Balladyny*. Ale dla Komendanta i Polski Józewski potrafi w jednej chwili porzucić sztalugi i młodziutką żonę Julię Bolecką, artystkę o równo przystrzyżonej grzywce i ślicznej dziewczęcej buzi, i w czasie polsko-bolszewickiej burzy pokierować Komendą Naczelną POW w Kijowie. „Komendant miał wilgotne oczy, a może było tak, jakby Komendant miał w oczach łzy... było to największym naszym odznaczeniem, jakąś prawdą, która wyciągnęła do nas rękę. Słyszałem bicie serca Polski”²²² – Józewski, pragmatyk do bólu, gdy chodzi o ukochanego Komendanta, okazuje się sztubacko romantyczny.

Drugim autorytetem jest dla niego Stanisław Stempowski. Ziemianin, mason, pisarz i mentor. „Papa” – będzie o nim mówił z czułością Henryk i zaprzyjaźni się z jego synem Jerzym. Gdy więc Komendant wydaje polecenie, by wraz z „Papą” wszedł w skład ukraińskiego rządu Symona Petlury, może tylko powiedzieć: „Tak jest!”. W jego mieszkaniu przy Mokotowskiej w Warszawie Petlura znajdzie schronienie. Potem podczas ucieczki przed bolszewicką władzą Józewski będzie towarzyszył atamanowi w podróży do Paryża.

W Narutowiczach blisko Krzemieńca jako osadnik dostaje w 1923 roku ziemię. W otoczeniu sierżantów, kaprali, podporuczników i kapitanów uprawia własną i tę odziedziczoną przez żonę. W opuszczonym klasztorze nad Horyniem wraz z Jerzym Stempowskim zakłada artystyczny „zakon”. Utrzymuje kontakty z Marią Dąbrowską, od 1924 roku partnerką „Papy” Stempowskiego, i z Zofią Nałkowską. Zażyłe stosunki ma także ze zwolennikami ruchu prometejskiego – koncepcja wspierania narodów wcielonych siłą do ZSRR, by wyswobodzić je z komunistycznego uścisku, bardzo przypadła mu do serca.

Wkrótce Komendant zrobi przewrót majowy. Józewski mu w tym pomaga, a dwa lata później zostaje wojewodą wołyńskim – 20 września 1928 roku czekają już na niego na peronie w Łucku wszyscy naczelnicy wydziałów.

Ma ambicję przemalować cały Wołyń. Chodzi o to – z przyjaciółmi przegadał na ten temat wiele godzin – by przekonać Rusinów do Polski. Dać im swobodę, dostęp do kultury. Szkoły w języku ukraińskim, organizacje, stowarzyszenia. Tylko tak można ich uczynić lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej – przekonuje. Rusini nie są jednym organizmem. Ci z Wołynia, prawosławni, mniej uświadomieni narodowościowo niż w Galicji, z niechęcią patrzą na coraz sprawniej działające polskie państwo. To ono ściga za pędzenie bimbru, nie pozwala na sadzenie tytoniu, żąda podatków. Kilka dni przed objęciem funkcji Józewski wygłasza *exposé* przed wołyńskimi parlamentarzystami. Objechał już pięć powiatów i kilkadziesiąt gmin, spotkania nastrajają go optymistycznie. Jest przekonany, że da się z rusińskiej większości uczynić lojalnych obywateli Rzeczypospolitej. „Gleba wołyńska jest moim zdaniem gotowa do tego posiewu”²²³ – kończy, mając na myśli wolność w kulturze i gospodarce dla mniejszości narodowych. W ten sposób rozpoczyna się „eksperyment wołyński”. W budynkach publicznych obok portretów Piłsudskiego zawisa Petlura, świętuje się Jordan^[4] i Szczedryj Weczir^[5], państwo dotuje pięć tysięcy ukraińskich kółek czytelniczych i ukraiński ruch spółdzielczy. Powstają Narodne Torhiwle, ukraińskie spółdzielnie spożywcze. Teatr Ukraiński wystawia swych klasyków, otwierają się dwujęzyczne szkoły.

Budowa osady w Janowej Dolinie wpisze się w ten projekt. Będzie przedstawiana jako wspólne miejsce pracy Polaków i Ukraińców.

Po I wojnie światowej karierę robi bazalt: twardy, czarny kamień, odporny na uderzenia i trudny do starcia. To znakomity materiał na drogi, a II Rzeczpospolita musi je budować. Po bazalt nad Horyniem sięgnęli już w 1914 roku Rosjanie. Transportowali go do Prypeci, a potem dalej na Wschód. W niepodległej Polsce Kraków, Lwów i Tarnów skrzykują się, powołują do życia spółkę i eksploatują złoża wydzierżawione nieopodal, w Berestowcu. To daje do myślenia urzędnikom państwowym. W 1925 roku postanawiają sprawdzić Janową Dolinę, znajdującą się w leśnym rewirze rządowym. Ministerstwo Robót Publicznych zleca inżynierowi Leonardowi Szutkowskiemu prace nad badaniem złóż. Bazalt z Janowej Doliny okazuje się dobry gatunkowo. W Warszawie zapada decyzja o budowie kamieniołomów.

Ruszają prace, a w bezpośrednim sąsiedztwie, w oddalonej o pięć kilometrów ukraińskiej wsi Złażne, mieszkającym tu muzykom zachwiała się pod stopami ziemia. Do tej pory ich życie płynęło spokojnym nurtem, niczym wody Horynia. Pagórkowaty teren szedł raz w górę, raz w dół. Stojącą na wzgórzu cerkiew w starym parku zdobiły dwie kuliste kopuły, a w niedzielne poranki spowijał ją śpiew chóru. Wokół majdanu, pod słomą lub gontem, przyczyły się drewniane domki tych, którzy śpiewali. Na Boże Narodzenie pozdrawiali się słowami: „*Chrystos sia razdajet*” – „*Sławymy Jeho*”. W czasie paschalnym: „*Chrystos Waskries*” – „*Woistinu Waskries*”. Za cerkwią, w dolinie zwanej Rudką, na bagnie, dzieci wypasały gęsi i świnie. Dalej – znów na górze – chowało się zmarłych, znacząc koniec ich ziemskiej wędrówki krzyżem o ośmiu końcach. Nad Horyniem Niemiec prowadził młyn, który napędzał się kołem przedsiębiornym. Wiosną, gdy woda wzbierała lub podczas spływu tratw, koło odholowywano do zatoczki. Żydzi handlowali, a Rusini, czyli prawie wszyscy w Złażnem, szli w pole, gdy przychodziła wiosna, a zimą tkali w chatach sukno, śpiewając dumki. Krewka młodzież czasem po samogonie kozakowała, tłukąc się sztachetami z płotów. Tak od pokoleń.

W tych okolicach panów było dwóch: hodujący araby Potoccy w Deraźnem i zrusyfikowani Karczewscy w małym folwarku w Karczewie. Pan czasem zapędzał się w tutejsze lasy na polowania. Zdarzyło się, że i podchmielony panicz zawitał do Złażnego i z otwartego powozu sypał w błoto miedziaki kłaniającym się muzykom. „Dobryj pan” – mówili, a on cieszył oczy, gdy wygrzebywali monety z ziemi jak kura ziarno. Szlachta zagrodowa na tym terenie, w Japołodzi i Biczalu, była zmużyczona, co oznaczało, że w domach mieli „salon i alkowy”, do pracy chodzili w rękawiczkach, modlili się w cerkwi. Lachów było tu wcześniej mało, podobnie jak kacapów, czyli Rosjan, ale od początku lat dwudziestych to się zmienia. Docierają na te tereny polscy osadnicy. Dla kolonistów w powiecie kostopolskim wykrojonych zostaje sto trzynaście działek wielkości średnio od sześciu do dziesięciu hektarów. Gospodarstwa ukraińskie są mniejsze, mają od trzech do pięciu hektarów. Nie ma więc sprawiedliwości, nie ma zgody między swoimi i przybyszami. Właśnie wtedy zjeżdżają ekipy do lasu za rzeką i zaczynają kopać. Doły odsłaniają zastygniętą lawę, wokół której kręcić się będzie teraz życie okolicy. Pod ziemię zapada się dawny, dobrze znany świat.



17. Robotnicy z Państwowych Kamieniołomów Bazaltu, Janowa Dolina, lata 30., fot. Jerzy Konrad Maciejewski
Źródło: Ośrodek KARTA

W październiku 1928 roku w Państwowych Kamieniołomach Bazaltu rusza wydobywanie. Na zdjęciach odkryte złoża wyglądają jak wielka, czarna, plisowana spódnica, miejscami nieco pognieciona. Przy niej górnicy przypominają krasniali. Uwijają się żwawo, bo w kopalni można nieźle zarobić – doświadczony górnik dostaje nawet sto pięćdziesiąt złotych.

W 1929 roku dzięki staraniom u wojewody inżyniera Wacława Gordziałkowskiego, naczelnika Wydziału Komunikacji, udaje się doprowadzić torę i połączyć kamieniołom z odległym o zaledwie osiemnaście kilometrów Kostopolem.

Wśród miast wołyńskich należy on do najczystszych, a w ostatnich latach powstało dużo nowych dworców w zakopiańskim stylu. Mieszka tu pewna liczba Niemców ewangelików, którzy tu mają *kościół* ewangelicki. Duża *huta szklana*, oraz fabryka

wyrobów dychtowych (forniernia). Niegdyś dobywano tu rudę poddarniową, ale obecnie przemysł żelazny w okolicy upadł²²⁴

– tak znany twórca przewodników po Polsce Mieczysław Orłowicz charakteryzuje Kostopol, zaplecze Janowej Doliny. Pierwszy transport bazaltu pod nazwą „półbruczek” odjeżdża z Janowej nad morze, do Hallerowa, dzisiejszego Władysławowa.

Wielki kryzys w 1929 roku w Niemczech wyniesie Hitlera do władzy, a na Wołyniu zbuduje Janową Dolinę. Przygna do niej tych, którzy nigdy by tu nie dotarli, gdyby nie musieli. „Los rzucił nas na Wołyń w czasie wielkiej depresji”²²⁵ – napisze we wspomnieniach Jadwiga Bator. Imigranci przybywają z Wielkopolski, ze Śląska, z Klimontowa (obecnie część Sosnowca), gdzie zamknęli kopalnię. Najpierw bez rodzin. Szukają kwater w Złaznem, które stają się dla Janowej sypialnią i spiżarnią. Kolonia Polska – w sumie około dwudziestu domów – wyrasta za prawosławnym cmentarzem. „Powstało tu nawet kilka domów czynszowych”²²⁶ – zapamięta Bogusław Soboń, syn dzierżawcy cegielni.

Desperaci żyją nawet w ziemiankach i lepiankach. Ale z widokiem na przyszłość, bo zapada decyzja o budowie robotniczej osady. Pomysłodawca, inżynier Szutkowski, dziesięć lat później wyzna Juliuszowi Osterwie, gdy ten przyjedzie z teatrem do Janowej, że inspiracją były dla niego szklane domy Żeromskiego²²⁷.



18. Osiedle robotnicze w Janowej Dolinie, 1939

Źródło: NAC

Niewątpliwie Szutkowski ma wpływy i moc sprawczą. Nad mapą lasu nad Horyniem pochylają się urbaniści, którzy rozrysowują plan zagospodarowania Janowej: sieć prostopadłych ulic nazwanych z amerykańską za pomocą liter i centralnie położony budynek użyteczności publicznej. Program budowy osiedla zakłada postawienie sześciuset domków w układzie bliźniaczym, wzorowanych na fińskich. Projektuje je Aleksander Kodelski, znany warszawski architekt, modernista, który w tym samym czasie pracuje także przy obiektach sportowych Legii w Warszawie, a później wybuduje w Zakopanem kolejkę na Kasprowy Wierch. Janowa wykorzystuje drewno z wycinki pod ulice. Ma własny tartak. Pracę nad osiedlem nadzoruje inżynier Urbanowicz, o którym dziś nie udaje nam się dowiedzieć nic więcej.

Uprzywilejowani przy przydziale mieszkań mają być robotnicy z dużymi rodzinami. Kopalnia przez pierwsze trzy miesiące daje nowym pracownikom zaliczki mieszkaniowe – czterdzieści groszy dziennie dla samotnych, sześćdziesiąt dla tych z rodzinami z Wołynia, złotówkę dla przybyłych z innych części kraju²²⁸.

Pierwsze rodziny wprowadzają się w 1934 roku. Kiedy szukając dawnych mieszkańców Janowej, natrafimy w Karolinie Północnej na Edwarda Batora, syna Józefa, ten po osiemdziesięciu latach narysuje z pamięci typowy dom na ulicy B: dwa wejścia w dwóch narożach, cztery okna, w tym dwa w dachu, dwa kominy. Podpisze: „Dwie rodziny na dole. Dwie rodziny na piętrze. Drewnutnie i ustępy na każdą rodzinę. Ogrody: przy ulicy kwiaty, z tyłu warzywa. Lasek za domami. Śmietniki koło lasku za płotem”²²⁹. Tak mieszkają. Przy ulicy A domy są już inne – sześciopokojowe z balkonami na piętrze. Reprezentacyjna aleja Spacerowa ma równe krawężniki, zasadzone wzdłuż nich drzewka i krzewy, wygodne ławki, trawniki, rabatki i ścieżki rowerowe – dwie boczne węższe części oddzielone od jezdni trawnikiem.

Widok z Domu Zbiorowego, Domu Społecznego lub Bloku, bo różnie go nazywają, wychodzi na plac z okrągłym dywanem kwiatów. W wielkiej sali pokazują spektakle – bywa Teatr Wołyński, bywa ukraiński, a nawet Osterwa – ale i walki bokserskie, bo tutejsza drużyna Strzelec, mistrz Wołynia, ma mocne uderzenie. Michał Romaniuk, kierownik działu gospodarczego kopalni, członek Związku Strzeleckiego, sprowadza do kina filmy dźwiękowe, dodatki Polskiej Agencji Telegraficznej i filmy propagandowe. Zdarzają się czasem bezpłatne seanse. Na Ramóna Novarrę i Jeanette MacDonald w najpiękniejszym poemacie miłosnym *Kot i skrzypce* popatrzeć mogą wszyscy.

W Bloku jest część mieszkalna – umeblowane pokoje, w których zakwaterowanych jest po czterech robotników kawalerów. Działa też stołówka. W dużej, wysokiej sali klienci w krawatach dyskutują przy narożnych, kwadratowych stoliczkach.

Sklep Społem – również znajdujący się w Bloku – nad długą ladą ma zawieszony hasło: „Spółdzielczość – potęga społeczeństwa”. W środku uwijają się dwie ekspedientki w białych fartuszkach.

Na hakach wiszą kiełbasy. Za zdobioną kasą – kartka informująca o tym, że po odejściu reklamacji nie uwzględnia się. W drogerii klientka kupuje bombki

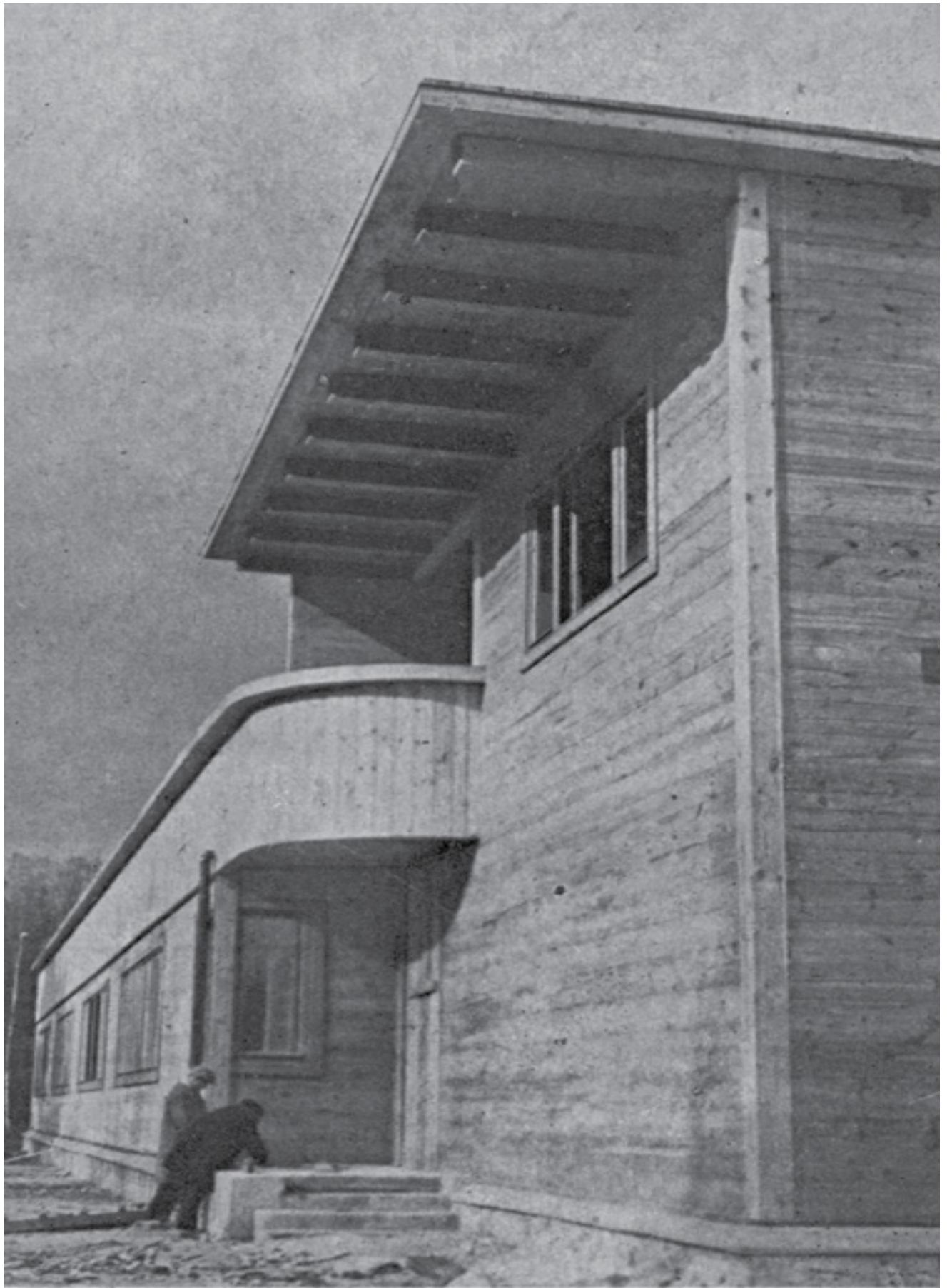
i mydło toaletowe Lux. W przedszkolu Hanna Bitnerówna daje z siebie wszystko dla „naszych maleństw”, na które, kiedy podrosną, czeka szkoła jak marzenie.

Elewacja z drewnianych deseczek. Przed wejściem kwietniki. Gałęzie sosen wchodzą do wielkich okien. Wewnątrz zamiast klepiska, jak to na Wołyniu, pachnący żywicą parkiet, lśniące podłogi. Uczniowie zostawiają obuwie w szafkach i pomykają w filcowych paputkach. Żadnej dymiącej kozy w kącie, tylko centralne ogrzewanie. Na korytarzach umywalki, woda czerpana ze źródła. W klasach zamiast zwyczajnych ławek lakierowane foteliki z biurkami.

Uczniowie mają obowiązek nosić fartuchy. Chłopcy szare, dziewczynki granatowe. Na uroczystości państwowe i kościelne zakładają galowe granatowe mundurki. W niedzielę idą razem na mszę świętą. Do kaplicy, bo kościół jeszcze nie powstał.

Gdy inżynier Zdanowicz, budowniczy osiedla, uważa dzieło za skończone, przechodzi na stanowisko inspektora budowlanego w Wilnie. Na jego pożegnaniu najstarszy górnik, Ozimek, przypomina, że jeszcze niedawno w Janowej mieszkało się w szałasach. Teraz Janowa staje się miejscem wypoczynku – obóz rozbijają tu harcerze, zatrzymują się uczestnicy spływu przez Wołyn Horyniem, organizowany jest kurs jazdy na motocyklach.

Bazaltowa kostka dudni pod stopami maszerujących po niej oficerów tutejszego samodzielnego pododdziału strzelców. „Blask promieni słonecznych odbijał się od tarczek na rękawach mundurów strzeleckich” – zapisze oczarowany dziennikarz²³⁰. W czerwcu 1937 roku po raz pierwszy ulicami Janowej rusza procesja Bożego Ciała. Uczestniczy w niej każdy, kto może chodzić – dwa tysiące osób. Księża Franciszka Plutę prowadzą pod baldachimem przedstawiciele władz. Orkiestra, młodzież szkolna, harcerze, pluton honorowy strzelców, przedszkolaki sypią kwiaty. „Raj na ziemi” – mówią o tym miejscu władze. „Raj na ziemi” – powtarzają mieszkańcy. Raj na Wołyniu.



19. Szkoła powszechna w Janowej Dolinie, pocztówka wydana nakładem kostopolskiego oddziału PTTK, ok. 1938

Źródło: ze zbiorów Tomasza Kuby Kozłowskiego

Złazne dzięki kopalni także przechodzi przemianę. Wokół majdanu wyrasta przychodnia. Dyrekcja kamieniołomów buduje aptekę. Jest szkoła z boiskiem i placem, który zimą zamienia się w lodowisko. Nawet niemiecki młyn musi znieść wyrosłego na drodze do Stepania rywala, którego właścicielem jest Ukrainiec Baczuk.

Jeden przybytek nie ma sobie równych, i to w całej okolicy. To restauracja Zatkalika, należąca do kombatanta armii carskiej, z alkoholem sprzedawanym na wynos. Mężczyźni zaglądają tu chętnie, na co kobiety patrzą wilkiem, bo w czeluściach Zatkalika znikają zarobione z trudem pieniądze.

„W okolicach Janowej Doliny złoża bazaltowe nie stanowią zwartej masy, a składają się z wielu wylewów nie zawsze ze sobą powiązanych”²³¹ – zwraca uwagę dziennikarz. To samo można powiedzieć o ludziach. Po ponad siedemdziesięciu latach w gdańskim mieszkaniu urodzonej w Janowej Dolinie Eugenii Snarskiej pochylamy się nad zdjęciami. Elegancko ubrani panie i panowie. Na ogromnej łyżce koparki pozuje wyraźnie ubawiony mężczyzna. Ale aparat uwiecznił też chłopca na drewnianym moście. Podarte palto, wiszące, połatane spodnie, na stopach zamiast butów szmaty. Patrzy przed siebie, ale się nie uśmiecha. To ludzie z tła, przechodzący obok, zerkają w obiektyw, ciekawi sytuacji, która ich spotkała. A więc oprócz dostatku jest także bieda, tyle że o niej się nie pamięta. „Ostro rysowały się podziały, niemal kastowe, lokalnej społeczności, wynikające ze statusu majątkowego, pochodzenia, zajmowanego stanowiska czy wykształcenia”²³² – przyznaje Soboń.

W Janowej dziewięćdziesiąt siedem procent mieszkańców stanowią Polacy. Czy ludność miejscowa, w większości ukraińska, nie garnie się do pracy w kamieniołomach, czy też nie ma szans na zatrudnienie?

Ukraińcy pracują na roli, a bliskość osady zapewnia im klientów. W Janowej ze względu na rygorystyczne przepisy dotyczące zachowania porządku – uzgadniano nawet kolor zasłon w oknach! – nie wolno było hodować krów ani świń.

Podziały na Polaków i Ukraińców są odczuwalne. Soboń zapamięta, że w pierwszej lub drugiej klasie, wracając ze szkoły, krzyczał za grupą ukraińskich

kolegów: „Muzyk – cham, muzyk – cham...”. W domu dostał reprimendę i solidne lanie. „Nigdy już nie zachowywałem się w podobny sposób, ale stanowiło to raczej wyjątek od powszechnej reguły. Dopiero znacznie później uświadomiłem sobie, że rodzice utrzymywali dobre stosunki z ukraińskimi sąsiadami również dlatego, że byli to ich potencjalni klienci”²³³ – napisze. Rodzina Soboniów wrośnie w ukraińskie otoczenie. Podobnie jak Pietrasiewiczowie, budowniczy osiedla. Pietrasiewicz zatrudnia także Ukraińców. Dzięki nim poznaje język. „Był nawet przez nich lubiany, bywał na ślubach, chrzcinach swoich pracowników”²³⁴ – będzie wspominać córka. Półtora tysiąca robotników polskich i półtora tysiąca robotników ukraińskich²³⁵ – to argument wysuwany potem przez dyrekcję kamieniołomów na poparcie tezy, że „eksperyment wołyński” ma miejsce właśnie tu. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że te proporcje, wyważone z aptekarską dokładnością, to tylko slogan.



20. Śniadanie robotnika, Janowa Dolina, 1935

Źródło: Muzeum Niepodległości

Mimo to w Janowej każdego dnia spotykają się ludzie, których dzieli pochodzenie społeczne, aspiracje, wykształcenie, wykonywane zawody i piastowane stanowiska. Dyrekcja kopalni to inżynierowie, administracja – dobrze wykształceni pracownicy biurowi. A robią zakupy w tym samym sklepie co tłukący kamień robotnicy. Oglądają te same filmy w klubie, ich dzieci chodzą do jednej klasy.

Kamień, owszem, jest ważny, potrzebny do budowy dróg, ale chodzi też o misję. Janowa ma być „ośrodkiem propagandy myśli państwowej polskiej, wyrabiającej w robotniku poczucie obywatelskie, poczucie solidarności narodowej i państwowej, kształcąc go na obywatela gotowego zawsze zamienić kilof i młot górniczy na karabin, by w razie potrzeby stanąć na zew ojczyzny”²³⁶ – tak fenomen leśnego osiedla na Wołyniu tłumaczy redaktor lokalnej gazety.

Pocztówka z Janowej

Maniecki – którego imienia nigdy nie poznamy, bo się nim nie podpisywał, choć jest inżynierem – ma żyłkę dziennikarską. W 1934 roku wpada na pomysł, by założyć lokalne pismo. Gazetkę ścienną przekształca w wydawaną przy pomocy związków zawodowych gazetę „Głos Robotnika”. Najpierw pismo ma nakład czterystu egzemplarzy, dwa lata później już ponad dwóch tysięcy. Ośmiostronicowy tygodnik kosztuje dziesięć groszy i – co redaktor naczelny Maniecki podkreśla z satysfakcją – jest samowystarczalny. Co więcej, trafia na biurka najważniejszych osób w państwie, czego dowodem jest zachowana do dzisiaj w Bibliotece Narodowej poślizgnięta kartka z wykaligrafowanym nazwiskiem adresata: „WP. Minister Zyndram-Kościałkowski”^[6]. Redakcja mieści się w budynku Kierownictwa Kamieniołomów. Na początku jej zadaniem jest wyjaśnianie praw robotniczych i przepisów BHP. Potem jednak „Głos” przeistacza się w barwną lokalną gazetę. Czytelnicy ślą próby literackie oceniane z bezwzględną szczerością: „Do druku niestety nie nadaje się”.

Szczególną rolę w „Głosie” odgrywa literat Jacek Maria Orlik. Nie ma złudzeń ani oczekiwań. W przeddzień swojego ślubu ubolewa: „Życie nasze jest tak zakłamanie, że aż niemiło – naprawdę – żyć!”. Gdy szef jest na urlopie, Orlik rozwija skrzydła. Niczym Bolesław Prus drukuje w odcinkach swoją nowelę – *Marta idzie w życie*. Wykorzystuje też okazję, by złajać spółdzielnię z Janowej Doliny, że się europeizuje, bo nie oddaje już kaucji za butelki, a panna Krysia flirtuje sobie z amantami ze Złaznego i zamyka sklep przed czasem. Przeszkadza mu sanitariuszka w aptece i obiecuje więcej demaskatorskich tekstów, ale niestety z urlopu powraca Maniecki.

Zdarzają się i skandale przemilczane, o których nikt by nie pamiętał, gdyby nie listy do redakcji. Ledwo ksiądz Pluta udaje się na urlop, jego czasowy zastępca ksiądz Czyżewski wzywa w kościele do niewybierania dotychczasowego szefa związków zawodowych, bo ten źle się prowadzi. Związek Organizacji Społecznych Janowej uznaje napaść księdza za nietakt. Duchowny grozi procesem, ale kuria w Łucku nie wykazuje entuzjazmu.

Z czasem Janowa i jej bazalt obrastają legendą. Józef Dunin-Karwicki pisze, że „w miejscu od kilku wieków znanym” miał polować któryś z trzech polskich królów Janów. Olbracht, Kazimierz, Sobieski? Kimkolwiek był, ubił ponoć

w tutejszych lasach wielkiego niedźwiedzia, co dało początek nazwie miejscowości. Z opowieści wynika, że złoża odkryto w latach dwudziestych przez przypadek, przy karczowaniu wielkiego pnia sosny. Tak powstała jama, a z niej pierwsze wyrobisko. „Teraz stojąc na jednym z brzegów, niewyraźnie widzi się przeciwny”²³⁷ – ekscytuje się Dunin-Karwicki. Wszyscy są z Janowej dumni, chętnie pokazują ją turystom. Kopalnia emituje własną walutę, którą honorują miejscowe sklepy. Brakuje tylko fontanny. W Gdyni, która stanowi wzór dla Janowej, stanęła w sierpniu 1938 roku. W Janowej nie pojawi się nigdy. Nad Horyniem działają za to trzy kąpieliska, wypożyczalnia kajaków i łodzi. Latem gra muzyka. Do Janowej przyjeżdżają artyści. W Starej Kopalni Jan Kiepura śpiewa *Ninon, ach, uśmiechnij się*. Chór Dana, rówieśnik osady – *Chodź kolego na jednego*. Do tańca przygrywają orkiestry: górnicza, strażacka i jazz band. W Janowej tańczą w rytmie własnego tanga:

Janowa huczy w lesie
wiatr tony tanga niesie
przy boku swej wybranki – każdy jak pan!
Bo w lecie każdy hojny, rozrzutny i przystojny.
Bo bloczków piszą dużo! Kto ile chce!²³⁸

Przybywają egzotyczni goście. Inżynier podpisany w gazecie jako TS Sih BS, delegat chińskiego rządu, pojawia się w towarzystwie Mieczysława Okęckiego, przedstawianego jako twórca chińskiej sieci drogowej. Sala w Domu Zbiorowym pęka w szwach, bo każdy chce zobaczyć na żywo, jak wygląda „żółty”. Rozrywki z dreszczykiem dostarcza chiromanta – grafolog Sokałow, „znany z trafnych przepowiedni”. Wróży z linii rąk, z kart, z pisma. „Jeśli brak ci silnej woli, ogarnia cię lęk, najstraszniejsze myśli męczą cię, to nie zwlekaj”. Dla urzędników, inwalidów, bezrobotnych i młodzieży szkolnej oferuje zniżkę. Pojawia się w Kostopolu, a kilka dni później w Złaźnem. Czy potrafi przewidzieć, co wydarzy się za kilka lat na tej ziemi?

Władca

W Janowej osobą numer jeden, władcą serc i umysłów, instancją ostateczną, alfą i omegą jest dyrektor kamieniołomów Leonard Szutkowski. Jego zdjęcie znajdziemy w anonimowym albumie z Janowej, wśród scen z życia osady

i kopalni. Krępy pan z wąsem w średnim wieku przywdział czako z białym pióropuszem. Czarny mundur górnika, dwa rzędy guzików, cztery ordery. Wsparł się na szabli. Fotografie wklejono równo, przykryto bibułą. Brakuje podpisu, jakby chodziło o ojca czy wujka, którego przecież wszyscy w rodzinie znają.

Szutkowski jest zręczniejszy, niż można się spodziewać. Za misiowatą posturą kryje się gracz, który sprawnie osiąga swoje cele. Jeśli postanowi, że w tym miejscu powstanie kopalnia, to ona powstaje. Jeśli zechce być jej dyrektorem, to nim jest. Rozłożony w dyrektorskim gabinecie, gdzie ozdobą jest wielki, wypchany basior odstrzelony osobiście, potrafi umiejętnie lawirować między układami politycznymi w Łucku i w Warszawie. Buduje sobie na Wołyniu niezależną pozycję. W województwie u Józewskiego jego interesów pilnuje przyjaciel od polowań Waław Gordziałkowski. W Warszawie szczególne relacje utrzymuje z Ministerstwem Przemysłu, które powołuje go na ławnika w Kolegium Górniczym. Przyjmuje wizyty ministrów, posłów, senatorów, wojewodów.

Dbą, by nikomu nie uchybić, i wypracowuje rytuały przyjmowania ważnych osobistości. Już na peronie, gdy zatrzyma się salonka, dostojnych gości wita przedstawiciel robotników – dziękuje za opiekę. Wspierają go delegacje organizacji z Janowej i orkiestra kamieniołomów. Potem odwiedzający robią *tour* po kopalni i osiedlu.

Spółeczność Janowej jest wzorcowo patriotyczna. Blok bazaltu wędruje pod planowany w Warszawie pomnik księdza Skorupki. Technik Romaniuk udaje się na rajd szlakiem marszałka Piłsudskiego Zułów–Wilno. Zgodnie z wolą wojewody i z nakazami eksperymentu wołyńskiego nawiązuje się w Janowej „współdziałalność” polsko-ukraińska. Koło Rezerwistów brata się z kostopolską „Proświtiańską Chatą”^[7]. Jej przedstawiciel, Nestorowski, planuje wspólne imprezy teatralne. Ale kiedy już przyjeżdża do Domu Zbiorowego ze spektaklem, zwraca uwagę na nieaktualność podziałów na my i oni albo my i *wony* – codzienne bolączki Polaków i Ukraińców są pokrewne. Spektakle Teatru Ukraińskiego cieszą się dużym zainteresowaniem. „W każdym dniu sala wypełniona po brzegi”²³⁹ – donosi gazeta.



21. Dyrektor inż. Leonard Szutkowski (drugi z prawej) na terenie Państwowych Kamieniołomów w Janowej Dolinie na Wołyniu

Źródło: NAC

Imieniny Szutkowskiego to święto porównywalne z 1 Maja i Barbórką. Wczesnym rankiem pod budynkiem kierownictwa zbierają się delegacje, młodzież szkolna i przedszkole. Dyrektora wita gromkie *Sto lat* przy akompaniamencie orkiestry. Potem solenizant przyjmuje życzenia, dzieci tańczą krakowiaka. Do Szutkowskiego kierowane są prośby i petycje. O szpital, przedszkole, kościół, lepsze połączenia kolejowe. Dyrektor reaguje na nie z ojcowską troską. Ponieważ większość robotników nadal dojeżdża z pobliskich wsi, zawiera porozumienie z koleją i od tej pory między Kostopolem a Janową regularnie, mniej więcej co cztery godziny, kursują pociągi. Dyrektor nie może patrzeć, jak stłoczeni robotnicy jeżdżą na platformach. Zakupuje cztery wagony klasy trzeciej. Niestety PKP już w drugim tygodniu podmienia skład na własne, przerobione wagony towarowe z wstawionymi po bokach szybami. Ciemność, brud, brak wygód, trzęsie i huczy – denerwują się pasażerowie.

Kiedy zimą mróz dochodzi do minus trzydziestu stopni i praca w kopalni spowalnia, dyrekcja w szopie ogrzanej piecami elektrycznymi bezpłatnie wydaje robotnikom kawę. Mrozy oznaczają spadek wydobywania i zmniejszenie pensji, za to podwyżkę cen żywności. Szutkowski załatwia w Warszawie bezzwrotną zapomogę.

Wśród robotników zapanowało ożywienie. Wstąpił nowy duch życia i pracy, bo tu robotnik przekonywuje się naocznie, że ma opiekę nad sobą – że państwo, dla którego on pracuje, nie opuszcza go w krytycznej chwili, a przychodzi mu w ciężkich chwilach zmniejszenia zarobków i drożyzny z pomocą²⁴⁰

– pisze gazeta.

Dyrektor Szutkowski jest świadom, że to na nim spoczywa obowiązek podniesienia „fizycznej wartości robotników”. Sport dopiero zaczyna być popularny, a w Janowej uprawianie go jest już rozpowszechnione. Są kajaki, jest drużyna piłkarska, ale prawdziwa duma to klub Strzelec, reprezentacja bokserska, mistrzowie Wołynia. Dla nich do Janowej na pojedynki przyjeżdża – i to jest prawdziwa sensacja – reprezentacja Łotwy. Sala Domu Zbiorowego wypełnia się po brzegi. Słyszą ryki, w końcu szał radości – Janowa zwycięża! To spore zaskoczenie – w ośmiu wcześniejszych spotkaniach Polacy pokonali Łotyszów tylko raz. Drużyny po meczu wychodzą zaprzyjaźnione. Nad Horyń przybywają Węgrzy – z nimi Janowa remisuje. I tylko mecz z niemieckim Kassel kończy się klęską, po której publiczność wraca do domów w minorowych nastrojach.

Aleksander Prystor mówi o Janowej: „Tutaj nie jest Polska B ani Polska A – ale coś więcej, to Polska A1”²⁴¹. A jednak nawet w raju nie wszystko działa tak, jak powinno. Doktor Ludwik Zgirski nie wyrabia się z przyjmowaniem pacjentów. Ubezpieczalnia dodaje drugiego medyka, okazuje się jednak, że dwaj lekarze mają przyjmować zaledwie po trzy godziny dziennie. Krewkiemu pacjentowi, który nastął się pod drzwiami, puszcza nerwy i mężczyzna spuszcza doktorowi lanie. Mieszkańcy Janowej w kilka dni później piszą notę przebiegłą: „My, robotnicy z Janowej Doliny, najserdeczniej przepraszamy Pana Doktora za zajście”²⁴². Epidemia czerwonki zbiera żniwo wśród dzieci. Czasem ksiądz musi prowadzić na cmentarz dwa konduktu pogrzebowe jednego dnia. Ksiądz Pluta mówi z ambony o tym, co widzą wszyscy: winne są warunki sanitarne, w których żyją robotnicy poza osiedlem.

Szutkowski zgadza się, by przy ambulatorium, w dawnym budynku przedszkola, powstała izba chorych. Chorzy przywiezieni z daleka muszą leżeć w korytarzu lub nawet pod budynkiem na furmankach.

Ambicją dyrektora jest podniesienie poziomu bezpieczeństwa pracy, bo wypadki zdarzają się często. „Każdy pracownik musi stanąć na froncie walki” – zachęca inżynier Władysław Winnicki. W pobliskim Berestowcu sam kierownik kamieniołomów poślizgnął się na oblodzeniu i runął w przepaść.

Ale nieszczęścia rzadko udaje się przewidzieć. Tragedia, która zdarzyła się w Warszawie 4 czerwca 1936 roku, sprawiła, że pod budynkiem kierownictwa kamieniołomów zebrały się tłumy. Dwudziestotrzyletni Edmund Szutkowski, syn dyrektora, pilot, wbił się szybowcem w budynek mieszkalny w Warszawie. Nie przeżył. Szutkowscy wyjeżdżają do stolicy, a w Janowej trwa nabożeństwo żałobne. Inżynier Józef Niwiński, zastępca dyrektora, zbiera podpisy robotników pod depeszą z kondolencjami. Zdjęcie ogona samolotu groteskowo wystającego z rzędu równych dachówek obiega prasę. Młody Szutkowski, student Politechniki Warszawskiej, zaledwie kilka miesięcy wcześniej wykonał najdłuższy na Wołyniu lot bezsilnikowy – na szkolnym szybowcu Czajka utrzymał się w powietrzu przez sześć godzin. Piszą o nim: „Młody Ikar”. Na warszawskich Powązkach w kondukcje idą tysiące. Szutkowcy dziękują za wsparcie z „kochanej Janowej Doliny”. Nie mija kilka dni, kiedy pracownicy działu mechanicznego organizują akcję – chcą ufundować szybowiec imienia Edmunda Szutkowskiego. Mają już hasło: „Naród lotniczy – gwarancją potęgi państwa”²⁴³.

Siła jest potrzebna, bo na Wołyniu panoszy się komunizm. Kusi najbardziej tych, których na zdjęciach widać w gałganach zamiast butów. Do Janowej docierają czasem wieści o losach uwiedzionych przez bolszewików. Prokop Biełoszczuk ze Szczuwina w powiecie kowelskim w propagandę komunistów uwierzył tak bardzo, że ze swoją czteroletnią córeczką nielegalnie przekroczył granicę. Szybko przekonał się, jak wielki popełnił błąd. Głodował, chorował z biedy, zmarła mu córka, wywieźli go na Sybir. Cudem zdołał uciec, przedrzeć się przez granicę i wybrać polskie więzienie.

W Janowej słyszy się również o losie ukraińskich i białoruskich działaczy narodowych, którzy znęcani powstaniem Ukraińskiej i Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, udali się do ZSRR i „padli od kul czekistów”. Głosy te są jednak zagłuszane przez sąsiada ze Wschodu. Szczególnie jeden z nich – gdy w radiu mówi Ryszard Wraga, „powstaje celowo

spowodowany chaos w eterze, radio zaczyna piszczeć i przechodzenie z krótkich fal na długie i odwrotnie nie poprawia odbioru”²⁴⁴. Dodać należy, że Wraga to pseudonim przyjaciela Henryka Józewskiego i jego bliskiego współpracownika z wywiadu Jerzego Niezbrzyckiego, sowietologa i zaprzysięgłego antykomunisty.

W 1938 roku Janowa dojrzała do tego, by nie czcić już 1 Maja. Święto wykorzystują bowiem komuniści, agenci czerwonej Rosji, do rozbijania państwa od wewnątrz. Janowa mówi temu stanowcze „nie!”.

Osada nigdy nie stanie się terenem komunistycznych żniw, ludziom tu za dobrze. To teren, gdzie zyskuje poparcie Obóz Zjednoczenia Narodowego (OZN). Liczba członków organizacji marszałka Rydza-Śmigłego przy wsparciu dykcji rośnie lawinowo. Ze zrozumieniem patrzą na zajęcie Zaolzia:

My, Pracownicy państwowych Kamieniołomów w Janowej Dolinie, zebrani 23 września w liczbie 3,5 tys., zgłaszamy panu, Panie Marszałku, gotowość czynu zmierzającego do odzyskania Śląska zaolziańskiego zagrabionego Polsce przez Czechów w dziejowej chwili, kiedy cały nasz Naród krwawił na wszystkich niemal frontach w obronie Wolności²⁴⁵.

W Łucku Rydz-Śmigły przyjmuje defiladę. W szkole uczniowie kupują ze składek patefon i zakładają radiowęzeł. Wszystkie sale mają zainstalowane głośniki, megafon jest także na zewnątrz budynku. Daje nagłośnienie na całą Janową Dolinę. Dodatkowy mikrofon pozwala na nadawanie odczytów i aktualności janowodolińskich. Dzieci tak się cieszą, że kolejny aparat radiowy przesyłają swoim rówieśnikom nad Olzą – chcą zamanifestować radość z „odzyskania” Śląska.

Na święta Bożego Narodzenia organizacje dokładają starań, by nikt nie został sam przy wigilijnym stole. Samotników, którzy do Janowej przyjechali za chlebem, na Wigilię do Domu Społecznego zaprasza Ochotnicza Straż Pożarna. Przy wielkiej, przystrojonej w świece choince spotykają się z nimi dyrektorzy Szutkowski i Niwiński. „O Panie Boże, Ojczy nasz” – zaczynają strażacką modlitwę. Szutkowski mówi o silnej woli narodu i intensywnej pracy moralnej nad sobą dla dobra państwa. Potem przenoszą się do siedziby Związku Strzeleckiego. „Na pasterkę, na pasterkę” – pokrzykują „uradowane lica strzeleckie”, rozgrzane odrobiną trunku.

Nacjonalizm

Janowa to nie jest Wołyń w pigułce. To oaza spokoju i dobrobytu wśród narastającego buntu. Utworzona w 1929 roku w Wiedniu Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) uznaje Wołyń za jeden z dziesięciu krajów (odpowiednik województw), na które dzieli istniejącą tylko w głowach założycieli nacjonalistycznej organizacji Ukrainę. Drugi kraj, istniejący na terenie Polski, to Galicja Wschodnia. Po wielu latach historycy będą się zastanawiać, czy zapisane w programie pierwszego zjazdu słowa o „usunięciu okupantów z ziem ukraińskich” miały oznaczać wymordowanie polskiej ludności. Plan deportowania osadników, prawo do ziemi tylko dla Ukraińców, porachunki z dziedzicami nie wzbudzają wątpliwości.

Śmierć, śmierć, Lachom śmierć
Śmierć moskiewsko-żydowskiej
przeklętej komunie
Prowadzi nas OUN na krwawy bój²⁴⁶

– śpiewają marsz OUN.

Powiedzą o nich później „pokolenie banderowskie”. Wiadomo – ci od Stepana Bandery. Rodzą się około 1910 roku. Są za młodzi, by pamiętać I wojnę i związane z nią nadzieje na powstanie Ukrainy. Dorastają akurat na początku lat trzydziestych. Postanawiają walczyć o własne państwo. Roman Szuchewycz (rocznik 1907), Wasyl Sydor (1910), Jarosław Staruch (1910), Myrosław Onyszkewycz (1911), Dmytro Kłaczkiwski (1911), Mykoła Łebed' (1909), Ołeh Kandyba (1907). Prawie wszystkie informacje o ich życiu prywatnym są nieścisłe. Bandera urodził się w rozpolitykowanej rodzinie greckokatolickiego księdza, Szuchewycz, syn sędziego powiatowego, w rodzinie inteligenckiej od pokoleń. Jego pradziad tłumaczył na ukraiński dzieła Wergiliusza, dziadek, etnograf, członek rzeczywisty Towarzystwa Naukowego imienia Tarasa Szewczenki, badał ludność huculską. Ojciec Kandyby był poetą. Staruch to wnuk i syn posłów na Sejm w Galicji. Ojciec Myrosława i Tarasa Onyszkewyczów był dyrektorem banku w Uhnowie.

Jeszcze zanim pojawią się na świecie, Mykoła Michnowski, socjalista, ukraiński działacz polityczny, wytyczy im „dziesięć przykazań”:

1. Jedna wielka, niepodzielna, niepodległa, wolna, demokratyczna Ukraina.
2. Wszyscy ludzie są twoimi braćmi, ale Moskale, Lachy, Węgrzy, Rumuni i Żydzi to wrogowie.
3. Ukraina dla Ukraińców.
4. Zawsze i wszędzie używaj ukraińskiego języka.
5. Szanuj działaczy rodzinnego kraju, nienawidź jego wrogów, znieważaj przechrztów.
6. Nie zabijaj Ukrainy swoją obojętnością dla ogólnonarodowych interesów.
7. Nie stań się renegatem-odstępca.
8. Nie okradaj własnego narodu, pracując dla wrogów Ukrainy.
9. Pomagaj swemu rodakowi przed innymi.
10. Nie bierz sobie żony z obcych, gdyż twoje dzieci będą twoimi wrogami.

Ale prawdziwym guru stanie się dla nich Dmytro Doncow, który rozwinie teorie Michnowskiego w porywającym *Nacjonalizmie*. „Przemienił ukraińską psychikę, mentalność, stworzył nowego, już »doncowego« człowieka”²⁴⁷ – napisze Olek Bahan.

Stanowią elitę, są wykształceni: Politechnika Lwowska, wydział prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza. Kandyba emigruje do Pragi, potem daje wykłady na Harvardzie. Jednak to nie na polu naukowym zamierzają przejść do historii. Wchodzą w struktury różnych nacjonalistycznych organizacji, by odnaleźć się w OUN. „OUN miała toczyć bezwzględną walkę z wszystkimi »zaborcami«, bez oglądania się na straty, przy użyciu wszelkich dostępnych metod”²⁴⁸ – pisze Grzegorz Motyka.

Matką Jewhena Konowalca, pierwszego przewodniczącego OUN, jest Polka, Katarzyna Węgrzynowska. Walczą w Galicji. Sabotażem – podpalając zboże w gospodarstwach, przecinając druty telefoniczne. Polskie władze odpowiadają pacyfikacją: aresztowaniami, rewizjami, rozwiązaniem młodzieżowej organizacji Płast, zamknięciem kilku ukraińskich gimnazjów. Do niespokojnych regionów wysyłają szwadrony kawalerii. „Wobec brutalności policji droga przyjęta przez nacjonalistów dla wielu Ukraińców wydała się jedyną możliwą”²⁴⁹ – ocenia Motyka.

Na początku lat trzydziestych OUN liczy już dwa i pół tysiąca członków i postanawia walczyć o swoje państwo terrorem. Skazani na śmierć za napad w Gródku Jagiellońskim stają się pierwszymi „męczennikami” organizacji.

W dniu ich egzekucji w prawosławnych cerkwiach biją dzwony. Powtarzają się napady na banki i pocztę. W Truskawcu ukraińscy nacjonaści zabijają dążącego do zgody polsko-ukraińskiej posła Tadeusza Hołówkę. W Warszawie, w Klubie Towarzyskim przy ulicy Foksal 3 – ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego.

„Twarze oskarżonych to na ogół twarze ludzi inteligentnych, dobrze odżywionych” – pisze o sprawcach zabójstwa ministra reporter „Kuriera Bydgoskiego”. I chyba jest zdziwiony. Ci z inteligencji spotkają w więzieniach tych, dla których zabijanie w imię nacjonalizmu stanie się drogą społecznego awansu. Hryhory Perehijniak, nieślubny syn służącej (według innej wersji matka po śmierci męża utrzymywała dom z małego gospodarstwa), parobek żyjący w biedzie, wyuczony na kowala, za zastrzelenie sołtysa dostaje dożywocie. Miał zabić pod wpływem wzburzenia, bo na sołtysa było wiele skarg. „Mamo, ktoś musiał to zrobić” – tłumaczył. Gdy w tej sprawie aresztowano kogo innego, sam zgłasza się na policję i przyznaje do winy. W więzieniu w Świętym Krzyżu, gdzie siedzi Bandera, trafia do „kółka samokształceniowego” prowadzonego przez skazanego za zabójstwo Pierackiego Mykoła Łebedia. Nadrabia braki w edukacji. „Chłonał jak gąbka wszystko, co mu powiedziano” – mówił o nim inny nacjonalista, Mykoła Kłymyszyn²⁵⁰. Analfabeta zdobywa umiejętności na poziomie szkoły średniej. W ten sposób w Świętym Krzyżu, Rawiczu, Brześciu ukraiński ruch narodowy konsoliduje się klasowo. Wśród członków OUN są i tacy jak Dmytro Semenowicz Kłaczkiwski, według jednych źródeł syn chłopskiej rodziny ze Zbaraża. Ojciec, Symon, należał do strzelców siczowych. W 1919 roku wrócił do domu zarażony tyfusem, wkrótce zmarł. Matka, żeby utrzymać rodzinę, dorabiała praniem. Inne źródła podają, że był synem urzędnika bankowego, i ta wersja wydaje się bardziej prawdopodobna, zważywszy, że Kłaczkiwski w 1932 roku kończy ukraińskie gimnazjum w Zbarażu i kursy kupieckie we Lwowie, po czym studiuje prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Jednocześnie działa w nacjonalistycznym podziemiu. Odbywa służbę w Wojsku Polskim, w Stanisławowie podejmuje pracę w spółdzielni spożywczej Narodna Torhiwla. Wstępuje od OUN. Trafia do więzienia w 1937 roku, ale nie na długo. W następnym roku jest już członkiem znajdującej się pod silnym wpływem nacjonalistów organizacji sportowej Sokił w Zbarażu. Tak jak inni aktywiści OUN czeka na swoją szansę.

Ukraińscy nacjonaści nie są szaleńcami. Jak nieszczęsny Dmytro Stahnyk, o którym pisali w prasie. Chłop mieszkał w kurnej chacie w Werchracie pod Rawą Ruską i odkąd wrócił z polskiego wojska, pracował na gospodarstwie i czytał ruskie gazety, od czego przewróciło mu się w głowie. Na łamach prasy chwalili sukcesy Hitlera, więc postanowił iść jego śladem – też chciał rządzić krajem. Sprzedał część gospodarstwa, trochę pieniędzy pożyczył od siostrzeńca i przeniósł się do Lwowa, by w malutkim hoteliku Astoria założyć siedzibę partii, która wyniesie go do władzy. Wynajął adiutanta, obstał mundur – sobie pułkownika, współpracownikom niższych stopniem. I przystąpił do werbowania zwolenników wśród bezrobotnych w parkach. On i jego współpracownicy obiecywali pieniądze za zgromadzenie się w nocy pod strzelnicą. Wojskowy patrol wykrył spiskowców i aresztował fałszywego pułkownika. „Był to jednak tylko zamiar wiejskiego megalomana, który roił sobie, że przerósł samego siebie” – podsumowywał dziennikarz²⁵¹. Nie można tego powiedzieć o członkach OUN.

Kłeska

„Już jutro” – gazeta „ABC. Nowiny Codzienne” obiecuje czytelnikom sensację. A następnego dnia, 15 grudnia 1937 roku, rozpoczyna druk „sensacyjnych” artykułów na temat wojewody Józewskiego. Z dokumentów ma wynikać, że ziemia osadnicza została przyznana jego teściowi Henrykowi Bolewskiemu na podstawie karty rejestracyjnej syna Jerzego, rozstrzelanego przez bolszewików w 1920 roku. Gazeta stawia sprawę jasno: „Być może nawet, że zasługi Henryka Bolewskiego kwalifikowały go do otrzymania działki osadniczej. Nie o to jednak idzie”²⁵². Następnego dnia drukuje artykuł o tym, że Józewski jawnie sprzeniewierza się linii rządu wywodzącego się z piłsudczykowskiego obozu, bo popiera lewicowy Związek Nauczycielstwa Polskiego. Ostatni z serii tekst – *Pan wojewoda na baczność słucha* – jest relacją ze zjazdu partii Wołyńskie Zjednoczenie Ukraińskie, na którym przedstawiciel powiatu kostopolskiego publicznie poskarżył się na działanie polskiej administracji, a Józewski zobowiązał władze, by każdy problem przesyłały mu osobiście na biurko. „Sobiepan i führer wołyński” odśpiewuje na stojąco z Ukraińcami pieśń Szewczenki. „Do dymisji” – żąda gazeta.

Zaledwie pół roku wcześniej, gdy środowiska narodowe rozpętały kampanię, że jest zbyt pobłażliwy wobec Ukraińców, redaktorzy gazety z Janowej Doliny wysłali depezę z poparciem:

ZOS [Zjednoczenie Organizacji Społecznych] oświadcza, w imieniu swoich 3 tys. członków, że tylko w kierunku reprezentowanym przez Pana Ministra widać możliwość rozwiązania kwestii współżycia dwóch narodowości, opartego na równouprawnieniu i wzajemnym zrozumieniu. Dalsza realizacja idei zgody obu narodów da niewątpliwie największe wyniki dla Państwa i Polski²⁵³.

Ale tym razem żadne petycje nie pomogą.

Dowództwo okręgu Korpusu Ochrony Pogranicza alarmuje, że eksperyment Józewskiego to klęska. OUN, która miała słabnąć, z Galicji przenosi się na Wołyń. Nie udała się próba zainstalowania przez wojewodę tak zwanego kordonu sokalskiego – mającego odseparować Wołyń od wpływów nacjonalistów ukraińskich z Galicji. W Łucku nacjonaści podejmują próbę zamachu na samego Józewskiego. W Równem zapadają wyroki na trzynastu Ukraińców z Kostopola za przynależność do OUN, podpalanie sklepów i mieszkań żydowskich.

Według danych z 1935 roku Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów ma na Wołyniu siedmiuset dziewięćdziesięciu członków, w tym w samej administracji Józewskiego – sześciuset trzydziestu dziewięciu²⁵⁴.

Chłop wołyński, wydawałoby się „lojalny i przywiązany do ojczyzny obywatel” – podczas spokojnej i pozbawionej emocji, a wręcz przyjaznej rozmowy z polskimi urzędnikami i sędzią apelacyjnym odważa się przewidywać nieuchronne wypędzenie „Lachiw”. Refren podczas procesów brzmi: „Wyrznać wszystkich Polaków”²⁵⁵

– donosi przerażony prokurator Sądu Apelacyjnego w Lublinie.
W ukraińskich szkołach dzieci śpiewają:

Tam na górze pierogi,
w Dolinie kasza,
Uciekajcie Polacy,
Ukraina jest nasza²⁵⁶.

Dymisji Józewskiego domagają się coraz znaczniejsi przedstawiciele obozu władzy, w tym pułkownik Zygmunt Wenda, szef sztabu OZN. Po kolejnym raporcie dowódcy okręgu Korpusu II o jego losie przesądza minister spraw wojskowych generał Tadeusz Kasprzycki²⁵⁷.

Józewskiego przenoszą z Wołynia do Łodzi. W Janowej tym razem przyjmują to z ulgą, czemu dają wyraz krótką notką w rogu lokalnej gazety. Na pożegnaniu wojewoda mówi, że z Wołynia jako administrator odchodzi z poczuciem spokoju, lecz jako człowiek nigdy nie odejdzie. Jego następca Aleksander Hauke-Nowak pojawia się dzień po pożegnaniu. „A szczególnie tu na Kresach pamiętać musimy, że jesteśmy najdalej na wschód wysuniętym bastionem kultury zachodniej, którego zadaniem jest umacniać granice Rzeczypospolitej, budować jej siłę i potęgę moralną i duchową” – mówi. Do Janowej zagląda w ramach zwiedzania powiatu kostopolskiego i wkrótce wraca z żoną na weekend – odpocząć wśród lasów w miłej atmosferze.

Urząd mebluje już jednak po swojemu i ruguje z Łucka do Krakowa protektora Janowej Gordziałkowskiego. W kamieniołomach ma miejsce „prawdziwa manifestacja uczuć”. Szutkowski życzy inżynierowi, by na nowym terenie zaznał tyle sympatii, ile tutaj. Ale sam umacnia się już w OZN. I zapewnia, że siła organizacji płynie z polskiego „wstrętu do sejmowładztwa i partii”. OZN zapowiada na Wołyniu „polską rewolucję”. W kamieniołomach tego nie widać, ale na wołyńskich wsiach daje się odczuć siłowe polonizowanie Ukraińców. W sierpniu 1939 roku następuje rewindykacja ostatniej w Łucku prawosławnej cerkwi.

Józewski przestrzega: „wszystko to w krótkim czasie doprowadzić musi w warunkach życia wołyńskiego do zmian dla nas bardzo niepożądanych i niebezpiecznych”²⁵⁸. Nikt go już jednak nie słucha.

Coraz więcej mówi się o wojnie. W Janowej klasa piąta ogłasza, że dochód ze sprzedaży brzoźowych mioteł własnego wyrobu przeznaczy na ufundowanie karabinu dla armii. Zachęceni sukcesem, postanawiają robić wieszaki, a dziewczynki chusteczki na sprzedaż. W szkole pod opieką profesora Mariana Zarębskiego, legionisty i oficera rezerwy, powstaje Liga Morska i Kolonialna. Siedemdziesięcioro uczniów chce pogłębiać wiedzę o znaczeniu wybrzeża morskiego w życiu państwa, propagować nowy port, to znaczy Gdynię, i dążenia kolonialne jako środek ekspansji. Prowadzą akcję pieniężną „Budujmy Ścigacz”. Szef OZN w Janowej, kierownik działu górniczego Roman Sierakowski, lansuje

akcję zakupu samolotu dla armii. Zbliżają się wybory i ktoś wpada na pomysł, by z ramienia OZN wystawić Szutkowskiego. Ten jednak odmawia, woli rządzić własnym państwem w Janowej Dolinie. Wymawia się budową nowej kopalni. Uroczystości na cześć dziesięciolecia pracy dyrektora Szutkowskiego, które zbiegają się z dziesięcioleciem kamieniołomów, są wyreżyserowane w najdrobniejszym szczególe. Wychodzącego na boisko jubilata w mundurze górniczym witają orkiestry. Młodzież śpiewa:

Wiwat, wiwat, niech nam długo żyje
Póki komar, póki komar
Z morza wody nie wypije.
Komarze, komarze, pij wodę powoli
Niech się nasz Dyrektor nażyje do woli.

Czas umierania

Wojna zaczyna się niepostrzeżenie w gorące lato, kiedy las pachnie jeszcze rozgrzanym powietrzem, żywicą, mchem, wrzosem, a leśniczy Leopold Gadzina z pobliskiego Kosmaczowa skarży się, że ptactwo tak świergocze, że nocami nie daje spać. 15 sierpnia ludzie idą na odpust do Kazimierki. Ksiądz na kazaniu głosi, że nad Polską gromadzą się czarne chmury. Ludzie śpiewają: „O święty Kraju nasz, nie damy ciebie na łup / Nad Wisłą stoi straż. Zwycięstwo – albo grób”. Czekają. W Janowej profesor Zarębski, jadąc na mobilizację, rzuca na peronie: „My im Grunwald przypomnimy”.

A potem wszyscy nasłuchują komunikatów radiowych o wojnie. Ukraińcy wynajmowani do robót już nie chcą pracować na „pańszą Polszę”. Wiadomości się szepcze – te z frontu są dramatyczne. W Kostopolu ot tak, po prostu, znika niemiecki pastor Jacob Fuhr, zaprzyjaźniony z wieloma polskimi i żydowskimi rodzinami. Policja przeprowadza rewizję i – podobno – znajduje na plebanii aparaty radiowe nadawcze i odbiorcze, materiały wybuchowe i rewolwery. Dziesięć dni później Janowa zostaje zbombardowana. Od jednego z wybuchów ginie ośmioletnia Ula, córeczka komendanta policji Januchowskiego. Kondukt odprowadza ją prawie kilometr za ulicę D. To pierwsza zmarła pochowana na nowym cmentarzu.

19 września dziesięć radzieckich czołgów hamuje pod budynkiem dyrekcji. Z maszyn wychodzą żołnierze w brudnych, wystrzępionych płaszczach. Przed sobą widzą elegancko ubranych mężczyzn. „A wy chto, pamieszcziki?” – pyta dowódca. Tłumaczą mu, że sami robotnicy. Dowódca nie daje wiary zapewnieniom. „My skoro rozbiriomsia” – rzuca groźnie.

Nowa władza od razu aresztuje dyrektora Szutkowskiego, jego zastępcę inżyniera Józefa Niwińskiego, komendanta Januchowskiego i proboszcza Plutę. Nazwiska szefów kamieniołomów odnajdą się po kilkudziesięciu latach na listach katyńskich. Księdzu skazanemu na piętnaście lat łagrów uda się wyjść z Armią Andersa.

W Janowej żołnierzom sowieckim najbardziej spodoba się szkolny radiowęzeł. Przeniosą go do Krystynopola i tam przerobią na uliczną szczekaczkę. Z ZSRR przyjeżdża kadra kierownicza. Wśród przybyszów jest także Janusz Przymanowski, późniejszy autor *Czterech pancernych i psa*. W Kostopolu będzie wprowadzał sowieckie porządki Józef Goldberg, funkcjonariusz Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, czyli NKWD, znany później jako Józef Różański, kat z Rakowieckiej. Sowietci robią z mieszkańcami wszystko to, co zwykli byli robić gdzie indziej: wywożą, zabijają, głodzą, próbują sowietyzacji i wprowadzania bolszewickiego systemu pracy. Potem, w czerwcu 1941 roku, przez ukraińską bramę powitalną z dębowych liści wjeżdżają Niemcy. „Zachowywali się tak, jakby wierzyli, że pozostaną na tych ziemiach na zawsze”²⁵⁹ – zapamięta obserwujący ich mały chłopiec. I oni też robią to, co zwykli byli robić Niemcy na podbitych terenach: tworzą getta, bestialsko mordują Żydów w masowych egzekucjach. I próbują wprowadzić niemiecki system pracy.

Do śmierci Janowej najbardziej jednak przyczyni się to, co dzieje się poza nią.

W grudniu 1942 roku Dmytro Kłaczkiwski, czyli Kłym Sawur, wydaje polecenie organizowania partyzantki. Uciekają do niej ukraińscy policjanci, tworzą ją grupy wiejskiej samoobrony – SKW, Samoobronnych Kuszczowych Widdiłów. Pierwszą akcją we Włodzimierzcu kierują przeciw Niemcom, ale wracając, dokonują pierwszej zbrodni na Polakach – w Parośli.

Tuż przed wyjściem z chaty zauważyłam coś, co zjeżyło mi włosy na głowie. Na ławie przy drugiej ścianie stało kilka par damskich sznurowanych bucików, jakie nosiły Mazurki. Na nosiłce wisiało kilka par czarnych ubrań, a dzieci waliły się po głowach

frazetowymi łyżkami. Zagadka rozwiązana. Trofim wrócił z krwawej wyprawy, a dzieci bawią się łupem. Pobiegłam jak oszalała do domu [...] ci wymordowali Polaków, co byli na ćwiczeniach²⁶⁰.

Mieszkająca w Bielatyczach Zofia Grzesiakowa, Żydówka, żona Polaka, opisze w książce – fabularyzowanych wspomnieniach – wizytę po mleko u sąsiadki, której syn był na tajemniczych „ćwiczeniach”. Za namową sąsiadów rodzina Soboniów przenosi się ze Złaznego do Janowej Doliny. Uważają, że tam jest bezpieczniej, bo w Bloku stacjonuje niemiecki garnizon. Tak jak w pierwszych dniach wojny – osadę znów zaludniają przybysze.

Lotem błyskawicy roznosi się sensacyjna wieść: oto Romaniuk, ukraiński zastępca dyrektora kopalni, podpisał kwit na wydanie z magazynu trzystu litrów benzyny. Okazuje się, że odbiorcy paliwa zamierzają je wynieść poza kopalnię. Niemcy przesłuchują zatrzymanych, a ci przyznają, że benzyna miała posłużyć do spalenia Janowej Doliny. Romaniuk i Baczuk, komendant straży, to – jak się okazuje – „szychy” w Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). Dyrektora Niemcy rozstrzelują, Baczukowi udaje się uciec.

Panuje coraz silniejsze przekonanie, że skoro udało się usunąć Żydów, trzeba spróbować z Polakami, zanim przyjdą Sowieci. „Wielkanoc będzie czerwona od krwi Polaków” – słyhać groźby. W noc z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek oddziały OUN UPA napadają na Janową Dolinę. „Jechali wozami z wiosek” – zapamięta Wojciechowska, mieszkanka. Soboń: „W zorganizowanym napadzie uczestniczyli ukraińscy mieszkańcy pobliskich wiosek: Stawka, Złaznego, Wydumki, Japołodzi, Żalina, Podłużnego, Hołowina i wielu innych. Młodociani kilkunastoletni chłopcy, jak i dziewczęta, dowozili łodziami słomę do podpalenia domków”²⁶¹. Historyk Grzegorz Motyka napisze: „Istnieją dokumentalne potwierdzenia, że w jednym z pierwszych napadów – w kwietniu 1943 roku na Janową Dolinę – uczestniczyli obok członków UPA przymusowo zmobilizowani chłopcy, których siłą zmuszono do podpalania polskich domów”²⁶². Podkładają ogień, zabijają uciekających. Część Polaków płonie żywcem, część dusi się dymem w kamiennych piwnicach domków jak z obrazka. Innych rąbią siekierami. Jedna noc i Janowej nie ma. Ginie około sześciuset osób. Ci, którzy przeżyli, grzebią ich pod drewnianym krzyżem postawionym w miejscu, gdzie planowano zbudować kościół.

Następnego dnia Niemcy ewakuują tych, którzy zostali. Proponują ocalałym natychmiastowy wyjazd do Rzeszy na roboty. Młodym, samotnym mężczyznom – służbę w zielonej policji. Kilku ochotników z transportu przyjmuje propozycję, pragnąc zemsty. W Janowej pozostaje obsługa elektrowni, wodociągów i kolejarze. 15 maja UPA ponownie napada na osadę. Płonie, co jeszcze się nie spaliło: elektrownia, hydrofornia, stacja transformatorowa. Po tym ataku Niemcy wywożą resztę cywilów. Z Polaków we Włodzimierzu Wołyńskim tworzą zaś samodzielny 107 batalion, jeden z trzech polskich działających pod komendą niemiecką na Wołyniu. W czerwcu 1943 roku w Janowej umieszczają polską policję z 202 batalionu. Zmieniają litewski Schutzmannschaft, kolaboracyjną jednostkę podległą Niemcom, o której mówi się, że sprzedawała Ukraińcom broń. „Janowa Dolina jest całkiem spalona, zostały tu trzy uliczki całe”²⁶³ – pisze policjant. Choć wedle zapewnień dowództwa teren ma być „oczyszczony” z ukraińskich band, w ciągu czterech miesięcy batalion traci czterdzieści osiem osób – na patrolach, w zasadzkach, na minach. Po jednym z takich napadów Polacy zbierają zmasakrowanych kolegów, a dowódca, pijąc za nich, obiecuje: żadnej litości dla Ukraińców. Obojętne, czy to będzie kobieta czy dziecko. Przyrzekają: „Od dnia dzisiejszego krwawo znaczymy swoje ślady”²⁶⁴. Potem anonimowy kronikarz odnotowuje już beznamytnie nazwy miejscowości jak zestrzelone kaczki: Wieś Podłużne – spalona, ludność wystrzelana. Złazne – spalone do jednej chałupy. Stawki – spalone do połowy. Japołość – spalona, kobiety i dzieci wystrzelane. Hołowin – do połowy. W pierwszej kolejności mają spłonąć cerkwie i młyny. Anonim pisze więc z satysfakcją, że w promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie ma nigdzie ani młyna, ani cerkwi, ani popa. Nie ma też kopców – pomników, które stawiają Ukraińcy swoim bohaterom. Jednak ostatecznie to OUN okazuje się silniejsza. Kompania zostaje przeniesiona do Deraźnego. Palą za sobą koszary i – który to już raz? – most na Horyniu.

*

Bazaltowe – taką nazwę nosi teraz miejsce po Janowej Dolinie. W czerwcu 2015 roku próbujemy odnaleźć ślady dawnego rajy. Przed wjazdem od strony Kostopola po prawej stronie potężny krater, o białych niekształtnych brzegach, przypomina o przeszłości – to pozostałość wyrobiska. Za nim duży przemysłowy budynek z czerwonej cegły, bez szyb, zarośnięty drzewami. Na rozstaju dróg

czarny marmurowy słupek – drogowy wskaźnik. Wskazuje drogę na Kijów – pięćset kilometrów, i do Bazaltowego, które tuż-tuż. Napisów na płycie odczytać się nie da. Długą treść zasłaniają odbijające się od kamienia promienie słoneczne. Może to lepiej – wkrótce dowiemy się, że obelisk poświęcony jest akcji bojowej Łytwynczuka „Dubowego”, który w dniach 21 i 22 kwietnia 1943 roku „zlikwidował bazę polsko-niemieckich okupantów Wołynia”.

Dopiero długi spacer drogą przy lesie z oczami wbitymi w trawę pozwala zauważyć pewną prawidłowość. Ukryte w zieleni betonowe bloki, szczepione cementem kamienie, fragmenty schodów. Rozrzucone regularnie co kilkadziesiąt metrów wzdłuż dawnej Alei C znaczą miejsca po dawnych właścicielach. W lesie, kilkaset metrów błotnistym duktem od osady, znajdujemy pozostałości kilku dawnych grobów. Krzyż, płyta, szyna, dół. Więc tu był cmentarz. Tu pochowano Urszulę Januchowską.

Poza tym nic się nie zgadza, wszystko tu nowe. Układ ulic, małe drewniane lub murowane domki, żółcień i błękit elewacji i bram, barwy Ukrainy. Jednopiętrowy blok z białej cegły z balkonami zamienionymi w pakamery, mała cerkiew z lśniącym w słońcu jaskrawym błękitem dachu. Przydrożna kapliczka, szutrowe drogi, jaśmin wychylający się z ogródka na drogę. Kobieta napotkana przy furtce rozpromienia się, gdy słyszy język polski. Pytana o zamordowanych Polaków, wskazuje ręką na las. Mówi: „Tam jest pomnik”. „Kto ich zabił?” – pytamy. „No jak to, Germańce, oni wsiech ubili, i naszych, i waszych” – odpowiada bez zastanowienia, pewna swego. Przy drodze, między wysokimi drzewami, odnajdujemy zagrodzony kawałek ziemi, w środku krzyż, pod nim biało-czerwone wieńce sztucznych kwiatów: „Dla pamięci spoczywających w tej ziemi od wiosny 1943 r.” – głosi napis po polsku i ukraińsku. To tu w zbiorowym grobie spoczywają zamordowani mieszkańcy Janowej. Na uroczystości odsłonięcia w 1998 roku stawili się pięćdziesięciu aktywistów organizacji Ruch z transparentami: „Won polscy policjanci” i „Won SS-owskie sługusy”. Wspólną historię każdy rozumie po swojemu.

Pięćdziesiąt stopni Celsjusza

Ktokolwiek wpadł na pomysł, by w przeciętnym miasteczku bez morza, gór, jezior, lasów, wód mineralnych sączących się z ziemi i na dodatek bez zabytków założyć modny kurort, był wizjonerem. Sztukmistrzem, który z pustego kapelusza potrafi wyciągnąć żywego królika. Do tego z czerwoną muszką.

„Ach! Przed wojną to było cudowne miasto. Wszystko tam było. To był raj. I przyjeżdżali z całej Polski” – Jadwidze Zappe błyszczą oczy na wspomnienie miejsca, w którym jej rodzina miała pensjonat Słoneczna.

Co zatem w Zaleszczykach jest, skoro niczego nie ma? Podobno temperatura. „Gorąco, gorąco, gorąco!” – entuzjazmuje się „Przegląd Uzdrowskiowo-Turystyczny”. Pięćdziesiąt sześć stopni w cieniu nie pozwala autorowi zdobyć się na suche fakty. „Wszystko mokre. Topi się i paruje, rozlewa i daje nurka w Dniestrze”²⁶⁵. Jeśli wierzyć przewodnikom i folderom, sezon zaczyna się tu już w połowie marca, a kończy dopiero w październiku. Przypominamy sobie o tym, kiedy pod koniec kwietnia docieramy do Zaleszczyk. Jest siedem stopni – jeszcze w Tarnopolu termometr w samochodzie wskazywał dziewięć. Mży zmarznięty deszcz. Zakładamy czapki, szaliki, podpinki do kurtek. Brak rękawic daje się we znaki. Nabieramy lekkiego dystansu do lektur o Zaleszczykach. Zimno, zimno, zimno!

Przed II wojną światową do Zaleszczyk drogą lądową można się dostać tylko od strony Tarnopola. Zakole, które robi w tym miejscu Dniestr, czyni z miasta półwysep nazywany zaleszczyckim rondlem. Granica z Rumunią biegnie korytem rzeki. Po I wojnie Rumuni zajmują Bukowinę i południowo-wschodnią część Galicji. Wojsko Polskie wkracza do Galicji Wschodniej. Ponieważ w miastach południowo-wschodniej Galicji mieszka wielu Polaków, Rumuni przekazują te terytoria Polsce. W sierpniu 1919 roku zapada decyzja, że granica przebiegnie śladem dawnej, wewnątrzaustrackiej – między Bukowiną a Galicją. Na Dniestrze powstaje przejście Zaleszczyki–Crisciatoc. Stawia się szlabany, buduje drewniane budki dla strażników. Tyle.



22. Panorama Zaleszczyk z widocznymi kościołem katolickim, ewangelickim, cerkwią greckokatolicką i synagogą, lata 30., fot. Maurycy Bäumer

Źródło: ze zbiorów Tomasza Kuby Kozłowskiego

Jeszcze w 1927 roku łódzka dziennikarka o pseudonimie Jotsaw urządza sobie wycieczkę do pięciu coraz bardziej popularnych miejscowości. Odwiedza Worochtę, Żabie, Jaremcze, Kuty i Zaleszczyki. Z urlopu zdaje relację w książce *Z Łodzi do Wschodnich Karpat*²⁶⁶. Gwóźdź programu w Jaremczu – wodospad na Prucie – nie robi na niej wielkiego wrażenia. „Ładny, rzeczywiście, choć niewielki”. Hotel w Kutach nieco rozczarowuje: mały pokój na piętrze, umeblowanie prymitywne, łóżko z siennikiem na deskach i umywalnia z dużą, ciężką drewnianą konwią. Wszystko to za cztery złote, ale czysto. Natomiast Grand Hotel w Zaleszczykach, tańszy o złotówkę, to kwaterunkowa porażka. Jest brudny. „Wszędzie zapach czosnku. Niedobrze mi”. Nazajutrz rano z okna o brzydkich firaneczkach dziennikarkę wita panorama miasta – też brzydka. Na ulicy pył i małomiasteczkowy zaduch. Jedyne, co robi na niej wrażenie – Jotsaw przyjeżdża wiosną – to wspaniała pogoda i włoskie niebo. Kobieta z uznaniem stwierdza: jest gorąco!

Rzeczywiście, połowa lat dwudziestych to czas, gdy Zaleszczykom co chwila mierzą temperaturę, jak choremu w malignie. Przy Zakładzie Ogrodniczym profesor doktor Edward Stenz, geograf i meteorolog z Gdańska, zakłada stację meteorologiczną. Nie byle jaką, bo wyposażoną w solarymetr – przyrząd do mierzenia promieniowania słonecznego. Z pomiarów wynika, że inne miejscowości nie mogą się równać z Zaleszczykami. Gdy bowiem w Poroninie w lipcu jest średnio 15,3 stopnia Celsjusza, w Wilnie 18,3, a w Poznaniu 18,7, to w Zaleszczykach – całe 21 stopni! W październiku w Poroninie odnotowuje się 6,3 stopnia Celsjusza, w Wilnie 6,2, w Poznaniu 8,2, a w Zaleszczykach – 9,6. Toż to prawie tyle co w Kiszyniowie czy Konstancy! A dodać należy, że miesiące, w których dokonano pomiarów w roku 1926, były stosunkowo chłodne.

W 1927 roku starostą zaleszczyckim zostaje Józef Krzyżanowski, brat filozofa Juliusza Krzyżanowskiego, wybitny samorządowiec. Był już burmistrzem Trembowli, dyrektorem magistratu w Tarnopolu i starostą powiatowym w Kopyczyńcach. Postanawia wykorzystać gorączkę wokół Zaleszczyk. Zaczyna lobbing w kołach lekarskich. Już wcześniej z pomocą przychodzi mu urodzony w pobliskich Brzeżanach doktor Antoni Sabatowski, który zna Podole jak własną kieszeń, na dodatek jest balneologiem, pracuje na wydziale klimatologii i hydrologii lekarskiej Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Doktor Antoni, jak go nazywają, o lecznictwie uzdrowiskowym wie wszystko. W 1923 roku pisze pracę *Klimatoterapia oraz hydroterapia ogólna i zdrojowiskowa z opisem polskich uzdrowisk*, dzieło, które przynosi mu habilitację i za które dostaje nagrodę.

Dwie są przyczyny, które mię tłumaczą, że pokusiłem się o skreślenie krótkiego zarysu leczenia klimatycznego i wodolecznictwa ogólnego. Są to z jednej strony ogromne zmiany, które w ciągu ostatniego ćwierćwiecza zaszły na polu terapii w ogóle, a w szczególności tych sposobów leczenia, a z drugiej strony nowa epoka otwierająca się dla polskiego lecznictwa w odrodzonym naszym państwie²⁶⁷

– pisze. Klimatoterapia daje pracę rzeszom lekarzy i przedsiębiorców, szansę na rozwój lokalnej społeczności, chorym zdrowie lub lepsze samopoczucie. Same zyski. Doktor dużo miejsca poświęca słońcu, które „wywiera przemożny wpływ na bilans wielu pierwiastków w ustroju”²⁶⁸. Wśród wykazu miejscowości uzdrowiskowych wymienia Zaleszczyki. „Wiosenna i jesienna stacja

klimatyczna” – pisze. Opis zachwalający walory miejscowości jest jak wyjęty z przewodnika turystycznego. Że klimat ciepły, że owoce tu nawet południowe, w okolicy wiele jaskiń i zabytków, pałac w Czerwonogrodzie i że najpiękniej tu wiosną, gdy kwitną sady morelowe. Łatwo jest o pokoje, aprowizacja też łatwa, kilku lekarzy, apteka, szpital. „Budowanie pensjonatów i will oraz reklama są niezbędne, ale też będą zyskowne” – zachęca doktor. O schorzeniach, które warto tu leczyć, milczy. Wzmiankę o Zaleszczykach czyni także profesor Korczyński w *Charakterystyce i geografii klimatu Polski*, artykuły publikuje doktor Edward Stenz. To wystarczy, by koła lekarskie uznały Zaleszczyki za miejsce, w którym można leczyć siłą usłonecznienia. Kuracji mają się poddawać przede wszystkim gruźlicy.

Powoli wszyscy zaczynają utwierdzać się w przeświadczeniu, że Zaleszczyki zawsze miały widoki na miejscowość klimatyczną, ale monarchia austriacka faworyzowała własne kurorty na południu lub nadmorskie, Meran czy Abację, spychając w kąt te leżące dalej na północy niczym kopciuszką. Aż wreszcie wybiła pełna godzina i kopciuszek został odkryty. Sporadyczni letnicy powtarzają anegdotę o tym, jak generał Mieczysław Norwid-Neugebauer, inspektor armii, przyjechał do Zaleszczyk na zakończenie roku w szkole podoficerów. Usmażony naddniestrzańskim słońcem, miał zawołać: „Ależ u was Afryka!”²⁶⁹.

Wniosek o uznanie Zaleszczyk za uzdrowisko, złożony jeszcze zapewne w 1927 roku przez władze miasta, trafia na podatny grunt. Czas po I wojnie w całej Europie sprzyja rozwojowi turystyki. Rośnie także popularność sportu. Fizyczną krzepę buduje ruch. Górskie wycieczki, żeglarstwo, pływanie, tenis, siatkówka, taniec. Najprzyjemniej to robić tam, gdzie jest pięknie, można zwiedzać zabytki i zawierać nowe znajomości. Na dodatek od 1922 roku Polska ma jedną z pierwszych w Europie i jedną z nowocześniejszych ustawę o płatnych urlopiach. Zatrudnieni w przemyśle i handlu mają prawo do ośmiu dni wypoczynku, a po trzech latach pracy – do piętnastu. Tyle pracownikom umysłowym przysługuje już po pół roku pracy. Po roku mają miesiąc wolnego. Na wyjazd może więc sobie pozwolić nie tylko arystokracja i bogate mieszczaństwo, ale także inteligencja, a nawet rzemieślnicy. Władze II RP odkrywają zalety modnej na Zachodzie turystyki. Jej krajową specyfiką jest to, że podróże mają integrować naród, który dopiero co wyzwolił się spod trzech

zaborów. Polacy mają poznawać nieznanne rejony własnego kraju, tę część Polski, która do tej pory była dla nich zagranicą.

W 1922 roku Sejm przyjmuje ustawę o uzdrowiskach. Za uzdrowisko uznaje miejscowości posiadające cieplice lub źródła lecznicze, stacje klimatyczne, kąpieliska morskie. O tym, komu zostanie przyznany taki status, decyduje rząd na wniosek ministra zdrowia.

Gra o nazwę uzdrowiska dla Zaleszczyk okazuje się mistrzowskim posunięciem. Być na jednej liście z tradycyjnymi kurortami – to jest coś! Niekwestionowaną pozycję numer jeden ma Zakopane. Popularne zarówno w lecie, jak i w zimie. Pensjonaty, hotele, schroniska rozbudowują się tam już od XIX wieku, kiedy to miejsce uczynili modnym młodopolscy artyści. W Zakopanem bywają wszyscy. „Szlagony z kresów lub z Poznańskiego, aferzyści. Radziwiłłowie, zwodowi taternicy. Boy z Makuszyńskim, przemysł i handel, inteligencja, studenteria, suchotnicy, górale – wszystko mieszało się na Krupówkach”²⁷⁰ – pisze Witold Gombrowicz. W Zakopanem są Witkacy, widok na Giewont, droga do Morskiego Oka i lokal brydżowy u Trzaski. Tu przesiaduje Marian Dąbrowski, poseł na Sejm, magnat prasowy, właściciel „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, odznaczony wraz z Kornelem Makuszyńskim za zasługi dla propagowania Tatr. Tu przygrywa do tańca jazzband. Piękna włoszka Rita Sacchetto tańczy w lokalach, a zakochany rzeźbiarz August Zamoyski usidla ją postrzałem w nogę. Twierdzi, że pistolet wypalił przypadkowo. Rita wybacza, zostaje jego żoną, zakłada w uzdrowisku szkołę tańca. Latem Zakopane organizuje wyścigi samochodowe do Morskiego Oka. Są też wyścigi konne:

Kobiety piękne, w bogatych futrach zarzuconych na ramionach, stały na mokrych ławkach i klaskały mocno, gdy jakiś ułan przelatował im przed nosem. Dąbrowski w beżowym płaszczu, czasem Dobija z cygarem w zębach, Jamontt, prezes Związku Właścicieli Hotelu i Pensjonatów, burmistrz i inni wielcy objacze mieszały się z tłumem pomniejszych widzów²⁷¹.

Standard pokoi w odnowionym hotelu Morskie Oko to: bieżąca woda, telefony w pokojach, wykwintna kuchnia, orkiestra w sali obiadowej i dwie orkiestry popołudniami. Oraz sala brydżowa. „Takiej zabawy, jaka czasem wybuchała nad ranem w zakopiańskich lokalach, nie zdarzyło mi się nigdy oglądać gdzie indziej”²⁷² – wspomina Gombrowicz. Najelegantszą salę

dancingową ma Bristol. Przed hotelem stoją rzeźby lodowe. Książę Bernhard von Lippe-Biesterfeld i księżna Juliana, następczyni holenderskiego tronu, spędzają tu podróż poślubną. W Bristolu odbywa się urządany przez Dąbrowskiego bal prasy, na który zjeżdża elita z Warszawy i Krakowa.

Z Zakopanem konkuruje Krynica – uzdrowisko z tradycją również sięgającą XIX wieku, mające do zaoferowania wody mineralne prawie na każdą dolegliwość. Państwo polskie inwestuje tu w skocznię narciarską na Krzyżowej Górze, lodowisko do hokeja i tor saneczkowy. Rozbudowuje się Stary Dom Zdrojowy, wznosi kamienne bulwary nad malowniczą Muszynką. Od 1928 roku miasto ma kanalizację i oczyszczalnię ścieków. Krynica oferuje „pierwszorzędne leczenie, życie towarzyskie, przyjemności, a równocześnie swobodę, góry i lasy”²⁷³.

Posmak nowości mają też kurorty nad Bałtykiem – małe miejscowości z Zatoki Puckiej, takie jak Hel, Jastarnia, Hallerowo, czyli Władysławowo, mające dostęp do morza. Jastrzębia Góra jest kurortem eleganckim. Niemiecki Sopot pozostaje w granicach Wolnego Miasta Gdańska. W 1928 roku żydowski przedsiębiorca Mojżesz Lewin zakłada spółkę Uzdrowisko Jurata i czyni z tego miejsca raj dla bogatych. W latach trzydziestych „Jurata była wówczas najelegantszą, ale też najbardziej snobistyczną miejscowością na Bałtykiem”²⁷⁴. A Lido w Juracie – najelegantszym i najdroższym lokalem całego wybrzeża. Tu bawią się Eugeniusz Bodo, Tola Mankiewiczówna i Jadwiga Smosarska. Panie noszą modne spodnie z rozszerzonymi nogawkami. Prowadzą konwersacje, dymiąc przy tym papierosami trzymanymi w długich bursztynowych firkach. Jednak luksusowych miejsc wypoczynku jest w Polsce mało. Dąbrowski utyskuje na pensjonaty, które mają do zaoferowania wygodę jak na więziennej pryczy. „Powszechny był brak toalet i łazienek, higienicznie prowadzonej kuchni, fachowej obsługi”²⁷⁵ – piszą Maja i Jan Łozińscy, autorzy książki o przedwojennych kurortach.

Ciechocinek, Rymanów, Busko, Iwonicz, Nałęczów, Szczawnica, Rabka, Krynica, Truskawiec są znane jeszcze sprzed I wojny. Mają zaplecze turystyczne. Zaleszczyki muszą zaczynać od zera. Od 1920 roku droga lądowa na rumuńską Bukowinę jest praktycznie odcięta. Dojazd – trudny. Co rusz starosta Krzyżanowski śle monity, by zwiększyć liczbę połączeń kolejowych. Kiedy Jotsaw odwiedza Zaleszczyki w 1927 roku, zbiera informacje. To od niej wiemy – a jej dane pochodzą z pierwszej ręki, czyli z Ratusza – że Zaleszczyki

liczą cztery tysiące ośmiuset mieszkańców, z czego tysiąc osiemset to Polacy, dwa i pół tysiąca – Żydzi, jest też około pięciuset Rusinów. Biuro Komisji Uzdrowiskowej mieści się na dworcu i w magistracie. Udziela informacji o kwaterach. Codzienne utrzymanie można otrzymać w prywatnych domach u pani Lubinieckiej, u Teodora Medyka, w restauracji Warszawianka, w hotelach Central i Grand, w pensjonatach: Słoneczna (Zaleszczyki Miasto), Kijów (Stare Zaleszczyki), Prymula (w Dobrowolanach). Miejsc noclegowych jest mało – około trzystu, licząc z pobliską wsią Dobrowolany. Śródmieście stoi „lichemii” hotelami, restauracjami, cukierniami i sklepikami. Dziennikarka zatrzymuje się w końcu w małym dworku. Oprócz niej „młode mateczki”, „niezadowolone z Zaleszczyk, twierdzą bowiem, że nie ma tu nic poza słońcem i powietrzem”²⁷⁶. Piasek dla dzieci do zabawy kosztuje tu pięć złotych. Jotsaw żywi się w pensjonacie Kijów. Miły ogródek, pełen drzew owocowych, czereśni, moreli – „wspaniałych, dużych jak pięść dorosłego mężczyzny” – gruszek, śliwek, jabłek i jarzyn. Z balkonu widać Dniestr i kwadratowe kopuły prawosławnego monasteru Kryszczatyk po stronie rumuńskiej. Letnicy mieszkający w najlepszym punkcie – tuż przy rzece, w okolicy mostu, w willi Szymańskiego – za dwa duże pokoje z kuchnią płacą trzysta złotych miesięcznie, jeden mniejszy pokój kosztuje siedemdziesiąt pięć złotych. Są i takie, które można wynająć za dwadzieścia pięć złotych, ale już nie w willach i domkach nad Dniestrem. Spacer nad wodą urzeka: „Malowniczy widok na cukrownię rumuńską i zniszczony most wojskowy. Dniestr tutaj żywszy i daleko ładniejszy”. Rano okazuje się, że cukrownia spuszcza do rzeki szumowiny. Dopiero w ciągu dnia piana znika i ludzie pluskają się w szmaragdowej wodzie. Chłopcy pasą tu kozy. Kąpią się razem z końmi, krowami, gęsiami i świniami. Wieczorem na piaszczysto-błotnistym brzegu stają łodzie rybackie. Kobiety ściągają nad Dniestr, by zrobić pranie. Mały park miejski jest w złym stanie. Nowy burmistrz, Stefan Hebda, były wojskowy, krząta się, by zaprowadzić porządek i upiększyć przyszłe uzdrowisko. Od strony ulicy Grunwaldzkiej powstaje plaża: trzeba ją poszerzyć i zwieźć na nią złoty piasek, bo... dniestrzański jest szary. Zaleszczyki otrzymują oświetlenie elektryczne. Żydówki z Zaleszczyk, Czortkowa, Tarnopola skrzyknęły się, przeprowadziły zbiórkę, kupiły od baronowej Turnau dwie morgi gruntu koło koszar i chcą wybudować sanatorium i ochronkę dla dzieci chorych na gruźlicę kości. Dom ma mieć

specjalne szyby przepuszczające promienie ultrafioletowe, „według najnowszych zdobyczy wiedzy medycznej”²⁷⁷.

Dla skrofulicznie chorej dziatwy

W Warszawie pierwsze audycje nadaje Polskie Radio, a w Zaleszczykach w Warszawiance u Szponarskiego wieczorami przygrywa muzyka. „Panie, gdzie wino, likier, koniak? Co to jest?!” – woła do właściciela Warszawianki jeden z trójki złotej młodzieży zaleszczyckiej, siedząc w ogródku przy stoliku. „Restaurator gnie się w ukłonach i sumitacji”. Z Dobrowolan, wsi położonej po sąsiedzku, włościanki wiozą o świcie na wozach bańki mleka z rannego udoju. Kupują je przeważnie miejscowi z Zaleszczyk, ale jest też coraz więcej przyjezdnych. Przy rynku z wozów lub kramów przypominających porzucone po odsieczy wiedeńskiej namioty tureckie sprzedaje się owoce i warzywa.

W tym czasie winnice dopiero się szczepi. Cała nadzieja w plonach moreli. Jedno drzewo morelowe daje podobno sto złotych zysku. Radca Łepki, znajomy dziennikarki Jotsaw, twierdzi, że ruski ksiądz zarobił na morelach tysiąc sześćset pięćdziesiąt dolarów. Kiedy dowiaduje się o tym biskup ze Stanisławowa, powołując się na konkordat, zabiera mu trzy czwarte sadu na potrzeby ubogich. Ksiądz jednak się nie poddaje – kupuje dwie morgi gruntu, sadi trzysta pięćdziesiąt moreli, cebulę i czosnek. I wygłąda na to, że wyjdzie na swoje.

Dla mieszkańców Zaleszczyk turystyka oznacza drożyznę. Ale Jotsaw nie ma wątpliwości: „Leży jednak w interesie państwa i narodu wstrzymać kuracjuszków w ich pędzie ku uzdrowiskom zagranicznym, zawsze skorym do nabicia swej kieszeni polskim hojnym groszem”²⁷⁸. W Zaleszczykach początki są trudne. Do Czerwonogrodu, jednej z najstarszych osad w Polsce, ze zniszczonym zamkiem i wodospadem na Serecie, jest stąd dwadzieścia pięć kilometrów.

Choć w Zaleszczykach ładne widoki „nie suną się same przed oczy”, Jotsaw imponuje, że termometr wczoraj wskazywał trzydzieści siedem stopni, a dziś lepiej jeszcze, bo podobno czterdzieści. Zaleszczyki należy traktować jako miejscowość leczniczą.

Ludzie wyczerpani fizycznie i duchowo, pragnący spokoju, chorzy na nerki lub gruźlicę kości, matki, poświęcając się zawsze dla skrofulicznej swej, do gruźlic wszelkiego rodzaju skłonnej dziatwy, śpieszyć zawsze będą do cudownego słońca

Zaleszczyk, jeśli miarodajne czynniki dołożą starań, by im uciążliwą komunikację ułatwić, a pobyt kulturalniejszymi urządzeniami znośniejszym uczynić²⁷⁹.

Przyjezdnym radzi zaś: „Kto nie chce pierwszego złego wrażenia z Zaleszczyk, niech przede wszystkim ominie miasteczko i jedzie wprost nad Dniestr; nie wczesnym rankiem jednakże, pokrywająca go bowiem piana, szumowiny z cukrowni rumuńskiej szpecą go o tej porze bardzo”²⁸⁰. Na domiar złego twardy opór w dostosowaniu Zaleszczyk do oczekiwań przyjezdnych stawia jedna, ale wpływowa, mieszkanka – tajemnicza baronowa Turnau. Jej posiadłość – pałac z parkiem, pięknym starodrzewem i teatrem założonym jeszcze przez księcia Józefa Poniatowskiego – dochodzi do samego Dniestru. To dla miasta problem, bo Komisja Uzdrowiskowa chciałaby, by baronowa gościnnie otworzyła bramy parku i udostępniała go do zwiedzania trzy razy w tygodniu za opłatą pokrywającą koszty utrzymania dozorczy. A ona odmawia.

Stella z Brunickich, baronowa Turnau, w młodości słynie ze zjawiskowej urody. Wychodzi za mąż za kuzyna Stanisława Augusta Turnaua, pułkownika, syna austriackiego feldmarszałka. Jednak to ona jest w małżeństwie generałem. Na jej życzenie August najpierw występuje z wojska, a po wybuchu I wojny wstępuje do niego ponownie – Stella jest bowiem austriacką patriotką. Połączone fortuny Brunickich i Turnauów wystarczają, by pałac w Zaleszczykach tonął w luksusie. Meble, zegary, kolekcja malarstwa i porcelany, wszystko jest „naj”. Gdy w czasie wojny Rosjanie wchodzą do Zaleszczyk, u Turnauów mają z czego wybierać. Stella przebywa w tym czasie w Wiedniu, a August na froncie. Ale koło fortuny się odwraca, wojska rosyjskie uciekają za Dniestr, a baronowa rusza z odsieczą skradzionym z pałacu rzeczom. Udaje się do siedziby rosyjskiego generała, gdzie odzyskuje część majątku, o czym rozpisują się gazety. Za odwagę otrzymuje – jako pierwsza kobieta – Order Franciszka Józefa. Jednak jej trudny charakter sprawia, że mąż dezertuje ostatecznie w 1920 roku. Opuszcza Zaleszczyki, kiedy tylko dziedziczy majątek pod Przeworskiem. Dzieci także mieszkają już w tamtym czasie poza domem. Córka Klotylda, zwana Oky, wychodzi w 1927 roku w Krakowie za znanego laryngologa, syn Fred studiuje rolnictwo na Uniwersytecie Jagiellońskim.

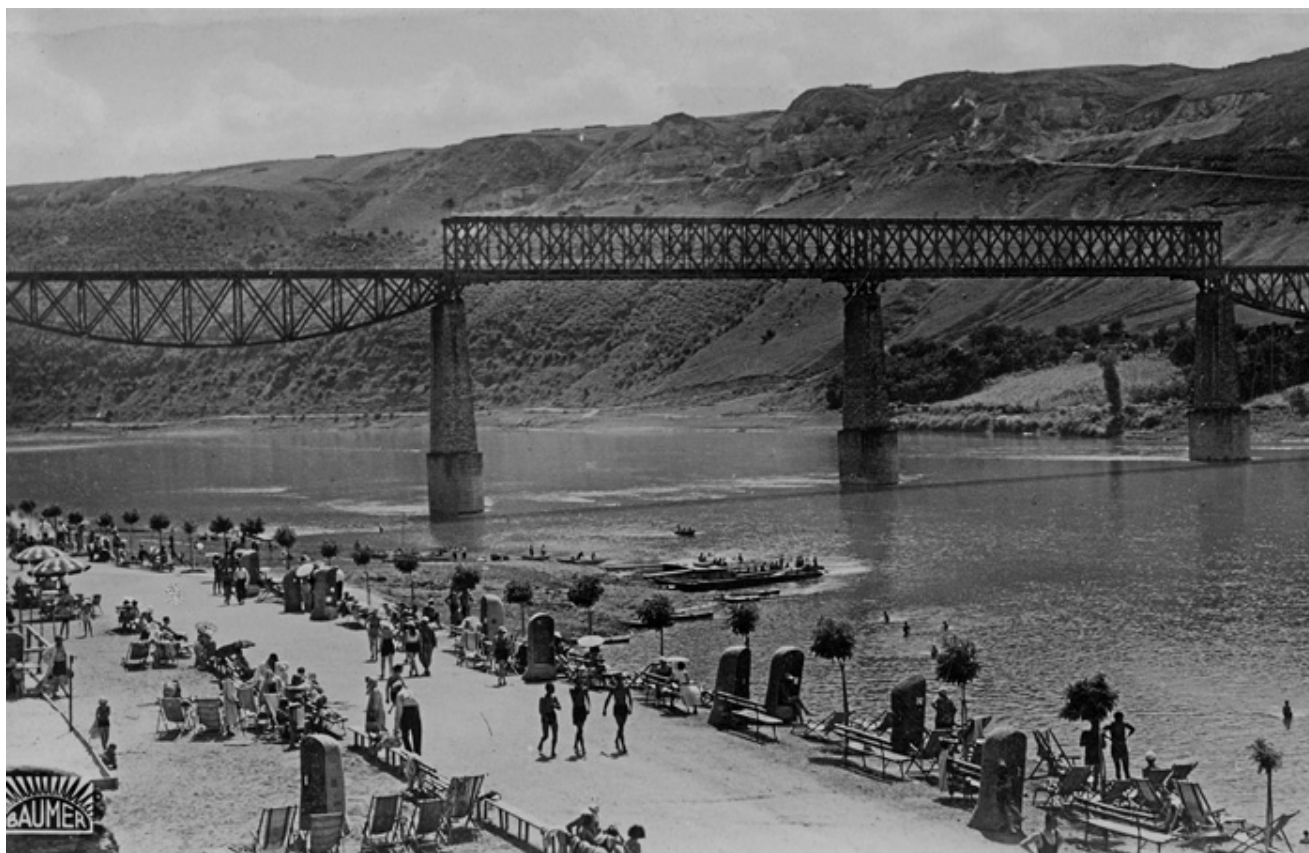
Baronowej nikt z władz Zaleszczyk nie zamierza już przekonywać. Leciwa nestorka rodu to i tak dla uzdrowiska prawdziwy skarb, postać barwna.

W Dobrowolanach na skraju lasu przy tablicy „Wstęp wzbroniony” skromny kamienny krzyż na cokole przypomina kolejną ofiarę baronowej Turnau – Stanisława Bilińskiego. Porucznik – opowiadają miejscowi – popisywał się przed baronową skokami na koniu przez naturalne przeszkody. Podczas akrobacji spadł i zabił się w miejscu, które upamiętnia krzyż.

O baronowej w Zaleszczykach „mówi się”. Ponoć baronowa – podała to warszawska prasa – ma udostępnić pałac na sezon letni Piłsudskiej i Ratajowej. Ponoć baronowa – gdy to przeczytała – „formalnie pieni się ze złości”. Ponoć do baronowej zadzwonił burmistrz – by jej za udzielenie pałacu tak wspomniałym gościom podziękować. Ponoć – zbiła go z pantałyku i odparowała: „Nic z tego. Mój pałac dla mnie”. Wszystkie te wieści, aromatyczne jak świeże bułeczki, donosi na poranne śniadania do pensjonatu Kijów radca Łepki. Nie wiemy o nim nic poza tym, że jego dom sąsiaduje z pensjonatem.

Nawet jeśli baronowa zamknęła dla przybyszów drzwi, nie słabną nadzieje, że pierwsi obywatele dadzą dobry przykład i do Zaleszczyk przyjadą. Starosta Krzyżanowski dokłada w każdym razie wszelkich starań, by tak się stało. A klimat turystyce sprzyja. Przy Ministerstwie Robót Publicznych powstaje specjalny referat, który ma ułatwiać pracę lokalnym działaczom. Inne referaty powstają przy urzędach wojewódzkich, także w Tarnopolu. Jednak odgórna inicjatywa wywraca się na skomplikowanych przepisach. W końcu władze dochodzą do wniosku, że lepiej oprzeć się na lokalnych entuzjastach. Tomasz Kunzek ma gęsty wąs nad lekko cofniętą szczęką, binokle, odstające uszy i garnitur zapięty po szyję. Wrażenie nie myli – lwowianin, absolwent prawa Uniwersytetu Jan Kazimierza i Akademii Handlowej we Lwowie, który zanim trafi do Tarnopola, ponad pięć lat przepracuje w Galicyjskim Towarzystwie Kredytowym Ziemi Lwowskiej we Lwowie. W pozytywiście, jak w Wokulskim, bije serce romantyka – za udział w obronie Lwowa zostaje uhonorowany Krzyżem Obrony Lwowa i odznaczeniem z napisem „Obrońcom Kresów Wschodnich 1919”. Podole, na które został „zesłany” – pracuje w tarnopolskim urzędzie wojewódzkim – widzi jako krainę przepięknych krajobrazów, jarów, rzek i najliczniejszych w kraju zamków i ruin średniowiecznych warowni. W lipcu 1925 roku w Tarnopolu z pomocą kilku lokalnych entuzjastów zakłada Wojewódzkie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Pokolenie zaczytane w Sienkiewiczu patrzy oczami jego bohaterów na twierdzę warowną w Kamieńcu Podolskim, chce jak pan Wołodyjowski ujrzeć „wyniosłe skały

kamienieckie”, „baszty i rondle forteczne”, Chocim i Zbaraż, Buczacz. Towarzystwo, które wkrótce zmienia nazwę z Wojewódzkiego na Podolskie, pozyskuje nowych członków. Szczególnie cenni są dwaj: Józef Schwartz i Stanisław Juzwa, nauczyciele z Zaleszczyk. Zaczynają spisywać historię regionu. *Przewodnik po województwie tarnopolskim*, który ma opisać dla turystów ocalałe zabytki, wyjdzie w 1928 roku, dzięki dotacji Ministerstwa Robót Publicznych, w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy. Zapaleńcy z PTTK mają do wykonania konkretne zadania: zrobić ciekawe zdjęcia malowniczych miejsc, przerobić je na widokówki i przeźrocza. Jeżdżą więc po miastach i organizują odczyty. Kiedy jest już kogo oprowadzać, ruszają wycieczki. Profesor Stanisław Juzwa opowiada tak, że oprowadzane przez niego grupy liczą czasem i po sto pięćdziesiąt osób. Zostaje szefem sekcji wycieczkowej.



23. Plaża i most kolejowy w Zaleszczykach nad Dniestrem, w głębi wysoki brzeg po rumuńskiej stronie, lata 30., fot. Maurycy Bäumer

Źródło: ze zbiorów Tomasza Kuby Kozłowskiego

Towarzystwo utrzymuje kontakty z innymi organizacjami turystycznymi, jego członkowie często bywają w Warszawie. W 1927 roku organizuje w Tarnopolu

Wystawę krajobrazów i zabytków województwa tarnopolskiego. Ekspozuje czterysta fotografii i kilkadziesiąt kilimów. Ogląda je kilkaset osób, ale dochód z tego żaden. A jednak wystawa zainteresuje amatorów modnej już wtedy fotografii szukających dobrych plenerów. Podole jest fotogeniczne!

Zaleszczyki zostają wpisane na listę uzdrowisk w 1928 roku, ale mieszkańcy muszą się jeszcze uczyć, jak żyć z turystyki.

Należy zrozumieć, że letnik przyjeżdżający do danej miejscowości już przez swój pobyt przyczynia się do podniesienia ekonomicznego ludności, dostarczającej mu dogodnych warunków do bytowania, ale należy również pamiętać, że ten sam letnik nie ma być wyłącznym źródłem dochodu przez niemoralne i nieetyczne wyzyskiwanie²⁸¹.

Rok później przychodzi kryzys. Krach 1929 roku, zapoczątkowany nowojorskim czarnym czwartkiem, dla Zaleszczyk staje się szansą. Mają mało do zaoferowania, ale tutaj jest przynajmniej taniej! Jeszcze w 1931 roku dziennikarz pisze o Zaleszczykach jako o uzdrowisku „jak dotychczas bardzo prymitywnie urządzonym”²⁸². Udaje się jednak w społeczeństwie uruchomić szereg skojarzeń: Zaleszczyki, gorąco, winnice, morele. Polskie Merano.

Gdy strategię opiera się na termometrze, potrzebna jest plaża. Władze Zaleszczyk przygotowują nie jedną, lecz dwie – po dwóch stronach miasta. Słoneczna, na prawo od wjazdu, dochodzi do mostu kolejowego. Skalisty brzeg dodaje jej surowego uroku. Wykuwają w nim schody. Dno tu kamieniste, piasku brak, do wody wchodzi się z trudem. Za to panują idealne warunki do opalania: kosze, leżaki, parawany, kabiny. Można zejść do rzeki drewnianym pomostem, wziąć kajak lub motorówkę, popłynąć stateczkiem Osa w rejs po Dniestrze. Plaża Cienista, po stronie Dobrowlanów, ma gęsto zadrzewione aleje, a wzdłuż brzegu rzeki wyściela ją biały piasek. Stawiają na niej gigantyczny – rozmiaru dwóch dorosłych mężczyzn – termometr. Można podziwiać, jak jest gorąco – pięćdziesiąt stopni! Wodzie nie mierzy się temperatury w tak spektakularny sposób, ale i tak wiadomo, że rano ma ponad dwadzieścia, a w południe trzydzieści pięć stopni Celsjusza.



24. Plaża Cienista w Zaleszczykach, 1939

Źródło: Fot-Pol Zaleszczyki / NAC

Powstają boisko, korty tenisowe, kręgielnia i strzelnica, bo letnicy muszą czymś wypełnić czas, a najlepsza dla budowania towarzyskich relacji jest sportowa rywalizacja. Organizowane są więc także zawody kajakowe na Dniestrze i wyścigi konne.

Zaleszczyki mają szczęście do ludzi. Zaledwie kilka lat wcześniej trafia tu na służbę pogranicznik podpułkownik Tytus Badowski, lekarz weterynarii, szef służby weterynaryjnej KOP. Jego pasją są konie. Zbiera kilku podobnych sobie w Towarzystwo Zachęty do Hodowli Koni, zakładają stajnię i w dwa lata dorabiają się pokaźnych zysków. Postanawiają je zainwestować. Miejscowość właśnie stała się uzdrowiskiem, myślą więc o czymś, co przyciągnie turystów. W ten sposób powstaje tor wyścigowy. Prasa zachwyca się „amerykańskim” tempem budowy.

W połowie lipca 1931 roku bomba idzie w górę. Miasto rozbrzmiewa muzyką wojskową, ulicami maszerują oddziały kawalerii. Imprezie patronują generał Jan Kruszewski, zwierzchnik KOP, i wojewoda tarnopolski Kazimierz Moszyński.

Mały hipodrom udaje Royal Ascot. Znikają plażowe negliże, pojawiają się panie pod parasolkami w kapeluszach o kształtach spodków, misek i talerzy. Panowie w letnich, niedbale rozpiętych garniturach, ale pod krawatami, które poluzowują na widok tego, co dzieje się na torze. Organizatorom dostaje się, że nie ma zwierząt z Warszawy. Miały podróżować koleją trzy dni, jechały pięć. Na szczęście dopisują amazonki z kół Warszawskiej i Lwowskiej Rodziny Sportowej. W konkursach wewnętrznych startują oddzielnie oficerowie i podoficerowie. Zawodnicy płacą dwa złote wpisowego. Wszystkie zawody są licznie obsadzone. W niektórych występuje ponad dwadzieścia koni. Dla oficerów nagrody są honorowe, dla podoficerów suma nagród wynosi sto pięćdziesiąt złotych. Konkursów jest wiele: cross-country z dwunastoma przeszkodami na dystansie czterech kilometrów, konkurs Oficerskiego Domu Wypoczynkowego „Zaleszczyki”, bieg kłusaków i konkurs „Wstęga Dniestru”, Konkurs Podola, Bieg Kłusaków Miasta Zaleszczyki, a na koniec bieg włościański po płaskim terenie, na koniach własnych wszelkiego pochodzenia, czteroletnich i starszych, siodłanych dowolnie, w którym nagrodą są narzędzia rolnicze. Zawodnicy zakwaterowani są w Domu Wypoczynkowym „Zaleszczyki”, pierwszych dziesięciu za pobyt nie płaci. Dziennikarze relacjonują, że to impreza na poziomie, to i owo należy jeszcze poprawić, potrzeba zainwestować, by tor, trybuny i komunikacja mogły się poszczycić najwyższym standardem, ale impreza stanowi *clou* sezonu.

Dla intelektualistów jest wypożyczalnia książek, dla kinomanów – seanse. Dla naiwnych – cwany złodziej. „Słyszała Pani?!” „Naprawdę?” „Niemożliwe!” – odwieczne zdziwienia towarzyszą niezliczonym ubarwianym opowieściom takim jak ta. Dwudziestodwuletni Bohdan Rychliński jest „przystojny, obrotny, dostatecznie inteligentny, umiał prawić czułe słówka kobietom”²⁸³ – tak w każdym razie pisze o nim reporter „Tajnego Detektywa”. Zdjęcie sprawcy w meloniku nie wskazuje na to, by miał rację przynajmniej co do urody. Zanim Rychliński trafi nad Dniestr, zdąży już przetestować Kraków, Kołomyję, Katowice i Krynicy. Podaje się za redaktora. Chce zjeść dobrą kolację w liczonym towarzystwie. Właściciel, widząc eleganckiego mężczyznę w rogowych okularach, zaprasza do stolika, oferuje stuzłotowy kredyt. Wino się leje, korki od szampana strzelają. Gdy koszt biesiady znacznie przewyższa sumę kredytu, „redaktor” wręcza czeki oraz legitymację prasową. Następnego dnia czeków nie udaje się zrealizować, są sfalszowane. W Zaleszczykach Rychliński zaczyna od

wizyty w Komitecie Uzdrowiskowym. Roztacza wizje artykułów o kurorcie w warszawskiej prasie. Komisarzowi uzdrowiska odbiera to czujność, męczyzna obdarza „redaktora” informacjami, zdjęciami i zaufaniem. „Brakuje mi pieniędzy na kliszę do aparatu, będzie Pan łaskaw pożyczyc?” – pyta gość, a komisarz bez wahania wyciąga z kasy kilkadziesiąt złotych. Rychliński zatrzymuje się w pensjonacie Plaża. Właścicielce płaci weksłami. Jak policja wpada na ślad oszusta? Bóg raczy wiedzieć. W lwowskich Brygidkach cwany złodziej oczekuje procesu. I wciąż marzy, że kiedyś znów zasiądzie do uczyty.

Inny skandal wybucha w listopadowy dzień. Burmistrza i kasjerkę magistratu policja wyprowadza do ratusza i przewozi do aresztu w Czortkowie. Śledczy podejrzewają nadużycia finansowe. Jest o czym plotkować, ale nie ma komu – w listopadowe dni wyludnione Zaleszczyki ociekają deszczem. Miastu brakuje słynnej przeszłości: bitew, królów, zamków, pałaców, warowni, co uwiera lokalnych miłośników turystyki jak niewygodny but. Bo na przykład Czerwonogród, mała dziura oddalona o dwadzieścia pięć kilometrów, w której mieszka zaledwie czterysta osób, to jedna z najstarszych w Polsce osad. Może poszczycić się pałacem, dawną rezydencją Ponińskich, co ma podmurówkę jeszcze z czasów średniowiecza. Kościół – późny renesans – zdobią polichromie, w krypcie spoczywają ułożeni jak do snu zmarli zakonnicy. Księżna Helena Ponińska postawiła na wzgórzu nad cmentarzem rodzinne mauzoleum, a w nim marmurową alegorię śmierci męża i córki dłuta samego Thorvaldsena. A Zaleszczyki? Może nie są tak barwne, ale przecież na wschodnich Kresach nie ma chyba miejsciny, która nie mogłaby się czymś poszczycić. Trzeba tylko pogrzebać. Zajrzeć w papiery, popytać mieszkańców. Koledzy namawiają Józefa Schwartza, spolszczonego Austriaka, by wziął się do dzieła. Zachęca go także doktor Mieczysław Orłowicz (ten, po którym nosi nazwę bieszczadzka przełęcz). Sam pisze wiele, a Ministerstwo Robót Publicznych zatrudniło go u siebie, by rozkręcał ruch turystyczny. W końcu w 1931 roku nakładem Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wychodzi przewodnik *Zaleszczyki i okolica*. Pisany sucho, zasadniczo, informacyjnie. „Zaleszczyki leżą w kotlinie płaskowyzu podolskiego, wyżłobionej erozyjną działalnością Dniestru”²⁸⁴ – zaczyna autor. Zdaje sobie sprawę, że jego opowiadanie nie porywa, bo sumituje się już na wstępie, że wydanie wymaga jeszcze uzupełnień, że nie brak w tekście usterek, pewnie też błędów. Tłumaczy to skromnymi środkami, nieprzystępnością źródeł oraz koniecznością zwięzłości. W Zaleszczykach cieszą się jednak, że

przewodnik w ogóle powstał. Bo coraz liczniej przybywający kuracjusze, letnicy, a przede wszystkim turyści chcą wiedzieć. Schwartz objaśni więc, że Zaleszczyki pieczętowały się herbem już w połowie XVIII wieku. Prawa miejskie otrzymały od stryja późniejszego króla Stanisława Augusta, który miał apetyt na tanią wełnę z Mołdawii i zaplanował postawić tu manufakturę sukna. Potem był najazd turecki, morowe powietrze, które zapowiedziała kometa „w słupach krwawych”. I pożar. Po I rozbiorze pod panowaniem Habsburgów Zaleszczyki prosperują dzięki temu, że znajdują się na trakcie handlowym do Bukowiny. W drugiej połowie XIX wieku miasto podupada – linia kolejowa ze Lwowa do Czerniowiec przechwytuje kupców. Zaczynają więc w Zaleszczykach łaskawszym okiem spoglądać na kwitnące sady, szczególnie morelowe. Trudno jednak zagwarantować sobie z ich uprawy dostatnią przyszłość, bo uważane są za owoce liche. Podczas I wojny światowej przez miasto kilka razy w tę i w tę przechodzi front. Kilkaset domów zamienia się w sterty gruzu. Wylatują w powietrze dwa mosty. Kolejowy – przez przypadek, trafiony piorunem jak doktor Bécu. Gdy w Polsce trwa wojna z bolszewikami, Rumuni, bojąc się ich inwazji, zaminowują most. Gwałtowna burza dopełnia dzieła – jeden błysk w przęsło i komunikacja kolejowa jest zerwana na szesnaście lat.

Schwartz tego tak nie nazywa – jest w końcu austriackim profesorem od niemieckiego i biologii – ale daje subtelnie do zrozumienia: wszystkie te zrządenia losu sprawiają, że w Zaleszczykach nie ma prawie na czym oka zawiesić. Zabytki można policzyć na palcach: kościół Świętego Stanisława z XVIII wieku to niby barok, ale „sprovincjonalizowany”, bez finezji. „Godne widzenia są starodawne monstrancje i krucyfiks z korpusem ze słoniowej kości, dar biskupa kamienieckiego Krasińskiego” – pisze autor, nie siląc się już na uzasadnienia. Drugi zabytek to murowana cerkiew z ikonostasem Józefa Nycza z Zaleszczyk. Kolejne dwa: dzwonnica kościoła ewangelickiego z początku XIX wieku i synagoga.

O najstarszy budynek potyka się każdy, bo stoi on na rynku. To dawny zameczek Stanisława Augusta Poniatowskiego, przerobiony na ratusz. Oddajmy głos Schwartzowi, tym chętniej że jest on ostatnim, który go opisuje:

Rzut poziomy tworzy regularny czworobok o wystających czterech narożnikach. Wewnątrz dziedzińca. Ściany obwodowe kondygnacji dolnych do 1 i ½ m grube, są obecnie zakryte dobudówkami, w których mieszczą się sklepiki. Brama wjazdowa

zachodnia, architektonicznie obramiona, ozdobiona herbem „Pogoń”, była do roku 1865 wieńczona kamienną figurą niewiasty (Marysienki?)²⁸⁵.

Coś więcej? Pałac i park Brunickich, zajęte przez słynną baronową Turnau. „Tu i ówdzie widać jeszcze domki z daszkami podcieniowemi, wspartymi kamiennymi kolumnami, lub bramy wjazdowe z beczkowymi kolumnami typu saskiego (np. przy ul. Piłsudskiego), który to typ dawniej przeważał”. Schwartz jako atrakcję wymienia także dom, w którym Kasprowicz schronił się z dziećmi, zraniony romansem żony z przyjacielem, Stanisławem Przybyszewskim. Napisał tutaj *Święty Boże*.

Przewodnik trafia do czytelników. W „Głosie Polskim”, wychodzącym w Tarnopolu, dziennikarz pisze o bitwie pod Zaleszczykami, nie bez satysfakcji wytykając Schwartzowi, że „nawet popularne i modne dzisiaj przewodniki i monografie krajoznawcze przemilczają je i po prostu nic o nich nie piszą”. Bitwę pod Zaleszczykami stoczyli w 1809 roku z Austriakami polscy spiskowcy opuszczeni przez Napoleona. Starym zwyczajem poszli się bić – z rozgoryczenia. Część została zmuszona do wycofania się za Dniestr, część poległa, jeńców, włącznie z dowódcą, Austriacy powiesili nad rzeką. Autor postuluje, by w dniu bitwy, 28 czerwca, organizacja zaleszczyckiego Strzelca ustanowiła Święto Zaleszczyk. Tej myśli nikt jednak nie podchwyci. Może dlatego, że w Zaleszczykach wystarcza powodów do świętowania. Jest przecież Święto Morza.

Miasto inwestuje zarobione na turystach pieniądze. Ma dobrze utrzymane bruki, jest zelektryfikowane, wodociągami płynie woda źródłana.

Na okładce kolorowego dodatku turystycznego charakterystyczne kocie grzbiety przeseł mostu nad Dniestrem. Mknie po nich niebieski pociąg, zostawiając siwy dym. Ministerstwo Komunikacji promuje w ten sposób Zaleszczyki. Dodaje urzędowy rozkład jazdy na sezon letni 1931 roku.

Jednak Najważniejszy Gość przyjedzie do miasta dwa lata później, ugruntowując jego sławę. Józef Piłsudski staje na peronie w Zaleszczykach o świcie 5 września 1933 roku. Najwyraźniej jednak do zachwytów nad „polskim Meranem” i „polską Riwierą” podchodzi wstrzemięźliwie. Zanim postawi nogę na zaleszczyckim peronie, wyśle adiutanta Mieczysława Lepeckiego na rekonesans. Konkluzja sprawozdania obficie udokumentowanego zdjęciami brzmi: „aczkolwiek to nie Madera ani Egipt, ale na pewno najcieplejsze i do tego

jedno z milszych miejsc w Polsce”. Po kilku miesiącach Piłsudski zleca przygotowania. Lepecki jedzie do Zaleszczyk. Szybko dochodzi do wniosku, że tylko dwa budynki są godne podjąć Komendanta: pałac baronowej Turnau i willa Zarządu Drogowego, położona w jego sąsiedztwie, z pięknym widokiem na rzekę, przesłoniętą nieco gałęziami rozłożystych drzew. Pałac podupada i wymaga remontu, poza tym baronowa na propozycję jego odstąpienia „reaguje zimno”. Ponieważ jednak zgadza się udostępnić park, zapada decyzja: Komendant zamieszka w willi Zarządu, którą przebuduje się tak, by znalazło się w niej miejsce na wygodną sypialnię, a park zostanie ogrodzony szczelnym deskowym płotem.

W niedzielę 3 września „Ilustrowana Republika”, dziennik z Łodzi, zamieszcza na pierwszej stronie tekst *Marszałek Piłsudski jedzie do Zaleszczyk*. Jakby sam Bóg zstąpił z nieba. Wraz z Komendantem ma przybyć trzydzieści pięć osób. Opróżniają dla nich pensjonat przylegający do willi. Do miasta przyjeżdża wojewoda, by osobiście nadzorować przygotowania.

Lepecki relacjonuje: „Wieść ta poruszyła oczywiście całe Zaleszczyki do głębi. Mieszkańcy zabrali się energicznie do robienia generalnych porządków, sprzątając i zamiatając ulice i w ogóle załatwiając sprawy, które jak wiadomo robi się to »raz na rok w okolicy Wielkiej Nocy«”²⁸⁶.

Komendant staje więc na dworcu w Zaleszczykach. Przez pół godziny rozmawia o pogodzie w swojej salonce ze starostą Krzyżanowskim i szefem KOP. Willa mu się podoba, szczególnie bliskość Dniestru, bo lubi wodę. Pogoda na początku sprawia zawód: „Było pochmurnie, deszczowo. Słońce wprawdzie pokazywało się wielokrotnie, ale nigdy na dłużej aniżeli na kilkanaście minut”²⁸⁷ – relacjonuje Lepecki. Komendant wypoczywa i przyjmuje interesantów, co oznacza, że miasto ma świetny sezon. Przyjeżdżają wojewoda lwowski Belina-Prażmowski i minister spraw zagranicznych Józef Beck. Piłsudski mówi mu: „Tutaj jest nie do wiary cicho i spokojnie, tutaj nawet koguty nie pieją, psy nie szczekają w nocy”²⁸⁸. Płot wyrychtowany przez Lepeckiego się sprawdza. Pod nim przecież jak na promenadzie przechadzają się panie w ukwieconych kapeluszach i panowie w jasnych garniturach, nietracący nadziei, że wydarzy się coś, o czym będą mogli opowiadać znajomym przez lata przy popołudniowej kawie.

Piłsudski bierze udział w raucie wydanym na jego cześć w Domu Zdrojowym, wygłasza zabawne przemówienie na temat uzdrowiska i lekarzy, a po kilku

tygodniach wraca do Warszawy. Sława Zaleszczyk zostaje²⁸⁹.

Mieszkańcy potrafią wykorzystać szansę – w mieście są już dwa hotele: Warszawa i Adria, oraz niezliczone, w większości eleganckie pensjonaty z przeszklonymi werandami i wymuskanymi ogrodami. Dwupiętrowy pensjonat Morela przy ulicy Rzeźnickiej 17 – z mansardami, balkonami o pięknie kutych poręczach – mieści w sobie także małą wytwórnię win. Właścicielami są Jan i Helena Zielińscy. Ich synowa ma firmę pamiątkarską na Sobieskiego. Ariadnie sławę zapewniła Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, pisząc:

Jest w Zaleszczykach, nisko w dole, na Rybackiej
Pensjonat Ariadna. Do połowy nieba
Sięgały przed nim wzgórza jak zawieszony kilim
W roślinowych barwnikach jesiennie kwitnący²⁹⁰.

Ulica Rybacka, niedaleko plaży Cienistej, leży przy drodze na Dobrowolany.

Ale są też pensjonaty: Bajka, Ballada, Helenówka, Neapol, Meran, Naddniestrzanka, Vita, Kresowianka, Podolanka (należąca do Franciszka Byczyńskiego). Iwonka była własnością państwa Datków. Julian Datko był radcą prawnym w Starostwie Powiatowym. Oficerskie Domy Wypoczynkowe dla rodzin wojskowych, położone wśród sosen, z tarasami, ławeczkami na dziedzińcu, mogą przyjąć dwustu gości. Wynająć można też pokoje w domach. Przyjezdni głoszą opinię, że pensjonaty rodzinne karmią dobrze i nie obdzierają ze skóry. Na obiad wzywają gongami, dzwonkami, sygnaturkami. Rozbrzmiewa nimi całe miasto. Rzadko jednak pensjonaty mają łazienki. „Łazienka nazywa się tu fanaberia i słusznie, bo od czego Dniestr i plaża”²⁹¹ – wyjaśnia autor folderu.

Co charakterystyczne – na pocztówkach i prywatnych fotografiach z Zaleszczyk autorzy uwieczniają ciągle kilka tych samych miejsc. I jednego zaledwie człowieka. Gdyby im powiedzieć, że to on jest symbolem miasta, zwijałoby się ze śmiechu. Gdyby powiedzieć to jemu, uciekłby z przerażeniem jeszcze szybciej, niż zwykł to robić, gdy rozradowani turyści próbują się z nim sfotografować w zamian za marny grosz. Janko Pokutnik – nieodłączny element krajobrazu, stacjonujący przy kościele Świętego Stanisława, stanowi barwną turystyczną atrakcję. „O rozwichrzonej siwej głowie, w głębokie bruzdy pooranej twarzy, ciemnych jak przepaść oczach pod krzaczastymi brwiami” – charakteryzuje go Jotsaw. Daje wiarę opowieściom, że żebrak wydaje resztę od

jałmużny, jeśli uzna ją za zbyt hojną. Wrzuca złotówkę i jest zdumiona, że Janko poprzestaje na „Bóg zapłać”. Malarz Stanisław Jarocki za jego portret zdobywa I nagrodę na Wystawie Krajowej w Poznaniu. Jurodiwy, święty szaleniec, milczący, obszarpany. Mówi się o nim, że podarowane ubranie celowo przerabia na szmaty – taki ma styl. A może działa profesjonalnie, zna swój fach i oczekiwania tych z miasta? Wie, że turyści sypną groszem, gdy zobaczą atrakcje, których się spodziewają. Dopiero po kilkudziesięciu latach, gdy nie będzie już ani Janka, ani turystów, ani tamtych Zaleszczyk, kronikarz miasta, syn Stanisława Juzwy, wygnaniec do Gliwic, opíše żebraka:

Nocował w stodołach przy bydle. Żywił się z jałmużny. Przed II wojną rozprowadzał w kruchcie kościelnej prasę katolicką i dobrze się z tego wywiązywał. Miał swój tobołek z porwanymi szmatami. Choć nie wiadomo, jak się mył, nie był odrażający. Podczas wojny często nocował w korytarzu probostwa. Pracowałem wówczas w kancelarii parafialnej i jako organista, więc często się z nim spotykałem. Nie był rozmowny. Na wielokrotne moje prośby nawiązania jakiejś rozmowy odpowiadał albo „Na co wam to”, albo grzebał w swoich łachmanach, wyjmując jakiś patyczek, i mówił: „Paniczu, może to się wam przyda”. Nawet księdzu na pytanie: „Janeczku, jak się nazywacie”, odpowiadał wymijająco.



25. Pokutnik Janko w Zaleszczykach, lata 30., fot. Maurycy Bäumer

Źródło: ze zbiorów Tomasza Kuby Kozłowskiego

Przed wojną Janko Pokutnik w piątki, gdy zapadał szabas, zapalał Żydom w kuchniach ogień. Podobnie w sobotę. Gdy 2 listopada 1939 roku proboszcz zaleszczycki ksiądz Józef Adamski, ostrzeżony przed aresztowaniem, opuszczał wczesnym rankiem probostwo, natknął się na Janka Pokutnika – „ten zapłakał”. Prawdopodobnie przywędrował z Bukowiny, zabił matkę i sam wyznaczył sobie pokutę²⁹².

Tymczasem w 1934 roku doktor Antoni Sabatowski w dwutygodniku „Medycyna” publikuje artykuł *Kilka uwag o leczeniu klimatycznym i zdrowiem gruźlicy w Polsce*²⁹³. Upomina się w nim o przywrócenie znaczenia leczeniu sanatoryjnemu. Nie da się ukryć – kryzys gospodarczy przerzedził szeregi gości uzdrowiskowych. Wiele chorób „leczy się konserwatywnie pod kontrolą lekarską albo często i bez niej w miejscowościach klimatycznych, uznanych albo nawet i nieznanymi szerszym sferom lekarzy” – pisze doktor Antoni. Akapit w tym artykule poświęca i Zaleszczykom, jednak już bez zachwytów. Przestrzega przed „kultem do wysokich ciepłot” przy gruźlicy płuc. Powołuje się na lekarzy francuskich, którzy odradzają dziś gruźlikom wybrzeże Morza Śródziemnego. Zaleszczyki są dobre dla gruźlic pozapłucnych. „Nawiasem mówiąc, bardziej interesujące są partie powyżej Zaleszczyk, w powiecie buczackim, gdzie oba brzegi rzeki należą do Polski i są bardziej malownicze przez spore połacie lasów” – dorzuca. Ma na myśli Beremiany, którym wróży świetną przyszłość. Myli się bardzo. I pozostaje tylko mieć nadzieję, że diagnozy medyczne stawia bardziej trafnie.

W chwili kiedy doktor pisze te słowa, Zaleszczyki mają już grono własnych lekarzy. „Bo nie ulega wątpliwości, że Zaleszczyki nie tylko są uczęszczanym letniskiem, lecz również leczą bardzo skutecznie wiele schorzeń i że właśnie to lecznicze znaczenie Zaleszczyk ostatnimi laty jest coraz bardziej przez ogół lekarzy polskich doceniane”²⁹⁴. Tutejszym doktorom zależy na przyciągnięciu i utrzymaniu pacjentów.

Nie bez powodu lekarze dają ogłoszenia do gazet. Dyskretne – z imieniem, nazwiskiem, opisem kompetencji i adresem: doktor Serafin Blutreich, były elew Kliniki Chirurgicznej Uniwersytetu Jana Kazimierza, były pierwszy asystent sanatorium Vita, przyjmuje na Rynku; Jan Matuszewski, ginekolog-akuszer;

doktor Adolf Rosen, dyrektor szpitala powszechnego, zakład rentgena, Sobieskiego 23; doktor Michał Rosenbaum, specjalista chorób dziecięcych. Jedynie doktor I. Litman, dentysta, pozwala sobie na więcej – pisze, że wykonuje wszelkie prace lekarsko- oraz techniczno-dentystyczne według najnowszych metod, takie jak koronki porcelanowe i tym podobne.

O tym, że słynny lekarz potrafi nakręcić koniunkturę i bez uzdrowiska, przekonuje przypadek Kosowa. Powiatowe miasteczko blisko Kut stało się sławne, gdy zakład leczniczy otworzył tam doktor Apolinary Tarnawski. Sam leczony – skutecznie – z nieznannej przypadłości metodą szoku termicznego w zakładzie wodoleczniczym w Wörishofen, specjalizuje się w kuracji otyłości. Swoje metody ćwiczy na korpulentnej żonie. Przekonuje się, że najskuteczniejsze są te drakońskie, które po latach nazwą skrótem „MŻ”, co znaczy: mniej żreć. A więc głodówki lub skromne wegetariańskie porcje trzy razy dziennie. Do tego ruch – dzień zaczyna się od gimnastyki, potem spacer, kąpiel w lodowatej rzece, opalanie, gra w tenisa i masaże. Doktor stosuje tylko metody naturalne. Jest w tej terapii powiew mistyki – kuracjuszy ubiera się w białe lniane szaty dla „powietrznych kąpiele”. Cena za pobyt w Kosowie dorównuje tej za pobyt w krynickiej Patrii Jana Kiepur. Jednak potwierdzony odbiciem w lustrze efekt rekompensuje wszystko. U doktora leczą się: Gabriela Zapolska, Juliusz Osterwa, Leon Schiller, Ferdynand Ossendowski, Stanisław Dygat, Melchior Wańkiewicz i Maria Dąbrowska, której mąż Marian kończy tu życie atakiem serca.

Zaleszczyki też mają swoje *spécialité de la maison*. To kąpiele słoneczne. A że do każdej propagandy potrzebne są autorytety, które mogą ją poświadczyć tytułami naukowymi, w 1936 roku Komisja Uzdrowiskowa wydaje pracę o czynnikach leczniczych tutejszego klimatu. Pisze ją lokalny doktor Franciszek Parymończyk – jak przyznaje – dlatego, że nikt nie zajął się tym przed nim. Chce przede wszystkim zainteresować kolegów lekarzy słońcem i temperaturą.

Lecznicze działanie kąpiele słonecznych rozumie tak:

Przez skórę promienie działają na krwinki czerwone, które stają się bardziej odporne na działanie hemolityczne, zwiększają zawartość hemoglobiny, zwiększa się ilość płytek Bizzozero. Naczynia krwionośne rozszerzają się na czas dłuższy, powodując wzmożenie krążenia, lepsze unaczynienie skóry, wzmożoną przeminę gazową i azotową, obniżenie ciśnienia krwi. Przemiana węglowodanowa wzmaga się, co powoduje zmniejszenie się ilości cukru we krwi. Na układ nerwowy promienie słońca

działają na ogół podniecająco, przyczem czerwone promienie, które powtarzam, przeważają w widmie słońca Zaleszczyckiego, mają wpływ orzeźwiający i przyspieszający procesy psychiczne²⁹⁵.

Zebrał dostępny, „acz skąpy” materiał historyczno-meteorologiczny, z którego wynika, że pierwsze zapiski o klimacie czynił po łacinie proboszcz parafii rzymskokatolickiej Honorat Warecki. To on zauważył, że od 1818 roku na dwadzieścia sześć wiosen ciepłych było tylko trzy, na dwadzieścia siedem okresów letnich dwadzieścia było upalnych. Parymończyk przedstawia tabele średnich temperatur i opadów w latach 1933, 1934 i 1935. Porównuje je z innymi miejscowościami Polski i potwierdza to, o czym wszyscy wiedzą od lat – nigdzie nie jest tak ciepło jak w Zaleszczykach! Ba! Zaleszczyki mają również najmniejszą liczbę dni z opadami. Są najlepiej usłonecznione, co wynika z pracy Edwarda Stenza. Gdy średnie dzienne usłonecznienie we Lwowie to 3,8 godziny, w Zakopanem 4,1, w Warszawie 4,4, to w Zaleszczykach – całe 5! Dokuczliwe są co prawda wichry – wszystko przez brak lasów. Dlatego byłoby wskazane zalesienie północno-zachodnich krańców miasta. Najważniejsze zostało jednak udowodnione – siła bezpośredniego promieniowania słońca obliczona w kaloriach (tak właśnie!) bije inne miasta na głowę. Do tego – przekonuje doktor Parymończyk – słońce Zaleszczyk, w którym przeważają promienie czerwone, opala, ale bardzo łagodnie. Nie powoduje poparzeń. Doktor poucza, że drugim czynnikiem leczniczym Zaleszczyk jest ciepło, a znaczenie ciepła dla organizmu ludzkiego jest powszechnie znane. Poleca Zaleszczyki zwłaszcza dzieciom cierpiącym na: gruźlicę kostno-stawową, gruczołową, zołży, skazę wysiękową, stan grasiczno-limfatyczny, skazę neuroartretyczną, słaby rozwój i rozrost, krzywicę, osłabienie, łuszczycę, trądzik, czyrakowatość, a także w okresach rekonwalescencji. Zaleszczyki mają również dobroczynny wpływ na chorych na nerki:

Już sama wzrokowa obserwacja kuracjuszy, formalnie prąjących się na plaży słonecznej w upalne lipcowe lub sierpniowe dni, kiedy prawdziwie afrykańskie temperatury w słońcu dochodzą nierzadko do 55–60°C, każe wnioskować, że przecież ta ilość potu, którą taki kuracjusz wypoci na swoim leżaku, musi znacznie odciążać czynność wydzielniczą nerek i zmniejszyć ich pracę, co w terapii chorób nerkowych ma tak doniosłe znaczenie²⁹⁶.

Zapleczem medycznym dla wczasowiczów i kuracjuszy jest szpital na sto łóżek. W sezonie do Zaleszczyk ściąga już około czterech tysięcy osób – to prawie tyle, ile w nich mieszka.

W „Echu Zaleszczyk” doktor Michał Rosenbaum nie musi przekonywać – po prostu stwierdza, że Zaleszczyki są „wybitnem uzdrowiskiem słonecznem”. I jeśli na coś narzekać, to że „za mało jeszcze znany jest fakt, że można u nas przeprowadzić kurację winogronową własnymi winogronami, które już przy końcu sierpnia dojrzewają i co do jakości i wielkości dorównują winogronom zagranicznym”²⁹⁷. Na kuracje winogronowe przyjeżdżano na Podole jeszcze przed I wojną światową. Kuracjusze wybierali jednak Okopy Świętej Trójcy i Horoszową nad Dniestrem. Dopiero gdy kilka lat wcześniej Zaleszczyki zwróciły na siebie uwagę i stały się jednym z najpopularniejszych polskich letnisk i uzdrowisk, Okopy Świętej Trójcy i Horoszowa musiały przy nich skapitulować. Lekarze dietą winogronową leczą przemianę materii, wątrobę i choroby gruczołów dokrewnych. Z prowadzenia kuracji słynie doktor Serafin Blutreich. Ale jak to robi, pozostanie jego tajemnicą.

Niepostrzeżenie stoki wokół miasta pokrywają się rzędami zielonych pali. To „podolska nafta”, czyli winorośle. Owocują już rośliny w tych winnicach, których zakładaniu przyglądała się w 1927 roku dzielna dziennikarka Jotsaw. Wtedy pisała, że to dopiero muzyka przyszłości, bo stare nasadzenia wyniszczyła wojna. Ani się obejrzeć, a winorośle na podolskich wzgórzach i w żyznych dolinach zwanych lewadami wydają plon. Lwowska Izba Rolnicza tworzy cztery placówki instruktorskie sadownictwa i winiarstwa, w tym jedną w Zaleszczykach. Właściciele winnic w 1931 roku zakładają Związek Posiadaczy Sadów Ciepłego Podola, który przekształcają szybko w Podolsko-Pokucki Związek Posiadaczy Sadów. Jego prezesem zostaje Cyryl Czarkowski-Golejewski, ordynat zamku w Wysuczce, który ma największą winnicę na Kresach – o powierzchni trzydziestu hektarów. Ale Podole całe oplecione jest pnączem. Równe rzędkie szczepów rosną w Chmielowej, Zazulińcach, Dźwiniaczu, Milowcach, Kniażu nad Czeremoszem, Liesiecznikach, Lataczu, Szutromińcach, Torskiem, Dźwinogrodzie, Horoszowej, Babińcach, Czortkowie, a także w Zaleszczykach u Augusta Turnaua i w małej winnicy Ireny Ziembickiej nad brzegiem Dniepru. Konsystorz wileński posiada nad Dniestrem w Zazulińcach koło Zaleszczyk własną winnicę – Winikoli – produkującą wino mszalne. Jej prawnym nadzorcą jest Stanisław Juzwa, naczelnik sądu. W szkółce

ogrodniczej sadzi winorośl doktor Władysław Kubik. Posiadacze chcą uruchomić własną szkołę rolniczą o profilu winiarskim i rozpocząć masową produkcję sadzonek. Na razie masowo produkują pocztówki z motywami winorośli.

Potrzeba jednak czegoś, co trwale umocni pozycję Zaleszczyk. Produktu regionalnego, do którego przyłgnie przymiotnik „zaleszczycki”. Będzie go można przywozić z wakacji razem ze wspomnieniami. I lansować przez cały rok. Tu nie trzeba już fantazji. Trzeba wiedzy. Udaje się podsycić ambicje władz centralnych i przekonać je, że choć opóźnia się proces kolonizacji świata przez II Rzeczpospolitą i Madagaskar musi na nas poczekać, Polska może stać się potęgą w szlachetnej sztuce winiarskiej, produkować znakomity trunek nieustępujący butelkom z południowych rejonów Europy.

Gospodarczo biorąc, uprawiana na większą skalę winna latorośl umożliwi nam konsumpcję krajowych winogron deserowych i krajowego wina, tereny zdatne do uprawy winnej latorośli są w stanie pokryć całkowite zapotrzebowanie winogron deserowych w całym Państwie, winogrona produkowane w Zaleszczykach i okolicy dojrzewają całkowicie i słodyczą swoją i smakiem nie ustępują winogronom węgierskim. Produkowane już obecnie wino przedstawia typ zupełnie dobrego wina stołowego i uprawnia do nadziei, że w przeciągu lat kilku możemy mieć na rynku krajowe wino o charakterze win austriackich czy reńskich²⁹⁸

– chwali się w 1936 roku wojewoda tarnopolski doktor Alfred Biłyk.

Od pewnego czasu o Podolu mówi się, dodając wyłącznie przymiotnik „ciepłe” – eliminując przy tym „zimną” część regionu w okolicy Stanisławowa. Złote słońce z promieniami – herb województwa – podgrzewa nadzieje obywateli na zyski z tak szczęśliwego geograficznie położenia. Dyskutuje się więc o sadownictwie i winiarstwie ciepłego Podola, omawia warunki gospodarcze ciepłego Podola, mówi się o Krainie Ciepłego Podola. Niektórzy przymiotnik „ciepły” traktują już jako nazwę własną i piszą go wielką literą. Ciepłe może być także Pokucie, ale musi znać ono swoje miejsce w szeregu – zawsze wymieniane jest w drugiej kolejności. Autorzy artykułów zachęcają mieszczuchów do lokowania kapitału w Ciepłym Podolu. „Kupienie tutaj kawałka ziemi i stworzenie siedziby na niewielkiej nawet działce, ale przy odpowiednim jej zagospodarowaniu pozwoli na Ciepłym Podolu rentownie wyzyskać włożony w ziemię kapitał”²⁹⁹ – przekonuje inżynier Edward Fonferko. Duże zyski może

zapewnić sadzenie winorośli. Winnice półmorgowe dać mogą zyski w wysokości około tysiąca złotych rocznie. Ciasnota na rynku pracy powinna skłonić młodzież do zastanowienia się nad tworzeniem samodzielnych warsztatów pracy. Choćby w winiarstwie. Zamiast bezowocnie szukać biurowych zajęć lub podejmować się prac źle płatnych.



26. Oficerskie domy wypoczynkowe w Zaleszczykach, 1936

Źródło: ze zbiorów Tomasza Kuby Kozłowskiego

W 1935 roku po likwidacji Ministerstwa Robót Publicznych turystyka zostaje oddana pod nadzór Ministerstwa Komunikacji. Wypoczynek obywateli może być szansą na to, by na nich zarabiać. Władza już to wie. Jej bacznemu spojrzeniu nie uchodzi, że klasa wyższa wybiera wyjazdy zagraniczne – do nich przywykła i są atrakcyjniejsze. Zamożnych do letnisk w kraju mógłby przyciągnąć tylko komfort, a ten wymaga wysokich nakładów. Na początku lat trzydziestych kolej wprowadza – z sukcesem – specjalne pociągi zwane „Narty. Dancing. Brydż”. Przez dziesięć dni przemieszcza się od Jaremca do Wisły w eleganckich, urządzonych przez najlepszych architektów pociągach salonach, wyposażonych w salę kinową, taneczną, prysznic i sypialnie. Podróż odbywa się nocą, by za

dnia móc się bawić w kurortach narciarskich. Chętnych byłoby więcej, gdyby nie cena – dwieście złotych to wydatek, na który mogą sobie pozwolić wyłącznie elity. W letniskach wypoczywa głównie stan średni. „Obecnie spędzanie urlopu wypoczynkowego w miejscowości letniskowej nie jest uznawane za przywilej sfer, znajdujących się na wyższym poziomie dobrobytu materialnego”³⁰⁰ – zauważa Karol Woyciechowski, działacz PTTK. Teraz chodzi o to, by pozyskać ludzi ze sfer niższych – rzemieślników i robotników, których w najlepszym razie stać na to, by wysyłać dzieci na podmiejskie kolonie. Mają krótkie urlopy, nie chcą tracić czasu i pieniędzy na podróż. Z wyliczeń Woyciechowskiego (a właściwie doktora Leszczyckiego, na którego się powołuje) wynika, że półtora miliona ludzi to potencjalni letnicy. Pojawiają się plany, by dostosować kurorty do ich możliwości. A może zamiast tego tworzyć przy dużych miastach ładne podmiejskie miejscowości wypoczynkowe? Zmęczonym ludziom pracy potrzeba ładnych widoków, zdrowego powietrza, dobrej wody do picia i pluskania, słońca, dostaw świeżego pożywienia, przyzwoitych warunków sanitarnych i mieszkaniowych, kultury i rozrywki. Podole bardzo chciałoby mocniej zaistnieć w świadomości letników, jednak najwięksi entuzjaści zdają sobie sprawę, że warunki sanitarne pozostawiają wiele do życzenia. Dadzą się zmienić, jeśli wpłyną na nie czynniki miarodajne – takie jak działania entuzjasty higieny doktora medycyny Felicjana Sławoja Składkowskiego, który póki może, jeździ po kraju i kontroluje budowę sławojek oraz wybór koloru farby odmalowywanych płotów. Uważa, że to Polskę ucywilizuje. Dlatego do warunków koniecznych należy utrzymanie przez zarządy czystości. „Podniesienie estetycznego wyglądu domów przez zaopatrzenie okien w doniczki i ich ukwiecenie”³⁰¹, zwrócenie uwagi na estetykę wystaw sklepowych, zadrzewienie systemem szpalerowym ulic, utrzymanie zieleńców, parków i ogródków, racjonalne oświetlenie ulic prądem elektrycznym – brzmiały wytyczne Woyciechowskiego.

Luxtorpeda – biało-zielony wagon z wysuniętym niczym u pendolino nosem i przeszkloną kabiną maszynistów, naprawdę pięknego projektu – może pomieścić pięćdziesiąt sześć osób. Mknie z szybkością stu piętnastu kilometrów na godzinę. Maszyniści pracujący w dwóch kabinach z przodu i z tyłu wagonu porozumiewają się ze sobą za pomocą telefonu pokładowego. Przewozi pasażerów z Warszawy do Poznania i Zakopanego. Do Lwowa, Wilna. I do Zaleszczyk – wspominają potem. Ale to nieprawda.

Przyzwyczajeni do parowozów turyści nazywają luxtorpedą każdy skład o silniku spalinowym, ale ten tutaj to nie rzecz taka, co do Zakopanego jeździ, czy ta osiągająca średnią prędkość osiemdziesięciu siedmiu kilometrów na godzinę, kursująca między Poznaniem a Warszawą. Podróż cała trwa dwie i pół godziny z prędkością zaledwie połowy osiąganą przez skład poznański³⁰²

– donosi rodzinie kolejarz, inżynier Piotr Jacek Jamski, który dotarł do Zaleszczyk z Tarnopola.

Lansująca hasło „Poznaj swój kraj” Liga Popierania Turystyki wspiera inicjatywy regionalne, a tak się składa, że w Zaleszczykach starosta Krzyżanowski organizuje dożynki. Pierwsze – podobno spontaniczne – odbywają się jeszcze podczas pobytu Piłsudskiego, kiedy to mieszkańcy okolic zjechali „odruchowo w jednym dniu” do Zaleszczyk, aby złożyć na rynku życzenia staroście. Dwa lata później dożynki dostają przydomek „winne”, w Komitecie Winobrania zasiadają właściciele winnic, a członkowie Towarzystwa Krajoznawczego przemyśliwiają, jak by się do tego ekskluzywnego grona dostać. „To nie jakaś uszmlinkowana rewia lub urzędowa potemkinada”. To przegląd niefalszowanej kultury południowych Kresów. „Trzeba sobie uświadomić, że ci ludzie od pługą i sierpa czują wewnętrzną potrzebę świątecznie zakończyć porę ciepłą”³⁰³ – poucza autor broszury wydawanej specjalnie z okazji święta. Wystawa owoców w Państwowym Zakładzie Ogrodniczym, zwiedzanie winnic, wystawa wyrobów ludowych i krajobrazu podolskiego, spływ kajakowy, zawody pływackie, nabożeństwo, po którym wyrusza pochód drużyn z wieńcami (wstęp kosztuje pięćdziesiąt groszy, miejsce siedzące złotówkę, miejsce na trybunie dwa złote, a miejsce w łoży dwa i pół złote), występy zespołów ludowych na plaży Słonecznej, a w razie niepogody w Sali Sokoła. W końcu Noc nad Dniestrem na tej samej plaży (wstęp pięćdziesiąt groszy), zawody i popisy konne.

22 września 1935 roku Zaleszczyki są gotowe do imprezy – kilkunastodniowego festynu. Patronat nad „winnymi dożynkami” obejmują: doktor Składkowski, wówczas już premier, minister rolnictwa Juliusz Poniatowski i marszałek Sejmu Aleksander Prystor. Pociągi dowożą turystów. Prowadzenie konferansjerki organizatorzy powierzają doświadczonemu w wywoływaniu salw śmiechu Kazimierzowi Wajdzie, czyli Szczepciowi z Lwowskiej Fali. Przyznawane są nagrody za dekoracje powozu w winobraniowym korowodzie. Na imprezę zaproszeni zostają dziennikarze

z kraju i z zagranicy. Nieźle się uwijają, z imprezy powstają relacje, zdjęcia. I filmy. Drżący obraz – ujęcie Dniestru z lotu ptaka. Soczyste kiście winogron. Łysy mężczyzna w czarnym garniturze patrzy w dal. Kokardy, orzeł strzelców legionowych utkany z białych kwiatów, gałęzie sosny. Słońce praży w kozuszki ustawionych do pochodu wąsatych Hucułów, dziewczyna w serdaczku ogląda się przez ramię. Na zadaszanej kapliczkowato trybunie usłanej kilimami poruszyły się władze. Wojskowi zerkają spod czapek, wieniec przetkany zbożem, orkiestra z mazurkiem, grupa panien podryguje w miejscu. Mężczyzna w rogatywce przywołuje kolegę. Oficerowie rumuńscy i kapelusze pań. Gmina Hryniewice cała owocowa, dziewczyny jak jabłka, naszyjnik z marchewek. Dobrowolany haftowane kwiatem. Parasolki w górze, dziewczynka w warkoczykach wkłada do ust grona jak korale. Alfred Biłyk, za rok wojewoda tarnopolski, zdejmuje cylinder, ściska podbiegającą do niego chłopkę w chustce. Film nakręcony 22 września 1935 roku jest czarno-biały. Puszcza ją go w kinach przed seansami z Jadwigą Smosarską, Adolfem Dymszą i Eugeniuszem Bodo. Wszyscy wiedzą, że to ważne. PTTK nagrywa własnym sumptem dwa tysiące metrów bieżących filmów o regionie. W kinie lecą bowiem najczęściej reklamy – przeźrocza. Główną ich wadą jest to, że publiczność odnosi się do nich z niechęcią. Wierci się i kręci, wychodzi, korzystając z przerwy. „Znacznie lepsze są filmy, które jednak ze względu na wysokie koszty nie nadają się do reklamy dla przeważającej liczby detalistów”³⁰⁴ – poucza specjalista od przedwojennej reklamy, wykładowca Szkoły Głównej Olgierd Langer. Zaleszczyki to jednak przecież nie sprzedawca butów. A wydarzenie takie jak winobranie to sprawa narodowa. Film kręci więc Polska Agencja Telegraficzna.

Ludzie widzą w gazetach zespoły ludowe, butle wina, piękne dziewczyny, beczki wielkości parowozu. I radość. Wielką radość. Zaleszczyki kojarzą się ze szczęściem. Króluje Bachus. Impreza na stale wpisuje się w kalendarz i rozrasta. Jest jeszcze jeden powód jej popularności: termin wybrany tak sprytnie, że inne miejscowości nie mają szansy z nią konkurować. Gdy w innych uzdrowiskach, letniskach i kurortach po letnim sezonie życie zamiera, Zaleszczyki ożywają.

Ludzie chcą odreagować. W tekstach poradnikowych i felietonach prasa rozpisuje się o intensywnym tempie życia, zużywaniu energii i potrzebie wyjazdu do kurortów. „Ruch letniskowy w Polsce w ostatnich czasach wzmógł się bardzo znacznie. Zauważyć można, że niemal każda z krain polskich wysuwa postulaty letniskowe”³⁰⁵ – pisze autor w „Zniczu Podola”, najwyraźniej przeczuwając, że

wyrosnąć może potencjalna konkurencja. Ale gdzie innym do Zaleszczyk? Na przykład Czortków zaczyna inwestować w turystykę dopiero w połowie lat trzydziestych. Czortkowski oddział PTTK jest największy i najaktywniejszy na Podolu. Wykupuje zamek od fundacji ubogich prowadzonej przez siostry szarytki, odnawia dziesięć sal i przeznaczają je na schronisko turystyczne. Jeden z członków oddaje sklep na biuro informacyjne dla przyjezdnych. W muzeum miejskim wystawiają to, co pozbierali po okolicy. Potłuczone dzbany, poźółkłe mapy, ludowe wyszywanki, tajemniczą płaskorzeźbę kobiety w kamieniu. W sumie ponad tysiąc eksponatów. Część tej kolekcji Muzeum w Zaleszczykach eksponuje do dziś. W latach trzydziestych XX wieku muzeum założone przez PTTK miało popularyzować historię okolicy. Wydano prawie dwadzieścia tysięcy widokówek Czortkowa, Okopów Świętej Trójcy i Złoczowa. Gdy pojawiają się dodatkowe pieniądze, lokowane są w przebudowę skrzydła na zamku. Jednak Czortków dopiero inwestuje, a Zaleszczyki zbierają już plony.

Ach, jak przyjemnie

Jak można się nudzić, jak można marudzić
że świat jest smutny, że jest źle
nie rozumiem, nie. Jak można
faktycznie
na świecie jest ślicznie
nich ten, co gdera, przyjdzie tu,
a ja powiem mu tak: Ach jak przyjemnie kołysać się wśród fal
gdy szumi, szumi woda i płynie sobie w dal

– śpiewają, wywijając wiosłami, dziewczęta w *Zapomnianej piosence*. Zaleszczyki wykorzystują rosnącą popularność sportów wodnych. Miasto ma przecież do zaoferowania kawałek Dniestru. Szlaki wodne Podola są piękne i coraz intensywniej wykorzystywane. W 1936 roku powstaje Sekcja Kajakowa PTTK. To jednocześnie Klub Polskiego Związku Kajakowego. Kajakarze gospodarują Dniestrem i jego północnymi dopływami. Na przystani w Zaleszczykach można wynająć kajak lub motorówkę. Popłynąć na rumuński brzeg lub do Uściczka, miejscowości oddalonej o dwadzieścia siedem kilometrów, położonej w malowniczym miejscu nad Dniestrem i łączącej żelaznym mostem Podole z Pokuciem. Włodzimierz Junosza Stępowski zwiedza

okolice dłuższą trasą: płynie od ujścia Stryja do Dniestru, rzeką do Zaleszczyk, Seretem z Czortkowa do Kasperowic.

A jednak narzekają. Józef Opacki w „Zniczu Podola” w 1936 roku zauważa, że wszystkie rzeki stanowią „kanał odpływowy dla licznych odpadków i kloacznych odpływów miejscowości nadrzecznych”. Często można spotkać na drodze rozkładające się ciała zwierząt. Autor proponuje, by zatapiać je „przy pomocy materiałów ciężkich”. Chciałby też budowy kanałów odprowadzających z miast ścieki.

Ponieważ krajoznawca kieruje się często zasadami estetyki i stara się nasycić swój wzrok jak największą ilością pięknych motywów krajobrazu, należy mu w tym względzie pójść jak najdalej na rękę i usunąć z nadbrzeża wszystkie obiekty, któreby przyczyniły się do obniżenia wartości piękna i pozbawienia nawet walorów³⁰⁶.

Autorowi chodzi o usuwanie klozetów, które stoją nad brzegami i co gorsza – pachną.

W 1935 roku Towarzystwo Krajoznawcze otwiera w Zaleszczykach schronisko dla turystów. Największe, komfortowe. Murowane, jednopiętrowe, z mansardą. Ma ono czterdzieści łóżek, instalację elektryczną, wodociągową, łazienki, telefon, kuchenkę. Członkowie PTTK za te wszystkie wygody płać grosze – konkretnie groszy pięćdziesiąt. Pozostali złotówkę. Mieści się tu muzeum krajoznawcze i oddział Komisji Uzdrawiskowej. Zaleszczyckie PTTK zatrudnia już pięciu przewodników. Dochody oddziału za 1935 rok to dwa tysiące złotych. Niby dużo, a jednak mało, bo ludziom trudno tu dotrzeć. Władze Towarzystwa starają się, aby z Borszczowa do Zaleszczyk kursował autobus. Powiat borszczowski ma najwięcej dobrze utrzymanych bitych dróg, które rozchodzą się w różnych kierunkach. W południowo-wschodniej części tarnopolskiego są już tak dobre, że z Warszawy do Zaleszczyk wprawny automobilista przejedzie w dwanaście godzin.

Współpraca Towarzystwa z Orbisem układa się dobrze. Biuro podróży ze Lwowa, jedno z dziesięciu najlepszych na świecie, które dla obywateli II RP ma otworzyć świat, tworzy w Zaleszczykach wspólne punkty obsługi wycieczek i turystów. Oddaje do dyspozycji PTTK wszystkie swe oddziały. Mają się one zająć propagandą – tak się mówiło na promocję. Kunzek stara się razem z Orbisem o karnety wypoczynkowe, nie wiadomo jednak, czy projekt udaje się

wcielić w życie. Na pewno za to Ministerstwo Komunikacji wprowadza ulgi kolejowe dla tych, którzy wracają z uzdrowisk. Zniżka przysługuje już po ośmiu dniach pobytu, gdy wraca się do miejsca zamieszkania oddalonego o nie mniej niż osiemdziesiąt kilometrów. Jesienią – od września – jest nawet pięćdziesięcioprocentowa³⁰⁷.

Jednak z turysty z plecakiem i konserwą zysk jest niewielki. Zwiedza, pływa i znika. Mieszka noc lub dwie, zdarza się, że na coraz modniejszych kempingach. W miesiąc może przejechać całą Polskę.

Nocleg w namiocie, wczesne wstawanie, zimna kąpiel w rzece, jedzenie potraw zimnych lub odgrzewanych... tu jeszcze może być wiatr, deszcz, burza albo zbyt wielki upał. A jak nawali kicha albo zacnie stukać w motorze... Trzeba zmieniać, pompować, kleić, włączyć pod samochód. Bo czyż to nie przyjemniej przespać się w wygodnym łóżku, zjeść dobre śniadanie i pójść do modnej kawiarni na lody i przegląd nowych kapeluszy. Bo na taki zwariowany week end to nawet ubrać się przygodnie nie można. Tak rozumują to i ci, co jeszcze nie zakosztowali uroku turystyki samochodowej i wodnej. Nie wgrzyźli się w istotny smak życia z dala od wygód cywilizacji, ale też od jej jarzma³⁰⁸

– pisze w „Turystyce i Aucie” Jadwiga Kiewnarska.

W Zaleszczykach – na szczęście dla Zaleszczyk – panuje model inny: luksusowy. Zagnieżdżają się tutaj dwa najbardziej pożądane typy przyjezdnych: kuracjusz i letnik. Tacy, co mieszkają w hotelach lub pensjonatach, w najgorszym razie na kwaterach, żywią się w restauracjach, popijają wino, palą papierosy w długich firkach, wydychając smugi dymu. Słuchają swingowego jazzu. I dancują. Tańczą tango, charlestona, fokstrota, lambeth walk. Przygrywają – z płyt, a czasem z radia – big-band Henryka Warsa, bracia Goldowie, Jerzy Petersburski czy Zygmunt Karasiński. Czasem skocznie, czasem rzewnie jak Adam Aston:

Nikt nie umie kochać tak, tylko ty
któż zrozumieć mnie zdoła tak jak ty
inne słowa i uściski zawsze obce będą mi
W życiu bliska będziesz mi tylko ty.

Afisz to modna forma reklamy. Korzystają z niej firmy. Uzdrowiska nie mogą być gorsze, przecież walczą o kuracjuszy. Żegiestów, Ciechocinek i Morszyn idą w motywy ludowe. Kwiaty, dziewczyna, serdaczek, chłopak, haftowane portki, sosny, drewniana brama. A dookoła mnóstwo treści. Radioaktywne szczawy alkaliczno-żelazowe, kąpiele kwasowęglowe oraz elektro- i mechanoterapię reklamuje Żegiestów. Wody słone jodobromowe, inhalatorium, tęźnie, wodociąg, elektryczne oświetlenie – Ciechocinek. Jedyny w Polsce źródło wód gorzkich – Morszyn. Afisze informują o terminach sezonu, o bezpośrednich połączeniach kolejowych i o tym, na której stacji trzeba wysiąść. Ciechocinek podaje treść po niemiecku i francusku. A Zaleszczyki? One reklamują się bez zbędnych słów, plakatem w stylu art déco. Kobieta w bikini siedzi na plaży. Podpis: „Wczasy nad Dniestrem”. I wszystko jasne. Bo Zaleszczyki kuszą obietnicą flirtu – bez fałszywej pruderii. Na okładce folderu wydawnictwa Zdrój – poświęconego uzdrowiskom – piękna dziewczyna trzyma w zębach kiść winogron. Zasłania sobą Dniestr, most i całe miasto: „Smacznego. Pozdrowienia z Zaleszczyk” – brzmi podpis i każdy wie, na co prawdziwy mężczyzna miałby apetyt. Kolejne ponętne dziewczyny w strojach kąpielowych zalotnie wyginają się z piłką i bez niej, na piasku i w wodzie. Zdania pod fotografiami: „Czekają na partnera”, „Nie mam się w co ubrać”, „Mewa skalna” – to o pani opartej o kamienne zbocze, „Przepiórka koszykowata” – to o tej siedzącej w koszu. Tekst również nie budzi wątpliwości: „Nawet panie przyjeżdżają tu bez mężów. Bo i słusznie – na taki upał!”, „W Zaleszczykach zrzucasz z siebie (dosłownie) wszystko, nawet kamizelkę, i w jednych kąpielówkach – hul do wody! – pozostałą minimalną resztkę podświadomych wątpliwości, skrupułów, grzechów i grzeszków wyrzucasz jednym gestem, zagranicę – Do Rumunii”. Autor nazywa Zaleszczyki rajem Mahometa, krainą wszelkich szczęśliwości ziemskich i nadziemskich, „perłą Ceylonu, perłą słońca, brzoskwiń i moreli, czyli różową perłą, to znaczy równie cenną, piękną i drogą, choć nierównie od Zakopanego tańszą”. To Kalifornia, Floryda – Miami, Palm Beach w jednym. „A nade wszystko jest schludnie, czysto, przecudownie cicho, jasno, Dniestr ramieniem jak kochanek młodą dziewczynę obejmuje miłośniczo bukietem ogrodów, willi, chat, i wszystko wokół każe wierzyć, że nie tylko świat, ale nawet życie, nawet dziś – jest piękne mimo kryzysu”³⁰⁹. Pensjonaty tu miłe, dorożkarze uprzejmi, ceny tak niskie, że słysząc je, warszawianka zakupuje pół sklepu. Poza tym Europa, czyli oświetlenie elektryczne, telefony, radio, dancing, dobre drogi. Flirtuje się tu pod morwami

i morelami. A złowienie ryby ważącej od pięciu do dziesięciu kilogramów nie należy do rzadkości. Poza tym są dwie plaże. Bądźmy szczerzy – jedyna atrakcja. Trzeba ją więc obudować w zachwyty. Sprzedać tak, by przyjezdnym wydawało się, że mają do czynienia z miejscem wyjątkowym. O plażach – jak o temperaturze – mówi się i pisze nachalnie, bez przerwy. Dziś specjaliści od reklamy nazwaliby to utrwalaniem przekazu. Poza tym działa marketing szepty. Ludzie pozostawieni sami sobie w wagonach przez wiele godzin częstują się kurczakami, owocami i opowieściami. „Proszę państwa szanownego – zagaił olbrzymi wąsaty mężczyzna w białym garniturze – widzę, że pierwszy raz udajecie się do naszego Meranu, zatem pozwolę sobie powiedzieć, że ja kuruję się w niem od dwu dziesięcioleci i nie trzeba mi tytułu doktora nauk medycznych posiadać, by znać się na rzeczy. Ja i bez honorarium szanownemu państwu receptę przepiszę”³¹⁰. I inżynier Piotr Jacek Jamski, który zwiedza Kresy kolejną, skrupulatnie notuje porady znawcy rzeczy. Zażywać ciepłych wód Dniestru. Wysmażyć się na plaży Słonecznej. Wziąć masaże cielesne. Jeść owoce południowe za tanie pieniądze. Kupić konfitury i wino do domu. Co najmniej jeden raz spławić się krypami. Odbyć konną wycieczkę na stronę rumuńską. Zamówić występy Hucułów do kolacji, iść na występy aktorów ze Lwowa, z Krakowa i Warszawy, których próżno szukać w innych miastach. I... chronić uszy przed megafonami ryczącymi jazz na plażach.

Po co plaża? Felietonista „Echa Zaleszczyk” wymienia jej wszystkie zastosowania. „Pan dyrektor zapoznaje pana naczelnika, pan naczelnik panią radczynię, a pani ministrowa daje do ucałowania rączkę panu sekretarzowi ambasady w Honolulu. Na plaży ludzi bez tytułów nie spotkałem”³¹¹ – podsumowuje. A jak się na plaży zapoznaje?

Pan dyrektor pragnie poznać pewną młodą mamusię. Zwraca swą uwagę na rocznego brzdąca płci żeńskiej i daje folgę swemu oburzeniu. Musi zapisać do księgi zażaleń... Nie zgodzi się z tem, absolutnie się nie zgodzi... „aby córeczka chodziła bez kostiumu kąpielowego”. Mamusia się śmieje, pan dyrektor się śmieje, ja się śmieję, bo się istotnie poznali.

Na plaży ludzie flirtują. Stare panny melancholijnie wzdychają do studentów. Studenci grają w piłkę z młodemi mężatkami. Mężowie z boku obserwują ten „cały głupi sport” i są zazdrośni. A podtatusiali kawalerowie podglądają podlotki w ich czynnościach dyskretnego przebierania się w kostiumy kąpielowe.

Najwięcej nowości pojawia się corocznie w dziedzinie sportów wodnych. Wycieczki żaglowe czy motorowe nie wystarczają już wybrednym sportowcom. Dla tych stworzono rowery wodne niezliczonych typów i odmian. [...] Prawdziwie sportowych emocji dostarcza też jazda na desce ciągnionej przez motorówkę – sport wymagający zręczności i poczucia równowagi, niezbyt łatwej do utrzymania przy szybkim tempie jazdy. [...] ogromnie lekkie piłki gumowe stanowią też doskonałą zabawę nie tylko dla dzieci, lecz i dla dorosłych, którym dają ogromne pole do popisu zręczności i estetyki ruchów. Dzięki temu są ulubioną grą pięknych pań, które doskonale wiedzą, jak młodo i pięknie wyglądają, goniąc za kolorową piłką³¹².

Doktorzy dają wykłady na temat opalania. Nie należy lekceważyć groźnej potęgi słońca. Objawy porażenia zaczynają się od bólu głowy. W sprawie kremów należy się poradzić swego doktora.

Kto widział broczące rany, łuszczącą się skórę i nie mógł w nocy spać z powodu „spalonych” pleców, chętnie wsłucha się w pouczenia doktora Rosenbauma. Ten chciałby nawet, by na plaży umieścić tablicę ostrzegawczą: „Przestrzega się przed nadużywaniem słońca”. Powołując się na berliński autorytet doktora Kische, chętnym podaje schemat przyzwyczajania skóry do promieni słonecznych. Rozróżnia typy ludzkie. Nie używa słowa „karnacja”, ale typ numer jeden, czyli ludzie z czarnymi lub ciemnymi włosami, może opalać pierwszego dnia dwa razy dziennie po dziesięć minut dwie kończyny dolne, a typ numer dwa, czyli jasnowłosi, pierwszego dnia tylko obie stopy i podudzia. Schemat rozpisany jest na dziesięć dni, aby letnik nie opalił się za szybko i Zaleszczyk nie opuścił.

Plaża Cienista jest dzika, zacieniona drzewami, z kawiarnią Oda, gdzie wieczorem odbywa się dancin. Słoneczna przy moście kolejowym ma kabiny na garderobę, dwa ogrodzone odcinki, mostki, kolorowe słupki i bariery, drewniane zejście do wody, pawilon, w którym działa cukiernia. Ale Słoneczna nie służy do kąpiei. Tu się uprawia lans. Wzdłuż rzeki rośnie szpaler drzew, z eleganckiej restauracji uderza w nozdrza zapach przygotowywanych dań, codziennie daje koncerty orkiestra wojskowa. Obcięta na pazia Maria Dąbrowska zadaje szyku. Zalotnie zaczepia palce o ramiączka w luźnym kostiumie kąpielowym. Obok niej Stanisław Stempowski, mason z łoża Kopernika, przechadza się z nagim torsem, w kąpielówkach i z kufi na głowie. Wrażenie: szczęśliwi bogowie. Zdjęcie z Truskawca tej samej pary w tym samym czasie: on siwiuteńki, w garniturze z kamizelką i pod krawatem, w okularach, z fajką i laseczką; ona w ciemnym

żakiecie podkreślającym talię, założonym na jasną sukienkę. Buty już tylko wygodne, nie ładne. W rękę szklanka wody mineralnej ze słomką. Wrażenie: para emerytów dożywająca swoich dni.

Do Zaleszczyk przyjeżdżają Stefania Grodzieńska i Jerzy Jurandot. Osterwa i Smosarska zatrzymują się po drodze do Rumunii.

Na placu głównym w Zaleszczykach nie ma jeszcze palm. Któż mógłby wątpić, że będą kiedyś jak na wielu skwerach miast południowych? Tymczasem w ogrodach są morwowe drzewa i orzechy włoskie, dające wilgłe cienie, i spacer wystarczy, abyś odkrył winnice, które kąpią się w słońcu, i sady morelowe, w których najmłodsze liście buchają czerwono jak ognie. Idziesz na plażę. Mijasz Dniestr. W górze tropiki i słońce. Najważniejsze, to że nie możesz od razu się zorientować, gdzie jesteś, i chwycić ton, który igra w powietrzu i chce do ucha twego wpaść niechybnie. Są sympatyczne niezwykle. Gubisz się, błądzisz. Miasteczko masz ruchliwe, hotele, jazzbandy. Goście na ulicach, megafony na plażach. Mylą cię róże opulentne jak w Nerwi. Mylą cię drzewa Gingko okazale japońskie. Mylą cię twarze, kostiumy, uśmiechy. Maskarada zbija cię z tropu³¹³

– pisze Limanowski. „»L-o-o-d-y, l-o-o-d-y-y«. Aligatory i aligatorzyce strzepnęły ogonami – pardon – kończynami, zajaskrawiły się barwne plamy piżam, szlafroków i różnorodnych okrywajek. Wszystko zrywa się i drze furioso »lody, lody«, to do mnie – do mnie!”³¹⁴.

I... nagle to się skończyło. Słońce zaszło tak jak każdego dnia, a następnego nie liczyło się już to, że świeci. „A więc wojna!”. 1 września spiker odczytał w radiu komunikat:

Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie, publiczne i prywatne, przestawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny. Cały wysiłek narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym: walka aż do zwycięstwa!

Koniec kurortu opisuje Wańkowicz w *Drogą do Urzędowa*. Prześliczny dzień, tłumy gości na ulicach, panowie w białych spodniach, panie w sukniach plażowych. Słońce w nagrzanej kotlinie zaleszczyckiej: „Któż by powiedział, że tam gdzie broni się Warszawa, Modlin, Hel, że pod Tomaszowem, pod

Chełmem, od Kocka po Brześć, w laskach Zamojszczyzny, na Podkarpaciu trwają uporczywe walki”³¹⁵.

Ostatni sukces reklamowy Zaleszczyk należy do szosy. Stanie się synonimem zdrady, zaprzaństwa, tchórzostwa, porzucenia ojczyzny, klęski narodowej. Choć wszystko, co się jej przypisuje, wydarzyło się w Kutach. Pod koniec sierpnia po ogłoszeniu mobilizacji Zaleszczyki zostają przeznaczone na pozafrontową bazę szpitalną. Na szpitalu wyznacza się bazę KOP, Wojskowe Domy Wypoczynkowe i pałac baronowej Turnau – zmarła w 1938 roku. Gimnazjaliści znoszą tam łóżka i pościel. W mieście z każdym dniem pojawia się coraz więcej przyjezdnych. „Nie było to ożywienie winobraniowe”³¹⁶ – napisze Józef Juzwa. Uciekinierzy – wśród nich teściowie marszałka Rydza-Śmigłego – rejestrują się w Komisji Uzdrowiskowej. Między 10 a 15 września to piętnaście tysięcy osób. Ludzie przyjeżdżają tu autobusami, samochodami. Wiele pojazdów stoi porzuconych na drodze z Tarnopola – brakuje benzyny. Ofensywa niemiecka idzie szybko, polskie władze cofają się na wschód. 12 września rząd zatrzymuje się w Łucku, korpus dyplomatyczny w Krzemieńcu. Następnego dnia ten drugi dostaje rozkaz, by przenieść się do Zaleszczyk. Dociera tam również prymas August Hlond, który ewakuuje się do Rzymu. Podjeżdża nowym packardem bez dokumentów rejestracyjnych. Samochód nie może przekroczyć granicy, ksiądz prymas przesiada się do pociągu.

14 września przez Zaleszczyki opuszcza Polskę Stanisław Stroński, działacz endecji. Autor wyrażenia „cud nad Wisłą” stworzy kolejne skrzydlate słowa – „szosa zaleszczycka”. Stroński zapamięta miejsce, gdzie sam przekroczył granicę. Podpierając się jego słowami, PRL będzie później podważał zasługi II Rzeczypospolitej. Rząd RP ewakuuje się szosą do Kołomyi przez Kutę. Przez Zaleszczyki przechodzi do Rumunii fala cywilnych uchodźców. Gdy 17 września, w niedzielę, rozchodzi się wieść o sowieckiej inwazji, władze rumuńskie otwierają granicę i nie wymagają paszportów.

Na moście zmarł obywatel zaleszczycki, który widząc, co się dzieje, chciał wrócić do domu. Opuścił miasto burmistrz Hofman z rodziną i dwoma pasierbami, naszymi kolegami Toczyskimi. Jeden z nich po kilku dniach przekroczył Dniestr w nocy i po skontaktowaniu się z ks. Urbańskim wrócił jako kurier do Rumunii. Jeden z moich kolegów, Zbyszek Pawlewski, siedł w gorące południe z plecakiem, niosąc płaszcz zimowy. Poszli i inni na tułaczkę³¹⁷

– pisze naoczny świadek Józef Juzwa. Potem, w lipcu 1941 roku, NKWD, uciekając przed nadchodzącymi Niemcami, pakuje więźniów – Polaków i Ukraińców – w wagony. Dwa wpycha lokomotywę na zaminowany most, po czym wysadza go w powietrze. Większość zabitych pozostanie w rzece.

*

Siedemdziesiąt sześć lat później przed miastem ozdobny słup-kapliczka z figurką Matki Boskiej informuje w barwach Ukrainy, że szosa – poszatkowana dziurami – doprowadziła nas właśnie do Zaleszczyk, których miastem partnerskim są Koszyce.

Tory kolejowe. Czteropiętrowe klocki o barwie spranego rózu i nowsze, o wieżyczkowatych klatkach schodowych w beżu, brązie i bieli. Czerwone dachy, zielone tynki. Bez ładu i składu. Na balkonach talerze satelitarne. Placyk, czołg, który zatrzymał się tu podczas II wojny światowej, cmentarzyk bohaterów. Dopiero stojąc pod kościołem katolickim Świętego Stanisława, znanym z przedwojennych fotografii – kruszą się tynki – upewniamy się, że jesteśmy na właściwym miejscu. Budynek podupadł, ale zachowała się bryła. Dawny rynek jest pustym wybetonowanym placem. Pod świerkiem ktoś postawił tabliczkę ze starym zdjęciem i z informacją: „tu był ratusz”. Kilka domów ze śladami dawnej urody. Tu zaskoczy krużganek, tu wieżyczka, tu zdobiony gzyms. Wyrastają gałęzie i dwa zardzewiałe kominy z dachu synagogi. Na aptecce Zerygiewiczów dwie płaskorzeźby. Idziemy nad Dniestr. Ani śladu plaży. Bulwar? Promenada? Natura zaaranżowała je po swojemu, pozwalając krzewić się zielsku i chaszczom. Brązowa woda płynie leniwie, na pewno nie dla amatorów kąpieli. Pałac Turnauów, szary i smutny, trzyma się w ryzach resztką sił. Ostatni człowiek – jak wskazują przyklepione do szyb gazety – pracował tu w 2012 roku. Wtedy zamknięto przychodnię, która tu się mieściła. Zmarznięte pytamy o muzeum Zaleszczyk. Mieszkańcy wskazują szkołę. Piętrowy budynek wyglądający jak setki tysięcy innych szkół w tej części Europy już opustoszał, lekcje się właśnie skończyły. Kobieta spotkana w korytarzu każe nam poczekać. Po chwili schodzi do nas młody, misiowaty brunet – pracownik biura turystycznego. Kolega od muzeum wyszedł na chwilę, ale zaraz wróci. Już dzwoni, już załatwia, już nas nie wypuści. Ciągnie do kanciapy na piętrze, po drodze pokazuje na ścianach rysunki ludowe „naszych chudoźników”. W pokoiku, w którym trudno zrobić choć krok,

stoją naprzeciwko siebie dwa komputery. Kąt zajęty jest narodową wystawką – flaga, mapa, kwiatek i wielkie logo Zaleszczyckiego Biura Turystycznego. Dostajemy po kubku gorącej herbaty, a wraz z nią do obejrzenia film, na którym ponętne dziewczyny w bikini płyną w kajakach w towarzystwie naszego misiowatego bruneta po rzece w rytm piosenki *Kocham Ukrainę*. Potem porcję wiedzy o raftingu na Dniestrze. Nasz rozmówca zapewnia: „Tu jest pięknie. Najlepszy rejon do wypoczynku. Czysta woda, piękne brzegi. I ta temperatura! Latem tu jest nawet pięćdziesiąt stopni!”.

Świat ze sklejki

Iwan Julianowicz Bilida, postawny mężczyzna o twardych rysach, wydaje się trochę speszony. W Mostach na Białorusi, przy ulicy Sowieckiej 38, w zakładzie przetwarzającym drewno, stawiliśmy się bez zapowiedzi. Za to z prośbą, by pozwolono nam obejrzeć pozostałości przedwojennej fabryki braci Konopackich. Mostowdrewno mieści się w samym centrum szesnastotysięcznego miasta. Na rozdrożu stoi czółg. W cieniu dziesięciopiętrowych, monotonnych bloków kryją się jeszcze wyniszczone przedwojenne domki w dworkowym stylu – pamiątka po polskich czasach. Fabryka, której płot ciągnie się wzdłuż głównej ulicy, to największy pracodawca w regionie. Wspomaga finansowo tutejsze przedszkola, szkoły, organizacje społeczne. Prosperuje świetnie.

W środku nowoczesna portiernia. Młoda dziewczyna oddzielona od interesantów szybą uważnie przejrzy nasze dokumenty, podniesie słuchawkę służbowego telefonu, zadzwoni w kilka miejsc, w końcu odpowie: „Wróćcie za pół godziny”. Wtedy czeka już Iwan Julianowicz Bilida, zastępca dyrektora generalnego Mostowdrewna do spraw promocji. Inżynier chemik, technolog. Pracuje tu od 1983 roku.

Od razu uprzedza, że niestety niewiele po dawnej fabryce w Mostach zostało. „Była tu u nas przez kilka lat izba pamięci” – zagaja. Nie potrafi jednak odpowiedzieć, co się z nią stało. Zostawiamy plecaki, dokumenty i ruszamy do elektronicznej bramki, by po jej przekroczeniu obejrzeć biało-czerwony obdrapany komin i mocno przebudowany dom jednego z dawnych właścicieli fabryki. Nasz przewodnik pokazuje: „Tu był balkon”. Poza tym: hale, hale, hale. Stosy drewna, dźwigi, szyny, rury – krajobraz przemysłowy. Tyle że z widokiem na Niemen, gdzie krzaki, wierzby i chaszczki. „Dużo eksportujemy, także do Polski” – pochwali się Iwan Julianowicz, gdy pokaże nam już w detalach, jak produkuje się sklejkę.

Z Mostami zetknęliśmy się na długo przed podróżą na Białoruś. Szukałyśmy polskich, kresowych Buddenbrooków, a Barbara Kłosowicz-Krzywicka, paryska emigrantka, zachęcała nas: „Napiszcie o moich wujach!”. Sama od wielu lat zbiera informacje na temat rodziny Konopackich z Fałku.

Historia ich biznesu zaczyna się od rubla. Różowo-niebieskiego, spranego, zmiętego. Ignacy Konopacki, dwunastoletni chłopak, trzyma go w spoczonej dłoni. Banknot dostał od chrestnej i przechował. Jednak teraz z bratem Tadeuszem, lat dziewięć, przyszli na targ. Trafia się okazja. Cztery pary królików nierasowych, białych i czarnych, o czerwonych oczach. Tadeusz dorzuca trzydzieści kopiejek od rodziców. I stają się właścicielami. Pierwszy raz w życiu coś należy wyłącznie do nich. I zależy wyłącznie od nich. Zamykają zwierzęta w oddalonym od domu budynku. Noszą im wodę, trawę i chleb, zmieniają ściółkę. Po piętnastu miesiącach królików jest już piętnaście. Koledzy przychodzą oglądać, kiwają z uznaniem głowami, a w oczach mają zazdrość. Kilku proponuje kupno, ale bracia się ociągają. Apetyt rośnie. Dzieci chcą mieć króliki, bogatsi rodzice kupują. Pan Godlewski, dzierżawca, dla swych synów sprowadza nie byle jakie: rasowe belgijskie olbrzymy, o wielkich odstających uszach. Nadają się na skórę i mięso, są po sześć czy osiem rubli za parę.

Chwilę trwa, by mali Godlewscy się nimi znudzili. Zapominają, że o to, co żywe, trzeba dbać. Króle chudną, chorują. Gdy prawie zdychają, Godlewscy proponują Konopackim wymianę: para za parę. „No i zrobiliśmy ten interes!”³¹⁸ – wspominał po wielu latach Tadeusz. Rasowe zwierzęta szybko dochodzą do siebie, po kilku miesiącach warte są już dwadzieścia rubli. Konopaccy likwidują króle nierasowe, skupiają się już tylko na belgijskich. Sprzedają je na skórę i mięso. Przez rok zarobią sto rubli. To jak biblijna opowieść o pomnożonych talentach. Trzeba to, co się ma, puścić w obieg. Żeby przyniosło zysk. Tak powstawały wielkie fortuny w Stanach Zjednoczonych. Dwunastoletni John Rockefeller zarabia na hodowli indyków i drobnych przysługach sąsiedzkich. Jego matka powtarza: „Co człowiek świadomie marnuje, tego potem pragnie a żałuje”. Andrew Carnegie zaczyna w przędzalni bawełny i zbiera „kapitał początkowy” dzięki roznoszeniu telegramów. Młody Henry Ford, zatrudniony u zegarmistrza, zanim zacznie zarabiać prawdziwe pieniądze na samochodach, myśli o masowej produkcji zegarków. Biedny jak mysz kościelna Cornelius Vanderbilt w wieku szesnastu lat ma już własną firmę przewozów promowych. Tacy jak oni pracują na majątek dla pokoleń. Po latach mówi się o nich, pisze, ogląda się ich i podziwia, zazdrości się im. Zakładają fundacje, sponsorują muzea i szkoły. Ich potomkowie bawią się, żyjąc z kapitału.

Konopackim też nie brakuje inwencji. Po hodowaniu królików przychodzi czas na uporządkowanie dojazdu do rodzinnego młyna w Fałku pod Piotrkowem

Trybunalskim. Jak popada, robota stoi, bo droga ze wsi zamienia się w bajoro. Ignacy i Tadeusz chodzą więc od chałupy do chałupy i obiecują: „Zbudujemy drogi! Ojciec da kamienie i opłaci fachowca, wy dacie furmanki do przewozu i ręce do pracy”. Gospodarze zachodzą w głowę, skąd niby u Konopackich kamienie i pieniądze. Ale się zgadzają. A Ignacy z Tadeuszem kupują za parę groszy prawo do kamieni na pobliskich piaskach. Zbierają je sami. Wiatr hula po polu i odsłania nowe. Chłopi je zwożą. W ten sposób powstaje droga przez Milejów, a potem w Kłudzicach i Janówce.

W wakacje widzą, jak zniecierpliwieni gospodarze czekają pod młynem z furmankami wyładowanymi zbożem. Nie każdy może stać wiele godzin. Czas kosztuje, Ignacy i Tadeusz proponują więc umowę – oni postoją i odwieżą mąkę. Znów zyskują. Widzą jednak, że na handlu zarabia się więcej. A gdyby tak kupować zboże i sprzedawać mąkę? Ignacy ma już za sobą skończoną w Warszawie w 1911 roku szkołę handlową i roczną praktykę w firmie Edwarda Hajnego. Wraca do Fałku, gdy ojciec trafia do więzienia za przeprowadzenie uchwały domagającej się wprowadzenia języka polskiego w szkole. Tadeusz ze względu na wadę wzroku musi naukę przerwać. Nie ma jednak tego złego... Rodzina wysyła go do stryja, Feliksa Konopackiego, który w Pile ma młyn do przemiału gospodarczego, ale oprócz tego tartak. Stryj utrzymuje Tadeusza i płaci mu trzydzieści rubli. Po roku chłopak wraca bogatszy o dwieście pięćdziesiąt rubli i doświadczenie: jak być dobrym młynarzem i jak kroić deski.

Myśl o tym, że na drewnie można zarobić więcej, już nie da im spokoju. „Každemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma”³¹⁹ – głosi Biblia.

Ancymony z Fałku

Mówią o nich „synowie młynarza”. Nie tylko o Ignacym i Tadeuszu. Jest ich ośmiu, podobnych jeden do drugiego, jakby wyszli spod sztancy. Są też trzy siostry. Ich matka Franciszka, z domu Pytlewska, córka bogatego młynarza, w 1884 roku wychodzi za Konstantego Konopackiego, młynarza z młynarskiego domu. Osiadają w Fałku nad Luciążą, w modrzewiowym młynie krytym gontem, który kupił jej ojciec. Mieszkają w fejzie: pokoju i kuchni, obok jest stara kapliczka. Dom z dużą murowaną kuchnią i solidnym podpiwniczeniem dopiero zbudują. Znajdzie się nawet szopa na książki, które Franciszka odziedziczy po

dziadku. Pracują ciężko i oprócz chowania własnych, przygarniają także cudze dzieci. Dwie sieroty po zmarłej kuzynce, panienkę oddaną na wychowanie z powodu biedy i dwie bezdomne dziewczynki – jedną zabraną ze śmietnika, gdy szukała jedzenia. „Ministrem moim były rady Ewangeliczne, które często odczytywałam z uwagą”³²⁰ – wyzna Franciszka. Wie, że głodnych trzeba nakarmić, spragnionych napoić, a podróżnych i potrzebujących – w domu przyjąć. „Z okresu wiosny i lata pozostało wspomnienie Mamusi, która po całym dniu pracy lubiła iść na spacer w pole, żeby popatrzeć, jak rosną zasiewy, zabierała ze sobą swój biały z masy perłowej różaniec, z którym potem została pochowana, i modliła się”³²¹ – wspominała najmłodsza córka Zofia. W domu zbytków nie ma, ale jedzenia jest pod dostatkiem. Raz na dziesięć dni pani Franciszka wyprawia się do Piotrkowa z koszem pełnym żywności dla starców wysiedlonych ze wschodniej Polski i dla wegetujących w biedzie nauczycielek.

Konopaccy dużą wagę przywiązują do kształcenia dzieci, wynajmują im nauczyciela. Potem posyłają je na edukację do Piotrkowa. Młodszych chłopców już do płatnej szkoły polskiej, choć rosyjska jest za darmo. Wszyscy synowie to ancymony.

Najstarszy Waclaw ma zaledwie czternaście lat, gdy z pieniędzmi na opłacenie podatków ucieka z domu. Szuka ukochanego nauczyciela, pana Szkemo, który w Baku ma studiować medycynę. Odnajduje go, ale w Odessie, i ten mu pomaga – znajduje pracę, posyła do średniej szkoły technicznej. Waclaw zwiedza świat. Dociera do Nagasaki, potem do Władywostoku. Stamtąd przesyła rodzicom telegram: „*Pagibaju*”, „*ginę*”. Przekazują mu pieniądze, a on już ma w głowie kolejny pomysł: chce uruchomić młyn w Nikolsku Ussuryjskim. Później jest jak w przypowieści o synu marnotrawnym. Ojciec nie obraża się i nie złorzeczy, tylko sprzedaje dwa hektary ziemi, wsiada w pociąg i jedzie do Nikolska, by pomóc synowi. Wskazuje miejsce, gdzie młyna potrzebuje czternaście wsi. Ale interes się nie kręci – carskie władze wprowadzają zakaz zatrudniania Koreańczyków, którzy są tam poszukiwaną siłą roboczą. „Pod koniec 1914 roku Waclaw wrócił do domu z małą walizką i bez pieniędzy”³²² – napisze Barbara Kłosowicz-Krzywicka. Po wyprawie w rodzinnych albumach zostaje jego zdjęcie z Koreańczykiem i pocztówka przesłana z Harbina do ciotki z wizerunkiem Chińczyka wróżbity.

Kolejny z Konopackich, Stanisław, kłóci się z księdzem (a może z Bogiem?) i z tego powodu nie zdaje matury. Sytuacja powtarza się rok później, co zamyka

mu drogę na studia. Czyta namiętnie wszystko, co wpadnie mu w rękę, mogą to być nawet *Dzienniki* Franciszki Krasińskiej. Jeździ do biblioteki do Piotrkowa. Zupełnie nie zwraca uwagi na wygląd. Gości przyjmuje obdarty, „w wykrzywionych kamaszach i nieogolony od niepamiętnych czasów, bo chciał sobie brodę zapuścić”³²³ – relacjonuje kuzynka. Tadeusz przyzna po latach, że brat był trochę asocjalny.

Antoni, dziewiąte z dzieci, do szkoły chodzi tyłem – na znak protestu, bo nie lubi się uczyć. Ma przezwisko Pikierka, a w rękach talent. Potrafi robić zabawki, wózki na drewnianych kółkach. Ciągłe majstruje. Konopaccy posyłają go do cenionej Szkoły Rzemiosł Artystycznych w Nałęczowie. Od 1911 roku w nowym, zaprojektowanym przez Jana Koszczyca Witkiewicza gmachu uczą się oprócz koszykarstwa i zabawkarstwa także rzeźbić w drewnie, rysować z natury i geometrycznie. Część prac uczniów kupuje do swych zbiorów Muzeum Wszechrosyjskie. Pobyt Antoniego w Nałęczowie przerywa wojna.

Szósty i siódmy z Konopackich – Ignacy i Tadeusz – są nierozłączni. Razem się bawią, psocą, zarabiają i dorastają.

Jak chłopcom oczy błyszcząły

Gdy Ignacy ma dwadzieścia jeden lat, próbuje wyczytać przyszłość z ręki – studiuje po rosyjsku chiromancję. I po kryjomu częstuje młodszych braci papierosami. Matce, jak każdy z Konopackich, woli się nie narażać. Wysoki, postawny, z mocno zarysowaną szczęką, robi wrażenie na kobietach i zdaje sobie z tego sprawę. Kokietuje czternastoletnią kuzynkę Jadzię: „Czytałaś *Dzieje grzechu*? No nie martw się, widzisz, jakbyś czytała, tobyś nie dostała rozgrzeszenia na spowiedzi”. Uśmiecha się trochę protekcyjnie, trochę drwiąco. I chodzi do Przygłowa, bo tam jest panna, z którą chce się żenić. W szkole w Piotrkowie – kiedyż to było! – razem z kolegami należał do zorganizowanej przez uczniów nielegalnej organizacji, Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej. Z czasem nie będzie już pamiętał jej nazwy, ale inni mu ją przypomną, bo koledzy porobią polityczne kariery. Bolesław Dratwa w PPS-Frakcji Rewolucyjnej. Za sanacji zostanie członkiem zarządu Kas Chorych. Eugeniusz Strzelecki – adiutantem prezydenta Mościckiego, Mieczysław Nowicki – socjalistycznym posłem, Zygmunt Zaremba – członkiem emigracyjnego rządu w Londynie. A generał Stefan Grot-Rowecki – dowódcą

Armii Krajowej. Ignacego nie ciągnie ani do polityki, ani do wojska. „Zająłem się wyłącznie interesem”³²⁴ – powie potem.

Tadeusz lubi dobrze wyglądać, dba o prezencję, jeszcze zanim na dobre wyprzystojnieje. Matka martwi się, jak mu się los ułoży, bo coraz bardziej przypomina słynącego z hulanków stryja Hipolita. Tadeusz jest zdolny, towarzyski, lubiany, czarujący. Potrafi być romantyczny, gdy w ogrodzie wręcza kuzynce ostatnie renklody. I czuły, gdy wyelegantowany wraca z miasta w towarzystwie bezańskiego psa, którego potem rozpieści.

Synowie dla matki starają się być pobożni. Ale gdy tylko mają mówić różaniec, ledwie się Franciszka podniesie, już są za drzwiami. Klękają, a Wacka, Staśka, Ignaca jakby wymiótł. Karol ucieka w połowie, zostają Józik i Antos z ojcem. Ale żaden nie poczuje powołania.

Dla ojczyzny mają czułość mickiewiczowską. Tuż po wybuchu I wojny światowej Jadzia Karwińska zanotuje: „Zacząłam mówić z chłopcami o wojnie, o Polsce, rozpałam się cała i deklamowałam ze łzami: »O wiosno, kto cię wtenczas widział w naszym kraju« [...]. I widziałam, jak chłopcom oczy błyszczały, jak słuchali. Oni chyba kochają Polskę, wierzą w nią...”³²⁵.

Gdy więc w 1915 roku w Radomsku zostanie otwarty punkt zborny Legionów, to idą. Pierwszy zgłasza się siedemnastoletni Karol. Kilka dni później osiemnastoletni Tadeusz. Piętnastoletniego Antoniego matka zagania z powrotem do domu. Bracia przeżyją wojenną epopeję. Karol zaczyna w konnym oddziale kapitana Andrzeja Galicy, by trafić na Wołyń. Z rotmistrzem Beliną-Prażmowskim maszeruje na Lublin, zajmuje pałac gubernatora.

Tadeusz kończy kurs podoficerów kawalerii, w okopach choruje na zapalenie płuc. Odsyłają go najpierw do szpitala, potem do domu ozdrowieńców, w końcu do Piotrkowa, do stacji zbornej. Tadeusz i Karol spotykają się w Fałku zimą na przełomie 1916 i 1917 roku, po wycofaniu Legionów z frontu. Na pamiątkę szczęśliwego powrotu zamawiają fotografa, by zrobił im zdjęcie z matką i rodzeństwem przy kapliczce. Karol szablą lub nożem skrobie na szybie: „K. Konopacki 1917”. Szkło zachowało się do dziś. W listopadzie 1918 roku w Dębicy pod Tarnowem Karol organizuje pułk strzelców konnych. Wyrusza do walk z Ukraińcami. W 1920 roku z pułkiem wchodzącym w skład 4 Brygady Kawalerii generała Jana Romera wkracza do Kijowa.

Antoniemu też w końcu udaje się uciec do wojska spod opiekuńczych skrzydeł matki. Z wojny przywiezie wspomnienie kąpiących się nago

w Dniestrze wiejskich dziewczyn. „Nie wiedział zszokowany, cnotliwy młodzian z Fałku, że taka kąpiel to normalny ludowo-słowiański obyczaj, a nie moralna deprawacja”³²⁶ – napisze ich znajomy Stanisław Wieloński.

Wojna sprzyja interesom zbożowym. Każdy żołnierz potrzebuje chleba. Ignacy z Tadeuszem – zanim ten zacznie swoją przygodę w Legionach – zawierają więc z armią rosyjską kontrakt na sprzedaż mąki. W dostawach dla Piotrkowa prawie nie mają konkurencji, bo Żydzi, którzy do tej pory obsługiwali ten rynek, rezygnują z powodu zbyt dużego ryzyka – mąkę można dostarczyć, ale pieniądze odejdą wraz z frontem. Konopaccy dzierżawią młyn od sąsiada. Zarabiają sporo, ale nacierające na siebie armie zmuszają także ich do wycofania się z interesu. Zgromadzone pieniądze szybko tracą wartość, szczęśliwie udaje się je ulokować w innym chodliwym podczas wojny towarze – w papierosach. Po wejściu Austriaków handel zbożem całkiem przestaje się opłacać. Konopaccy wiedzą jednak, że z interesami jest jak z wymianą królików. Sprzedaje się i kupuje, dobry ruch robi zysk. Jeśli więc posiada się stu pięćdziesięciomorgowy majątek ziemski, to można go wydzierżawić (Ignacy czyni tak do spółki ze znajomym), by po roku dzierżawę sprzedać z zyskiem. Wraz z Waławem, który wchodzi do interesów z Ignacym w miejsce wojującego Tadeusza, kupują plac w Sulejowie. Budują tartak. Formalnie jego właścicielem jest wuj, inżynier z Łodzi. Duże nadzieje pokładają w Karolu Stieberze, nadleśniczym, który stara się o rękę kuzynki i który został dyrektorem lasów na dystrykt w Piotrkowie. Ale nie chcą być posądzeni o nepotyzm.

Po dwóch latach przenoszą się do Kluków koło Bełchatowa. Tartak przynosi zyski, bracia prowadzą go do 1918 roku. Potem odsprzedają właścicielowi majątku. W końcu i Ignacy na kilka miesięcy idzie do wojska – służy w 7 Pułku Artylerii Ciężkiej w Częstochowie. Kiedy kończy służbę, podejmuje decyzję, która zaważy na ich przyszłych losach. Przeprowadzają się z Waławem na Polesie, bo pojawia się okazja, by kupić spalony tartak parowy w Pińsku nad Prypecią. Remontują go. Inny tartak dzierżawią w Pińsku Stanisław i Karol. Jest wreszcie niepodległa Polska, wszyscy się od nowa urządzają, a oni odkrywają, że w tej spalonej i zrujnowanej wschodniej krainie tkwi potencjał. „Lasy ciemne i gęste jak gdyby jaskinie; Rzeka, co między łożą a sitowiem płynie”³²⁷ – pisze o Polesiu Władysław Syrokomla. Ci, którzy żyją z drewna, od razu zauważają, że surowca tu pod dostatkiem. A cały kraj odbudowuje się ze zniszczeń. Rusza program budowy domów dla urzędników państwowych. Także

prywatni właściciele kupują deski, by remontować i łątać dziury. Rząd chce jak najwięcej drewna przetwarzać w kraju, żeby tworzyć miejsca pracy.

Konopaccy zastają Pińsk wyniszczony wojną. Wojska polskie na dobre odbiły go z rąk Armii Czerwonej dopiero we wrześniu 1920 roku. W małym, liczącym około dwudziestu jeden tysięcy mieszkańców miasteczku z dwudziestu fabryk funkcjonuje jedna.

Eksportuje się stąd drzewo, bydło, ryby, skóry, zapalki³²⁸. W dziedzinie obróbki drewna króluje w Pińsku firma Lourie, która wyrabiała sobie pozycję przez czterdzieści lat. Założyciele zaczynali od gwoździ i szewskich szpilek, w końcu jednak zasłynęli w całym Imperium Rosyjskim, a nawet poza jego granicami, wynalezioną przez Aleksandra Louriego klejoną dyktą marki Tobal. W produkcji sklejk Lourie na tym terenie jest monopolistą.

Konopaccy zadowolają się na razie tartakiem. Do oceny drewna ściągają byłego leśnika z okolic Fałku Czesława Wielońskiego, który podejmuje to ryzyko, bo chce zapewnić dzieciom dobrą szkołę. Dogłąda wyrębu drewna, nocuje w szałasach w lesie, naraża się na napady bolszewickich band, które są na Polesiu na porządku dziennym. Konopaccy też zostają napadnięci. Muszą oddać całą wypłatę dla drwali. Mimo to biznes się opłaca. Drzewo kupują na pniu, sprzedają w centralnej Polsce.

Pewnego dnia w tartaku Konopackich pojawia się wysłannik szwajcarskiej firmy Mercier, której właściciel jest bratem kardynała Désiré Josepha Merciera, ważnej i wpływowej postaci w Kościele katolickim, co już na wstępie czyni go wiarygodnym. Proponuje wspólny interes – założenie fabryki sklejk, czyli rzucenie rękawicy firmie Lourie. Choć Konopaccy nie mają doświadczenia, nie mogą nie skorzystać z zesłanej przez niebo szansy. „Bojąc się więc, poszedłem i ukryłem twój talent w ziemi”³²⁹ – to nie o nich. Przy tartaku budują fabrykę. Niestety na robieniu dykty się nie znają. Może to powoduje konflikt z polskim reprezentantem Merciera? Spółka kończy działalność, bracia odsprzedają swoje udziały współwłaścicielowi, a on rodzinie Lourie. To jednak tylko porażka, nie klęska.

Minie zaledwie kilka lat i Konopaccy będą u szczytu swoich możliwości, a do fabryki Lourie w Pińsku trafi przez przypadek ambitny leśnik Eugeniusz Jaworski. Bardzo się rozczaruje. Zobaczysz starą fabrykę, maszyny prawie stuletnie, organizację pracy raczej chałupniczą, „można powiedzieć, że interes

prowadzony był tandetnie”³³⁰ – podsumuje. Pójdzie zatem zatrudnić się u Konopackich.

Nie od razu dyktę zbudowano

Ale na razie jesteście w 1923 roku, kiedy spółka z Mercierem się rozpada, Lourie nadal są monopolistami, a Konopaccy nie umieją jeszcze zarabiać na dyctwie. Mimo to, gdy od brata Stanisława słyszą, że w Szczuczynie stoi nieczynna fabryka, jadą na rekonesans. Widzą małe miasteczko na Podlasiu ze starym klasztorem Pijarów, zamieszkałe w znacznej części przez społeczność żydowską. Mury pustej fabryki z porzucanymi częściami zdekompletowanych maszyn. Właściciel, książę Władysław Drucki-Lubecki, przed I wojną światową wytwarzał tu deseczki do nawijania tkanin i dostarczał je do uprzemysłowionej Łodzi. Zakład zamknięto po jego tragicznej śmierci – w kwietniu 1913 roku książę został zastrzelony w tajemniczych okolicznościach we własnym parku w Teresinie, a kompan, który mu wtedy towarzyszył, udawał przed sądami swoją niewinność przez kolejnych dziesięć lat.

Konopaccy widzą, że budynki wyglądają solidnie, stoi kocioł, jest trochę sprzętu. Maria Joanna Drucka-Lubecka, wdowa, chętnie fabrykę wydzierżawi. Sprzeda też drewno, które leży na składzie. Bracia przeprowadzają śledztwo w sprawie maszyn. Okazuje się, że w pierwszych dniach wojny Niemcy rozmontowali je i oddali Hasbachowi, który prowadzi fabrykę dykt w Białymstoku. Jadą do niego – ten przyznaje, że wymienił skład maszyn, stare może oddać. Bracia przewożą je do Szczuczyna, część dokupują. Stawiają na swoim, uruchamiają produkcję. Można odetchnąć? A skąd, skoro nikt nie jest zainteresowany towarem! Pewnego dnia pojawia się jednak iskierka nadziei – fabrykę odwiedza dawny klient. Brał dyktę jeszcze od księcia, przychodzi może z ciekawości, a może z nawyku. Chciałby dyktę kupić. Nie taką jednak – krzywi się podczas oglądania. Ta jest za gruba. Kupi wagon, ale trzymilimetrowej.

To Konopackim daje do myślenia: muszą dostosować produkcję do oczekiwań. Zmieniają parametry i zaczynają sprzedawać. Wciąż jednak trudno im mówić o zysku. Polski rynek jest wymagający, konkurencja pracuje głównie na eksport. Lourie z Pińska od lat mają wyrobione kontakty za granicą, Konopaccy muszą zaczynać od zera. A więc po nitce do kłębka. Skoro towar wypływa z Polski przez Gdańsk, tam muszą znajdować się przedstawiciele

zagranicznych kupców. Konopackim zależy na nawiązaniu kontaktu z Anglikami, bo u nich polska dykta sprzedaje się najlepiej.

Jesienią 1923 roku wydelegowany Konopacki (Tadeusz będzie twierdził, że Ignacy, Ignacy mówił będzie o Waławie) jedzie na wybrzeże. Wolne Miasto Gdańsk wprowadza guldeny, polski rząd tworzy przyczółek w opuszczonych koszarach, Nowy Port się rozbudowuje, a przybysz ze Szczuczyna chodzi i ogląda składy czekające na załadunek. Przygląda się przechodniom i strasznie marznie. W końcu przysiada na kawę w portowej restauracji. To samo robi pulchny okularnik – sprzedawca słomianych łapci. Zagaja Konopackiego: „Może bambosze? Może w czymś pomóc?”. Potrzebny jest przedstawiciel angielskich firm handlujących dyktą. Nie łapcie. „Dowiem się tego dla pana” – oferuje krągły mężczyzna. Wymieniają kontakty. Następnego dnia sprzedawca bamboszy punktualnie stawia się w hotelu. „Mogę od razu sprzedać dwa wagony na eksport, a wkrótce każdą ilość, jaką fabryka wyprodukuje” – oferuje. Podaje cenę, która robi na Konopackim wrażenie. Dobijają targu.

Pulchnym człowiekiem w okrągłych okularkach okazuje się Eugeniusz Blich, emigrant polityczny z rewolucyjnej Rosji, późniejszy wieloletni wypróbowany przedstawiciel Konopackich. Początkowo umawiają się na prowizję w wysokości pięciu procent od obrotu. Gdy interes się rozkręca, Blich przechodzi na pensję – czterdzieści do osiemdziesięciu funtów szterlingów miesięcznie. Eksport stawia na nogi fabrykę Konopackich. Dzięki niemu bracia przetrwają trudny okres hiperinflacji i reformę Grabskiego. To wtedy chorująca już Franciszka Konopacka pisze stroskana do męża, że Ignacy nie może od kupców odzyskać pieniędzy: „Zwłóczyli go do ostatniego dnia i w wieczór dopiero proponują mu weksle, rad nierad przyjął, pojechał do domu. Na drogę i zapłcenie doktorów to sobie pożyczył, mnie zaledwie mógł zostawić 50 zł”³³¹. Po reformie Grabskiego wszystko wraca do normy. W 1925 roku Waław i Ignacy zakładają spółkę – Bracia Konopaccy. Przemysł Drzewny i Fabryka Dykt. Kapitał założycielski to pół miliona złotych.

Mosty

Za Niemen, za Niemen i po cóż za Niemen?

Nie przylgiesz tam sercem, cóż wabi za Niemen?

Czy kraj tam piękniejszy, kwiecistsza tam błóń

Czy milsze dziewczoje, że tak spieszysz doń?

– brzmią słowa Augustyna Bielawskiego do ukraińskiej dumki. Nie, nie chodzi ani o piękno krajobrazu, ani o romanse. Trzydzieści kilometrów od Grodna, w Mostach, Waclaw i Ignacy brodzą w podmokłych zakolach rzeki, by ocenić, czy miejsce, w którym w XIX wieku był port rzeczny, nada się na postawienie nowej, drugiej po Szczuczynie fabryki dykty.

Kresy, czyli Polska B albo nawet C, to teren pozbawiony przemysłu. Ale przecież nie możliwości. Wiedzą o tym firmy żyjące z drewna. Bracia Groedel, firma ze Skola, mają w Skolem trzydzieści pięć tysięcy hektarów lasu, własne tartaki, tłocznie, stolarnie, kuźnice i czterdziestopięciokilometrową kolejkę leśną. Produkują brusy, rydle, deski. Wiele zamówień składa u nich rząd, sporo też towaru idzie na eksport. Ale w dyktę nie wchodzi.

Co innego Szymon Schell i spółka, firma z tradycjami sięgającymi jeszcze XIX wieku. Chociaż po wojnie działają na terenie całej Rzeczypospolitej, to skupiają się na Wołyniu, tam zakładają fabrykę dykty. Kolejna spółka produkująca dyktę, brykiety, parkiet to Olza. Także z tradycją jeszcze z lat siedemdziesiątych XIX wieku. Wtedy była warszawską firmą rodziny Hellerów. Po I wojnie doinwestowana porządnie belgijskim kapitałem – dziewięćdziesiąt pięć procent udziałów ma w niej Compagnie d’Anaus – przenosi się do Mikaszewicz w powiecie łuninieckim, ostatniej stacji na trasie Pińsk–Homel, trzy kilometry od granicy rosyjskiej, dwanaście kilometrów na północ od Prypeci. Surowiec zapewnia jej inna spółka – Agahell, właściciel lasów pod wycinkę. Łącznie dysponuje ogromnym obszarem stu dwudziestu tysięcy hektarów, z czego sześćdziesiąt pięć tysięcy to tereny zalesione.

W Mostach Konopaccy widzą, że Niemen, owszem, jest malowniczy. Ale liczy się to, że znajduje tu ujście Zelwianka, a do Szczary, kolejnej rzeki, którą można spławiać, jest niedaleko. Do stacji kolejowej przy trasie na Baranowicze i Lidę – sześć kilometrów, do miasteczka Mosty – tylko cztery, a po lewej stronie rzeki wieś Zaniemeńsk, naturalne źródło siły roboczej. Trzydzieści hektarów w takim miejscu wydaje się ofertą nie do odrzucenia. Drewniane chatki pod słomą, płoty, w których sztachety krzywe jak poprzewracane kostki domina. Białe framugi okien, pod nimi ławki, na nich bezzębne babcie. Ich wnuki o nieufnym spode łba spojrzeniu oraz wnuczki w kraciastych bluzkach

i spódnicach, z długimi do pasa warkoczami, będą się potem uśmiechać do zdjęć na terenie fabryki. Bo zapada decyzja: kupujemy!

Kiedy Konopaccy zaczynają budowę, w 1926 roku w Rzeczypospolitej są tylko trzy fabryki dykty – tak przynajmniej utrzymuje młody reporter Melchior Wańkowicz. Bracia szybko oczyszczają plac z drzew, wiosną zaczynają tu rosnać mury zakładów z bocznicą kolejową i elektrownią. W kolejnym roku rusza produkcja. Konopaccy wykorzystują okres koniunktury gospodarczej, kiedy odczuwa się przeprowadzone reformy. I już nie Gdańsk, ale Gdynia jest polskim oknem na świat. „Mosty, biedna, ospała miejscina, ożyły”³³² – odnotuje krewny Konopackich.

Trzech Konopackich: Ignacy, Waław i Józef, dzieli się obowiązkami. Na głowie Ignacego są sprawy handlowe, Waław jest od spraw technicznych, Józef ma się zajmować zaopatrzeniem w drewno. „Wszystko wskazywało na to, że w przyszłości przejmie naczelne kierownictwo tego wielkiego przedsięwzięcia”³³³ – twierdził Wieloński. Józef jest stale w rozjazdach: to w Wilnie, to w Nalibokach. Większą część surowca sprowadza Niemnem z Puszczy Nalibockiej. Umowy z właścicielami lasów są tak skonstruowane, że płaci się im na pniu za drzewo, które da się wywieźć w czasie mrozów. Wraz z roztopami wszystko, co ścięte, zostaje w lesie i znów należy do właściciela.

Koleją przyjeżdżają tylko gatunki egzotyczne. Z Holandii okumé, palisander, heban, mahoń. Z Finlandii brzoza czeczotowa, ze Związku Radzieckiego dębina. „Piękne to było drewno”³³⁴ – zachwycą się Jaworski. Robią z niego fornir na meble.

Ignacy sprowadza najnowocześniejsze maszyny. Opłaca się, bo sprzedaż rośnie. W dwa lata od uruchomienia fabryki znów mogą inwestować. Wiercą prawie stumetrową studnię. Leją fundament pod prasę sprowadzaną z Wiednia. Budują kotłownię. Puszczają w ruch drugi komplet maszyn. Fabryka pracuje dzień i noc – na trzy zmiany. Udaje się podwoić produkcję. Podwyższają komin do piętnastu metrów. Stawiają drugi – pięćdziesięciometrowy. Ten jest jak maszt – widać go w całej okolicy. Dym powiewa nad Mostami niczym sztandar, świadcząc o świetności firmy. „Zapotrzebowanie na dyktę jest szalone. Tylko robić dużo, jak najwięcej”³³⁵ – cieszy się Konstanty Konopacki, ojciec. Niewysoki siwy pan ze szwedzką klinową bródką często bywa w Mostach. Czerpie satysfakcję z sukcesu synów. W tym czasie w Szczuczynie wprawiają się w prowadzeniu fabryki Antoni z Tadeuszem.



27. Uroczystość zakończenia budowy w 1926 roku. Napis na tablicy: *Niech żyją W.P. Bracia Konopaccy wraz z Rodzinami. Niech upowszechnią Przemysł na Kresach. Szczęść Boże!*

Źródło: ze zbiorów Barbary Kłosowicz-Krzywickie

Mosty robią ogromne wrażenie na Eugeniuszu Jaworskim, który przyjeżdża tu z Warszawy. Swoje zachwyty wyraża fachowym językiem: sześć dużych łuszczarek, wielki nóż fornierowy. Piękna suszarka Krefelda. Kilkanaście dużych pras wielopłytowych. Maszyna parowa, która daje energię i oświetla osadę. Na wypadek awarii zapasowy diesel. A wszystko działa jak w zegarku.

Właściciele nie znoszą marnotrawstwa. Gdy widzą, że skrawków powstałych po obróbce drewna jest za dużo i nikt już nie chce kupować ich na opał, postanawiają zainwestować w maszyny do robienia szpulek. Sprowadzają Finów, którzy je montują. Produkcja jest skomplikowana, bo drewno musi być wysuszone, by nie kurczyło się po naciągnięciu nitki. Znow mogą powiedzieć, że się opłacało – szpulkarnia daje zysk.

Za przykładem warszawskiej fabryki Lilpopa Konopaccy wprowadzają modną w Ameryce taylorowską organizację pracy^[8]. W Stanach protestują przeciw niej związki zawodowe, w Mostach jeszcze ich nie ma. Robotnikom nie płaci się już za czas, ale za wykonany produkt. Proces technologiczny podzielony jest na

czynności proste. Każdy z członków brygady dostaje inne zadanie, a fabrykanci płacą całemu zespołowi za gotowy metr dykty. Potem suma jest dzielona między pracowników proporcjonalnie do wysiłku. Pieniądze wypłacane są w każdą sobotę. Robotników uwieczniono na zdjęciach przy zwałach drewna: umięśnieni, bez koszul – widać, że doskwiera upał. Wydadzą pieniądze na bazarze w Mostach, gdzie baby ze wsi trzymają gęsi pod pachą, kosze jaj stoją na drewnianych wozach, konie ogonami omiatają muchy i przechodniów, mężczyźni dyskutują, wzmacniając argumenty samogonem.

Większość produkcji Mostów, od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu procent, idzie na eksport. Polskie firmy z branży drzewnej tradycyjnie sprzedawały głównie do Anglii i do Niemiec. Ale od 1925 roku z Niemcami trwa wojna celna, co oznacza mocne ograniczenie dla polskich towarów. Niemcy najchętniej braliby tylko surowiec, którego nie mają, czyli rosnącą w polskich lasach olszynę. Przedsiębiorcy zbierają się, dyskutują.

Dość powiedzieć, że kupiec niemiecki nabywający surowiec w Polsce może kalkulować go o 3 proc. taniej od kupca polskiego, a to z racji nieopłacania podatku obrotowego. W podobnych warunkach trudno jest o osiągnięcie rentowności i jeśli nasz przemysł drzewny nie tylko nie upada, lecz jeszcze się rozwija, to jest to już zasługa tylko kierowników poszczególnych przedsiębiorstw drzewnych³³⁶

– piszą gazety. W grudniu 1928 roku Ignacy i Tadeusz przyjeżdżają na naradę w Warszawie. „Nasz rząd uwzględni ich słuszne domagania i surowca olszowego za granicę wywozić nie pozwoli”³³⁷ – pisze pełen nadziei Konstanty Konopacki do córki Zosi.

Stale trzymają rękę na pulsie, chcą znać najnowocześniejsze technologie. I mają już aspiracje. W 1929 roku rząd organizuje najświetniejszą w II Rzeczypospolitej wystawę z okazji dziesięciolecia Polski niepodległej. Będzie ona dokumentować największe osiągnięcia kraju. Patronat objęli prezydent Mościcki z marszałkiem Piłsudskim. Ekspozycja zrobiona jest z ogromnym rozmachem. Są na niej i Konopaccy. W „Tygodniku Ilustrowanym” ich firmie poświęcone są dwie strony. Tekst o sukcesach i produkcji na eksport ilustrują zdjęcia warszawskiego biura. Uwieczniono łysego dyrektora handlowego Stanisława Ottomańskiego, który stuka ołówkiem w masywne biurko, oraz przestronne, choć nieumeblowane wnętrze, gdzie widać eleganckich

panów w garniturach i uśmiechającą się nieśmiało panią w białej bluzeczce. Wiszącego nad nimi zdobionego żyrandola świecowego nie powstydziliby się pałac.

W 1928 roku Waław dostaje zadanie rozejrzenia się po świecie. Ma zobaczyć, jak drewno obrabiają inni. W Pradze czeskiej odwiedza wystawę, zatrzymuje się w Paryżu, a jesienią udaje się w czteromiesięczną podróż do Ameryki Południowej i do Egiptu. Z Buenos Aires raportuje rodzinie, jakie fabryki udało mu się obejrzyć. „Wiadomości przywiezione przez niego bardzo cenne w dziale drzewnym. Koszta wydane na podróż zwrócą się z nadwyżką, jeśli zechce skorzystać z przywiezionych wypraktykowanych sposobów”³³⁸ – cieszy się Konstanty.

Ignacy także podróżuje. W 1929 roku wyjeżdża do Argentyny, by przez cztery miesiące badać tamtejszą produkcję fornirów. Potem ma w programie Stany Zjednoczone: Nowy Jork, Chicago. Z Ameryki przysyła pocztówkę z The Twentieth Century Limited. Jedzie najnowocześniejszym pociągiem mknącym sto trzydzieści kilometrów na godzinę, „wcieleniem amerykańskiego ducha w dziedzinie transportu”. Konopaccy chcieliby być jego odpowiednikiem w dziedzinie drzewiarstwa.

Kiedy są w domu, w Mostach, nie należą do ludzi towarzyskich. Wiecznie nie mają czasu. Poruszają się w świecie interesów, kontrahentów, pośredników, producentów. Waław uchodzi za starego kawalera, Ignacy jako odskocznię od pracy traktuje polowania. Nie wiadomo, kiedy i w jakich okolicznościach, jeszcze w Pińsku, poznał Marię z Sernickich, o której mówią „piękna”. Maria ma okrągłą buzię, krótko przyciętą grzywkę nad brwiami i sympatyczny uśmiech. W 1924 roku Ignacy się żeni. Na przyjęciu weselnym panna młoda zapyta figlarnie teściową: „Prawda, że jestem ładna?”, i usłyszy odpowiedź: „Żebyś była równie mądra, jak ładna!”. Franciszka nie lubi swoich synowych.

Rok później rodzi się pierwsze dziecko Ignacego i Marii – Krysia. Syn Jacek przychodzi na świat w czerwcu 1927 roku. Jeszcze jesienią uwieczniają się na wspólnej fotografii: Konopaccy i Serniccy, czyli Maria z braćmi. Ignacy sprowadza do Mostów rodzinę w 1928 roku. Remontuje dla nich dom przy kantorze, nad brzegiem Niemna. Jednopiętrowa ceglana kostka – to ten budynek będziemy oglądać, oprowadzane po terenie fabryki przez Iwana Julianowicza Bilidę prawie osiemdziesiąt lat później – nie aspiruje do miana rezydencji. „Wygląda wewnątrz bardzo ładny i miły”³³⁹ – jakby na usprawiedliwienie pisze

Konstanty do Zosi. Z balkonu widać rzekę, a za nią las. Jest park z dębami, świerkami, grabami. Przed wejściem agawa.

Na podwórku urzęduje borsuk Kasia. Chodzi po okolicy, wraca na obiady lub kolacje.

Był bardzo muzykalny, uwielbiał przesiadywać godzinami w mieszkaniu przed radiem i słuchać muzyki. Nigdy nie nabrudził. Żył w zgodzie z psami, a z jamnikami urządzał gonitwy. Był wspaniałym dyplomata, w sposób pokojowy potrafił zapewnić sobie najlepszy kąsek i wygodną poduszkę dla siebie, mimo że należała do jamników³⁴⁰



28. Dyrektor Ignacy Konopacki na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”, 1929

Źródło: Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego

– pisze o Kasi Barbara Kłosowicz-Krzywicka.

W Mostach mieszkają też oswojony żuraw i para jastrzębi. Ignacy zakłada pięćdziesiąt uli i sam o nie dba. W 1929 roku zachwyca się wiosną: „To najniebezpieczniejsza pora roku. Nauczycielki też rade romansować. Jednej podoba się Józik, druga zaproszyła sobie oko Zalewskim. Dancugi gramofonowe

mamy codziennie i chociaż w takiej dziurze czas nam jakoś schodzi”³⁴¹. Wydaje się szczęśliwy. Każdą niedzielę spędza na polowaniu. Na słonki, jarzabki, kaczkę, kuropatwy, zajace. I na jastrzębie z pomocą puchacza wypożyczanego od księcia Czartoryskiego. Hoduje jamniki, bo te polują na borsuki i lisy za niego. W rok później Józef bierze ślub z Apolonią Grajewską, nazywaną Polą, nauczycielką z Mostów, która prowadzi intensywne życie towarzyskie. Bywają u nich jej koleżanki z siedmioletniej szkoły powszechnej, siostra Poli Katarzyna Grajewska, dyrektor fabryki pan Gertner, aptekarz Soroko, doktor fabryczny i w Kasie Chorych Dmowski i jego żona Emma, komendant policji Branicki, Paszkiewiczowie – on był głównym księgowym w Mostach. Jeżdżą na bale. Jak zaszaleją, to nawet do odległego o czterdzieści kilometrów Wołkowyska.

A jednak ta sielanka pewnego dnia się kończy. Ignacy z Marią nie żyją razem ani długo, ani szczęśliwie. Nie wiadomo, kiedy dochodzi do separacji. Wczesne lata trzydzieste ich dzieci spędzają jeszcze w Mostach. Potem z matką przenoszą się do Wilna. „Moi przyszli teściowie od lat, począwszy grubo przed wojną, żyli w separacji” – napisze Jacek Wojewski, mąż Krysi. W czasie wojny Maria mieszka z dziećmi, Ignacy z „młodą dziewczyną” w samych Kielcach. Kim jest jego nowa towarzyszką życia, nie wie nikt. Z taką osobą nie utrzymuje się stosunków. „Każda wizyta w jego mieszkaniu wyprowadzała Krystynę z równowagi i chociaż wizyty te były spełnieniem żądań matki – odebranie pieniędzy na wydatki – Krystyna nie ominęła żadnej okazji, żeby ojcu nie wypomnieć jego towarzystwa”³⁴² – wspominać będzie zięć Ignacego.

Podczas wojny prowadzą rozmowy rodzinno-biznesowe: „Tatusiu – rzekła Krystyna – mama jest zapewne bez pieniędzy”. „Ja jestem w podobnej sytuacji – odpowiedział pan Konopacki, sięgając równocześnie do tylnej kieszeni spodni. – Może będę miał więcej w przyszłym tygodniu”³⁴³. To nastąpi jednak wiele lat później. Na razie Jacek jeździ z ojcem na polowania. Sfotografują go, jak uśmiecha się, stojąc przy Ignacym nad zwłokami dzika.

Imperium

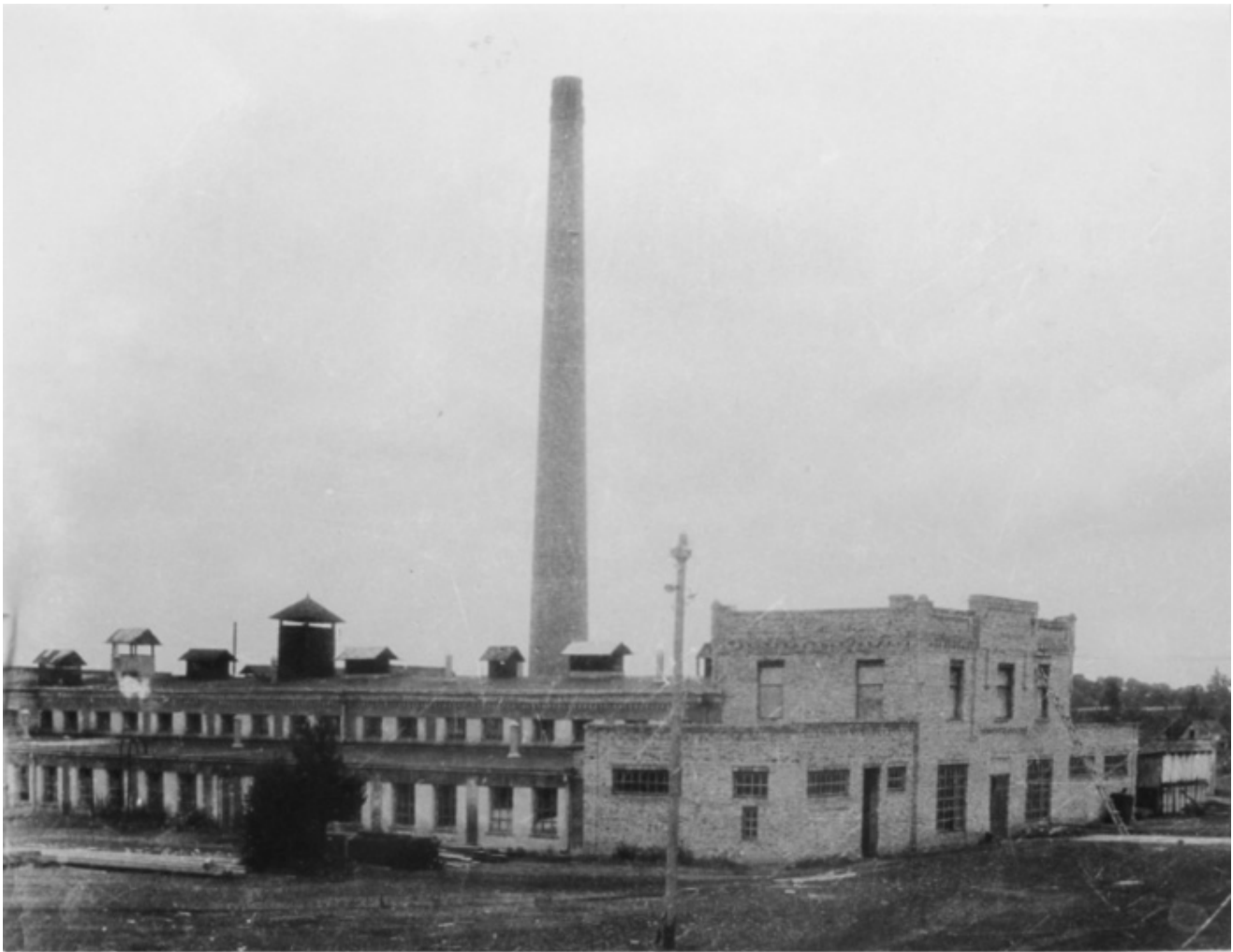
Ale interesy klanu Konopackich nie ograniczają się do Mostów. W 1929 roku Antoni z Tadeuszem działają na północy, zakładają spółkę T. A. Konopaccy. Odkupują od księżnej Druckiej-Lubeckiej urządzone już Szczuczyn i stopniowo wprawiają go w ruch. Fabryka zatrudnia dwustu czterdziestu sześciu

pracowników fizycznych i siedmiu umysłowych. Specjalizuje się w produkcji skrzynek na herbatę eksportowanych do Indii.

Interes idzie tak dobrze, że budują kolejną fabrykę nad Kotrą niedaleko Grodna. Jeden drewniany budynek, trochę maszyn. O Mostach i działalności braci Tadeusz napisze tajemniczo: „Wprawdzie dałem im kilka idei, które doskonale wykorzystali, ale też i inne, których nie wykorzystali, a szkoda, bo może ich życie powojenne byłoby się ułożyło inaczej, tak dla nich, jak i dla innych członków rodziny”³⁴⁴. W 1935 roku, gdy ożeni się z Ireną Höflinger, córką słynnego lwowskiego króla czekolady, odsprzedza udziały w Szczuczynie i w fabryce nad Kotrą Antoniemu. Sam będzie żył z kapitału.

Prawdziwy biznes robią na Polesiu Ignacy, Waclaw i Józef. Są już zamożni, choć tego nie eksponują. Stać ich, ale nie wydają pochopnie. W Mostach mają samochód, ale mogą go używać tylko latem przy dobrej pogodzie, bo podczas drobnego nawet deszczu drogi zamieniają się w bagno. Nie mają ambicji, by stawiać pałace tak jak Poznańscy. Wystarczają im ładny i solidny drewniany dom starego kawalera Waclawa, ogrodzony płotkiem drewniano-murowany dom Józefa oraz klocek Ignacego. Wszystkie z łazienkami i ze służbą. Każdemu według potrzeb.

Wzorem matki swym bogactwem się dzielą. Antoni przekazuje pieniądze na budowę domu człowiekowi, który w dzieciństwie ocalił mu życie, ratując z topieli. Ignacy i Waclaw utrzymują najmłodszą siostrę. Finansują jej pobyt w szkole sióstr urszulanek w Zaventem w Belgii i szkołę rzemiosł artystycznych w Paryżu, gdzie dziewczyna uczy się tłoczenia w skórze, metalu i wypalania w drewnie. Na ich koszt podróżuje. „Jak ci się podobają Druskieniki z widoczków? Przypadają do gustu Jaśnie Pani czy też mam się starać o ładniejsze letnisko?”³⁴⁵ – pyta Ignacy siostrę Zosię w 1928 roku. Wspomagają także starsze siostry i brata Stanisława, który w Piotrkowie próbuje prowadzić fabrykę pończoch. „W ten sposób podali mu rękę w błocie”³⁴⁶ – komentuje ojciec.



29. Fabryka w Mostach, 1928

Źródło: ze zbiorów Barbary Kłosowicz-Krzywickie

Ale wielki kryzys powoduje tąpnięcie również w Mostach. Załamanie funta szterlinga doprowadza Konopackich do utraty kapitału obrotowego. Wacław i Ignacy omal nie bankrutują. Surowce kupują z własnych pieniędzy. Wciąż poszukują nowych rynków zbytu i rozwiązań technicznych.

Ignacy znów wybiera się w podróż. Cel: ponownie Argentyna, która w tym czasie przeżywa boom gospodarczy. Ignacy odwiedza Karola, który na kilka lat przeniósł się tam z rodziną. W 1932 roku łapią równowagę na tyle, by ponownie zainwestować. Budują kolejną halę, tym razem dziewięciusetmetrową. I kupują budynki fabryki w Prądniku Białym – hala, młyn, jaz na rzece. Tu będą wytwarzać klej albuminowy, w pobliżu jest dostawca surowca – firma Bakutil. Nadzór nad produkcją sprawować ma kolejny brat – Jan, który rezygnuje z praktyki weterynaryjnej.

„Pan Konopacki często powtarzał, że taka fabryka jak fabryka dykt i tartak musi się co jakiś czas spalić i żadne przepisy bezpieczeństwa przeciwpożarowego nie pomogą. Pożar co jakiś czas musi być. Cała sztuka w tym, żeby nie był zbyt często”³⁴⁷ – zanotuje Eugeniusz Jaworski. Choć zakład w Mostach ma liczny zastęp profesjonalnie wyposażonej straży pożarnej, płonie w 1935 roku. To poważna strata, mimo że budynki są ubezpieczone. Kto jednak, jak nie Konopaccy, ma potraktować to jako szansę od losu? Bank państwowy udziela pożyczki na odbudowę, jesienią powstaje nowoczesny pawilon – tysiąc dwadzieścia metrów kwadratowych. „Bardzo przystroił fabrykę”³⁴⁸ – ocenia Waclaw.

W 1936 roku obrót Konopackich wynosi dwa miliony sześćset tysięcy złotych. Zatrudnienie: pięciuset dziesięciu robotników i liczący trzydzieści pięć osób personel techniczny. Bracia produkują nie tylko zwykłe dykty, ale także sklejkę wodoodporną, sklejkę lotniczą i dębową fornirowaną na meble. Fabryka wciąż zatrudnia nowych pracowników. Ma przedstawicieli w wielu miastach. Reprezentuje na polskim rynku niemiecką firmę Th. Goldschmidt AG z Essen. Ich pierwszy agent Blioch, już właściciel własnej agencji, rozprawdza sklejkę do krajów europejskich, Kanady, Nowej Zelandii, Meksyku. Wiosną 1939 roku przenosi swoje biuro z Gdańska do Londynu, zmienia imię i jest już Eugene'em Bliochem, gdy w czerwcu otrzymuje honorowany na rynku brytyjskim tytuł brakarza – osoby oceniającej jakość drewna. Dzięki temu może sprowadzać drewno do Wielkiej Brytanii. Podnosi prowizję z dwóch i pół procent do czterech. Ale Konopackim współpracuje z nim i tak się opłaca. Bracia sami sprzedają w Indiach i Egipcie. W portfelach mają wiele zagranicznych wizytówek. W 1937 roku decydują o kolejnej wymianie maszyn, ustalają nowy profil produkcyjny. Ścisła kontrola techniczna ma służyć poprawie jakości.

Na początku następnego roku zatrudniają austriackiego chemika Franza Hollera. Naukowiec prowadzi eksperymenty nad wytwarzaniem płynnego bakelitu. Eksperymenty, trzeba dodać, bardzo udane, bo uzyskuje własny płynny klej bakelitowy – kopalit, nazwany tak na cześć Konopackich. Zastąpi on klej wytwarzany do tej pory z importowanej z Niemiec błony filmowej.

Rozumieją, że aby wymagać od ludzi dobrej pracy, trzeba im coś dać. Zapewniają pracownikom opiekę lekarską i aptekę. Waclaw zakłada bibliotekę. W połowie lat trzydziestych bracia budują piętrową szkołę „z ławkami, kaflowymi wielkimi piecami” – do tej pory siedmiooddziałowa podstawowa

i fabryczna stolarska mieściły się w wynajętych izbach. Sponsorują Strzelca. Dostarczają klubowi drewno, a członkowie przerobią je na narty i kajaki. W parku Konopaccy stawiają scenę z widownią na sto pięćdziesiąt osób. Przystosowują jeden z pawilonów do potrzeb kina. W Białymstoku kupują projektor dźwiękowy. Raz na miesiąc dystrybutor zostawia foldery, z których wybierają filmy. W każdy sobotni poranek pociągiem przyjeżdżają nowe szpule. Czasami w Mostach filmy można zobaczyć szybciej niż w Warszawie.

W 1935 roku do Mostów przyjeżdża Lucjan Kaszyński, zawodowy aktor, który w fabryce zatrudnia się jako kasjer i rozkręca życie artystyczne. Organizuje rewię. Wystawia *Warszawiankę* i *Grube ryby*. Kostiumy sprowadza od Osterwy z Grodna. Choć Kaszyński szybko opuszcza Mosty, znajduje naśladowców. Teatr przetrwa do wojny, kino przyda się jeszcze Sowietom.

Przy Mostach powstaje osiedle domków pracowników fabryki. Nie płaci się za czynsz, a remonty sponsoruje pracodawca. Mimo to robotnicy z aspiracjami chcą mieszkać u siebie, bo plac i drewno można kupić tanio. „Serię zaczął placowy Miakota, budując na nadbrzeżu Niemna duży dom. Później budował także piękny dom nasz buchalter pan Paszkiewicz, a w jego ślady poszli inni pracownicy fabryki”³⁴⁹ – wspomina Jaworski. Z czasem bracia Konopaccy wynajmują dom od Miakoty na kasyno i hotel. Bo coraz więcej przyjeżdża kontrahentów, interesantów z całego świata, znajomych i gości, którzy chcą obejrzeć chlubę polskiej myśli technicznej na Kresach. „W tym kasynie nad Niemnem wiecznie było pełno. Można było iść tam, posiedzieć trochę, porozmawiać z ludźmi ze świata i troszkę się rozerwać”³⁵⁰ – zapamięta Jaworski. W 1930 roku z wycieczką Związku Nauczycielstwa Polskiego dociera do Mostów Janina Mortkowiczowa. Tonie w zachwytach: gospodarze – gościnni, pracownicy – wdzięczni pracodawcom, bo dają ludziom domy za darmo, a na budowę małoprocentowe pożyczki. Z robotników fabrycznych zorganizowano też orkiestrę – chlubę nowej fabrycznej osady. „Pani ogrodnikowa mówi nauczycielom, że dużo widziała świata i ludzi – w Rosji i Japonii, i na Sachalinie – ale takich dobrych, uczciwych i szlachetnych panów jak tutejsi panowie Konopaccy nie widziała jeszcze za swego życia. Wiwatują więc i śpiewają: *Sto lat!*”³⁵¹. Potem tańczą.

Wszyscy razem, przemieszani przypadkowo, objęci serdecznie, tutejsi i przybysze, opętani jednym rozszalałym oberkiem: pan dyrektor Konopacki i rozśpiewana Halszka

z Katowic; Maryna z Bochni i korespondent zagraniczny z Mostów; młody praktykant – politechnik z Warszawy – i milutka Teca z Krzemieńca; pan ogrodnik, wesoły kolega „Zawierucha”, smukła Marysia; zasmolony robotnik fabryczny w długich butach i uczonek, a bardzo młody geolog z stołecznego P.I.G.U.³⁵².

Zabawa trwa do północy.

Znany już reporter Melchior Wańkowicz w 1936 roku pływa w okolicy z żoną kajakiem. Dobija do Mostów. Zachwyca się, że „imć pan Konopacki toczy sobie naokoło na dychtarce pień drzewny z jubilerską robotą”³⁵³. Opisuje, jak wkracza do fabryki sztywny i wymonoklowany Herr Oberst, który przyjeżdża nabywać dyktę dla niemieckich fabryk samolotów. Pisarzowi imponuje, że jakość sprawdzana jest w specjalnej kabinie, na metrowym stole podświetlonym od dołu dwiema lampami.

Delikatny słój na tym blasku elektrycznym różowi się jak alabaster. Drzewo z kniei, o które się czochrał odyniec, rogi sobie ucierał łoś, drzewo z kniei – mroku barbarzyństwa i pierwotnego prawa – rozświetla się przed nami cudem najdelikatniejszej, najzwiewniejszej tkanki, misterium szaleństwa twórczego, geniuszu przedwiecznego, łaski niepojętej Bożej³⁵⁴.

Wańkowicz nie zapomni napomknąć, że Herr Oberst mlasnął z zadowoleniem. „Wszak fabryka bierze na siebie wszelką odpowiedzialność materialną za katastrofy. Toteż dziewicza deska jest istotnie bez skazy – wybrana z tysięcy. Ale też jej metr sześcienny kosztuje piętnaście tysięcy złotych”³⁵⁵ – podsumowuje pisarz.

Dobry reporter potrafi skłonić rozmówcę do wyznania niemal intymnego. Od właścicieli fabryki, ludzi twardo stąpających po ziemi, Wańkowicz słyszy, że marzą o tanich szybowcach. W 1936 roku jedna maszyna kosztuje dwa i pół tysiąca złotych, a oni chcieliby, żeby kosztowała sześćset. I są przekonani, że tak będzie!

Reportaż o Mostach jest drukowany w prasie i zostaje włączony do zbioru *Znowu siejemy*. Podobnie jak drugi tekst, *To wyobraźnia tworzy życie*, o wyrabianych w fabryce elementach do skrzynek herbacianych, takich samych jak produkowane przez Antoniego nad Kotrą. Rękopis zbioru spłonie podczas wojny w mieszkaniu Wańkowicza.

Samolot

Cóż bardziej poetyckiego niż uniesienie się pod niebo? Człowiek w powietrzu, ptak, Ikar. Samolot. A cóż bardziej prozaicznego niż dykta? Struktura przetworzonego drewna, wióry, kurz, pył, smród kleju. Ale na początku XX wieku samolot bez dykty nie istnieje. Zarabiać na poezji mogą nieliczni, a na sklejce – każdy, kto ma głowę na karku. Oni mają. Trzeba instynktu, by wyczuć, że to, co dzieje się na niebie, może dawać przyziemny zysk. Kiedy Konopaccy zaczęli, w kraju – jak twierdzi Wańkowicz – były tylko trzy fabryki dykty. Na początku lat trzydziestych w pismach branżowych, między innymi w „Rynku Drzewnym”, ogłasza się ich kilkadziesiąt. Na samym Polesiu to już nie tylko rodzima Lourie, ale działająca w Mikaszewiczach potężna belgijska Olza. Czym się wyróżnić?

Każdy sposób jest dobry. Zaprzyjaźniony z jednym z producentów, Emilem Ginzburgiem, prezesem Lubelsko-Wołyńskiego Związku Przemysłowców i Kupców Drzewnych i Sekcji Eksportowej, Witkacy publikuje w „Codziennej Gazecie Handlowej” przedziwny tekst – *Polepszenie na rynku dykt i fornierów*³⁵⁶. Bzdura goni tam bzdurę. Witkiewicz w swoim stylu pisze o sprowadzonym z Kaukazu drzewie olchowym, zwiększonym zapotrzebowaniu na skrzynie z dykty, forniowaniu fornirem, eksporcie z Polski do krajów ościennych, czyli... Włoch i Szwecji, i do krajów zamorskich: Azji, Ameryki i Australii. Fabrykę Olza oddaje wymyślonemu od nazwy siedziby właścicielowi Minkaszewiczowi i umieszcza ją w powiecie mińskim, a w fabryce Lourie zatrudnia tysiąc osób. Prowokacja odnosi skutek – kolejne numery branżowych pism zapełniają się pełnymi pasji sprostowaniami fachowców. „Olśniewające! Niebywałe! Dykta wypiera »drewniany materiał klejony« – a więc chyba dyktę. Rety! Kręcka można dostać!”³⁵⁷ – ekscytują się. I o to chodzi Witkiewiczowi.

Ale Konopaccy nie chcą prowokować, oni chcą zarabiać. W tak konkurencyjnej branży trudno znaleźć swoją niszę. A jednak bracia wyczuwają trendy niczym ptaki prądy powietrzne. Zwłaszcza ten, który swój początek bierze w aspiracjach po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. II Rzeczpospolita chce się wznieść w powietrze. Do tego zaś potrzebne jej lotnictwo. Od początku dumą narodu staje się lotnisko w Lewandówce pod Lwowem, gdzie w listopadzie 1918 roku polscy żołnierze z przejętych osiemnastu austriackich samolotów stworzyli zaczątek polskiej floty powietrznej.

Polscy lotnicy otaczani są kultem. Kiedy dowódca z Lewandówki porucznik Stefan Bastyr ginie w 1920 roku w wypadku lotniczym, pogrzeb zamienia się w patriotyczną manifestację. Kolejną staje się pochówek pułkownika Stefana Steca, twórcy biało-czerwonej kratki, godła polskich lotników. A ci na początku latają, czym się da – pozostałymi po wojnie samolotami niemieckimi, austriackimi, francuskimi, rosyjskimi i angielskimi oraz na składakach konstruowanych z wraków. Ale rząd stara się, by w Polsce ruszyła produkcja samolotów. To wyznacznik nowoczesności państwa.

Inspektorat Wojsk Lotniczych wybiera na wytwórnię samolotów Zakłady Mechaniczne E. Plage i T. Laśkiewicz z Lublina. Maszyny budowane na włoskiej licencji są jednak złej jakości. Drugie podejście to kupno licencji od Francuzów i powierzenie produkcji wytwórni Samolot w Poznaniu oraz Podlaskiej Wytwórni Samolotów w Białej Podlaskiej. Pierwsze samoloty są gotowe w 1925 roku. Potem nastaje czas realizacji własnych projektów.

Przodują w tym konstruktorzy z sekcji lotniczej Koła Mechaników Studentów Politechniki Warszawskiej. Od 1925 roku dłubią przy projektach lekkich, jednosilnikowych samolotów szkolno-turystycznych. Podstawowym surowcem potrzebnym do ich produkcji są drewno i sklejka. Do współpracy wybierają fabrykę Konopackich w Mostach. „Lotnictwo nasze, stosując sklejkę wodoodporną jako najlepszy materiał do budowy samolotów, hydroplanów i szybowców, wyraża się z wielkim uznaniem o jej wielkich zaletach technicznych” – piszą Konopaccy w folderze, który reklamuje własnej receptury dyktę klejoną bakelitem. Nie tylko chroni przed wilgocią, ale gwarantuje odporność na działanie bakterii i termitów.

W 1927 roku powstaje pierwsza wspólna konstrukcja znanego później tercetu – RWD, nazwana od nazwisk konstruktorów: Stanisława Rogalskiego, Stanisława Wigury i Jerzego Drzewieckiego. Potem kolejne, na razie w kilku zaledwie egzemplarzach. W 1930 roku inżynierowie startują na prestiżowych zawodach konstruktorskich Challenge – bez sukcesu.

Pod zmienioną nazwą i adresem mają więcej szczęścia. Doświadczalne Warsztaty Lotnicze, spółka z Okęcia, tworzy kolejny samolot RWD, tym razem z numerem 5. Po poprzednikach dziedziczy on kształt sterów, ale kadłub ma spawany z rur. Przeszklona kabina z panoramiczną szybą przednią czyni z niego maszynę nowoczesną. RWD-5 – cały ze sklejkę i drewna braci Konopackich – z Franciszkiem Żwirką i Stanisławem Wigurą na pokładzie wygrywa Krajowy

Konkurs Samolotów Turystycznych. Uznaje się go za najlepszy polski samolot sportowy i wdraża niewielką produkcję. W 1933 roku w Berlinie kolejny Challenge wygrywa RWD-6. A to pociąga już za sobą całą lawinę zdarzeń.

Oto kapitan Stanisław Skarżyński, lotnik z tych, co to byli żołnierzami już w kołysce, lekko utykający po ranach zadanych przez bolszewików pod Radzyminem, znów szuka wyzwań. Właśnie odbył lot wokół Afryki. Jednak z samolotu, którym tego dokonał, nie jest zadowolony. Ł2, produkt Polskich Zakładów Lotniczych, miał problemy z silnikiem. Raz pilot ledwo uszedł z życiem, ratując się awaryjnym lądowaniem. Kapitan Skarżyński chciałby czegoś dokonać, ale niekoniecznie zaznać sławy dopiero po śmierci. Planuje przelecieć przez Atlantyk. Generał Gustaw Orlicz-Dreszer wyraził już zgodę na podjęcie próby. Potrzeba nowej, sprawnej maszyny. Wybór pada na RWD-5bis. Konstruktorzy dostosowują go do nowych zadań. Montują dodatkowe zbiorniki na paliwo. 27 kwietnia 1933 roku kapitan Skarżyński wznosi się w powietrze z warszawskiej murawy. Z przystankami w Niemczech i Francji dolatuje do Saint-Louis w Senegalu. W nocy z 7 na 8 maja wyrusza w samotny, trwający prawie osiemnaście godzin lot nad południowym Atlantykiem. Ląduje w Maceió w Brazylii. To światowy rekord odległości – trzy tysiące sto sześćdziesiąt kilometrów. Kapitan otrzymuje od Międzynarodowej Federacji Lotniczej (FAI) najcenniejsze odznaczenie – Medal Blériota. Polacy są w euforii, władze nalegają na szybki powrót do kraju, ale pilot postanawia jeszcze odwiedzić argentyńską Polonię. W Warszawie ląduje dopiero 2 sierpnia. Powitanie jest entuzjastyczne. To wielki sukces pilota, ale też RWD-5, konstruktorów i wykonawców. W Mostach Konopaccy piją szampana za sukces własnej latającej sklejki.

W kolejnym Challenge, w 1934 roku, RWD-9 zajmuje dwa pierwsze miejsca. Fabryki Konopackich w Mostach i Szczuczynie są jedynymi w Polsce producentami sklejek lotniczych. Także na eksport.

To dlatego w 1934 roku fabrykę odwiedza Joachim Bitner, delegowany przez międzynarodowe towarzystwo do odbioru sklejek lotniczych. Tylko świadectwo jakości tej organizacji dawało gwarancję, że towar jest technicznie sprawdzony^[9].

Anegdota głosi, że Ludwik Kembliński, król żelaza, właściciel fabryki maszyn w Drawskim Młynie, podczas niespodziewanej wizyty nakrył swoich pracowników na przeprowadzaniu – nieudanego niestety – eksperymentu. Splunął wtedy i zakrzyknął: „Psia krew, psia krew, za mój koks, za moje

pieniądze próby robić”³⁵⁸. Konopaccy nie boją się ryzykować, bo wiedzą, że kto się nie rozwija, ten się cofa. Na przełomie 1937 i 1938 roku podejmują się wykonania specjalnie zakrzywionych arkuszy sklejki brzożowo-bakelitowej do pokrycia kadłuba pierwszego polskiego dwusilnikowego samolotu treningowego PWS-33 Wyżeł. Konstruuje go inżynierowie Wacław Czerwiński i Zygmunt Jabłoński. Czerwiński po wybuchu II wojny światowej myśl techniczną braci Konopackich przeniesie do Kanady. W 1942 roku założy własną firmę Canadian Wooden Aircraft w Toronto, która wytwarzać będzie ze sklejki chwyt powietrza i odrzucane zbiorniki na paliwo do samolotów myśliwsko-bombowych DH-98 Mosquito, używanych w czasie całej wojny przez armię brytyjską³⁵⁹.

Pod koniec lat trzydziestych wojnę czuć już w powietrzu, choć jeszcze nikt w nią nie wierzy. Fabryka taka jak ta braci Konopackich musi być pod nadzorem wojska, co prawda delikatnym, nadal jednak nadzorem. W Mostach często pojawiają się ludzie w mundurach. Ignacy przyzna, że składał zobowiązanie o utrzymaniu w tajemnicy dostawy dykty lotniczej dla wojska. Raz na kwartał musi raportować „Dwójce”, czyli wywiadowi wojskowemu, dokąd i jaką sklejkę wysyłają za granicę.



30. Budowa hal do produkcji sklejk

Źródło: ze zbiorów Barbary Kłosowicz-Krzywickie

Andrzej Glass, autor monografii *Polskie Konstrukcje Lotnicze*, oblicza, że od 1930 roku do wojny powstało co najmniej dwa tysiące samolotów i tysiąc trzysta siedemdziesiąt szybowców ze sklejek z Mostów³⁶⁰.

Ktoś mógłby pomyśleć, że II wojna światowa położy kres sukcesom Konopackich. Pogrzebie w gruzach ich świat i marzenia. Na początku tak się wydawało. W Mostach jest tak jak w wielu innych miejscach: ryk wojskowego samolotu Luftwaffe wyrywa mieszkańców ze snu o piątej czterdzieści. Potem słyszą jeden, drugi i kolejny wybuch. Będzie się później mówić, że za sterami samolotu, który zrzucił bomby na fabrykę, siedział syn laboranta z Mostów, wynalazcy kleju Franza Hollera. I że poranną wizytę Niemców pierwszego dnia wojny Mosty zawdzięczały opisanemu przez Wańkowicza Herr Oberstowi.



31. Samolot PZL Wyżel wystawiony na XVI Międzynarodowym Salonie Lotniczym w Le Bourget, grudzień 1938

Źródło: ze zbiorów Barbary Kłosowicz-Krzywickie

Bomby uszkadzają fabrykę. Ignacy jeszcze tego samego dnia stawia się w Dowództwie Lotnictwa w Warszawie. Od inżyniera pułkownika Henryka Abczyńskiego, szefa Państwowych Zakładów Lotniczych, i pułkownika Wiktora Pniewskiego, zastępcy szefa Kierownictwa Zaopatrzenia Lotnictwa w Warszawie, otrzymuje polecenie: nie przerywać produkcji, a zapasy przekazać do składnicy w Dęblinie. W ciągu kilkunastu dni robotnicy łątają szkody po bombach. 17 września Ignacy jedzie do Wilna po zakup artykułów do produkcji i dowiaduje się, że Sowieci przekroczyli granicę. Władze konfiskują mu auto. Po kilku dniach zauważa na jednym z budynków w Wilnie nową, wypisaną cyrylicą tabliczkę „Zarząd Lasów”. Wstępuje do biura, gdzie zastaje komisarza Łachtanowa, któremu przedstawia sytuację Mostów. Komisarz rozumie, że fabryka produkująca na potrzeby wojska przyda się i armii carskiej. Przekazuje Ignacemu kartkę, by Bank Polski wypłacił pół miliona złotych na odbudowę zniszczeń. Daje potrzebne materiały i wagony do ich przewiezienia. Ignacy

wraca do Mostów, a Sowieci powołują w fabryce własnego dyrektora. Wkrótce potem, 28 października, na Białorusi następuje nacjonalizacja dużych przedsiębiorstw. Konopackim i przebywającym u nich rodzinom udaje się opuścić Mosty. Fabryka produkuje całą wojnę – raz dla Sowieców, raz dla Niemców. Po wojnie znajdzie się na terenie Białoruskiej SRR.

Drugie podejście

W czerwcu 1946 roku Ignacy przyjeżdża do Wrocławia. Podczas wojny udawało mu się żyć z dzierżawienia fabryk, ale stracił jedyne go syna Jacka – żołnierza AK. Od tego momentu – jak twierdzą najbliżsi – bardzo się zmienił. Niemniej tak jak dziesiątki tysięcy pionierów ma zamiar rozpocząć nowe życie. Trzyma w kieszeni banknoty ze sprzedaży rodzinnego Prądnika. Połowę z nich odda żonie i córce. Resztę zachowa na pomnożenie – jak kiedyś króliki. Musi utrzymać bratanka, syna Jana, który zginął w obozie. Wspomaga też wiekową ciotkę, którą sprowadza do siebie do Wrocławia. Dwóch braci Konopackich – Wacław i Tadeusz – pozostaje za granicą. Wacław wyszedł z sowieckiej niewoli z Armią Andersa i osiadł w Sydney. Tadeusza los zagnał do Argentyny. Na razie, tuż po wojnie, myślą o tym jak o szansie na dobry biznes.

Ignacy szybko zakłada kilka firm: pierwszą pod starym szyldem Bracia Konopaccy. Po pewnym czasie zmienia jej nazwę na Ignacy Konopacki i Spółka. Druga to Polskie Drewno – będzie się zajmować eksportem. Trzecie przedsięwzięcie to Polskie Płyty Stolarskie – ma dostarczać materiały do budowy wagonów w Zakładach imienia Hipolita Cegielskiego w Poznaniu i Państwowej Fabryce Wagonów „Pafawag” we Wrocławiu. Ignacy namawia brata Antoniego na przyjazd do Wrocławia. Antoni najpierw reprezentuje firmy w kontaktach z Pafawagiem, potem szybko się usamodzielnia – zakłada spółkę z kolegą. Pozyskują kontrakt od Cegielskiego, a potem od Pawafagu, tak jak firma brata.

Ale nowe władze zmieniają właśnie warunki gry nie tylko w polityce. W styczniu 1946 roku Rada Narodowa wydaje dekret o upaństwowieniu przemysłu, wbijając gwóźdź do trumny prywatnej inicjatywy. Kolejne kroki – bitwa o handel ogłoszona wiosną 1947 roku, ustawy o zwalczaniu drożyzny, komisje do walki z nadużyciami i szkodnictwem gospodarczym, kierowanie „szkodników gospodarczych do pracy w obozach”, domiary dla rolników – nie pozostawiają złudzeń. Komunizm nie jest ustrojem dla ludzi przedsiębiorczych.

Ci, którzy do tej pory „robili w drewnie”, widzą zmiany gołym okiem. Lasy zostały upaństwowione, monopol na sprzedaż drzewa mają Lasy Państwowe, które jednak nie wiedzą, jak się do tego zabrać. Powinny dostarczać materiał do odbudowy kraju, ale nie potrafią. Paged – Państwowa Agencja Drzewna – nie radzi sobie z dystrybucją, a upaństwowione fabryki – z przetwarzaniem. Prywatne jest w niszach, lecz próbuje się z nich wydostać i wcisnąć przez każde niedomknięte drzwi. Jeśli więc właścicielem kawałka zalesionych gruntów jest miasto, prywaciarze stają do przetargów na zakup. Jeśli jakaś fabryka cudem lub dzięki licznym koneksjom wymknęła się nacjonalizacji, próbują w niej produkować. Pozostaje jeszcze odbiorca – też państwowy. Ten, choć potrzeby ma ogromne, wie, że zakup od prywaciarza oznacza ryzyko. Konopaccy zdają się tych wszystkich przeszkód nie dostrzegać.

Ignacy poza kontraktem na wagony przyjmuje zamówienie od Radzieckiej Komendantury Wojskowej na wykonanie dykty. Za część należności mają mu sprowadzić fenol ze strefy sowieckiej w Niemczech. W grudniu 1946 roku Awerbach, przedwojenny przedstawiciel Konopackich w Holandii, widząc, że firma Bracia Konopaccy już działa, składa propozycję wymiany barterowej z Holandią. Odbiorniki radiowe za dyktę. „Pan przecież wie, że ja w interesie jestem bardzo giętki”³⁶¹ – zachęca, zupełnie nie pojmując z perspektywy kraju tulipanów, że system komunistyczny najmniej liczy się z ludzkimi potrzebami i z tym, co się opłaca.

Na razie jednak niekiedy i komunistyczne porządki daje się obejść. W czerwcu 1947 roku dzięki odnowieniu znajomości z Eugene’em Bliochem Ignacy sprzedaje do Londynu partię kijów do szczotek, obręczy do beczek, dykty. Blioch pyta jeszcze o jesionowe trzonki do łopat i kilofów. Potem jednak Konopacki nie ma czego sprzedawać, więc próbuje przestawić się z handlu na produkcję. Rozkręca zakład produkujący akumulatory, części do maszyn szewskich. A także „moderno-artystyczne” obuwie damskie, czyli drewniaki. „Ten artykuł ma teraz duże wzięcie, ponieważ jest względnie tani”³⁶² – wyjaśnia Antoni w liście braciom emigrantom. Uruchamia fabrykę kleju bakelitowego w Warszawie, w budynkach dzierżawionych na końcu ulicy Wolskiej zatrudnia trzy osoby. Jak zeznaje Ignacy, może wytwarzać pięćset kilogramów produktu.

Ignacemu powodzi się w sumie nieźle, kupuje córce ładne mieszkanie urządzone przedwojennymi meblami w stylu Bauhausu i obrazami średniej klasy

malarzy krakowskich, Stanisława Górskiego czy Franciszka Żmurki. Ma biuro przy placu Grunwaldzkim.

Zaledwie kilkaset metrów dalej, przy ulicy Bujwida 43, w mieszkaniu 6, urzęduje ze swoim biznesem Antoni. Dostarcza Pafawagowi surowca do budowy wagonów towarowych. Pisze do firm w Bombaju i w Abisynii, ale nie otrzymuje odpowiedzi. Nie przychodzi mu wtedy do głowy, że listy mogą trafiać pod adres tutejszej bezpieki. Od Bliocha chce pożyczyć tysiąc dolarów. Od Dyrekcji Lasów Państwowych dzierżawi tartak w Lutomi pod Świdnicą, by po kilkunastu miesiącach z tego zrezygnować – wszyscy zaopatrują się w przedsiębiorstwach państwowych.

Ponoć ma zezwolenie ministerstwa na utworzenie przy Pafawagu ośrodka naukowego, czyli laboratorium pracującego nad klejem do sklejk. Projekt nie dochodzi do skutku, bo państwo oczekuje dziesięciu procent obrotów, a Pafawag oferuje miesięczną pensję w wysokości pięćdziesięciu tysięcy złotych. Antoni więcej płaci własnej sekretarce. W marcu 1947 roku pisze do brata w Australii optymistycznie, że żyją już z rodziną względnie dobrze. Jest zadowolony, że państwo, które organizuje się dopiero dwa lata, tak wiele osiągnęło. Liczy na reprivatyzację przemysłu na Dolnym Śląsku, gdzie będzie miał prawo nabyć lub wydzierżawić obiekt przemysłowy. Zachęca do powrotu:

Chcę Cię zapewnić, że w Polsce nikomu głowy nie urywają i bez przyczyn do więzienia nie wsadzają. [...] również nikt nie zmusza do przynależności partyjnej. [...] Znajduję, że dorabianie obcych, nam niepokrewnych narodów, nie jest właściwym. Rozważ te sprawy poważnie, wszelkie wątpliwości będę usiłował usunąć³⁶³.

Wiosną 1947 roku w Warszawie pojawia się Blioch i kusi Ignacego: na Zachodzie dykta jest drogim, chodliwym towarem, mógłby wiele zapłacić za eksport. Ignacy musi jednak odmówić, bo wie, że bez własnej wytwórni sobie nie poradzi z takim zamówieniem. Ma wszakże w planach, by kupić upatrzony tartak w Smardzowie niedaleko Oleśnicy. W 1947 roku osiąga sześćdziesiąt milionów obrotu. Nic dziwnego, że wiosną 1948 roku dostaje osiem milionów złotych domiaru. Płaci po sprzedaży swojej części udziałów w Polskich Płytach Stolarskich.

We wrześniu 1947 roku Antoni pisze bratu, że zamówień na wagony jest coraz mniej. Nie skarży się jednak:

Nic nowego nie poszukujemy, bowiem zdajemy sobie sprawę, że jak zostaniemy w tym ogromnym przedsiębiorstwie jedynymi dostawcami prywatnymi, to chleba nam wystarczy, a nadmienić należy, że wiele firm będących ich dostawcami zostali przez nich samych usunięci lub też zdyskwalifikowali się przez chęć nadmiernych zysków i niesolidności w wykonywaniu powierzonych dostaw. My cieszymy się u nich, bez chępliwości w oświadczeniu Ci tego, najsolidniejszą opinią kupiecką³⁶⁴.

Jednak już w lipcu 1948 roku zmienia zdanie. Interesy nie idą szczęśliwie. Chce więc we Wrocławskiej Dyrekcji Lasów uruchomić produkcję materiałów z drewna za wynagrodzenie równe dwudziestu procentom poniesionych kosztów. Propozycję składa zresztą w kilku innych instytucjach państwowych. Ale brak odzewu. Skarży się Blichowi – list ten przechwyci jednak UB – na złą sytuację finansową, której powodem jest „nie nieumiejętność nasza, lecz kontrola i dążność do likwidowania wpływów i dostaw prywatnych dostawców. Postęp w tym kierunku idzie w tempie niemożliwości dostosowania się ludzi do nowych warunków, pracujących na niwie prywatnej”. Przyznaje, że znajduje się „pod bilansem”, brakuje mu od dwóch do trzech milionów złotych, przez co musi szukać posady państwowej, „pozostając wiecznym dłużnikiem państwa”. Prosi o sprawdzenie możliwości uzyskania wizy i finansowania podróży. Chce zarabiać za granicą³⁶⁵.

Ignacy myśl o wyjeździe odrzuca. Może dlatego, że jeszcze sobie radzi. A może czuje obowiązek opieki nad bliskimi. Czeką na otwarcie wyposażonych w nowoczesne maszyny zakładów w Smardzowie, które będą produkować boazerię do wagonów.

Zanim to nastąpi, 12 października 1948 roku przyjdzie po niego UB. Przetrzęsą i mieszkanie, i firmę. Uzasadnienie decyzji o tymczasowym aresztowaniu brzmi: „W skupie surowca w Dyrekcji Lasów Państwowych dla Państwowej Fabryki Wagonów dopuścił się aktów sabotażu poprzez dostarczanie gorszej jakości surowca, pobierając jednak opłaty jak za gatunek I klasy”³⁶⁶. W tym samym czasie i pod tym samym zarzutem w innej części Wrocławia zostaje zatrzymany Antoni.

Akcja walki z nadużyciami i szkodnictwem gospodarczym, która zaczęła się w 1945 roku, trzy lata później zatacza już szerokie kręgi. Władza tropi afery mleczne, smalcowe, żyłtkowe. W latach 1945–1954 pośle do obozów pracy dziewięćdziesiąt tysięcy osób.

W sprawie przekupstwa pracowników Państwowej Fabryki Wagonów poza Konopackimi oskarżonych jest trzech innych mężczyzn.

Trafiają do gmachu UB przy ulicy Sądowej. Ciężki, monumentalny budynek zaledwie kilka lat temu był siedzibą gestapo, teraz jest przede wszystkim scenerią rozprawy z lwowską AK.

Poutykani w celach donosiciele raportują o Ignacym. Konopacki najpierw idzie w zaparte: „Łapówki żadnej nikomu nie dawałem, gdyż nie miałem potrzeby dawania”. Potem jednak częściowo przyznaje się do winy: wręczania pieniędzy urzędnikom Pafawagu i innych instytucji państwowych za przyspieszenie zawarcia umowy czy realizację zamówienia.

Antoni przyznaje się do dostarczenia gorszego drewna świerkowego w cenie najlepszego i do wręczenia łapówek.

Oddychają z ulgą, gdy ich sprawy trafiają do sądu cywilnego. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej w pokazowym procesie przed sądem wojskowym za spekulacje na rynku papieru został skazany na śmierć Stanisław Dolewski. Konopackich także próbują wrobić w proces polityczny, ale odpuszczają.

2 czerwca 1950 roku sąd skazuje Ignacego na osiem lat więzienia, Antoniego na dwanaście. Obydwu na przepadek mienia i utratę praw obywatelskich. W „Życiu Warszawy” ukazuje się artykuł o łapownikach i sabotażystach przed sądem we Wrocławiu. Wychodzą po amnestii w 1953 roku.

Ignacy jesienią przenosi się do Makowa Podhalańskiego, pracuje w należącej do Paxu fabryce przerobu drewna. Coraz częściej odczuwa ból w klatce piersiowej. W 1954 roku zostaje ponownie aresztowany i oskarżony o łapownictwo, a po roku uniewinniony. 12 stycznia 1957 roku w wieku sześćdziesięciu czterech lat umiera na atak serca.

Antoni wyjeżdża do Jasła budować fabrykę. „Jestem tu sam jak kołek w płocie i czuję się osamotniony”³⁶⁷ – pisze. Przyznaje, że bierze go ochota „rzucić wszystko i odejść w zaświaty”. I gdyby nie dzieci, zajęłby się byle czym, żeby nie patrzeć na głupotę wokół. Hoduje drób, po powrocie do Wrocławia wydobywa dęby zatopione w Odrze. Umiera 22 grudnia 1967 roku.

Po śmierci Ignacego robotnicy z Mostów zamawiają mszę za braci Konopackich. Intencję przyjął miejscowy proboszcz Marian Wędołowski. Imiona założycieli fabryki wyryto na tablicy w kościele, za co władze posłały księdza do łagru. Kościół został rozebrany.

W 1999 roku z rodziną Konopackich skontaktowali się przedstawiciele fabryki Mostowdrewnu. Poprosili o pamiątki po założycielach – zdjęcia i informacje. Do Polski przyjechała delegacja z dyrektorem Iwanem Bilidą, by zabrać materiały do izby pamięci. Izba po pewnym czasie została zamknięta na czas remontu, który trwa do dzisiaj. Ale pamiątki fabryka wykorzystuje w okolicznościowych albumach.

Rodzina Konopackich pojechała do Mostów z rewizytą w 2009 roku. Z trudem rozpoznawała stare mury i komin kotłowni. Dziś zdjęcia pionierów – założycieli fabryki, ich pracowników i ważnych wydarzeń – można obejrzeć w położonym tuż obok fabryki muzeum przyrodniczym.

Podziękowania

Autorki dziękują za pomoc wszystkim, bez których ta książka by nie powstała. W szczególności:

Jadwidze i Edwardowi Batorom, Henrykowi Berezowskiemu, doktorowi Ireneuszowi Bienieckiemu, Milijowi Chwolesowi, Rivce Chwoles Lichtenfeld, doktorowi habilitowanemu Piotrowi Cichorackiemu, Iwanowi Czajczynowi, Barbarze Czartoryskiej, Piotrowi Derejowi, Halinie Grzybińskiej, Alinie Jaroszewicz, doktorowi Łukaszowi Kamińskiemu, Igorowi Katsiurze, Halinie Kierskiej, świętej pamięci profesorowi Romualdowi Klekowskiemu, Halinie Kopacz, Danucie Kozłowskiej, Tomaszowi Kubie Kozłowskiemu, Emilii Malinowskiej, Tomaszowi Otockiemu, Annie Paniszewej, Piotrowi Paszkowskiemu, Danucie Pietraszek, Eugenii Pietruk (z domu Snarskiej), Lili Potonii, konsulowi RP w Łucku Krzysztofowi Sawickiemu, Eugeniuszowi Skrabutanowi, Michałowi Sobelmanowi, Jolancie Sommer, Beacie Stasińskiej, Władysławowi Swarcewiczowi, Sylwii Szparkowskiej, Karolowi Taubemu, Agnieszce Tempskiej, komandorowi doktorowi Wiesławowi Topolskiemu, Lechowi Trawickiemu, Xavierowi Villersowi, profesorowi Mikołajowi Własiukowi, Irenie Wojciechowskiej, Jadwidze Zappe, Edwardowi Żłobinowi oraz Stołecznemu Kołu Miłośników Wołynia i Polesia.

Wyjątkowe podziękowania autorki składają pani Barbarze Kłosowicz-Krzywickiej za udostępnienie zbiorów o rodzinie Konopackich.

Bibliografia

Książki

- Adamczewska Hanna i in., *Fragmety stuletniej historii 1899–1999. Relacje, wspomnienia, refleksje*, Warszawa 2000
- Arganowskij Gienrich, *Wilnius. Po sledam Litowskogo Ijerusalima*, Wilnius 2016
- Arno Anna, *Niebezpieczny poeta. Konstany Ildefon Gałczyński*, Kraków 2013
- Barbasiewicz Maria, *Ludzie interesu w przedwojennej Polsce. Przedsiębiorcy, filantropi, kapitaliści*, Warszawa 2013
- Barłtewicz Jan, *Flotylla pińska i jej udział w wojnie polsko-sowieckiej 1918–1920*, Warszawa 1933
- Bartoszewska Irena, *Witold Hulewicz. Tłumacz i propagator literatury niemieckiej w Polsce*, Łódź 1995
- Berezowski Henryk, *Towarzystwo Radiotechniczne Elektrit. Wilno 1925–1939*, Warszawa 2011
- Bieniecki Ireneusz, *Flotylla rzeczna Polskiej Marynarki Wojennej w Pińsku w latach 1925–1935 w świetle sprawozdań inspektorów armii i oficerów Korpusu Kontrolerów*, Toruń 2006
- Borowiak Mariusz, *Mała flota bez mitów*, Warszawa 2010
- Borzęcki Jerzy, *Pokój ryski 1921 roku i kształtowanie się międzywojennej Europy Wschodniej*, przeł. tenże, Warszawa 2012
- Byrski Tadeusz, *Teatr – radio. Wspomnienia*, Warszawa 1976
- Cichoracki Piotr, *Droga ku anatemie. Wacław Kostek-Biernacki (1884–1957)*, Warszawa 2009
- , *Polesie nieidyliczne. Zaburzenia porządku publicznego w województwie poleskim w latach trzydziestych XX w.*, Łomianki 2007
- , *Województwo Poleskie 1921–1939. Z dziejów politycznych*, Łomianki 2014
- Dąbrowska Maria, *Pisma rozproszone*, t. 1, red. Ewa Korzeniewska, Kraków 1964
- , Jerzy Stempowski, *Listy*, t. 1, oprac., wstęp Andrzej Stanisław Kowalczyk, Warszawa 2010
- Derdej Piotr, *Brześć 1939*, Komorów 2013
- Dmowski Roman, *Myśli nowoczesnego Polaka*, Wrocław 2002
- Dudek Henryk, *Odbudowa Kraju. Dziesięciolecie Polski Odrodzonej. Księga pamiątkowa 1918–1928*, Kraków–Warszawa 1928
- Dyskant Józef Wiesław, *Flotylla rzeczna Marynarki Wojennej 1919–1939*, Warszawa 1994

Dziesięciolecie Polski Odrodzonej 1918–1928. Księga pamiątkowa, wyd. i red. Marian Dąbrowski, Kraków 1933

Filipowicz Mieczysław, *Ludzie, stocznie i okręty*, Gdańsk 1985

Fragmenty stuletniej historii 1899–1999. Ludzie, fakty, wydarzenia. W stulecie organizacji warszawskich architektów, red. Tadeusz Barucki i in., Warszawa 2001

Franaszek Andrzej, *Miłosz. Biografia*, Kraków 2011

Gabrjel Narutowicz. *Pierwszy prezydent Rzeczypospolitej. Księga pamiątkowa*, Warszawa 1925

Gańko Mikołaj, *OAo Mostowdrew. Wriemia modiernizacji*, Minsk 2012

Glass Andrzej, *Polskie konstrukcje lotnicze do 1939 r.*, cz. 1, Sandomierz 2004

Grzesiakowa Zofia, *Między Horyniem a Słuczą*, Warszawa 1992

Horoszkiewicz Roman, *Pińsk i jego okolice*, Pińsk 1926

Hulewicz Witold, *Miasto pod chmurami*, Wilno 1931

Hulewicz-Feillowa Agnieszka, *Rodem z Kościanek*, Kraków 1988

Jamski Piotr Jacek, *Pocztówki z kresów przedwojennej Polski*, Warszawa 2012

Janowa Dolina. Państwowy kamieniołom. Album, oprac. B. Maniecki, Janowa Dolina 1936

Jaruzelski Jerzy, *Stanisław Cat-Mackiewicz. 1896–1966. Wilno–Londyn–Warszawa*, Warszawa 1994

Jaworski Eugeniusz, *Moje czasy (1910–1952)*, Warszawa 1997

Jędrzejewski Zygmunt, *Od września do września*, Warszawa 1989

Jotsaw, *Z Łodzi do Wschodnich Karpat. Worochta, Żabie, Jaremcze, Kuty, Zaleszczyki*, Łódź 1927

Karaś Agnieszka, *Miał zbudować wieżę. Życie Witolda Hulewicza*, Warszawa 2003

Kierska Halina, *Kędy kazachski step... Dziennik deportowanej 1939–1946*, Wrocław 2009

Kłosowicz-Krzywicka Barbara, *Konopaccy z Fałku*, Warszawa–Bures-sur-Yvette 2012

Kofman Jan, *Lewiatan a podstawowe zagadnienia ekonomiczno-społeczne Drugiej Rzeczypospolitej. Z dziejów ideologii kół wielkokapitalistycznych w Polsce*, Warszawa 1986

Konowaluk Helena, *Szkoła pogranicza etniczno-kulturowego. Państwowe Gimnazjum i Liceum w Brześciu n/Bugiem 1919–1939*, Lublin 2002

Kozikowski Edward, *Więcej prawdy niż plotki. Wspomnienia o pisarzach czasów minionych*, Warszawa 1964

Kunzek Tomasz, *Dziesięciolecie istnienia i działalności Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. 1925–1935*, Tarnopol 1935

Kwiatkowski Maciej Józef, *Narodziny Polskiego Radia. Radiofonia w Polsce w latach 1918–1929*, Warszawa 1972

Landau Zbigniew, Jerzy Tomaszewski, *Zarys historii gospodarczej Polski 1918–1939*, Warszawa 1999

- Langer Olgierd, *Reklama kupca detalisty*, Warszawa 1937
- Lepecki Mieczysław, *Pamiętnik adiutanta Marszałka Piłsudskiego*, oprac. nauk. i przedm. Andrzej Garlicki, Warszawa 1988
- Lorentz Stanisław, *Album wileńskie*, Warszawa 1986
- Łopalewski Tadeusz, *Czasy dobre i złe*, Warszawa 1966
- Łoziński Jan, Maja Łozińska, *W kurortach przedwojennej Polski. Narty, dancing, brydż*, Warszawa 2012
- Marczak Michał, *Przewodnik po Polesiu*, Brześć nad Bugiem 1935
- Meysztowicz Walerian, *Gawędy o czasach i ludziach*, Londyn 1993
- Miłosz Czesław, *Rodzinna Europa*, Warszawa 1990
- Moje zderzenie z bolszewikami we wrześniu 1939 roku*, red. Krzysztof Rowiński, Warszawa 1987
- Motyka Grzegorz, *Cień Kłyma Sawura. Polsko-ukraiński konflikt pamięci*, Gdańsk 2013
- , *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła”. Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947*, Kraków 2011
- , *Ukraińska partyzantka 1942–1960. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii*, Warszawa 2015
- Nicieja Stanisław Sławomir, *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych*, t. 3, *Zaleszczyki, Kosów, Chodorów, Kałusz oraz Abacja*, Opole 2013
- Nowikow-Priboj Aleksiej, *Cuszima*, t. 2, *Bitwa*, przeł. Władysław Broniewski, Warszawa 1979
- Orłóś Kazimierz, *Dzieje dwóch rodzin. Mackiewiczów z Litwy i Orłosiów z Ukrainy*, Kraków 2015
- Orłowicz Mieczysław, *Ilustrowany przewodnik po Wołyniu*, Łuck 1929
- Ossendowski F. Antoni, *Polesie*, Poznań 1934 („Cuda Polski”, t. 6)
- Parymończyk Franciszek, *Czynniki lecznicze klimatu Zaleszczyk*, Zaleszczyki 1936
- Pawlikowski Michał Kryspin, *Wojna i sezon. Powieść. Pamiętnik emigracyjny Tadeusza Irteńskiego (fragmenty)*, Łomianki 2011
- Pawluczuk Urszula Anna, *Życie monastyczne w II Rzeczypospolitej*, Białystok 2007
- Pepłoński Andrzej, *Kontrwywiad II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2002
- Peretiatkowicz Adam, *Wołyńska samoobrona w dorzeczu Horynia*, Katowice 1997
- Polesie – ocalić od zapomnienia*, wstęp Helena Jakubowska z d. Arciszewska i in., red. Leon Popek, współpr. Bronisława Arciszewska, Lublin 1998
- Polesie w polityce rządów II Rzeczypospolitej*, wstęp i oprac. Wojciech Śleszyński, współpr. Anna Jodzio, Białystok–Kraków 2009
- Pomorze w systemie obrony Polski w okresie międzywojennym i po II wojnie światowej*, red. Tadeusz Kmiecik, Słupsk 2004
- Poradnik stosowania reklamy*, oprac. Stanisław Zenon Zakrzewski, Warszawa 1937

- Protokoły i raporty zebrań wojewodów i starostów – województwo poleskie*, wstęp i oprac. Wojciech Śleszyński, współpr. Monika Szarejko, Białystok 2014
- Pruszyński Ksawery, *Cosas de Polonia* [w:] tegoż, *Trzyńskie opowieści*, Warszawa 1995
- Przewodnik krajoznawczy. Zaleszczyki i okolica*, oprac. Józef Schwartz, Tarnopol 1931
- Pszczołkowski Michał, *Kresy nowoczesne. Architektura na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej 1921–1939*, Łódź 2016
- Sabatowski Antoni, *Klimatoterapia oraz hydroterapia ogólna i zdrojowiskowa z opisem uzdrowisk polskich*, Lwów 1923
- Shohet Azriel, *The Jews of Pinsk, 1881 to 1941*, transl. by Faigie Tropper and Moshe Rosman with afterword by Zvi Gitelman, Stanford 2012
- Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. 1, red. Filip Sulimierski, Bronisław Chlebowski, Władysław Walewski, Warszawa 1880
- Snyder Timothy, *Tajna wojna. Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę*, przeł. Bartłomiej Pietrzyk, Kraków 2008
- Soboń Bogusław, *Wołyński zyciorys. Wspomnienia i refleksje (wokół kopalni bazaltu w Janowej Dolinie pow. Kostopol)*, Warszawa 1999
- Sroka Jerzy, *Bojowy duch. Wspomnienia z Brześcia nad Bugiem i Białej Podlaskiej z lat 1928–1956*, Biała Podlaska 2001
- , *Brześć nad Bugiem Dzieje miasta i twierdzy*, Biała Podlaska 1997
- Stempowski Jerzy, *W dolinie Dniestru i inne eseje ukraińskie. Listy o Ukrainie*, oprac. Andrzej Stanisław Kowalczyk, Warszawa 1993
- Szestakowska Janina, *Z dziejów flotylli rzecznej marynarki wojennej w Pińsku*, Warszawa–Stalowa Wola 2013
- Śladami ludobójstwa na Wołyniu. Okrutna przestroga*, oprac. Leon Karłowicz, Leon Popek, Lublin 1998
- Świadkowie oskarżają. Okrutna przestroga*, oprac. Leon Karłowicz, Leon Popek, Lublin 2013
- Tarkowska Aleksandra, *Gdynia między wojnami. Opowieść o narodzinach i życiu miasta 1918–1939*, Łódź 2009
- Taube Karol, *Figle diablika błot pińskich. Ze wspomnień marynarza*, Warszawa 1937
- , Olgierd Żukowski, *Zarys historii wojennej flotylli rzecznych*, Warszawa 1931
- Torzecki Ryszard, *Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1993
- Wańkiewicz Melchior, *Drogą do Urzędowa*, Warszawa 1989
- , *Dzieje rodziny Korzeniewskich. Drogą do Urzędowa. Reportaże z Wołynia. Od Stołpców po Kair*, wstęp Krzysztof Masłoń, posł. Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Warszawa 2010
- , *Tędy i owędy. Zupa na gwoździu*, wstęp Marek Radziwon, posł. Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Warszawa 2010

Waszczukówna-Kamieniecka Danuta, *Brześć, niezapomniane miasto*, Londyn 1997
Wieloński Stanisław, *Ojczysty świat Konopackich*, Warszawa 2003
Winobranie w Zaleszczykach 15–27 września 1936 r., Zaleszczyki [1936]
Wołyński testament, oprac. Leon Popek i in., Lublin 1997
Z dziejowej przeszłości Zaleszczyk, skrót z pracy Józefa Schwartza *Zaleszczyki i okolice*, [Lwów 1933]
Zaleszczyki, broszura z drukarni A. Winterfelda w Tłumaczu, [b.r.]
Zaleszczyki, folder reklamowy, Biuro Popierania Turystyki, [b.r.]
Zbrodnie przeszłości. Opracowania i materiały prokuratorów IPN, t. 3, *Nazizm*, red. Radosław Ignatiew, Antoni Kura, Warszawa 2009
Ziółkowska-Boehm Aleksandra, *Lepszy dzień nie przyszedł już*, Warszawa 2012

Artykuły w pracach zbiorowych i w czasopiśmie

Alfa, *O tym, który nie siał ni orał...*, „Tajny Detektyw. Ilustrowany Tygodnik Kryminalno-Sądowy”, 15.11.1931, s. 4–5
Bieniecki Ireneusz, *Komandor Witold Zajączkowski – dowódca Flotylli Rzecznej w Pińsku (1892–1977)*, „Biuletyn Historyczny” (Gdynia) 1995, nr 14, s. 174–184
—, *Przygotowania formacji granicznych do obrony półwyspu Helskiego w 1939 roku w świetle relacji dowódcy Batalionu KOP „Hel”* [w:] *Pomorze w systemie obrony Polski w okresie międzywojennym i po II wojnie światowej*, red. Tadeusz Kmiecik, Słupsk 2004, s. 95–99
Bohdziewicz Antoni, *Z dnia na dzień speakera*, „Tydzień Radjowy”, 5.01.1930
Budzińska Anna Małgorzata, *Janowa Dolina – kiedyś dolina szczęśliwości, potem...*, kresowianie.info, bit.ly/2J8p2rq, dostęp: 10.07.2018
Bujanowski Tadeusz, *Pochodzę z Brześcia nad Bugiem*, „Dziennik Polski” (Londyn), 23.09.1988, s. 5
Demjaniuk Igor, Regina Demjaniuk, *Przewodnik po obwodzie brzeskim Białorusi. Wybrane trasy turystyczne*, kresy24.pl, bit.ly/2w0Cj1e, dostęp: 10.07.2018
Dunin-Karwicki Józef, *Janowa Dolina*, „Życie Katolickie” (Łuck) 1938, nr 32
Dykta wypiera... dyktę, „Rynek Drzewny”, 26.11.1934, s. 3
Elf, *Trochę nowin turystycznych*, „Turysta i Auto”, wrzesień 1934, s. 4
Fedorowicz Irena, *Dyskusje wokół projektu pomnika Adama Mickiewicza w Wilnie na łamach prasy wileńskiej z lat 1925–1927*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Sectio FF, Philologiae” 2012, t. 30, z. 1, s. 69–81
—, *Z dziejów tradycji kabaretowych w Wilnie w stulecie „Achu”* [w:] *Vilnius: kultûrinëliteratûrinërefleksja, Mokslo darbai. Acta litteraria comaparativa*, Vilnius 2009, s. 63–79
Francki Wojciech, *Wspomnienia. Kmdr Witold Zajączkowski*, „Nasze Sygnały” 1972, nr 127

- Gałęzowski Marek, *Henryk Józewski „Olgierd”*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 2004, z. 150, s. 97–128
- Grająca tablica pamiątkowa na 90. rocznicę Litewskiego Radia*, wilnoteka.lt, bit.ly/2KYd3l4, dostęp: 11.07.2018
- Gubała Edward, *Księżę Polesia*, „Nasze Sygnały” 1974, nr 132
- Hryniewicz Franciszek, *Ach V*, „Kurjer Litewski” 1912, nr 14
- Jackiewicz Mieczysław, *Kawiarnie, restauracje i inne lokale w Wilnie*, kurierwilenski.lt, cz. 1, bit.ly/2uaCk1W; cz. 2, bit.ly/2man0xI; cz. 3, bit.ly/2KVC3JV, dostęp: 11.07.2018
- , *Z historii Wilna. Nieistniejące dzielnice stolicy (1) – Pióromont*, kurierwilenski.lt, bit.ly/2L51ghv, dostęp: 11.07.2018
- Jak zawiedziona dziewczyna witrjolem*, „Słowo”, 15.09.1934
- Jakubowska Helena z d. Arciszewska, *Pińsk [w:] Polesie – ocalić od zapomnienia*, wstęp Helena Jakubowska z d. Arciszewska i in., red. Leon Popek, współpr. Bronisława Arciszewska, Lublin 1998, s. 7–17
- Józewski Henryk, *Zamiast pamiętnika*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1982, t. 59, s. 3–123
- Juzwa Józef, *Historia rodziny Juzwów*, cracovia-leopolis.pl, bit.ly/2zpMJfi, dostęp: 11.07.2018
- , *Janko Pokutnik z Zaleszczyk*, cracovia-leopolis.pl, bit.ly/2uaHxa3, dostęp: 11.07.2018
- , *Ostatni proboszcz zaleszczycki, ks. Andrzej Urbański*, cracovia-leopolis.pl, bit.ly/2LaIRRE, dostęp: 11.07.2018
- , *Prawda o szosie zaleszczyckiej*, cracovia-leopolis.pl, bit.ly/2zuPjAy, dostęp: 11.07.2018
- Kęsik Jan, *Województwo wołyńskie pod rządami Henryka Józewskiego*, „Niepodległość i Pamięć” 2008, t. 15, nr 1(27), s. 177–203
- Kiewnarska Jadwiga, *Rozkosze kempingu*, „Turysta i Auto”, wrzesień 1933, s. 8, 9
- Kodisowa Józefa, *Ze wspomnień osobistych [w:] Gabryel Narutowicz, pierwszy prezydent Rzeczypospolitej. Księga pamiątkowa*, Warszawa 1925
- Konieczna potrzebna jest silniejsza stacja radiowa w Kownie*, „Fala 244. Pismo dla Radioamatorów” 1931, nr 5
- Kozłowski Tomasz Kuba, *Riwiera Zaleszczyki*, „Karta” 2014, nr 79, s. 62–77
- Kronika radiowa*, „Słowo”, 14.01.1928
- Limanowski Mieczysław, *Step jest dookoła [w:] Winobranie w Zaleszczykach 15–27 września 1936 r.*, Zaleszczyki [1936]
- Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego*, „Arcana” 1998, nr 21, s. 87–104
- Mackiewicz Stanisław, *Ruch monarchiczny w Polsce*, „Słowo”, 9.04.1925

- Morgenstern Tadeusz, *Pińska przygoda*, „Nasze Sygnały” 1964, nr 3(68)
- Mortkowiczowa Janina, *Wieczór w Mostach*, „Bluszcz” 1930, nr 35, s. 5
- Motyka Grzegorz, *Polski policjant na Wołyniu*, „Karta” 1998, nr 24, s. 126–140
- Mytkowska Karolina, *Witold Hulewicz w Wilnie*, pedkat.pl, bit.ly/2Bx69ja, dostęp: 11.07.2018
- Nielubowicz Bohdan, *Moje kresowe szczenięce lata*, „Echa Polesia”, polesie.org, bit.ly/2wj9Kvz, dostęp: 11.07.2018
- Niemczykowa Aleksandra, *Stanisław Mackiewicz (CAT) we wspomnieniach córki*, „Czas”, nr 109, 4–10.04.2002, s. 13
- O sygnał wileńskiej radiostacji*, „Słowo”, 16.12.1927
- O! ten słodki domek mały...*, „Echo Pińskie”, 21.01.1934
- Od 0,5 kw do 50 kw*, „Kurjer Wileński”, 8.11.1936
- Opacki Józef, *Zagadnienia letniskowe na Podolu*, „Znicz Podola” 1936, nr 9–10, s. 130–135
- Otocki Tomasz, *Klub Obywatelski w Brześciu nad Bugiem – z dziejów pewnej instytucji w Brześciu*, „Echa Polesia” 2013, nr 2(38), s. 55
- P. Marszałek Piłsudski na wypoczynku w Zaleszczykach, „Gazeta Lwowska” 1933, nr 246, s. 3
- Pawlak Przemysław, *Stanisława Ignacego Witkiewicza Polepszenie na rynku dykt i fornierów*, witkacologia.eu, bit.ly/2mc5GZ7, dostęp: 11.07.2018
- Petz Barbara, *Próby rozwiązywania kwestii mieszkaniowej w dwudziestoleciu międzywojennym – podstawowe kierunki działań*, „Raport BSE”, luty 1994, nr 57
- Pietrasiewicz-Chudy Janina, *Rzeź wołyńska. Krwawa zbrodnia UPA w Janowej Dolinie*, gp24.pl, bit.ly/2maMbK0, dostęp: 11.07.2018
- Pińsk miasto ryków*, „Echo Pińskie”, 18.11.1934
- Poklewski Józef, *Przyczynek do dziejów artystycznego Wilna w dwudziestoleciu międzywojennym*, „Acta Universitatis Nicolai Copernici. Nauki Humanistyczno-Społeczne. Zabytkoznawstwo i Konserwatorstwo” 1994, t. 23(278), s. 27–69
- Polepszenie na rynku dykt i fornierów*, „Codzienna Gazeta Handlowa”, dodatek do „Gazety Handlowej Krakowskiej”, 22.11.1934
- Polityka pedagogiczna*, „Myśl Niepodległa”, 14.04.1923
- Radczenko Aleksander, *Ile w Wilnie jest rzek?*, zw.lt, bit.ly/2Pt1n9B, dostęp: 11.07.2018
- , *Konka*, rojsty.blox.pl, bit.ly/2BwfHLp, dostęp: 11.07.2018
- Radio nadawcze dla Wilna*, „Słowo”, 28.04.1927
- Rosenbaum Michał, *Uwagi na czas głównego sezonu*, „Echo Zaleszczyk”, 24.06.1934
- Rostworowski Stefan Marian, *Wspomnienia z Mikaszewicz*, „Przegląd Historyczny” 1992, t. 83, nr 2, s. 325–343
- R.W.Z.A., „Słowo”, 28.04.1934

- Sabatowski Antoni, *Kilka uwag o lecznictwie klimatycznym i zdrojowym gruźlicy w Polsce*, „Medycyna” 1934, nr 16
- Sagan Krzysztof, *Wielka Radiostacja. Wileńska radiofonia w latach 1931–1939*, radiopolska.pl, bit.ly/2L0eHmq, dostęp: 11.07.2018
- , *Zaczęło się w willi nad Wilią. Wileńska radiofonia w latach 1927–1935*, radiopolska.pl, bit.ly/2m5CN0O, dostęp: 11.07.2018
- Sens i potrzeba budowy domu społecznego w Brześciu*, „Kurier Poranny” (Brześć nad Bugiem), 4.11.1936
- Stein J., *Plaża*, „Echo Zaleszczyk”, 24.06.1934
- Śleszyński Wojciech, *Infrastruktura Miasteczek i wsi Polesia w okresie międzywojennym*, „Biuletyn Historii Pogranicza” (Białystok) 2013, nr 13, s. 101–112
- Tomasi di Lampedusa Giuseppe, *Lampart*, przeł. Zofia Ernstowa, Warszawa 1988
- Turnau Elżbieta, *Zaleszczyccy baronowie*, cracovia-leopolis.pl, bit.ly/2N9xucq, dostęp: 11.07.2018
- Uroczyste poświęcenie radiostacji wileńskiej*, „Słowo”, 17.01.1928
- W. L., *Szymon Schell i S-ka w Krakowie*, „Tygodnik Ilustrowany”, 21.11.1929, s. 59
- Wańkiewicz Melchior, *Herr Oberst i polska dykta* [w:] Stanisław Wieloński, *Ojczysty świat Konopackich*, Warszawa 2003, s. 57, 58
- Wendorff Bohdan, *Sala Rycerska Konwentu Polonia (przemówienie na komerszu w Londynie, 4 listopada 1967 r.)*, konwentpolonia.pl, bit.ly/2N53HBn, dostęp: 11.07.2018
- Wieża Eiffla w Pińsku*, „Gazeta Poleska”, 17.09.1937
- Wnorowski Czesław, *Pierwszy tymczasowy kurs oficerski Polskiej Marynarki Wojennej*, „Nasze Sygnały” 1970, nr 121
- Wołkanowski Waldemar, *Wilno TO-MMA-Klawo...*, czyli rzecz o komunikacji miejskiej, wilnoteka.lt, cz. 1, bit.ly/2ulX2Ln; cz. 2, bit.ly/2KLMEMN, dostęp: 11.07.2018
- Woyciechowski K., *Udział Podola w ruchu letniskowym*, „Znicz Podola” 1937, nr 5, s. 74–76
- Wóycicki Zygmunt, *Cel i istota wystawy „Mieszkanie i miasto”*, „Architektura i Budownictwo” 1926, t. 2, nr 6
- Wycieczka na radjostację wileńską*, „Kurjer Wileński”, 8.12.1927
- Wystawa Przemysłu Metalowego, Elektrotechnicznego i Radiowego w r. 1936*, „Biuletyn Giełdowy Polskiej Agencji Telegraficznej” (Warszawa) 1936
- Z Teki Wspomnień*, „Nasze Sygnały” 1954, nr 39
- Zagacki Dymitr, *Brześć. Mniej znane oblicze miasta*, Kresy24.pl, bit.ly/2MIrpa2, dostęp: 25.07.2018
- , *Kolonia urzędnicza w przedwojennym Brześciu*, Kresy24.pl, bit.ly/2vYatTq, dostęp: 25.07.2018

Zaleszczyki, „Przegląd Uzdrawiskowo-Turystyczny” 1933
Zawody konne w Zaleszczykach, „Tygodnik Ilustrowany”, 25.07.1931

Prasa

„ABC Literacko-Artystyczne” 1934
„ABC. Nowiny Codzienne” 1937
„Arcana” 1998, nr 21
„Architekt. Pismo o Architekturze, Budownictwie i Przemysle Artystycznym” 1922, 1923, 1925, 1930
„Architektura i Budownictwo” 1925–1939
„Biuletyn Historii Pogranicza” (Białystok) 2013, nr 13
„Biuletyn Historyczny” (Gdynia) 1995, nr 14
„Bluszcz” 1930, nr 35
„Czas”, nr 109
„Dwutygodnik Kresowy, Społeczno-Polityczno-Gospodarczy” 1938
„Dziennik Brzeski. Niezależne Pismo Codzienne” 1938
„Dziennik Polski” (Londyn), 23.09.1988
„Dziennik Wołyński. Z Kowla” 1924
„Dzień Dobry Pińsk!” 1932
„Echa Polesia” 2013
„Echo Pińskie” 1934
„Echo Zaleszczyk”, tygodnik ilustrowany poświęcony sprawom uzdrowiska i turystyki, 24.06.1934
„Ekspress Wileński” 1934
„Fala 244. Pismo Radjoamatorów”, bezpłatny dodatek do „Słowa” (Wilno) 1931–1932
„Gazeta Lwowska” 1933
„Gazeta Poleska” (Pińsk) 1933–1935, 1937–1938
„Gazeta Polska” (Warszawa), 12.09.1934
„Głos Robotnika” (Janowa Dolina) 1935–1939
„Karta” 1998, 2014
„Kurier Bydgoski” 1937
„Kurier Poranny” (Brześć nad Bugiem), nr 306, 4.11.1936
„Kurjer Litewski” 1912, nr 14
„Kurjer Wileński” 1927–1936
„Myśl Niepodległa”, 14.04.1923
„Nasze Sygnały” (Londyn) 1949–1980
„Niepodległość i Pamięć” 2008
„Nowe Echo Pińskie” 1934–1936
„Od A do Z Polesia” (Pińsk) 1936–1937

„Pion” (Warszawa) 1933
„Polesie” (Pińsk) 1936–1937
„Przegląd Historyczny” 1992
„Przegląd Uzdrowiskowo-Turystyczny” (Zaleszczyki) 1933
„Przegląd Wołyński” 1928
„Rynek Drzewny” 1934
„Słowo” (Wilno) 1927–1935
„Tajny Detektyw. Ilustrowany Tygodnik Kryminalno-Sądowy” 1932
„Turysta i Auto” 1933–1934
„Tydzień Radjowy”, 5.01.1930
„Tygodnik Ilustrowany” 1929–1931, 1934
„Wileński Dziennik Wojewódzki” 1930, 1934, 1937–1938
„Wołyń. Tygodnik Społeczny, Polityczny, Gospodarczy” 1933
„Zawody Konne Korpusu Ochrony Pogranicza” (Zaleszczyki) 1931
„Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1982, 2004
„Ziemia Pińska” 1926
„Ziemia Wschodnia” (Pińsk) 1936
„Znicz Podola”, ilustrowany organ oficjalny Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, 1936–1937
„Życie Katolickie” (Łuck) 1938, nr 32

Archiwa

10 lat rozgłośni wileńskiej. Radio dla miasta i wsi, Wilno 1928–1938
Akta sprawy braci Konopackich, Instytut Pamięci Narodowej, sygn. nr Wr 0 24 2778; Wr 0 38 927, t. 1; Wr 0 38 927, t. 2
Bartoszewicz Jan, *Wspomnienia ze służby w Marynarce Wojennej*, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 77n
Bonfig Wiktor, *Powstanie Oddziału Wydzielonego „Wisła” oraz jego działalność w kampanii wrześniowej 1939 r.*, Gdańsk 1970, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 224n
Burchardt Mieczysław, *Wspomnienia z Departamentu Spraw Morskich i Kierownictwa Marynarki Wojennej w latach 1919–1928*, Gdańsk Wrzeszcz 1960, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 18
Filipowicz Mieczysław, *Relacja z lat mojej pracy w Marynarce Wojennej od 1925 do 1947 roku*, Gdynia 1967, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 179
Główka Irena, *Wspomnienia*, wolyn.freehost.pl, bit.ly/2MIswGK, dostęp: 25.07.2018

- Jabłoński Olgierd, *Wspomnienia z bitwy pod Kockiem, Gdańsk 1969*, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 280
- Jabłoński Stanisław, *Relacja (wspomnienia) o powstawaniu i rozwoju Polskiej Marynarki Wojennej w okresie międzywojennym*, Warszawa 1960, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 71
- Kinel Tadeusz, *Moje wspomnienia z okresu służby w Marynarce Wojennej w latach 1931–1947*, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 49
- Korespondencja rodzinna udostępniona przez panią Barbarę Kłosowicz-Krzywicką
- Korycka W. Julia, *Wspomnienie Wielkiego Piątku w Janowej Dolinie 1943 r.*, wolyn.org, bit.ly/2Mo8qCh, dostęp: 25.07.2018
- Kuczkowski Ignacy, *Wspomnienia ze służby w Marynarce Wojennej*, Koszalin 1961, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 80
- Kwietniak Hieronim, *Pamiętnik marynarza z Departamentu Spraw Morskich*, Sopot 1971, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 284n
- Leksykon architektów i budowniczych*, Biblioteka i Archiwum SARP
- List Aleksandra Zelwerowicza do Zbigniewa Śmiałowskiego z 8.04.1933 w Zbiorach Specjalnych Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk
- Lista Pasażerów Okrętu Polonia na Wycieczce Turystycznej po Morzu Północnem w Dniach od 5 Sierpnia do 19 Sierpnia 1932 Roku
- Łatówna Teodozja, *Pamiętnik 1940–1941* użyczony przez panią Eugenię Pietruk
- Materiały i wspomnienia z Brześcia: Władysława Swarcewicza, Danuty Kozłowskiej, Haliny Kierskiej, Haliny Grzybińskiej
- Potyrała Aleksander, *Wspomnienia dotyczące Marynarki Wojennej*, Gdańsk 1960, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 32
- Różycki Kajetan, *Relacja mata motorzysty Kajetana Różyckiego z Flotylli Pińskiej*, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 532n
- Somnicki Roman, *Wspomnienia ze służby w Marynarce Wojennej*, cz. 1, Sopot 1960, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 22
- Spis Abonentów Sieci Telefonicznych Dyrekcji Poczty i Telegrafów w Wilnie na 1939 r.
- Szczepaniuk Eustachy, *Wspomnienia ze służby w Lotnictwie Morskim i Rzecznym w okresie 1929–1939*, Puck 1960, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 61n
- Śladkowski Zdzisław Romuald, *Moja służba w Polskiej Marynarce Wojennej w latach 1918–1939*, Gdańsk 1960, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 58
- Tukalski-Nielubowicz Hieronim, *Pół wieku wspomnień*, cz. 2, *W siodle (1926–1939)*, Ossolineum, sygn. Rps.Ossol.15444 II/cz. 2
- Wanda Mackiewicz, rękopis wspomnień w posiadaniu Agnieszki Tempskiej

Wasiak Feliks, sprawozdanie z pracy zawodowej, 1951 r., w posiadaniu Barbary Kłosowicz-Krzywickiej

Wspomnienia: Jadwigi i Edwada Batorów, Haliny Kopacz, Ireny Wojciechowskiej, rodziny Snarskich i innych, w posiadaniu autorek

Zajączkowski Witold, *Lata młodości i wojna światowa na Bałtyku*, Toronto 1970, Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr MHW4330/95

—, Opis udziału w walkach Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej w wojnie 1939 r., Londyn, Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 565n

Audycje radiowe

Tkaczuk Waław, *O „Pogrzebie Kiejstuta” i innych słuchowiskach*, polskieradio.pl, bit.ly/2N4pJEo, dostęp: 25.07.2018

Inne dokumenty

Rozporządzenie wykonawcze Ministerstwa Robót Publicznych do ustawy z 2 marca 1920 roku o organizacji odbudowy technicznej wsi, miast i miasteczek, DzU nr 24

Przypisy końcowe

Flota niedorzeczna

- ¹ C. Wnorowski, *Pierwszy tymczasowy kurs oficerski Polskiej Marynarki Wojennej*, „Nasze Sygnały” 1970, nr 121.
- ² K. Taube, O. Żukowski, *Zarys historii wojennej flotylli rzecznych*, Warszawa 1931, s. 5.
- ³ K. Taube, *Figle diablika błot pińskich. Ze wspomnień marynarza*, Warszawa 1937, s. 5.
- ⁴ Tamże, s. 5, 6.
- ⁵ Tamże, s. 6.
- ⁶ Tamże, s. 10.
- ⁷ Tamże, s. 44.
- ⁸ Tamże, s. 43.
- ⁹ R. Somnicki, *Wspomnienia ze służby w Marynarce Wojennej*, cz. 1, Sopot 1960, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 22, s. 5.
- ¹⁰ K. Taube, *Figle diablika...*, dz. cyt., s. 58.
- ¹¹ Tamże, s. 60.
- ¹² K. Taube, O. Żukowski, *Zarys historii wojennej...*, dz. cyt., s. 28.
- ¹³ Tamże, s. 32.
- ¹⁴ K. Taube, *Figle diablika...*, dz. cyt., s. 94, 95.
- ¹⁵ Tamże, s. 96.
- ¹⁶ Tamże, s. 100.
- ¹⁷ Tamże, s. 117.
- ¹⁸ A. Nowikow-Priboj, *Cuszima*, t. 2, *Bitwa*, przeł. W. Broniewski, Warszawa 1979, s. 135.
- ¹⁹ M. Burchardt, *Wspomnienia z Departamentu Spraw Morskich i Kierownictwa Marynarki Wojennej w latach 1919–1928*, Gdańsk Wrzeszcz 1960, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 18, s. 46.
- ²⁰ J. Borzęcki, *Pokój ryski 1921 roku i kształtowanie się międzywojennej Europy Wschodniej*, przeł. tenże, Warszawa 2012, s. 54.
- ²¹ M. Burchardt, *Wspomnienia...*, dz. cyt., s. 33, 34.
- ²² M. Filipowicz, *Relacja z lat mojej pracy w Marynarce Wojennej od 1925 do 1947 roku*, Gdynia 1967, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 179, s. 20.

- ²³ Tamże, s. 24.
- ²⁴ H. Kwietniak, *Pamiętnik marynarza z Departamentu Spraw Morskich*, Sopot 1971, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 284n, s. 26.
- ²⁵ Tamże, s. 24–31.
- ²⁶ M. Filipowicz, *Relacja z lat mojej pracy w Marynarce Wojennej...*, dz. cyt., s. 39.
- ²⁷ M. Filipowicz, *Ludzie, stocznie i okręty*, Gdańsk 1985, s. 74.
- ²⁸ W. Zajączkowski, *Lata młodości i wojna światowa na Bałtyku*, Toronto 1970, Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. MHW4330/95, s. 2.
- ²⁹ Tamże, s. 5.
- ³⁰ Tamże, s. 7.
- ³¹ Tamże, s. 51.
- ³² Tamże, s. 52.
- ³³ Tamże, s. 72.
- ³⁴ Tamże, s. 151.
- ³⁵ Tamże, s. 171.
- ³⁶ Tamże, s. 174.
- ³⁷ C. Wnorowski, *Pierwszy tymczasowy kurs...*, dz. cyt.
- ³⁸ W. Francki, *Wspomnienia. Kmdr Witold Zajączkowski*, „Nasze Sygnały” 1972, nr 127.
- ³⁹ W. Zajączkowski, *Lata młodości...*, dz. cyt., s. 181, 182.
- ⁴⁰ Tamże, s. 175.
- ⁴¹ Tamże, s. 187.
- ⁴² Tamże.
- ⁴³ R. Somnicki, *Wspomnienia ze służby w Marynarce Wojennej*, dz. cyt., s. 21.
- ⁴⁴ I. Kuczkowski, *Wspomnienia ze służby w Marynarce Wojennej*, Koszalin 1961, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 80, s. 52.
- ⁴⁵ R. Somnicki, *Wspomnienia ze służby w Marynarce Wojennej*, dz. cyt., s. 22.
- ⁴⁶ M. Filipowicz, *Ludzie, stocznie i okręty*, dz. cyt., s. 64.
- ⁴⁷ M. Filipowicz, *Relacja z lat mojej pracy w Marynarce Wojennej...*, dz. cyt., s. 27, 28.
- ⁴⁸ Tamże, s. 16.
- ⁴⁹ Tamże.
- ⁵⁰ M. Filipowicz, *Ludzie, stocznie i okręty*, dz. cyt., s. 58.
- ⁵¹ I. Kuczkowski, *Wspomnienia ze służby w Marynarce Wojennej*, dz. cyt., s. 55.

- ⁵² A. Potyrała, *Wspomnienia dotyczące Marynarki Wojennej*, Gdańsk 1960, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 32, s. 40.
- ⁵³ W. Zajączkowski, *Lata młodości...*, dz. cyt., s. 182.
- ⁵⁴ Tamże.
- ⁵⁵ E. Szczepaniuk, *Wspomnienia ze służby w Lotnictwie Morskim i Rzecznym w okresie 1929–1939*, Puck 1960, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 61n, s. 17, 18.
- ⁵⁶ Tamże, s. 19.
- ⁵⁷ Tamże, s. 23.
- ⁵⁸ Tamże, s. 18.
- ⁵⁹ J. Bartoszewicz, *Wspomnienia ze służby w Marynarce Wojennej*, relacja w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, sygn. nr 77n, s. 101.
- ⁶⁰ *Z Teki Wspomnień*, „Nasze Sygnały” 1954, nr 39.
- ⁶¹ E. Gubała, *Księżę Polesia*, „Nasze Sygnały” 1974, nr 132.
- ⁶² M. Filipowicz, *Ludzie, stocznie i okręty*, dz. cyt., s. 63.
- ⁶³ „Echo Pińskie”, 9.09.1934, reklama na s. 1.
- ⁶⁴ M. Filipowicz, *Relacja z lat mojej pracy w Marynarce Wojennej...*, dz. cyt., s. 38.
- ⁶⁵ *O! ten słodki domek mały...*, „Echo Pińskie”, 21.01.1934.
- ⁶⁶ *Pińsk miasto ryków*, „Echo Pińskie”, 18.11.1934.
- ⁶⁷ *Wieża Eiffla w Pińsku*, „Gazeta Poleska”, 17.09.1937.
- ⁶⁸ M. Filipowicz, *Relacja z lat mojej pracy w Marynarce Wojennej...*, dz. cyt., s. 29.
- ⁶⁹ A. Pepłoński, *Kontrwywiad II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2002, s. 258.
- ⁷⁰ A. Potyrała, *Wspomnienia dotyczące Marynarki Wojennej*, dz. cyt., s. 33.
- ⁷¹ M. Filipowicz, *Ludzie, stocznie i okręty*, dz. cyt., s. 64, 65.
- ⁷² Tamże, s. 70.
- ⁷³ *Pomorze w systemie obrony Polski w okresie międzywojennym i po II wojnie światowej*, red. T. Kmiecik, Słupsk 2004, s. 98.
- ⁷⁴ I. Kuczkowski, *Wspomnienia ze służby w Marynarce Wojennej*, dz. cyt., s. 2.
- ⁷⁵ M. Borowiak, *Mała flota bez mitów*, Warszawa 2010, s. 76.
- ⁷⁶ H. Tukalski-Nielubowicz, *Pół wieku wspomnień*, cz. 2, *W siodle (1926–1939)*, Ossolineum, sygn. Rps.Ossol.15444 II/cz. 2, s. 494.
- ⁷⁷ T. Morgenstern, *Pińska przygoda*, „Nasze Sygnały” 1964, nr 3(68).
- ⁷⁸ Tamże.

Twierdza

- ⁷⁹ *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. 1, red. F. Sulimierski, B. Chlebowski, W. Walewski, Warszawa 1880, s. 402.
- ⁸⁰ Rozporządzenie wykonawcze Ministerstwa Robót Publicznych do ustawy z 2 marca 1920 roku o organizacji odbudowy technicznej wsi, miast i miasteczek, DzU nr 24, poz. 143.
- ⁸¹ H. Dudek, *Odbudowa Kraju. Dziesięciolecie Polski Odrodzonej. Księga pamiątkowa 1918–1928*, Kraków–Warszawa 1928, s. 381.
- ⁸² J. Kodisowa, *Ze wspomnień osobistych [w:] Gabriel Narutowicz. Pierwszy prezydent Rzeczypospolitej. Księga pamiątkowa*, Warszawa 1925, s. 41.
- ⁸³ S. Noakowski, *Powstanie Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej [w:] H. Adamczewska i in., Fragmenty stuletniej historii 1899–1999. Relacje, wspomnienia, refleksje*, Warszawa 2000, s. 29.
- ⁸⁴ T. Zieliński, *Wielkie zadania architektów i architektury, 1915 roku [w:] tamże*, s. 33.
- ⁸⁵ Motto, które wybrał Z. Wóycicki do tekstu *Cel i istota wystawy „Mieszkanie i miasto”*, „Architektura i Budownictwo” 1926, t. 2, nr 6, s. 1.
- ⁸⁶ Różne daty w: J. Sroka, *Brześć nad Bugiem. Dzieje miasta i twierdzy*, Biała Podlaska 1997.
- ⁸⁷ Państwowe Archiwum Obwodu Brzeskiego w Brześciu (dalej: PAOB), sygn. nr 2425, opis 68, dzieło 1921.
- ⁸⁸ *Polityka pedagogiczna*, „Myśl Niepodległa”, 14.04.1923, s. 237.
- ⁸⁹ PAOB, sygn. nr 371, opis 1, dzieło 3a.
- ⁹⁰ Tamże, dzieło 19.
- ⁹¹ „Ziemia Pińska”, 2.12.1926.
- ⁹² PAOB, sygn. nr 371, opis 1, dzieło 11.
- ⁹³ Tamże.
- ⁹⁴ *Z miasta rosyjskiego miasto polskie*, „Kurier Bydgoski”, 29.09.1937, s. 2.
- ⁹⁵ PAOB, sygn. nr 2435, opis 68, dzieło 80.
- ⁹⁶ Tamże, sygn. nr 371, opis 1, dzieło 19.
- ⁹⁷ Z. Wóycicki, *Cel i istota wystawy „Mieszkanie i miasto”*, dz. cyt., s. 2.
- ⁹⁸ Prospekt Ministerstwa Robót Publicznych, 1925, s. 6.
- ⁹⁹ „Architektura i Budownictwo” 1924–1925, s. 40.
- ¹⁰⁰ „Kurjer Wileński”, 26.09.1924.

- ¹⁰¹ D. Waszczukówna-Kamieniecka, *Brześć, niezapomniane miasto*, Londyn 1997, s. 156.
- ¹⁰² „Ziemia Pińska”, 2.12.1926.
- ¹⁰³ PAOB, sygn. nr 371, opis 48, dzieło 38.
- ¹⁰⁴ Tamże, sygn. nr 371, opis, 1 dzieło 19.
- ¹⁰⁵ Tamże, sygn. nr 371, opis 48, dzieło 57.
- ¹⁰⁶ Na przedwojennych mapach Brześcia jest ul. K. Puławskiego, a nie Pułaskiego, choć pierwsza litera imienia, „K”, sugerowałaby, że chodzi o Kazimierza Pułaskiego. Zob.: B. Lulkin, *Brześć nad Bugiem*, litografia, 1938, Muzeum Miasta w Brześciu [w:] *Orientacyjny plan miasta Brześcia n. Bugiem*, Brześć [b.r.]; D. Waszczukówna-Kamieniecka, *Brześć...*, dz. cyt., s. 113.
- ¹⁰⁷ Danuta Kozłowska, relacja w zbiorze własnym auterek.
- ¹⁰⁸ Tamże.
- ¹⁰⁹ M. Pszczołkowski, *Kresy nowoczesne. Architektura na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej 1921–1939*, Łódź 2016, s. 63.
- ¹¹⁰ B. Nielubowicz, *Moje kresowe szczenięce lata*, „Echa Polesia”, polesie.org, bit.ly/2wj9Kvz, dostęp: 11.07.2018.
- ¹¹¹ Tamże.
- ¹¹² W. Śleszyński, *Infrastruktura Miasteczek i wsi Polesia w okresie międzywojennym*, „Biuletyn Historii Pogranicza” (Białystok) 2013, nr 13.
- ¹¹³ D. Waszczukówna-Kamieniecka, *Brześć...*, dz. cyt., s. 114.
- ¹¹⁴ „Architektura i Budownictwo” 1930, s. IX.
- ¹¹⁵ D. Waszczukówna-Kamieniecka, *Brześć...*, dz. cyt., s. 118.
- ¹¹⁶ H. Kierska, *Kędy kazachski step... Dziennik deportowanej 1939–1946*, Wrocław 2009, s. 12.
- ¹¹⁷ H. Konowaluk, *Szkoła pogranicza etniczno-kulturowego. Państwowe Gimnazjum i Liceum w Brześciu n/Bugiem 1919–1939*, Lublin 2002.
- ¹¹⁸ D. Waszczukówna-Kamieniecka, *Brześć...*, dz. cyt., s. 129.
- ¹¹⁹ Z. Jędrzejewski, *Od września do września*, Warszawa 1989, s. 8.
- ¹²⁰ B. Nielubowicz, *Moje kresowe szczenięce lata*, dz. cyt.
- ¹²¹ „Kurier Polesia”, 1.08.1924, s. 4.
- ¹²² „Kurier Polesia”, 21.01.1925.
- ¹²³ H. Kierska, *Kędy kazachski step...*, dz. cyt., s. 14.

- ¹²⁴ T. Bujanowski, *Pochodzę z Brześcia nad Bugiem*, „Dziennik Polski” (Londyn), 23.09.1988, s. 5.
- ¹²⁵ D. Waszczukówna-Kamieniecka, *Brześć...*, dz. cyt., s. 139.
- ¹²⁶ J. Sroka, *Bojowy duch. Wspomnienia z Brześcia nad Bugiem i Białej Podlaskiej z lat 1928–1956*, Biała Podlaska 2001, s. 11.
- ¹²⁷ M. Pszczołkowski, *Kresy nowoczesne*, dz. cyt., s. 69.
- ¹²⁸ „Echa Polesia” 2011, nr 3.
- ¹²⁹ Z. Jędrzejewski, *Od września do września*, dz. cyt., s. 12.
- ¹³⁰ D. Waszczukówna-Kamieniecka, *Brześć...*, dz. cyt., s. 103.
- ¹³¹ P. Cichoracki, *Droga ku anatemie. Wacław Kostek-Biernacki (1884–1957)*, Warszawa 2009, s. 201.
- ¹³² W. Śleszyński, *Infrastruktura miasteczek i wsi...*, dz. cyt., s. 103.
- ¹³³ P. Cichoracki, *Droga ku anatemie*, dz. cyt., s. 205.
- ¹³⁴ Tamże.
- ¹³⁵ PAOB, sygn. nr 14 1976, opis 80, dzieło 38.
- ¹³⁶ Tamże, dzieło 11.
- ¹³⁷ M. Marczak, *Przewodnik po Polesiu, Brześć nad Bugiem 1935*, s. 55.
- ¹³⁸ D. Waszczukówna-Kamieniecka, *Brześć...*, dz. cyt., s. 138.
- ¹³⁹ J. Sroka, *Brześć nad Bugiem...*, dz. cyt., s. 24, 25.
- ¹⁴⁰ Tamże, s. 29.
- ¹⁴¹ R. Piotrowski, *Walka o prawdziwe oblicze architektury* [w:] H. Adamczewska i in., *Fragmenty stuletniej historii*, dz. cyt., s. 70.
- ¹⁴² „Kurier Bydgoski”, 30.09.1937.
- ¹⁴³ *Fragmenty stuletniej historii 1899–1999. Ludzie, fakty, wydarzenia. W stulecie organizacji warszawskich architektów*, red. Tadeusz Barucki i in., Warszawa 2001, s. 73.
- ¹⁴⁴ „Dziennik Brzeski”, 6.11.1938.
- ¹⁴⁵ Tamże.
- ¹⁴⁶ H. Kierska, *Kędy kazachski step...*, dz. cyt., s. 14.
- ¹⁴⁷ Tamże, s. 16.
- ¹⁴⁸ I. Demjaniuk, R. Demjaniuk, *Przewodnik po obwodzie brzeskim Białorusi. Wybrane trasy turystyczne*, kresy24.pl, bit.ly/2w0Cj1e, dostęp: 10.07.2018.

Kukułka

- ¹⁴⁹ A. Karaś, *Miał zbudować wieżę. Życie Witolda Hulewicza*, Warszawa 2003, s. 22.
- ¹⁵⁰ A. Hulewicz-Feillowa, *Rodem z Kościanek*, Kraków 1988, s. 80.
- ¹⁵¹ A. Karaś, *Miał zbudować wieżę*, dz. cyt., s. 114.
- ¹⁵² Tamże.
- ¹⁵³ A. Hulewicz-Feillowa, *Rodem z Kościanek*, dz. cyt., s. 96.
- ¹⁵⁴ A. Radczenko, *Konka*, rojsty.blox.pl, bit.ly/2BwfHLp, dostęp: 26.06.2018.
- ¹⁵⁵ W. Hulewicz, *Wjazd [w:] tegoż, Miasto pod chmurami*, Wilno 1931, s. 9.
- ¹⁵⁶ F. Hryniewicz, *Ach V*, „Kurjer Litewski” 1912, nr 14.
- ¹⁵⁷ K. Pruszyński, *Cosas de Polonia [w:] tegoż, Trzyńście opowieści*, Warszawa 1995, s. 47.
- ¹⁵⁸ M. K. Pawlikowski, *Wojna i sezon. Powieść. Pamiętnik emigracyjny Tadeusza Irteńskiego (fragmenty)*, Łomianki 2011, s. 169.
- ¹⁵⁹ C. Miłosz, *Rodzinna Europa*, Warszawa 1990, s. 84.
- ¹⁶⁰ M. K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*, dz. cyt., s. 167.
- ¹⁶¹ Tamże, s. 171.
- ¹⁶² A. Niemczykowa, *Stanisław Mackiewicz (CAT) we wspomnieniach córki*, „Czas”, 4–10.04.2002, s. 13.
- ¹⁶³ W. Meysztowicz, *Gawędy o czasach i ludziach*, Londyn 1993, s. 145.
- ¹⁶⁴ Rękopis wspomnień Wandy Mackiewiczowej w posiadaniu Agnieszki Tempskiej, wnuczki Wandy, s. 22. Korzystałam z maszynopisu przygotowanego przez Agnieszkę Tempską.
- ¹⁶⁵ S. Mackiewicz, *Ruch monarchiczny w Polsce*, „Słowo”, 9.04.1925.
- ¹⁶⁶ K. Orłoś, *Dzieje dwóch rodzin. Mackiewiczów z Litwy i Orłosiów z Ukrainy*, Kraków 2015, s. 367.
- ¹⁶⁷ *Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego*, „Arcana” 1998, nr 21, s. 104.
- ¹⁶⁸ E. Kozikowski, *Więcej prawdy niż plotki. Wspomnienia o pisarzach czasów minionych*, Warszawa 1964, s. 165.
- ¹⁶⁹ T. Łopalewski, *Czasy dobre i złe*, Warszawa 1966, s. 102.
- ¹⁷⁰ A. Karaś, *Miał zbudować wieżę*, dz. cyt., s. 149.
- ¹⁷¹ Tamże.

- ¹⁷² K. Pruszyński, *Cosas de Polonia* [w:] tegoż, *Trzyńście opowieści*, Warszawa 1995, s. 48, 49
- ¹⁷³ T. Łopalewski, *Czasy dobre i złe*, dz. cyt., s. 99.
- ¹⁷⁴ M. Wańkowicz, *Tędy i owędy. Zupa na gwoździu*, wstęp M. Radziwon, posł. A. Ziółkowska-Boehm, Warszawa 2010, s. 83.
- ¹⁷⁵ *Radjo nadawcze dla Włna*, „Słowo”, 28.04.1927.
- ¹⁷⁶ *Od 0,5 kw do 50 kw*, „Kurjer Wileński”, 8.11.1936.
- ¹⁷⁷ A. Hulewicz-Feillowa, *Rodem z Kościanek*, dz. cyt., s. 104.
- ¹⁷⁸ T. Łopalewski, *Czasy dobre i złe*, dz. cyt., s. 131.
- ¹⁷⁹ *O sygnał wileńskiej radiostacji*, „Słowo”, 16.12.1927.
- ¹⁸⁰ M. J. Kwiatkowski, *Narodziny Polskiego Radia. Radiofonia w Polsce w latach 1918–1929*, Warszawa 1972, s. 277.
- ¹⁸¹ *Wycieczka na radjostację wileńską*, „Kurjer Wileński”, 8.12.1927.
- ¹⁸² *Uroczyste poświęcenie radiostacji wileńskiej*, „Słowo”, 17.01.1928.
- ¹⁸³ *Kronika radjowa*, „Słowo”, 14.01.1928.
- ¹⁸⁴ H. Berezowski, *Towarzystwo Radiotechniczne Elektrit. Wilno 1925–1939*, Warszawa 2011, s. 55.
- ¹⁸⁵ Tamże, s. 65 i 69.
- ¹⁸⁶ Tamże, s. 54.
- ¹⁸⁷ Tamże, s. 34.
- ¹⁸⁸ A. Hulewicz-Feillowa, *Rodem z Kościanek*, dz. cyt., s. 111.
- ¹⁸⁹ W. Hulewicz, *Wjazd*, dz. cyt., s. 8.
- ¹⁹⁰ M. J. Kwiatkowski, *Narodziny Polskiego Radia*, dz. cyt., s. 278.
- ¹⁹¹ T. Byrski, *Teatr – radio. Wspomnienia*, Warszawa 1976, s. 172.
- ¹⁹² K. Sagan, *Zacząło się w willi nad Wilią. Wileńska radiofonia w latach 1927–1935*, radiopolska.pl, bit.ly/2m5CN0O, dostęp: 11.07.2018.
- ¹⁹³ A. Hulewicz-Feillowa, *Rodem z Kościanek*, dz. cyt., s. 110.
- ¹⁹⁴ A. Bohdziewicz, *Z dnia na dzień speakera*, „Tydzień Radjowy”, 5.01.1930.
- ¹⁹⁵ T. Byrski, *Teatr – radio...*, dz. cyt., s. 178.
- ¹⁹⁶ A. Arno, *Niebezpieczny poeta. Konstany Ildefons Gałczyński*, Kraków 2013, s. 132.
- ¹⁹⁷ M. K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*, dz. cyt., s. 208.
- ¹⁹⁸ *Kronika radjowa*, „Słowo”, 15.12.1927.

- ¹⁹⁹ *Koniecznienie potrzebna jest silniejsza stacja radjowa w Kownie*, „Fala 244. Pismo dla Radioamatorów” 1931, nr 5.
- ²⁰⁰ A. Hulewicz-Feillowa, *Rodem z Kościanek*, dz. cyt., s. 120.
- ²⁰¹ Tamże, s. 130.
- ²⁰² M. Dąbrowska, *Pisma rozproszone*, t. 1, red. E. Korzeniewska, Kraków 1964, s. 209.
- ²⁰³ A. Radczenko, *Ile w Wilnie jest rzek?*, zw.lt, bit.ly/2Pt1n9B, dostęp: 26.06.2018.
- ²⁰⁴ S. Lorentz, *Album wileńskie*, Warszawa 1986, s. 14.
- ²⁰⁵ A. Hulewicz-Feillowa, *Rodem z Kościanek*, dz. cyt., s. 136.
- ²⁰⁶ Tamże, s. 121.
- ²⁰⁷ K. Pruszyński, *Cosas de Polonia*, dz. cyt., s. 46.
- ²⁰⁸ R. W. Z. A., „Słowo”, 28.04.1934.
- ²⁰⁹ Tamże.
- ²¹⁰ T. Byrski, *Teatr – radio*, dz. cyt., s. 186.
- ²¹¹ Tamże.
- ²¹² *Jak zawiedziona dziewczyna witrjolem*, „Słowo”, 15.09.1934.
- ²¹³ A. Karaś, *Miał zbudować wieżę*, dz. cyt., s. 242, 243.
- ²¹⁴ G. Tomasi di Lampedusa, *Lampart*, przeł. Z. Ernstowa, Warszawa 1988, s. 153.
- ²¹⁵ A. Karaś, *Miał zbudować wieżę*, dz. cyt., s. 324.
- ²¹⁶ *Grająca tablica pamiątkowa na 90. rocznicę Litewskiego Radia*, wilnoteka.lt, bit.ly/2KYd3l4, dostęp: 11.07.2018.

Raj na Wołyniu

- ²¹⁷ J. Dunin-Karwicki, *Janowa Dolina*, „Życie Katolickie” (Łuck) 1938, nr 32.
- ²¹⁸ P. J. Jamski, *Pocztówki z kresów przedwojennej Polski*, Warszawa 2012, s. 133.
- ²¹⁹ „Dziennik Wołyński. Z Kowla” 1924, nr 9, s. 2.
- ²²⁰ G. Motyka, *Ukraińska partyzantka 1942–1960. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii*, Warszawa 2015, s. 36.
- ²²¹ R. Dmowski, *Myśli nowoczesnego Polaka*, Wrocław 2002, s. 41.
- ²²² H. Józewski, *Zamiast pamiętnika*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1982, t. 59, s. 23.
- ²²³ „Przegląd Wołyński”, 26.08.1928.
- ²²⁴ M. Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Wołyniu*, Łuck 1929, s. 218.
- ²²⁵ Wspomnienia ze zbiorów autorek.

- ²²⁶ B. Soboń, *Wołyński życiorys. Wspomnienia i refleksje (wokół kopalni bazaltu w Janowej Dolinie pow. Kostopol)*, Warszawa 1999, s. 32.
- ²²⁷ „Głos Robotnika”, 25.06.1938.
- ²²⁸ „Głos Robotnika”, 15.02.1936.
- ²²⁹ Wspomnienia Edwarda Batora i rysunek w posiadaniu autorek.
- ²³⁰ „Głos Robotnika”, 1.05.1937.
- ²³¹ *Janowa Dolina. Państwowy kamieniołom. Album*, oprac. B. Maniecki, Janowa Dolina 1936, s. 3.
- ²³² B. Soboń, *Wołyński życiorys*, dz. cyt., s. 38.
- ²³³ Tamże, s. 72.
- ²³⁴ J. Pietrasiewicz-Chudy, *Rzeź wołyńska. Krwawa zbrodnia UPA w Janowej Dolinie*, gp24.pl, bit.ly/2maMbK0, dostęp: 11.07.2018.
- ²³⁵ „Głos Robotnika”, 19.06.1937.
- ²³⁶ *Janowa Dolina*, dz. cyt., s. 32.
- ²³⁷ J. Dunin-Karwicki, *Janowa Dolina*, dz. cyt.
- ²³⁸ A. M. Budzińska, *Janowa Dolina – kiedyś dolina szczęśliwości, potem...*, kresowianie.info, bit.ly/2J8p2rq, dostęp: 10.07.2018.
- ²³⁹ „Głos Robotnika”, 6.05.1936.
- ²⁴⁰ „Głos Robotnika”, 3.04.1937.
- ²⁴¹ „Głos Robotnika”, 16.09.1937.
- ²⁴² „Głos Robotnika”, 10.07.1937.
- ²⁴³ „Głos Robotnika”, 20.06.1936.
- ²⁴⁴ „Głos Robotnika”, 5.03.1938.
- ²⁴⁵ „Głos Robotnika”, 24.09.1938.
- ²⁴⁶ G. Motyka, *Ukraińska partyzantka...*, dz. cyt., s. 54.
- ²⁴⁷ Tamże, s. 45.
- ²⁴⁸ Tamże, s. 48.
- ²⁴⁹ Tamże, s. 58.
- ²⁵⁰ Tamże, s. 89.
- ²⁵¹ „Tajny Detektyw. Ilustrowany Tygodnik Kryminalno-Sądowy” 1932, nr 23, s. 10, 11.
- ²⁵² „ABC. Nowiny Codzienne”, 15.12.1937.
- ²⁵³ „Głos Robotnika”, 19.06.1937.

- ²⁵⁴ T. Snyder, *Tajna wojna. Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę*, przeł. B. Pietrzyk, Kraków 2008, s. 209.
- ²⁵⁵ Tamże.
- ²⁵⁶ G. Motyka, *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła”. Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947*, Kraków 2011, s. 294.
- ²⁵⁷ J. Kęsik, *Województwo wołyńskie pod rządami Henryka Józewskiego*, „Niepodległość i Pamięć” 2008, t. 15, nr 1(27), s. 177–203.
- ²⁵⁸ M. Gałęzowski, *Henryk Józewski „Olgierd”*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 2004, t. 147.
- ²⁵⁹ B. Soboń, *Wołyński zyciorys*, dz. cyt., s. 66.
- ²⁶⁰ Z. Grzesiakowa, *Między Horyniem a Słuczą*, Warszawa 1992, s. 299.
- ²⁶¹ B. Soboń, *Wołyński zyciorys*, dz. cyt., s. 85.
- ²⁶² G. Motyka, *Cień Kłyma Sawura. Polsko-ukraiński konflikt pamięci*, Gdańsk 2013, s. 111.
- ²⁶³ G. Motyka, *Polski policjant na Wołyniu*, „Karta” 1998, nr 24, s. 137.
- ²⁶⁴ Tamże, s. 138.

Pięćdziesiąt stopni Celsjusza

- ²⁶⁵ *Zaleszczyki*, „Przegląd Uzdrowiskowo-Turystyczny” 1933, s. 1.
- ²⁶⁶ Jotsaw, *Z Łodzi do Wschodnich Karpat. Worochta, Żabie, Jaremcze, Kuty, Zaleszczyki*, Łódź 1927.
- ²⁶⁷ A. Sabatowski, *Klimatoterapia oraz hydroterapia ogólna i zdrojowiskowa z opisem uzdrowisk polskich*, Lwów 1923, s. III.
- ²⁶⁸ Tamże, s. 64
- ²⁶⁹ Jotsaw, *Z Łodzi do Wschodnich Karpat*, dz. cyt., s. 73.
- ²⁷⁰ J. Łoziński, M. Łozińska, *W kurortach przedwojennej Polski. Narty, dancing, brydż*, Warszawa 2012, s. 19.
- ²⁷¹ Tamże, s. 57.
- ²⁷² Tamże, s. 40.
- ²⁷³ Tamże, s. 72.
- ²⁷⁴ Tamże, s. 161.
- ²⁷⁵ Tamże, s. 94.
- ²⁷⁶ Jotsaw, *Z Łodzi do Wschodnich Karpat*, dz. cyt., s. 83.

- ²⁷⁷ Tamże, s. 85.
- ²⁷⁸ Tamże.
- ²⁷⁹ Tamże, s. 83.
- ²⁸⁰ Tamże, s. 86.
- ²⁸¹ „Znicz Podola” 1936, nr 9–10, s. 135.
- ²⁸² *Zawody konne w Zaleszczykach*, „Tygodnik Ilustrowany”, 25.07.1931, s. 4, 5.
- ²⁸³ Alfa, *O tym, który nie siał ni orał...*, „Tajny Detektyw. Ilustrowany Tygodnik Kryminalno-Sądowy”, 15.11.1931, s. 4, 5.
- ²⁸⁴ *Przewodnik krajoznawczy. Zaleszczyki i okolica*, oprac. J. Schwartz, Tarnopol 1931.
- ²⁸⁵ Tamże, s. 64.
- ²⁸⁶ M. Lepecki, *Pamiętnik adiutanta Marszałka Piłsudskiego*, Warszawa 1988, s. 185 i nast.
- ²⁸⁷ Tamże.
- ²⁸⁸ Tamże.
- ²⁸⁹ O tym pobycie m.in. „Gazeta Lwowska” 1933, nr 246, s. 3.
- ²⁹⁰ M. Pawlikowska-Jasnorzewska, *Być kwiatem?... Wybór wierszy i szkiców poetyckich*, Warszawa 2000, s. 356.
- ²⁹¹ *Zaleszczyki*, dz. cyt., s. 42.
- ²⁹² J. Juzwa, *Janko Pokutnik z Zaleszczyk*, cracovia-leopolis.pl, bit.ly/2uaHxa3, dostęp: 11.07.2018.
- ²⁹³ A. Sabatowski, *Kilka uwag o lecznictwie klimatycznym i zdrojowym gruźlicy w Polsce*, „Medycyna” 1934, nr 16.
- ²⁹⁴ F. Parymończyk, *Czynniki lecznicze klimatu Zaleszczyk*, Zaleszczyki 1936, s. 1.
- ²⁹⁵ Tamże, s. 11.
- ²⁹⁶ Tamże, s. 14.
- ²⁹⁷ M. Rosenbaum, *Uwagi na czas głównego sezonu*, „Echo Zaleszczyk”, 24.06.1934, s. 1.
- ²⁹⁸ *Winobranie w Zaleszczykach 15–27 września 1936 r.*, Zaleszczyki [1936], s. 1.
- ²⁹⁹ Tamże, s. 11.
- ³⁰⁰ K. Woyciechowski, *Udział Podola w ruchu letniskowym*, „Znicz Podola” 1937, nr 5, s. 74.
- ³⁰¹ J. Opacki, *Zagadnienia letniskowe na Podolu*, „Znicz Podola” 1936, nr 9–10, s. 134.
- ³⁰² P. J. Jamski, *Pocztówki z kresów przedwojennej Polski*, Warszawa 2012, s. 239.
- ³⁰³ *Winobranie w Zaleszczykach*, dz. cyt., s. 24.

- ³⁰⁴ O. Langer, *Reklama kupca detalisty*, Warszawa 1937, s. 48.
- ³⁰⁵ J. Opacki, *Zagadnienia lotniskowe na Podolu*, dz. cyt., s. 130.
- ³⁰⁶ „Znicz Podola” 1937, nr 1, s. 10.
- ³⁰⁷ Elf, *Trochę nowin turystycznych*, „Turysta i Auto”, wrzesień 1934, s. 4.
- ³⁰⁸ J. Kiewnarska, *Rozkosze kempingu*, „Turysta i Auto”, wrzesień 1933, s. 8, 9.
- ³⁰⁹ *Zaleszczyki*, dz. cyt., s. 13.
- ³¹⁰ P. J. Jamski, *Pocztówki z kresów...*, dz. cyt., s. 239.
- ³¹¹ J. Stein, *Plaża*, „Echo Zaleszczyk”, 24.06.1934, s. 2.
- ³¹² J. Łoziński, M. Łozińska, *W kurortach przedwojennej Polski*, dz. cyt., s. 168.
- ³¹³ M. Limanowski, *Step jest dookoła* [w:] *Winobranie w Zaleszczykach...*, dz. cyt., s. 18.
- ³¹⁴ *Zaleszczyki*, dz. cyt., s. 16.
- ³¹⁵ M. Wańkowicz, *Drogą do Urzędowa*, Warszawa 1989, s. 63.
- ³¹⁶ J. Juzwa, *Prawda o szosie zaleszczyckiej*, cracovia-leopolis.pl, bit.ly/2zuPjAy, dostęp: 11.07.2018.
- ³¹⁷ Tamże.

Świat ze sklejki

- ³¹⁸ List Tadeusza do Zosi, 31.01.1967.
- ³¹⁹ Mt 25, 29, cyt. za: Biblia Tysiąclecia.
- ³²⁰ B. Kłosowicz-Krzywicka, *Konopaccy z Fałku*, Warszawa–Bures-sur-Yvette 2012, s. 34.
- ³²¹ Tamże, s. 35.
- ³²² Tamże, s. 39.
- ³²³ Tamże, s. 93.
- ³²⁴ Akta sprawy Ignacego Konopackiego, Instytut Pamięci Narodowej, sygn. nr Wr 0 38 927, t. 2, k. 0229.
- ³²⁵ B. Kłosowicz-Krzywicka, *Konopaccy z Fałku*, dz. cyt., s. 108.
- ³²⁶ S. Wieloński, *Ojczysty świat Konopackich*, Warszawa 2003, s. 53.
- ³²⁷ Cyt. za: F. Antoni Ossendowski, *Polesie*, Poznań 1934, s. 8 („Cuda Polski”, t. 6).
- ³²⁸ H. Jakubowska z d. Arciszewska, *Pińsk* [w:] *Polesie – ocalić od zapomnienia*, wstęp H. Jakubowska z d. Arciszewska i in., red. L. Popek, współpr. B. Arciszewska, Lublin 1998, s. 17.
- ³²⁹ Mt 25, 25, cyt. za: Biblia Tysiąclecia.

- ³³⁰ E. Jaworski, *Moje czasy (1910–1952)*, Warszawa 1997, s. 75.
- ³³¹ B. Kłosowicz-Krzywicka, *Konopaccy z Fałku*, dz. cyt., s. 153.
- ³³² S. Wieloński, *Ojczysty świat Konopackich*, dz. cyt., s. 55.
- ³³³ Tamże, s. 56.
- ³³⁴ E. Jaworski, *Moje czasy*, dz. cyt., s. 87.
- ³³⁵ List Konstantego do Zosi, 19.12.1928.
- ³³⁶ „Tygodnik Ilustrowany”, 21.09.1929, s. 71.
- ³³⁷ List Konstantego do Zosi, 19.12.1928.
- ³³⁸ List Konstantego do Zosi, 16.01.1929.
- ³³⁹ B. Kłosowicz-Krzywicka, *Konopaccy z Fałku*, dz. cyt., s. 157.
- ³⁴⁰ Tamże, s. 178.
- ³⁴¹ List Ignacego do Zosi, 5.03.1929.
- ³⁴² B. Kłosowicz-Krzywicka, *Konopaccy z Fałku*, dz. cyt., s. 198.
- ³⁴³ Tamże.
- ³⁴⁴ List Tadeusza do Zosi, 31.01.1967.
- ³⁴⁵ Kartka od brata do Zosi, kwiecień 1928.
- ³⁴⁶ List Konstantego do Zosi, 15.03.1928.
- ³⁴⁷ E. Jaworski, *Moje czasy*, dz. cyt., s. 86.
- ³⁴⁸ List do siostry, bez przypisu [w:] B. Kłosowicz-Krzywicka, *Konopaccy z Fałku*, dz. cyt., s. 162.
- ³⁴⁹ E. Jaworski, *Moje czasy*, dz. cyt., s. 91.
- ³⁵⁰ Tamże, s. 92.
- ³⁵¹ J. Mortkowiczowa, *Wieczór w Mostach*, „Bluszcz” 1930, nr 35, s. 5.
- ³⁵² Tamże, s. 5.
- ³⁵³ M. Wańkowicz, *Herr Oberst i polska dykta* [w:] S. Wieloński, *Ojczysty świat Konopackich*, dz. cyt., s. 57.
- ³⁵⁴ Tamże.
- ³⁵⁵ Tamże, s. 58.
- ³⁵⁶ *Polepszenie na rynku dykt i fornierów*, „Codzienna Gazeta Handlowa”, dodatek do „Gazety Handlowej Krakowskiej”, 22.11.1934, s. 4.
- ³⁵⁷ *Dykta wypiera... dyktę*, „Rynek Drzewny”, 26.11.1934, s. 3.

- ³⁵⁸ M. Barbasiewicz, *Ludzie interesu w przedwojennej Polsce. Przedsiębiorcy, filantropi, kapitaliści*, Warszawa 2013, s. 125.
- ³⁵⁹ B. Kłosowicz-Krzywicka, *Konopaccy z Fałku*, dz. cyt., s. 165.
- ³⁶⁰ Korespondencja A. Glassa z B. Kłosowicz-Krzywicką, w posiadaniu B. Kłosowicz-Krzywickiej.
- ³⁶¹ Akta sprawy Konopackich, Instytut Pamięci Narodowej, sygn. nr Wr 0242778.
- ³⁶² List Antoniego do Wacława, 25.03.1947.
- ³⁶³ Tamże.
- ³⁶⁴ List Antoniego do Wacława, 11.09.1947.
- ³⁶⁵ Akta sprawy Konopackich, dz. cyt., t. 2.
- ³⁶⁶ Tamże.
- ³⁶⁷ List Antoniego do Zosi, 14.01.1958.

Przypisy

- [1] Józef Taube (1893–1971). W 1930 roku został wyznaczony na stanowisko dowódcy 4 Dywizjonu Pancernego w garnizonie Brześć.
- [2] Inaczej piskorz.
- [3] Buduje je Fundacja Warburga, Joint Distribution Committee of the American Funds for Jewish War Sufferers.
- [4] Święto Kościoła prawosławnego i greckokatolickiego. Epifania Chrztu Pańskiego.
- [5] W Kościołach wschodnich wigilia Jordanu.
- [6] Polityk obozu piłsudczykowskiego, premier w latach 1935–1936.
- [7] Sieć ukraińskich placówek kulturalnych.
- [8] Taylorowska organizacja pracy, taylorizm – metoda organizacji pracy stworzona pod koniec XIX wieku przez Fredericka Taylora. Zwiększała wydajność pracy przez podzielenie procesu produkcji na etapy. Rozliczanie następowało na podstawie czasu potrzebnego do wykonania określonej czynności. Na tej zasadzie jest zorganizowana produkcja taśmowa.
- [9] Tę informację podawał Ignacy Konopacki podczas przesłuchania. Protokolant zapisał nazwę organizacji jako Germanische Leit. Prawdopodobnie chodziło zaś o Germanischer Lloyd, niemieckie towarzystwo kwalifikacyjne, które zajmuje się certyfikacją materiałów do wyrobu statków.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl

dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl

zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl

magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: lukasz.sobolewski@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2018

Wydanie I